

Adam Zaleski

Wspomnienia lwowskie, kazachstańskie i inne

Wstęp

Moja mama urodziła się w 1900 roku i zawsze byliśmy przekonani, że był to już wiek XX. Na początku XXI wieku, w wyniku rozważań o właściwej dacie początku stulecia, okazało się, że jego początkiem jest pierwszy rok każdego wieku. A zatem, mama była urodzona w XIX wieku. Żyła więc w dwóch stuleciach i prawie cały XX wiek, do 1994 roku!

W młodości najczęściej nie zdajemy sobie sprawy ze zjawiska przemijania i z faktu, że gdy ktoś odchodzi, zabiera ze sobą całą, niekiedy obszerną wiedzę o swoim życiu i także o życiu innych ludzi, jeśli nie zdołał jej wcześniej zapisać lub komuś przekazać.

Natomiast każdy może szerzej i wnikliwiej spojrzeć na swoje życie, a wówczas w jego wspomnieniach i obserwacjach pojawi się również obraz tych czasów, ludzi i zjawisk, które opisuje.

Rodzice przeżyli bardzo ciekawe dzieje podczas I wojny światowej i nierzadko o nich opowiadali. Mama w młodości prowadziła dziennik, zwłaszcza podczas wojny spędzonej na Ukrainie. Byłby dziś bezcenny. Niestety, został zniszczony przez rodzinę, u której go zdeponowała. Po aresztowaniu nas w kwietniu 1940 roku i nasilaniu się sowieckiego terroru – rodzina, ze strachu, zdecydowała się spalić dziennik jako literaturę antysowiecką. Za posiadanie takich materiałów groziły poważne represje. Bezcenna rodzinna kronika zginęła więc bezpowrotnie.

Opisując losy rodziców, opierałem się jedynie na zapamiętanych opowieściach ojca, a głównie na wspomnieniach matki. Uświadamiałem sobie wówczas, ile się traci, gdy informacje nie są zapi-

sywane i w pewnym momencie już nie ma kogo o nie zapytać. Postanowiłem więc spisać znane mi z pamięci wydarzenia rodzinne, aby moje dzieci, wnuki i następní potomkowie nie mieli podobnych do moich rozterek, wyrzutów i żalów, jeżeli, oczywiście, będą interesowali się historią przodków. Przy współcześnie lawinowym dopływie różnych informacji nie jest to takie powszechne i pewne.

W pierwszym rozdziale opisuję rodzinę i pochodzenie ojca, rodzinę i pochodzenie matki oraz dzieje ich poznania się podczas I wojny światowej. W drugim rozdziale wspominam swoje lata dziecięce, związane z rodziną, domem, szkołą, relacjami towarzyskimi i rodzinnymi, na tle Lwowa, gdzie się urodziłem i gdzie mieszkaliśmy przed wojną. W trzecim rozdziale opisany jest wybuch wojny (1939), okupacja sowiecka, nasze zesłanie, wojenne losy za Uralem oraz niezwykli ludzie, napotkani podczas wojny aż do powrotu w 1946 roku do kraju. W czwartym opisuję lata powojenne, charakterystykę osób, które odegrały w moim życiu znaczącą rolę, oraz fakty dotyczące zagłady polskich jeńców wojennych w niewoli sowieckiej. Piąty zawiera moje impresje i spostrzeżenia z kilku podróży do Ameryki w latach 1980-2004.

Nie opisuję, w zasadzie, swoich spraw związanych z pracą zawodową i jej przebiegiem, gdyż jest to zupełnie inna tematyka. Natomiast obecne wspomnienia nie są monotematyczne, więc każdy czytelnik znajdzie coś dla siebie.

Bardzo żałuję, że spisywanie dziejów mojej rodziny zacząłem dość późno – dopiero po przejściu na emeryturę. Dużo osób, które mogły mi udzielić informacji, już odeszło. Mało korzystałem z literatury, a głównie zawierałem swojej pamięci i relacjom żyjących jeszcze osób. Wiele danych rodzinnych zawdzięczam Eugeniuszowi Zaleskiemu (1918-2001), bratu stryjecznemu, prawnikowi. Był on aresztowany w 1943 roku we Lwowie za udział w konspiracji, więziony w obozie Oświęcim-Brzezinka, a następnie w Mauthausen. Nie powrócił do kraju. Po uwolnieniu z obozu przez wojska amerykańskie, wyjechał do Paryża. Ożenił się z Isabelle Jeanine Cotton, córką francuskiego oficera z misji generała Weyganda, stacjonującej w Polsce (1919-1925). Członkiem tej misji był także ówczesny major – Charles de Gaulle (1920). Kapitan Cotton ożenił się w Polsce z Polką, a po urodzeniu się córki (1926) wrócił na stałe z rodziną do Francji i zamieszkał w Paryżu.

Eugeniusz ukończył w Paryżu studia ekonomiczne, został profesorem. Zajmował się naukowo problematyką ekonomii i gospodarki krajów komunistycznych, pracując w Narodowym Centrum Badań Naukowych (CNRS)¹. Z tego powodu miał przed 1989 rokiem zamkniętą drogę do Polski w obawie przed represjami ze strony władz komunistycznych. Jednocześnie był prezesem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Gromadził również materiały o historii naszej rodziny, które przekazał mi podczas mojej wizyty w Paryżu (1973).

Książka opisuje historię mojej rodziny, wybrane fragmenty mojego życia. Zawiera również impresje z licznych podróży służbowych i prywatnych – byłem w 40 krajach, na 4 kontynentach – z dodatkiem tekstów, które chciałbym zachować dla siebie i dla tych, którzy się nimi zainteresują.

Bardzo ważne miejsce w książce zajmuje – przewijający się przez prawie całą jej treść – motyw Zbrodni Katyńskiej, która tak tragicznie dotknęła moją i tysiące innych polskich rodzin². Ciekawym zbiegiem okoliczności jest fakt, iż ujawnienie prawdy o ukrywanej i zakłamywanej przez Związek Sowiecki Zbrodni Katyńskiej nastąpiło 13 kwietnia 1990 roku, dokładnie w dniu 50-lecia naszego i dziesiątków tysięcy rodzin polskich oficerów i policjantów aresztowania przez NKWD na okupowanych przez ZSRR terenach.

Adam Zaleski

¹ Centre Nationale de la Recherche Scientifique.

² Adam Zaleski, *Zbrodnia Katyńska, czyli o zbiorowej zagładzie polskich oficerów i policjantów, dokonanej w trzech miejscach, a nazwanej imieniem jednego z nich. O życiu w obozie starobielskim w okresie od października 1939 do maja 1940*. Wrocław 2000, Wydawnictwo Dolnośląska Agencja JerG, str. 55.

I. Historia mojej rodziny

Rodzina Zaleskich

Rodzina mojego ojca pochodzi z okolic Lwowa, a dokładnie ze wsi Hucisko³ w powiecie Bóbrka, oddalonej około 30 km od miasta, gdzie mój dziadek – Stanisław Zaleski, syn Marcina, był leśniczym w wielkich lasach, należących do rodziny Potockich.

Dzięki pamiętnikowi Stefana Kretowa, męża dalszej kuzynki mojego ojca – Julii Malinki, wnuczki Marcina Zaleskiego, mogliśmy dowiedzieć się więcej o losach naszej rodziny od około początku XIX wieku.

W powiecie przemysłańskim, na zachód od miasteczka powiatowego Przemyślany, którą wiedzie linia kolejowa Lwów-Podhajce, miasto otoczone jest lasami i gajami przedmiejskimi – własność hrabiego Potockiego. Tuż pod miasteczkiem położona jest rozległa wioska Krościenko, również otoczona lasami i gajami. Tutaj, na zachód od niej, pod borem sosnowym, na ustroniu leśnym, stała – od niepamiętnych czasów – stara leśniczówka.

Był to dom mieszkalny z gankiem na słupach, zarosły dzikim winogronem i bluszczem. Przed gankiem ogród kwiatowy z różnymi klombami, przed ogródkiem stara lipa, a pod nią – ławeczka. Za domem znajdowały się budynki gospodarskie: stodoła, stajnia dla koni z oborą dla bydła, pomieszczenia na zboże i siano oraz drewnitnia.

³ 12 kwietnia 1944 roku wieś została częściowo spalona, a ponad stu mieszkańców zamordowanych przez oddział UPA. Jako ślad po zniszczonej później w całości miejscowości istnieje tylko zarośnięty, zniszczony i w niedostępnym miejscu cmentarz, który umieli zlokalizować jedynie najstarsi, pamiętający jeszcze ową rzecz, ludzie; www.lwow.com.pl/radio/huciska/huciska.html.

W tym ustroniu, w uroczej leśniczówce urząd sprawował stary leśniczy **Marcin Zaleski**, urodzony 20 października 1818 roku w Wodnikach, powiat Bóbrka. Od niego – mojego pradziadka zaczę opowieść o naszej rodzinie.

Z zachowanych dokumentów dowiadujemy się szczegółów jego kariery zawodowej. Cytuję poniżej przebieg pracy zawodowej pradziadka Marcina Zaleskiego, również jako ciekawostkę językową ówczesnych pism urzędowych⁴.

Wykaz Nacyonalny Marcina Zaleskiego *Podleśniczego Rewiru Krośnieńskiego*

1. *Marcin Zaleski*
2. *Urodzony w roku 1818*
3. *Szkoły z Egzaminem Normalnem*
4. *Wstąpił do obowiązku w roku 1836 u właściciela Dóbr Leszczyna s.p. Wawrzyńca Kwolkiewicza jako pisarz przy ekonomii i nadzorze lasu, gdzie nieprzerwanie lat 13, to jest do 15 stycznia 1849 zostawał. Zaś od 7-go kwietnia 1849 r. do Wysokiego Skarbu na opróżnioną podówczas posadę Waldjunga⁵ do Rewiru Suchodolskiego przyjęty został, skąd po dwuletnim pobycie do rewiru Podciemniańskiego z tym samym znaczeniem dla prowadzenia manipulacji rewirowej w pomoc Panu Neustein – byłemu Nadleśniczemu przeznaczony, skąd po dwuletnim pobycie do Rewiru Wypyseckiego do tej samej czynności w pomoc Panu Hullemu, byłemu Nadleśniczemu Nadl. Starocielskiego przeznaczony był, skąd po upływie lat 4-ch decyzją Szanownego Pełnomocnego Rządu Dóbr Podchorowskich z dn. 1 lipca 1861 roku na aktualnego Podleśniczego przeznaczony do dnia dzisiejszego.*
5. *Stosunków pokrewieństwa oprócz syna Stanisława Zaleskiego, który obecnie w Rewirze Suchodolskim jako Podleśniczy od 10-ciu lat zostaje, żadnych innych nie ma.*

⁴ Oryginalny zapis tekstu.

⁵ Gajowego, uzup. A.Z.

Innym, ciekawym dokumentem, zachowanym w oryginalnym zapisie, dotyczącym działalności zawodowej pradziadka, jest list skierowany do jego pracodawcy, hrabiego Potockiego, właściciela ogromnych terenów leśnych, w których był zatrudniony.

Wasza Excelencjo Wielmożny Hrabio Panie!

Z najgłębszym uszanowaniem zanoszę mą pokorną Prośbę do stóp Waszej Excelencji o łaskawe uwzględnienie odciętych mi Dziesięć lat służby przy fachu lasowym w Wysokim Skarbie Waszej Excelencji jako następuje.

Gdym został przyjęty do służby przy fachu lasowym dnia 7 kwietnia 1849 roku na opróżnioną posadę Waldjunga do Rewiru Suchodolskiego z roczną pensją 80 mc, po dwuletnim pobycie, poniósłszy wielką szkodę przez podpalenie od mściwych szkodników, przeniesiony zostałem do Rewiru Podciemniawskiego w pomoc Panu Neustein, Nadleśniczemu ówczas Klucza Połczowskiego dla prowadzenia manipulacji rewirowej z roczną nagrodą 120 mc, skąd znowu po dwuletnim pobycie na zadania Pana Hullego Nadleśniczego wówczas Klucza Przemysłaskiego do Rewiru Wypysackiego, do tej samej czynności przez 4 lata użyty, również potem do Rewiru Podmonasterskiego w pomoc ś.p. Misińskiemu, leśniczemu Klucza Starosielskiego przez 4 lata przeznaczony, a odtąd decyzją Szanownego Pełnomocnego Rządu Dóbr Podhorszkich z dnia 1 lipca 1861 roku na aktualnego Podleśniczego do Rewiru Krosienieckiego awansowany i w pomoc ś.p. Romańskiemu dla prowadzenia manipulacji oddany.

Jeżeli więc Koledzy podpisanego do łask emerytalnych przez ś.p. Jw. Hrabiego Pana ustanowionych byli przypuszczeni, a niżej podpisany od tak wielkiego Dobrodziejstwa był odsunięty, przez to zaniósłem Prośbę do Szanownego Komitetu Emerytalnego pod dniem 3-m Czerwca 1861 roku o łaskawe przyjęcie i podpisanego do liczby emerytów, wskutek której to prośby Szanowny Komitet Rezolucją z d. 15 czerwca 1868 roku na posiedzeniu stosownie do zasad Statutów emerytalnych uchwalił: ażeby lata służby od 1949 roku po koniec Czerwca 1861 do emerytury nie liczyć, a to z powodu, że podpisany w Tabeli Etatowej tylko jako Dozorca Lasu był uwidoczniiony, od 1-go lipca 1861 jako otrzymanego stano-

wiska Podleśniczego, do 1 lipca 1868 r. tylko siedem lat służby rzeczywistej w Wysokim Skarbie podpisanemu policzono i przyjęto ze względu, iż nienagannie obowiązki swe wypełniałem.

Z tak smutnego położenia zanoszę mą najpokorniejszą Prośbę do Stóp Waszej Excelencji, ażeby przez wzgląd na Dwudziestoletnie usługi w Wysokim Skarbie, gdzie najpiękniejszy wiek i siły me fizyczne poświęciłem, tudzież przez wzgląd na pięcioro małych dzieci, odciętych mi lat Dziesięć z obowiązkiem uzupełnienia wkładek emerytalnych uwzględnić, albo przynajmniej aktualnej Służby lat Dziesięć Wasza Excelencja w pokorze proszącemu jak najłaskawiej uznać raczył.

Marcin Zaleski

Krościenko, 10 marca 1869 roku

Cytowane wyżej dokumenty pokazują, jak bardzo korzenie naszej rodziny są związane z naturą, zwłaszcza z lasami podlwowskimi, gdzie przodkowie nasi żyli, pracowali i skąd wywędrowali w XX wieku do miasta. Czyżby nasze nazwisko w jakiś sposób wiązało się z naszym „leśnym” pochodzeniem? Być może, ten atawizm – sympatia do lasu i związek z nim przejawiały się w następnym pokoleniu? Mój starszy syn – Piotr, muzyk, z żoną Zosią, lekarką, również miłośniczką przyrody, wybudowali sobie na początku XXI wieku dom mieszkalny i osiedlili się na stałe w głuchym lesie, daleko od aglomeracji miejskiej, prawie 40 km od Wrocławia, na wysokości około 210 m n.p.m., w okolicy Twardogóry.

Marcin Zaleski ożenił się z Marią Kotowicz (ur. 1818), córką ruskiego greckokatolickiego księdza, z którą miał troje dzieci: Paulinę (po mężu Malinka), Ksawerego i Stanisława (mojego dziadka). Ksawery wywędrował na Węgry, gdzie ożenił się z Węgierką i żył dosyć dostatnio, będąc naczelnikiem stacji w Debreczynie.

Zanim przejdę do opisu rodziny mojego ojca, wspomnę o powstańczych przygodach młodych braci Zaleskich: Ksawerego oraz dziadka – Stanisława, którzy zaciągnęli się do Powstania Styczniowego (1863-1864). Mój dziadek miał wówczas 16 lat. Na nic zdały się perswazje rodziców, aby im odradzić wnikanie się w tak niepewne, a jednocześnie niebezpieczne działania.

Dzisiaj trudno jest mi ocenić, jakie i skąd były motywacje przyłączenia się do zbrojnej walki z zaborcą. Z późniejszych analogicznych doświadczeń historycznych wiemy, że sytuacja przed wybuchem Powstania Warszawskiego w roku 1944 była taka, że prawdopodobieństwo jakiegokolwiek sukcesu, militarnego czy politycznego, było bliskie zeru. Znaleźli się jednak ludzie, których determinacja, a może i brak logicznego myślenia, skłoniły do podjęcia decyzji o beznadziejnej walce zbrojnej przeciwko znienawidzonemu okupantowi. Liczyli na pomoc nacierającej Armii Sowieckiej. Ta jednak przybywała z innym zamiarem. Być może, taka właśnie atmosfera panowała wśród ówczesnej, patriotycznej młodzieży polskiej w styczniowym zrywie.

Oczywiście, nie zachowały się żadne opowieści o szczegółach uczestnictwa dziadka Stanisława i jego brata w Powstaniu Styczniowym. Jedynie z zapisanych relacji ich matki, mojej prababki, dowiadujemy się o niektórych sytuacjach, mających związek z powstaniem, zwłaszcza z powrotem powstańców do domu, po jego upadku⁶.

Zabrali się w świat, za oczy, a przyszli już biedni, wynędzniali, że nie można ich było poznać, że to ci sami chłopcy. A jak ściągnęli bieliznę ze siebie, to tak wszystko było zawszone, z robactwem i nędzą, że strach było patrzeć. Skóra na plecach z ranami i strupami, że trzeba było płakać i łamać ręce – tak się dorobili. Opowiadali, że dniami i nocami nigdzie nie mogli się pokazywać i musieli ukrywać się, siedząc w niedostępnych kniejach, urwiskach i borach.

Pewnego razu, gdy straszny głód dokuczał powstańcom, to jak wpadli w nocy na łan kukurydzy, to zjedli wszystko do szczętu.

Szlachta i wielka magnateria bardzo rzadko i niechętnie szła na rękę powstańcom, negowała całą ideę powstania i zarzucała im, że się porywają „z motyką na słońce”⁷.

Pewnego razu powstańcy – po długotrwałym przejściu nocą lasami, gdy im bardzo dokuczał głód – dotarli do dworu magnatki – baronowej, prosząc o jakikolwiek posiłek i jakieś schronienie

⁶ Oryginalny język zapisu.

⁷ Takie stanowisko nie jest opisywane w literaturze historycznej.

gdzieś w budynkach dworskich przed straszną ulewą. Pani magnatka kazała ich zaprowadzić do obory, gdzie nocowali wśród wielkich kup gnoju i zmieszanej z łajnem świńskim sieczki, a na pożywienie kazała im ugotować nieobierane kartofle i wysypać po ugotowaniu do świńskich koryt, by się „obroncy ojczyzny” posilili. Z głodu zjedli to wszystko, co było w korytach, i zmęczeni położyli się spać w świńskim gnoju i słomie obok wylegujących się świń. Deszcz lał całą noc jak z cebra, a nasi biedni, zbiedzeni i wynędzniali powstańcy nie mogli usnąć do rana, bo nie tylko swoje wszy i nędza im dokuczały, ale jeszcze gryzły ich świńskie wszy i dokuczały również piekące rany.

Nad ranem, gdy już dobrze zaświtało, pościągali koszule i dolne odzienie ze siebie i wyłapali najpierw świńskie wszy do pudełek z zapałkami i swoje do papierowych torebek, a potem zgromadzili się przed wejściem do pałacu, prosząc służbę, aby pani magnatka dobrodziejka była łaskawa wyjść do nich na ganek, gdyż chcą podziękować za tak miłe przyjęcie w apartamentach dworskich. Pani baronowa wyszła na ganek, a jeden z dowódców oddziału powstańczego zaczął do niej przemawiać, dziękować tak jak mu sumienie nakazuje, a na dany znak wszyscy wyciągnęli torebki i pudełka z wszami i rzucili na ganku do stóp pani baronowej, po czym w mig zniknęli w borach.

Rodzina mojego ojca

Przystępując do opisu rodzin moich rodziców, zdecydowałem się ograniczyć do jednego pokolenia, z tego prostego powodu, że nie znam dokładnych danych wielu członków dalszej rodziny. Dokumenty zaginęły podczas wojny.

Drugim powodem tych ograniczeń była spora liczebność moich przodków, ponieważ **ojciec miał ośmioro rodzeństwa, a ojciec mojej matki był jednym z trzynastorga dzieci!**

Tak liczne były w tym czasie rodziny!

O rodzinie ojca piszę więcej, ponieważ jego rodzeństwo, wraz ze swoimi rodzinami mieszkało we Lwowie. Znałem ich osobiście, spotykałem się i mam wiedzę na temat wielu z nich.



Dziadek Stanisław Zaleski z rodziną. Od lewej, u góry: Józef Varanka, N, Eugeniusz, Aniela, Mieczysław, Helena, Otto Schutera, Maria, N, siedzą: N, babcia Józefa, dziadek Stanisław, Paulina, u dołu: Zygmunt i Ryszard, Hucisko 1903

Rodzice ojca – moi dziadkowie

Stanisław Zaleski, dziadek

(1 kwietnia 1847 – 14 kwietnia 1905)

Urodzony w Leszczynie, pow. Kamień, leśniczy, wyznanie rzymsko-katolickie.

Józefa Zaleska z domu Śliwińska, babcia

(19 kwietnia 1850 – 8 września 1919)

Ciekawe jest to, że babcia była wyznania grecko-katolickiego, a jej matka – prababcia była Rusinką. Nazywała się Maria Wysoczańska; była córką księdza grecko-katolickiego. Podczas Powstania Styczniowego zajmowała się konspiracją i pomagała polskim powstańcom, przewożąc dla nich broń, m.in. pod obornikiem.

Rusini i Polacy w tym czasie i w tej diasporze żyli ze sobą jako jedna społeczność, bez antagonizmów narodowościowych. Nadeszły one dopiero pod koniec XIX wieku, kiedy wystąpiły ruchy wyzwolenicze narodów okupowanych przez zaborców. Szczególnie drastycznie odbywało się to na terenach, w których udział ilościowy Polaków i Rusinów, nazywanych w XX wieku Ukraińcami, był w przybliżeniu równy.

Apogeum konfliktów, zwłaszcza na Wołyniu, nastąpiło w drugiej fazie II wojny światowej. Wobec spodziewanego zwycięstwa Aliantów, miejscowa ludność, indoktrynowana i agitowana przez skrajnie nacjonalistyczne organizacje ukraińskie, przygotowywała się do udziału w powojennym kształtowaniu granic w Europie.

Skuteczne rozwiązanie upatrywali w czystkach etnicznych, mających na celu zdobycie przewagi ilościowej przez likwidację ludności jednego narodu na spornych terenach. Mam na myśli działalność terrorystyczną UPA (Ukraińskiej Armii Powstańczej), szczególnie na Wołyniu, oraz kontrakcje polskiego podziemia, głównie Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych. Piszę o tym również w dalszej części wspomnień.

Konsekwencją tej religijno-narodowej symbiozy w XIX wieku był przyjęty wówczas w Galicji zwyczaj, że dzieci z mieszanych religijnie małżeństw przyjmowały religię według płci i wyznania rodziców, zgodnie z zasadą: synowie przyjmowali religię ojca, córki zaś religię matki. Nie zauważyłem wyraźnych obyczajowych skutków tego podziału, poza formalnymi. Wszystkie moje ciotki, wujowie i ich dzieci wyznawały religię rzymskokatolicką i było to przez kościoł, cerkiew i rodzinę respektowane.

Rodzeństwo ojca - Zalescy

Józef Zaleski (1875-1942), najstarszy brat ojca

Urzędnik pocztowy, ożeniony z **Martą Poradowską** (1887-1953). Mieli córkę **Marię** (1922-1945), która zginęła w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Znalazła się tam za działalność podziemną.



Rodzeństwo ojca, stoją od lewej: Zygmunt, Paulina, Ryszard, Mieczysław, Aniela, Eugeniusz, siedzą: Maria, Helena, babcia Józefa oraz Józef, 1915

Paulina Zaleska (1876-1940)

Urzędniczka pocztowa. Przed wojną, mieszkała u swojej siostry Anieli Poradowskiej, która opiekowała się nią aż do śmierci, ponieważ w latach 20. XX wieku została sparaliżowana i wymagała stałej opieki. Młodzież w rodzinie nazywała ją *Ciocia Starusia*.

Helena Zaleska (1879-1964) i jej rodzina

Nauczycielka szkół ludowych, zamężna z nauczycielem **Józefem Varanką** (1875-1947). Mieli czworo dzieci: **Zofię** (1899-1916), **Tadeusza** (1900-1916), **Eugeniusza** (1902-1916) oraz **Józefa** (1911-1995). Podczas I wojny światowej szalejąca gruźlica płuc zabrała im trójkę dzieci. **Varankowie** z synem **Józefem**, ożenionym w roku 1936 z **Ewą Ostrowską-Belzą** (1909-1997), zamieszkali od 1945 roku we Wrocławiu, po repatriacji ze Lwowa, i tu zmarli.

Ewa była spokrewniona z wielkim piewcą polskości Władysławem Bełzą (1847-1913), autorem *Katechizmu polskiego dziecka* (1900, m.in. tekstu *Kto ty jesteś? – Polak mały...*). **Ewa i Józef Varankowie** mieli trzech synów: **Jana** (1942-1958), **Piotra** (1945) oraz **Wojciecha** (1949).

Jan urodził się z jedną nerką, która odmówiła posłuszeństwa już w chłopięcym wieku. Niestety, w powojennym czasie stan medycyny nie pozwalał jeszcze na przeszczep nerek. Pomimo nadludzkich wysiłków ze strony rodziców, łącznie z przeprowadzeniem operacji w Paryżu, nie udało się Jana uratować.

Piotr Varanka – filmowiec, ożeniony z **Danutą Pietrzak** (1950), mieszka pod Wrocławiem.



Rodzina Varanków. Piotr u góry, Danusia z jasnymi włosami, w środku

Ich dzieci: **Krystyna** (1975), **Paweł** (1976), **Maria** (1980) oraz **Ewa** (1981). Paweł ożenił się w 2002 roku z **Agnieszka Kałuża** (1976). Mają synów: **Kacpra** (2001) i **Wojtka** (2004). Maria wyszła za mąż w 2007 roku za **Tomasza Trawalskiego** (1975).

Najmłodszy syn Józefa Varanki – **Wojciech** (1949) jest doktorem nauk i pracuje w firmie Otsuka Pharmaceuticals. Ożenił się z **Teresą Zajączkiewicz** (1952), lekarką. Mieszkają w Kansas City (USA). Mają troje dzieci: **Sofię** (1977), **Marcina** (1979) i **Barbarę** (1986). Sofia wyszła za mąż za **Jonathana Hudson** (1977), mają syna **Canona** (2002).

O lwowskim domu **Varanków** piszę szerzej w swoich przedwojennych wspomnieniach.



Rodzina Wojtka i Teresy Varanków, Kansas City

Aniela Zaleska (1881-1953)

Nauczycielka szkół ludowych, moja matka chrzestna, zamężna z **Leonem Poradowskim** (1882-1947), bezdzietni. Leon Poradowski – wujcio Loncio, o którym piszę w dalszej części wspomnień, był rodzonym bratem Marty, żony stryja Józefa. Było to zatem podwójne pokrewieństwo. Po II wojnie światowej repatriowali się do Chełmna na Pomorzu, do krewnych Leona. Tam zmarli.

Mieczysław Zaleski (1883-1954) i jego rodzina

Kupiec, ożeniony z **Kazimierą Swibą** (1895-1984). Ich syn **Stanisław Zaleski** (1923-1991) po ukończeniu Akademii Rolniczej na Wydziale Weterynarii we Wrocławiu, pracował naukowo w Gdyni, Lublinie, Olsztynie, Szczecinie, od 1979 roku ponownie we Wrocławiu, gdzie zmarł. Był profesorem i jedną kadencję rektorem Akademii Rolniczej w Szczecinie. Ożeniony z **Danutą Strońską**, koleżanką ze Lwowa, rozwiódł się i ożenił z **Zofią Danutą Tara-**

nowską (1925). Mieli syna **Grzegorza Zaleskiego** (1958). Stanisław był bardzo aktywnym badaczem w swojej dziedzinie, między innymi opracował i opatentował utylizację i przetwarzanie krwi bydłowej z uboju jako dodatek do paszy, co miało spore znaczenie ekonomiczne w skali przemysłowej. Po śmierci Stanisława jego żona i syn przenieśli się do Warszawy.

Eugeniusz Zaleski (1885-1942) i jego rodzina

Adwokat, doktor praw, ożeniony z **Jadwigą Umańską** (1889-1971). Mieli dzieci: **Tadeusza** (1916-1981), ożenionego z **Jadwigą Kisielewicz** (1922-2008), wspomnianego we wstępie **Eugeniusza Zaleskiego** (1918-2010), **Jadwigę** (1923-2003), urzędniczkę banku, po mężu **Kowal**, oraz **Ewę** (1930) dr hab. chemii, emerytowaną pracownik naukową Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Tadeusz i **Jadwiga** mieli córkę **Małgorzatę** (1949), mgr geologii, pracownik naukową KGHM Wrocław.

Eugeniusz i **Isabelle Cotton** mieli syna **Stefana Zaleskiego** (1957), obecnie profesora fizyki teoretycznej przepływów wielofazowych, pracującego w Uniwersytecie Piotra i Marii Curie, Paryż 6, ożenionego z panią **Durand**. Ich córki to **Isabelle Philippe** (1990) i **Laetitia** (1994).

Jadwiga i **Zbigniew Kowalowie** mają córki: **Marię** (1950), urzędniczkę bankową, i **Zofię** (1958), zamężną z Dennisem **Liszcz**, którzy mają syna **Lennona**; mieszkają w USA.

Stryj Eugeniusz był najzdolniejszym z rodzeństwa Zaleskich, z tego powodu pracodawca dziadka, leśniczego Stanisława Zaleskiego, hrabia Potocki, chcąc pomóc wielodzietnej rodzinie swojego szanowanego pracownika, ufundował dla Eugeniusza stypendium. To umożliwiło mu studia i ukończenie wiedeńskiego uniwersytetu z tytułem doktora praw. W okresie międzywojennym był znanym i szanowanym adwokatem lwowskim. Prowadził sprawy właścicieli wielkich majątków ziemskich, co uczyniło go człowiekiem bardzo majątnym. W rodzinie Zaleskich stryj Eugeniusz odgrywał bardzo ważną rolę. Trzej bracia, poza Józefem – urzędnikiem i Eugeniuszem – adwokatem, pracowali w handlu. Byli biznesmenami. W dalszej części opisuję ich największe przedsięwzięcie: Małopolski Zak-

ład Odzieży, który prowadzili: Mieczysław, Ryszard i Zygmunt. Eugeniusz był uczestnikiem i *spiritus movens* tej spółki. Prowadził jej sprawy prawne. Jednocześnie, o czym się głośno nie mówiło w rodzinie, dość znacznie wspierał braci finansowo w trudnych sytuacjach, które w okresie międzywojennym zdarzały się, by wspomnieć chociażby wielki kryzys gospodarczy (1929-1932).

Przysłowie: *Kochajmy się jak bracia, a liczymy się jak Żydzi* – nie funkcjonowało u braci Zaleskich, ku dezaprobowaniu ich żon, które musiały dbać o swoje budżety domowe. Trzeba jednak z naciskiem podkreślić, że rodzeństwo Zaleskich bardzo się kochało i było nadzwyczaj solidarne; w każdej chwili skłonne do wzajemnej pomocy. Przykładem tego niech będzie wydarzenie z wakacji w Kosowie.

Jak co roku, rodzina Zaleskich spędzała wakacje w Kosowie. W środku lata (1929) stryj Eugeniusz zachorował na zapalenie wyrostka robaczkowego. W tamtym czasie moi rodzice mieli już dramatyczne doświadczenie z moją najstarszą siostrą Basią, która zmarła przedwcześnie w wyniku powikłań po zapaleniu wyrostka robaczkowego.

Po wezwaniu lekarza do stryja, okazało się, że natychmiast chorożo trzeba operować, ale nie można go przewozić w tamtych warunkach przez huculskie bezdroża. Doświadczony niedawną utratą córki, mój ojciec wezwał taksówką ze Lwowa najlepszego wówczas chirurga – profesora Stanisława Progulskiego⁸ z asystentem i operacyjnym sprzętem.

W chłopskiej chacie – przy kilkudziesięciu lampach naftowych (elektryczności wówczas tam nie było), zebranych we wsi – profesor przeprowadził, pod narkozą, pomyślnie operację. Po niej zaangażowano asystenta jako opiekuna, który nie odstępował chorego aż do jego pełnego wyzdrowienia. Dzięki energii mojego ojca, jego ukochany brat przeżył. Oczywiście, zupełnie nie liczone się z kosztami tego przedsięwzięcia.

Po wybuchu II wojny światowej stryj Eugeniusz załamał się psychicznie po upadku niepodległości i utracie wielu osób z rodziny, którą tak kochał i tak się o nią troszczył. Podupał na zdrowiu i zmarł w 1942 roku.

⁸ Stanisław Michał Progulski (urodzony 17 września 1874 w Nowym Sączu, zamordowany z 3 na 4 lipca 1941 we Lwowie), polski lekarz pediatra, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie; pl.wikipedia.org.

Maria Zaleska (1886-1956) i jej rodzina

Nazywana w rodzinie ciocią Manią. Nauczycielka szkół ludowych, zamężna z **Otto Schutera**, matematykiem, profesorem gimnazjalnym. Był bardzo wymagającym i surowym nauczycielem. Mieli dwie córki: **Marię** (1910-1970) i **Krystynę** (1924-1996).

Maria wyszła za mąż przed wojną za **Tadeusza Pisarskiego**, który po wojnie nie wrócił do kraju z niewoli niemieckiej, wobec czego **Maria** połączyła się z **Romanem Raczko**. Urodziła im się córka **Romana** (1953), zamężna od 1979 roku z **Andrzejem Zawojkim**. **Krystyna** wyszła za **Alfreda Młostka**, nie mając z nim potomstwa.

Ryszard Zaleski (1889-1940), mój ojciec



Ryszard Zaleski, zdjęcie maturalne, 1908

O ojcu i historii poznania się rodziców piszę obszernie dalej.

Zygmunt Zaleski (1890-1943), najmłodszy brat ojca

Brat ojca, najmłodszy z rodzeństwa Zaleskich. Ożeniony z **Zofią Kryształowicz**. Ukończył Wydział Prawa, na którym obronił pracę doktorską, używał więc tytułu doktora praw. Mieli dwóch

synów – **Janusza Zaleskiego** (1932) i **Jerzego Zaleskiego** (1935). Pracował w handlu i był współnikiem mojego ojca, prowadząc sklep bławatny przy ulicy Halickiej we Lwowie, około 200 m od Ratusza, który potem przejął mój ojciec. Z nieznanymi mi przyczyn, mieliśmy z nimi dość luźny kontakt, dlatego trudno mi jest odtworzyć ich powojenne losy. Podczas wojny, wskutek jakiejś wpadki konspiracyjnej, stryj Zygmunt znalazł się w obozie koncentracyjnym, w Oświęcimiu, gdzie zmarł w 1943 roku.

Rodzina mamy – Lubińscy, Chomętowscy

Nie mam szczegółowych danych, dotyczących bardzo rozróżnionej rodziny mojej matki. Jej rodzina, poza rodzeństwem, osiedliła się głównie w Warszawie. Mieszkając we Lwowie, mieliśmy przed wojną ograniczony z nimi kontakt. O licznych ciotkach i wujkach mamy dużo od niej słyszałem, jednak ich nie znałem. Pamiętam jedynie tych, którzy nas odwiedzali, zatrzymując się w naszym mieszkaniu przy różnych okazjach przyjazdu do Lwowa. Ponadto, nasza późniejsza wywózka przerwała wszelkie kontakty rodzinne na okres wojenny. Wszystkie szczegółowe dane zginęły w momencie niszczenia wspomnianego pamiętnika mamy.

Mama wywodzi się z rodu Chomętowskich. Jego genealogia zapisana jest w dokumencie, którego mam jedną kopię. Całego dokumentu nie będę tu zamieszczał, jest bowiem obszerny i trudno byłoby go zreprodukować w małej książce. Podaję niżej fragment.

Lubińscy – moi dziadkowie

Alfons Lubiński, herbu Wieniawa (1863-1901), dziadek

Rodzina dziadka była związana z przemysłem cukrowniczym. Dziadek zajmował się zaopatrywaniem przemysłu w wyposażenie do przechowywania i pakowania cukru.

Dziadek – Alfons Lubiński zmarł 16 maja 1901 roku, gdy po wyścigu rowerowym z kolegami przeziębził się i dostał zapalenia płuc. Bez antybiotyków skończyło się to tragicznie. Miał 38 lat.



Z opowiadań mamy wiem, że babcia, borykając się z trudnymi warunkami finansowymi, kontynuowała biznes męża. Po jego śmierci przez pewien czas zarządzała rodzinną firmą. Dziadek osierocił piątkę dzieci: Jana, Teklę, Irenkę, Wiktorię oraz najmłodszą Stasię, która wówczas miała zaledwie rok i 3 miesiące, a najstarszy Jan – osiem lat.

Herb Wieniawa

Rodowód domu Chomętowskich

*Godło Jednorożec, zawołania Bończa, przymiana Socha, na radomskich Chomętowach: Illikowym, czyli Soszynym, Puszczenie, Szczygłowie i Zawiszynym albo Wielkim, który to ród epoki piastowskiej sięgający, wśród tysiąclecia krzewienia się w Polsce, w każdym pokoleniu czynem stwierdzał zasadę: **Wszystko bezinteresownie oddać Bogu i Ojczyźnie.***

Z autentyków, archiwów, kwerend urzędowych i herbarzy spisał ks. Konstanty Czaykowski

Dokument ten zawiera setki nazwisk ludzi, należących do rodu Chomętowskich, na przestrzeni 11 wieków, sprawujących przeróżne funkcje i piastujących różne stanowiska. Są wśród nich wojewodowie, starostowie, dworzanie, duchowni, wojskowi, sędziowie, kasztelani, uczestnicy wielkich bitew (np. pod Korsuniem, Zbarazem), obszarnicy oraz wielu innych.

Oczywiście, posiadany przeze mnie dokument zawiera, być może, błędy, ale wiadomo, że tego typu rodowody były opracowywane w XIX i XX wieku zazwyczaj przez osoby duchowne, mające łatwiejszy dostęp do kościelnych ksiąg metrykalnych, na zlecenie członków arystokratycznych rodów, aby zaspokoić ich

snobistyczne ambicje, a ich autorzy nie musieli dbać o przesadną ścisłość trudno weryfikowalnych danych. W Katedrze Wawelskiej



znajduje się tablica-epitafium z czarnego i różowego marmuru, z portretem Stanisława Chomętowskiego, jednego z członków tego rodu **herbu Lis** (jak obok), ufundowana w 1786 roku. Stanisław Chomętowski był m.in. wojewodą mazowieckim (1706-1728), także marszałkiem nadwornym (1725-1726), hetmanem polnym (1726-1728). Zmarł w 1728 roku. To tylko jeden przykład członka rodu Chomętowskich, piastującego znaczne stanowiska w Polsce, w minionych wiekach.

Jadwiga hr. Chomętowska (1866-1926), babcia

Rodzina Chomętowskich, jak wiele ówczesnych polskich rodów, miała – prawdopodobnie od XVII wieku – wielkie posiadłości ziemskie na Ukrainie. Należała do nich miejscowość Kodyma w powiecie Bałta, obecnie w obwodzie odesskim (około 200 km na północny zachód od Odessy, 10 km od Dniestru, granicznej rzeki z Mołdawią). Dawniej były to peryferie Rzeczypospolitej. Rzeczka Kodyma była bowiem w XVII wieku granicą z Turcją. Obecnie (od 1979) Kodyma jest miastem z ludnością 9,5 tys. mieszkańców; do XIX wieku była pańszczyźnianą wsią, należącą do Chomętowskich, gdzie w dworku mieszkała i gospodarowała moja prababka ze swoją córką, po mężu Fink-Finowicką.

Dziadkowie mieszkali w Warszawie. Tam urodziła się moja mama jako najmłodsza z pięciorga rodzeństwa. Najstarszym z rodzeństwa mojej mamy był **Jan Lubiński** (1893-1945), bardzo uzdolniony muzycznie. Grał na fortepianie i na skrzypcach, prowadził chóry. I wojna światowa pokrzyżowała jego plany życiowe. Wybuchła, gdy miał prawie dwadzieścia lat.



Siostry Lubińskie, od prawej: Tekla, Irenka, Wiktoria i Stasia, 1911

Oczywiście, liczna i niebiedna rodzina pomagała mojej babci jak mogła. Jedną z form pomocy było umożliwianie wyjazdów letnich do posiadłości rodzinnych. Tak też stało się w czerwcu 1914 roku. Babcia Chomętowska zaprosiła swoje warszawskie wnuki, półsieroty, na wakacje do Kodymy. Niestety, na te wakacje mogła jechać tylko trójka: Janek, Tekla i Stasia. Dwie siostry: Irena i Wiktoria musiały zostać z matką w Warszawie, ponieważ były chore na gruźlicę. Wymagały intensywnego leczenia, m.in. częstych wyjazdów do sanatorium w Otwocku.

28 lipca 1914 roku wybuchła w Europie – największy od czasu wojen napoleońskich – konflikt zbrojny, przeradzając się w wojnę światową.

Front wojny rozdzielił rodzinę warszawską: moją babcię z nieuleczalnie chorymi córkami od pozostałych dzieci, które już do końca wojny musiały pozostać na Ukrainie. Przeżyły najazd Armii Austriackiej, rewolucję bolszewicką i wszystkie dramatyczne koleje losu, wspólnie z tym krajem i jego ludnością, ocierając się wielokrotnie o śmierć. Niestety, mimo troskliwej opieki medycznej i kuracji w Otwocku nie udało się – przy wówczas dostępnych metodach leczniczych – uratować pozostających w Warszawie sióstr. W 1915 roku umiera Irenka, a po roku Wiktoria (1916).



Babcia Jadwiga Lubińska, z domu hr. Chomętowska, z dziećmi: Teklą, Jankiem i Stasią, 1923 (tytuł rodowy hr. – który dzisiaj wydaje się śmieszny – był wówczas powszechnie używany przed nazwiskiem)

Po wojnie i powrocie do kraju z Ukrainy, Jan Lubiński ożenił się z Julią Kraśnicką (1902-1972). Pracował koło Kalisza w Cukrowni Zbiersk na stanowisku kasjera. Mieli troje dzieci: Wojciecha Lubińskiego (1921-2009), o którym piszę w dalszej części książki; Małgorzatę (1925) i Macieja Lubińskiego (1933-1992).

Małgorzata Lubińska wychodzi za mąż (1948) za Tadeusza Rutskiego (1918-1997). Mają córkę Annę (1950) i syna Karola Rutskiego (1951). Anna wychodzi za mąż za Janusza Zabokrzyckiego. Rodzi się im córka Maja (1985). Karol żeni się z Zuzanną Niżałowską (1957). Mają dzieci: Karolinę (1984), Pawła Rutskiego (1988) i Mateusza Rutskiego (1990). Maciej Lubiński żeni się z Marią Mądalską – mają syna Pawła (1961-1996).

Najstarszą z sióstr była Tekla (1895-1982). Wychodzi za mąż za Henryka Jankowskiego. Mają synów: Edwarda Jankowskiego (1920-1943), Jerzego Jankowskiego (1923) i Bohdana Jankowskiego (1925-2001). Następną siostrą jest Irenka (1897-1915), kolejną Wiktoria (1898-1916).

Najmłodsza z rodzeństwa Lubińskich – Stanisława (1900-1994) to moja mama.



Anna, Janusz i Maja Zabokrzyccy

Stanisława Lubińska (1900-1994), mama



Stanisława Lubińska, Warszawa 1920

Poznanie się rodziców

W roku 1914 mój ojciec kończy studia prawnicze we Lwowie. Ma wówczas 25 lat. Jest jednak austriackim poddanym i obejmuje go mobilizacja. Kończy Wojskową Akademię Intendentury w Wiedniu i w 1915 roku zostaje skierowany na front wschodni w stopniu oberleutnanta.

Z zapamiętanych opowieści ojca, potwierdzających informacje literaturowe i filmowe⁹, wiadomo, że Armia Austro-Węgier składała się z żołnierzy wielu narodowości: Austriacy, Czesi, Słowacy, Chorwaci, Słoweńcy, Serbowie, Polacy, Ukraińcy i inni, wchodzących w skład austro-węgierskiego imperium, co było przyczyną jej wielkiej słabości bojowej, a potem rozpadu.



Ryszard Zaleski jako leutnant CK Armii Austriackiej, 1915

Po porażkach jesienią 1914 roku, na froncie karpackim, zwłaszcza pod Gorlicami, na wiosnę 1915 roku Armia Austro-Węgier przystępuje do kontrofensywy przeciw Armii Rosyjskiej. Odnosi spore sukcesy, przemieszczając się szybko we wschodniej Galicji, przekraczając Dniestr i zajmując spore tereny Ukrainy. W tym właśnie czasie oddział dowodzony przez ojca wchodzi do akcji.

Przypadek zrządza, że ojciec zajmuje miasteczko Bałta, na wschód od rzeki Dniestr, i pobliską Kodymę, gdzie spotyka rodzinę Chomętowskich oraz inne tam osiadłe polskie rodziny arystokratyczne (np. Potoccy). W ich domach poznaje gości (urlopowiczów) z Warszawy, a wśród nich moją przyszłą mamę, wówczas szesnastoletnią piękną dziewczynę, w której z miejsca się zakochuje.

Oczywiście, napotyka na poważne trudności, ponieważ ciocia Fink-Finowicka, która przy tej przymusowej izolacji od warszawskiego domu sprawuje nad mamą opiekę, jest przeciwna temu

⁹ Na przykład ostatnio film *CK Dezerterzy*.

związkowi. Traktuje go w razie dojścia do mariażu jako megalians: jakiś tam oficerok okupacyjnej armii, do tego bezherbowy, uderza w konkury do młodej arystokratki.



Ryszard Zaleski (z czarną opaską na rękawie) ze swoim oddziałem, Ukraina 1916

Rewolucja bolszewicka

Tymczasem, nadchodzą wielkie wydarzenia, które odmieniają dotychczasowy bieg wojny. Wybucho rewolucja w Armii Austro-Węgier, a jednocześnie rewolucja bolszewicka (październikowa).

Ojciec znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie, ponieważ dość często zdarzały się przypadki zabójstwa oficerów przez szeregowych żołnierzy. Ponieważ był dla swoich podwładnych bardzo ludzki, zawsze ich chronił i szanował, ludzie ci, rewanzując się, jak opowiadał, postanowili zapewnić mu bezpieczeństwo, broniąc go przed ewentualną agresją ze strony szeregowych żołnierzy innych oddziałów.

W latach 1917-1918 Ukraina staje się terenem walki różnych ugrupowań i organizacji politycznych. Są wśród nich Biali, związa-

ni z upadającą carską władzą, Zieloni: reprezentanci chłopstwa, Czerwoni: bolszewicy, związani z komunistami, Petlurowcy: ukraińscy nacjonaści, walczący pod wodzą atamana Semena Petlury o niepodległość Ukrainy, oraz inne organizacje polityczne.

Sytuacja jest niebezpieczna, zwłaszcza dla przedstawicieli arystokracji: burżujów, których komuniści w ramach rewolucji zamierzają po prostu wymordować jako klasę polityczną.

Ojciec był człowiekiem bardzo energicznym, zaradnym i zdecydowanym. Bez chwili wahania, wobec panującej degrengolady na Ukrainie, rewolucji i rozpadu Armii Austriackiej, zrzuci mundur (przecież zaborcy), przebiera się za cywila i wtapia w ludność miejscową. Jego jedynym celem staje się ochrona oraz wyprowadzenie narzeczonej i jej rodziny z pożogi wojennej i śmiertelnego niebezpieczeństwa, które nad nimi zawisło.

Wstępuje do oddziału bolszewickiego, podając się za robotnika, aby rozpoznać ich plany, by ewentualnie ostrzec i ochronić narzeczoną z jej rodziną przed atakami komunistów, którzy napadają na szlacheckie dwory. Gdy natrafia na Petlurowców, występuje jako były oficer austriacki, wiedząc, że są oni zwolennikami CK Austrii. Te wydarzenia i gehenna powrotu przez objętą rewolucją Ukrainę nigdzie nie została opisana, a mogłaby być pasjonującą lekturą. Oczywiście, nie obyło się bez ofiar.

Pewnego dnia, w 1917 roku, gdy wiadomo było, że nadchodzi oddział bolszewicki, wszyscy domownicy dworku w Kodymie schronili się w piwnicy. Komuniści sądzili, że kryje się tam oddział przeciwnika, oddali – przechodząc koło drzwi – strzały z pistoletu. Jedna z kul przebiła drewniane drzwi. Uderzyła w element okucia, rozbijając się na kawałki. Niektóre z nich raniły moją przyszłą, wówczas siedemnastoletnią mamę w oba kolana. Trysnęła krew i wszyscy obecni towarzysze niedoli zamarli. Okazało się jednak, że krew pochodziła z uszkodzonego naczynia krwionośnego, lecz kość, na szczęście, była nienaruszona. W przeciwnym razie groziło jej kalectwo.

Pamiętam, jak w domu mama, nie bez dumy, opowiadała, że najbardziej przeżył to jej zakochany narzeczony i gdy jeszcze nie było wiadomo, że kość jest zdrowa, powiedział: *Siasieńko, nawet, gdybym miał Cię całe życie wozić na wózku inwalidzkim, to się z Tobą ożenię!* Na szczęście, zostały tylko blizny na kolanach.

Przez wiele miesięcy narażeni byli na ataki wciąż zmieniających się uzbrojonych grup, należących do różnych opcji politycznych. Często dniami i nocami kryli się w zarośniętych pokrzywami zakamarkach wielkiego dworskiego parku w Kodymie.

Pod opieką ojca, mama, jej siostra Tekla z narzeczonym Henrykiem Jankowskim i bratem Jankiem, po wielu przygodach i trudnościach, których szczegółów nie znam, dotarli do Polski (1918).



Rodzeństwo Lubińskich, od lewej: Tekla, Janek i Stasia

Bolszewicy nie zapomnieli jednak o babci Finowickiej, współwłaścicielce wielkich obszarów ziemskich, czyli obszarniczce (ros. *помещик*). Aresztowali ją. Nie wytrzymała bardzo ciężkich warunków więziennych, po pewnym czasie zmarła.

Ojciec natychmiast wstąpił w stopniu kapitana do powstającej Armii Polskiej i uczestniczył w tzw. wojnie bolszewickiej w walkach o Wilno, pod dowództwem generała Żeligowskiego. Później opowiadał, jak nędznie była wyposażona armia bolszewicka, a jeńcy, wzięci do niewoli, po tym, co zobaczyli po polskiej stronie, błagali, aby ich nie kierować z powrotem do Armii Czerwonej w ramach wymiany jeńców.

Czytając w ostatnim dwudziestoleciu o zniknięciu, rzekomej zagładzie przez Polaków, dziesiątków tysięcy żołnierzy sowieckich,

którzy nie powrócili w 1920 roku z polskiej niewoli do domu, jako reakcja obecnych władz rosyjskich na Zbrodnię Katyńską, zrozumiałem, co się z nimi stało. Niektórzy Rosjanie, po uzyskaniu azylu w Polsce, starali się tutaj zostać, np. zawierając związki małżeńskie z Polkami, lub znajdując pracę (niełatwe). Inni kierowali się dalej, na Zachód.

W sumie: przy zliczaniu żołnierzy Armii Czerwonej, uwzględniając zabitych, rannych i wziętych do niewoli, powstaje znaczący deficyt, bardzo trudny do uzasadnienia wobec nieznajomości dalszych losów tysięcy rozproszonych po świecie czerwonooarmistów.

Stąd ta sugestia, że miała miejsce likwidacja jeńców Armii Czerwonej przez Polaków po wojnie 1920 roku, co dzisiejsze władze rosyjskie często cynicznie wykorzystują.

Ślub rodziców (1920)

Rodzice wzięli ślub 17 stycznia 1920 roku w majątku dalekich krewnych Żeromskich, w Dębach Szlacheckich, niedaleko miasta Koło. Przed ołtarzem miejscowego kościółka stanęły dwie pary: Ryszard Zaleski ze Stanisławą Lubińską i Henryk Jankowski z Teklą Lubińską, siostrą mamy.



Zdjęcie ślubne rodziców, 1920



Rodzice, 1920

Natychmiast po ceremonii ślubnej kapitan Ryszard Zaleski wyjechał na front, aby uczestniczyć w ostatniej fazie, na szczęście zwycięskiej dla Polaków, wojny polsko-bolszewickiej.



Stanisława i Ryszard Zalescy, Wilno 1920

Barbara Zaleska (1922-1925), siostra



Basia Zaleska z mamą, 1925

Basia była pierwszym dzieckiem rodziców. Zmarła po nierozpoznaniu przez znanego lwowskiego chirurga zapalenia ślepej кишки. Niewłaściwie leczone, przekształciło się w ropne zapalenie otrzewnej, wówczas – bez antybiotyków – śmiertelne. Mimo że nie znaliśmy najstarszej siostry, pozostała ona na zawsze w naszej pamięci. Dużo o Basi słyszeliśmy w opowieściach rodziców, zwłaszcza o jej inteligentnych i logicznych – jak na jej wiek – wypowiedziach.

Zofia Zaleska (1926-2006), siostra



Zofia Zaleska, 1946

Zosi poświęcam osobny rozdział.

Adam Zaleski (1928), autor tej książki

Byłem oczekiwanym synem. Przed wojną ukończyłem 5 klas szkoły powszechnej. O okresie wojennym piszę osobno. Po powrocie z zesłania w 1946 roku zdaję maturę typu matematyczno-fizyczną w Liceum im. Tadeusza Kościuszki, w Kaliszu.

W 1947 roku rozpoczynam studia na Oddziale Chemii Technicznej Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, które kończę w 1952 roku, uzyskawszy dyplom magistra inżyniera chemika.



Rodzeństwo Zaleskich – Zosia i Adam, Lwów 1930

Przed zakończeniem studiów, w 1951 roku podejmuję pracę na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej pod kierunkiem profesora Witolda Romera (1900-1967) w Katedrze Fotochemii, na etacie naukowo-dydaktycznym jako młodszy asystent. Po doktoracie zostaję docentem (1972), następnie profesorem nadzwyczajnym (1989), później profesorem zwyczajnym (1995) Politechniki Wrocławskiej. Przez cały okres swojej pracy zajmuję się naukowo chemią i technologią układów światłoczułych.



Herb Lwowa z okresu II RP



Klub Sportowy Pogoń Lwów

II. Moje lwowskie wspomnienia

Urodziłem się we Lwowie w 1928 roku, w 10 lat po zakończeniu I wojny światowej i 11 lat przed II wojną światową. Rodzina mojego ojca pochodziła z okolic Lwowa i tam od zamierzchłych czasów mieszkała, jak już wspomniałem na początku książki.

Dziadek zmarł w 1905 roku, a babcia wraz z dorosłymi już wówczas dziećmi przeniosła się do Lwowa i tam zmarła (1919).

Rodzeństwo ojca wraz ze swoimi rodzinami mieszkało podczas mojego dzieciństwa we Lwowie. Mieliśmy więc kogo odwiedzać i spotykać się z okazji świąt i innych uroczystości.

Moi rodzice w 1921 roku zamieszkali we Lwowie, gdy ojciec po wojnie polsko-bolszewickiej wystąpił z wojska. W tym czasie, w odrodzonej Polsce, stosowano zasadę zatrzymywania w wojsku wyszkolonych przez zaborców oficerów, aby stworzyć rdzeń kadry powstającej Armii Polskiej. Ojciec odmówił stanowczo. Uważał bowiem, iż spełnił swój patriotyczny obowiązek, biorąc udział w walkach o wolną Polskę. Miał już zupełnie inne plany życiowe, związane z biznesem.

Małopolski Zakład Odzieży

Pierwszym powojennym biznesowym przedsięwzięciem handlowym mojego ojca i jego braci na dużą skalę był Małopolski Zakład Odzieży (MZO). Zanim jednak to się stało, należy wyjaśnić, że pierwotnie MZO powstał bezpośrednio po I wojnie światowej jako państwowy wielobranżowy zakład handlowy, zajmujący spory czteropiętrowy budynek w centrum miasta, około 200 m od gmachu Teatru Wielkiego, przy ulicy Szpitalnej 1.

Wobec złych wyników handlowych pod zarządem państwowym, w połowie lat 20. XX wieku rząd sprzedał całą tę nieruchomości, wraz ze wszystkimi urządzeniami i zapasami, nowo zorganizowanej spółce z ograniczoną odpowiedzialnością, w skład której weszli bracia Zalescy: Eugeniusz, Mieczysław, Ryszard i Zygmunt (z wyjątkiem Józefa) oraz Roman Żurowski, Kazimierz Przybysławski i baron Horoch¹⁰.

Łącznie, suma udziałów przekraczała 300 000 zł, a dyrektorami zostali wybrani Mieczysław, Ryszard i Zygmunt Zalescy. Pieczęć nad całością sprawował stryj Eugeniusz, prowadzący również jej sprawy prawne. Był to przykład wielkiej solidarności w rodzinie Zaleskich, o czym piszę również w dalszej części wspomnień. Nowa spółka miała główny cel: wybitnie rozszerzyć obroty poprzez sprzedaż wszelkich artykułów na dogodne raty, szczególnie urzędnikom i pracownikom o stałych zarobkach.

MZO prosperował pomyślnie przez kilka lat. Była to placówka bardzo wygodna dla przeciętnie zarabiających ludzi. Klienci zgłaszali się do sklepu; tam w magazynie o dużym wyborze różnych tkanin decydowali się na odpowiadający im materiał. Następnie przechodzili do działu krawieckiego, gdzie zdejmowano z nich miarę i realizowano zamówienie, udzielając klientowi kredytu.

Funkcjonowało to przez kilka lat, ale nadchodził światowy kryzys lat 1929-1932. Kredytobiorcy zadłużali się w MZO, zakład popadł w trudności finansowe, gdyż dłużnicy MZO chronicznie odmawiali dobrowolnej zapłaty swoich długów. Mimo maksymalnego wysiłku prawnego i finansowego ze strony stryja Eugeniusza nie udało się utrzymać placówki. Ogłoszono więc upadłość spółki w 1932 lub 1933 roku i na drodze licytacji nieruchomości wróciła do swojego dawnego właściciela, czyli do Skarbu Państwa. Było to już w zasięgu mojej pamięci, ponieważ przypominam sobie, jak z mamą chodziłem do istniejącego jeszcze MZO.

Pamiętam wielkie hale tej instytucji. Zapamiętałem także sale sądowe, dokąd mama zabierała mnie 4-letniego chłopca, będąc uczestnikiem jakiegoś kolejnego procesu o zwrot długów klientów MZO. Za czasów sowieckich w budynku MZO znajdował się Uniwersalny Dom Towarowy (Centralnyj Uniwermag).

¹⁰ Zdzisław Horoch, <http://genealogia.grocholski.pl/gd>.



*Uniwersalny Dom Towarowy. W latach 20. i na pocz. 30. XX wieku
Małopolski Zakład Odzieży, Lwów, fot. Adam Zaleski*

Po rozpadzie Zakładu Odzieżowego bracia Zalescy podjęli próbę prowadzenia interesów na własną rękę. Stryj Mieczysław otworzył sklep w bardzo dobrym punkcie miasta, na Placu Mariackim, naprzeciwko pomnika Adama Mickiewicza. Ostatnio (2009), przebudowano ten dom, ze zmianą przebiegu jezdni i chodników w sąsiedztwie. Nie można nawet wskazać tego miejsca, gdzie był sklep.

Stryj Zygmunt otworzył sklep również w bardzo dobrym handlowo miejscu, przy ulicy Halickiej 8, róg ulicy Boimów, około 100 metrów od Rynku. Mój ojciec zdobył dla siebie lokal przy bocznej uliczce Sobieskiego 10, koło Placu Halickiego. Wszystkie sklepy były w branży bławatnej. Mimo dobrej pozycji sklepu, stryjowi Zygmuntowi interes nie prosperował pomyślnie i po paru latach mój ojciec odkupił od stryja sklep przy ulicy Halickiej, a jego zatrudnił jako kierownika.

Ponieważ w drugiej połowie lat 30. prosperity w handlu nieźle się kształtowało, ojciec otworzył drugi sklep przy Placu Bilczewskiego, w pobliżu Dworca Głównego PKP. Zatrudnił na stanowisku kierownika, swojego szwagra-emeryta wuja Varankę, którego bardzo szanował i miał do niego absolutne zaufanie. Tak więc handel klanu Zaleskich prosperował we Lwowie całkiem nieźle! Sytuacja ta trwała do wybuchu kolejnej wojny.

Wczesne dzieciństwo – wakacje letnie

Sięgając pamięcią wstecz, każdy człowiek stara się ustalić różne momenty swojego życia i ich czas, kiedy ważne zdarzenia zostały zarejestrowane jako pierwsze na trwałe w jego świadomości.

We wspomnieniach z najmłodszych lat jawi mi się nie miejski, gdzie stałe mieszkiałem, ale huculski dom. Przed nim zielona łączka, zawsze przy pięknej pogodzie, a na tej łączce siedzę na deseczce położonej na poręczach leżaka i udaję, że kieruję samochodem. Są to wspomnienia z wakacji w Kosowie, na Huculszczyźnie, w 1931 roku.

Zatem, moje pierwsze, zarejestrowane w pamięci wydarzenia związane są z wakacjami, z wyjazdem z miasta, z latem, górami i przyrodą.



Rodzina w górach. Stoją na skraju po lewej stronie: Gienio, po prawej: Tadzio; siedzą w środku: wujcio Loncio, po jego lewej stronie ciocia Aniela, stryj Eugeniusz i ciocia Paulina, 1934

Jak wspominałem, letnie wakacje były okresami z mojego dzieciństwa, które najmocniej wryły mi się w pamięć. Co roku na lipiec i sierpień wyjeżdżało się do którejś z miejscowości, położonej naj-

częściej w górach, w paśmie Karpat, najbliżej – około 100 km za Stryjem i Drohobyczem, w Gorgany lub dalej, do 200 km od Lwowa, za Stanisławów, w pasmo Czarnohory.

Najlepiej zapamiętałem, co jest zrozumiałe, ostatnie trzy kolejne wakacje przed wojną (1937-1939), gdy mieszkaliśmy w tej samej huculskiej chacie, w dolinie rzeki Prut, we wsi Lubiźnia, koło miasteczka Delatyn.

Najczęściej wynajmowało się na lato cały dom, a gospodarze przenosili się na ten dwumiesięczny okres do stodoły lub obory. W tych stronach przed wojną panowało wielkie ubóstwo i utrzymanie się z gospodarstwa na nieźyznej górskiej ziemi było bardzo trudne przy relatywnie bardzo niskich wówczas cenach żywności. Wynajęcie domu miastowym letnikom dawało szansę miejscowym gospodarzom na przeżycie w pozostałej części roku.



Odwiedziny Jurka i Edzia Jankowskich, Lubiźnia 1938

Ponieważ nasza lwowska rodzina była bardzo skonsolidowana, w jednej wiosce wynajmowało się kilka domów, w których mieszkały moje ciocie i wujkowie z rodzinami. Kwitło więc rodzinne i towarzyskie życie, odbywały się wspólne wycieczki w góry i wieczorne spotkania.

Mając zaledwie 7-9 lat zacząłem interesować się turystyką. Będąc na wakacjach we wspomnianej Lubiźni, kupowałem sobie, za wiedzą rodziców, bilet kolejowy do jednej ze znanych w dolinie Prutu miejscowości letniskowych i kuracyjnych, takich jak Woro-

chta, Jaremcze, Mikuliczyn, Tatarów czy inne, które zwiedzałem, mając dużą satysfakcję, że jestem samodzielnym turystą. Od najmłodszych lat zawsze miałem turystyczne zapędy, które jeszcze nasiliły się w dorosłym wieku.



Rodzina. Od lewej wujcio Loncio, ciocia Aniela, ciocia Mania, stryj Eugeniusz, jego żona Jadwiga, Gienio, Marysia, Jadzia, w środku stoi Ewa, Lwów 1937

Atrakcją tych letnich pobytów były ogniska licealnej młodzieży, odbywającej letnie ćwiczenia wojskowe, organizowane przez okoliczne obozy harcerskie lub obozy Przystosobienia Wojskowego (PW). Na ogniska młodzież zapraszała letników, przedstawiając różne dowcipne scenki, pieśni i skecze. Czasem chodziliśmy na te imprezy do oddalonego nawet o kilka kilometrów obozu, wracając już głęboką nocą.

Wyprawa na Zachód, lato 1935

Jak wynika z moich opisów, rodzice wybierali zwykle na miejsce wakacji leżące blisko Lwowa – Karpaty. Koleje przed wojną by-

ły stosunkowo drogie, więc skrócenie drogi miało spore znaczenie ekonomiczne. Stąd tylko zamożniejsi wybierali wyjazdy nad polskie morze, kilkakrotnie dalej położone od Lwowa niż Karpaty.

Ojciec, będąc biznesmenem, boleśnie odczuł wielki kryzys lat 1929-1932. Dopiero w połowie lat trzydziestych powoli zaczął poprawiać naszą sytuację materialną.

Miałem, jak wspomniałem, we Lwowie całą rodzinę ze strony ojca. Latem 1935 roku rodzice zaplanowali wyprawę zapoznawczą do rodziny mamy, mieszkającej w Kaliszu i okolicy, czyli na zachodzie kraju. Wujostwo Jankowscy mieszkali w Kaliszu. Wujek Henio, szwagier mamy, piastował wysokie stanowisko we władzach powiatowych. Ponadto, wzmacniał swoją sytuację materialną, prowadząc przedstawicielstwo Towarzystwa Ubezpieczeń *Prudential*. Dało mu to możliwość wybudowania w mieście, przy ulicy Asnyka 31, dwupiętrowej willi z ogrodem.

Czas letnich wakacji 1935 roku postanowiono spędzić w miejscowości Stobno – 12 km na północ od Kalisza, w dworku otoczonym sadem, należącym do państwa Dybków, którzy oddali nam do dyspozycji cały dom, a sami wyjechali. Z domu państwa Dybków widać było oddalony o 2 km kościół w Chełmcach. Stał na wzgórzu dominującym w okolicy i wyższym od reszty sąsiedniego terenu o kilkadziesiąt metrów. Ten kościół wyglądał bardzo groźnie, ale i zjawiskowo podczas burzy, kiedy widać było wałące w niego błyskawice-pioruny. Z perspektywy 7-letniego dziecka kościółek na górze w Chełmcach zawsze był miejscem bajkowym, zwłaszcza że ani razu tam nie byłem.

Do rzeki Proсна, szerokiej w tym miejscu na kilka, może kilkanaście metrów, niegroźnej i niegłębokiej, wówczas bardzo czystej, trzeba było przejść przez pola 2-3 km, aby w upały ochłodzić się w wodzie i odpocząć. Przy gorszej pogodzie pływało się po niegłębokim pobliskim stawie w prawdziwej balii.

Państwo Dybkowie mieli gospodarstwo, a dookoła wielkie sady owocowe. Aby czerpać z nich dochód, wynajmowali je na lato Żydom z miasta, którzy mieszkali w tych sadach, w prymitywnie zbudowanej chatce, pilnowali owoców oraz zajmowali się przez całe lato pielęgnowaniem i konserwacją tego drzewostanu. Zbierali plony i sprzedawali w mieście, płacąc zapewne jakiś podatek właścicielowi. Piszę o nich dlatego, że stanowili pewien folklor tych

okolic: inne zwyczaje, ubiór, język jidysz i specyficzna polszczyzna z charakterystycznymi naleciałościami i melodią¹¹. Pamiętam, że mieli małego, bardzo rozszczękanego pieska imieniem Ciapciusz.

Trzeba dodać, że w miastach odsetek ludności żydowskiej, pod zaborem rosyjskim i austriackim, był dosyć znaczny, nierzadko 50-procentowy, spadał drastycznie na terenach byłego zaboru niemieckiego, za niedaleką od Kalisza dawną granicą niemiecko-rosyjską. Kalisz był bowiem miastem granicznym tych dwóch zaborów, co jest między innymi opisane w powieści Marii Dąbrowskiej *Noce i dnie*, w której autorka nadała mu nazwę Kaliniec.

Towarzyszące nam przez cały okres przedwojenny żydowski folklor i zwyczaje są bardzo pięknie pokazane w musicalu *Skrzypek na dachu* (ang. *Fiddler on the Roof*), z tekstem Sheldona Harnicka i librettem Josepha Steina.

Te wakacje były dla mnie sporym przeżyciem. Po pierwsze, wiązały się z poznaniem nowych stron, nowych starszych krewnych, którzy nauczyli mnie jeździć na rowerze, byli pełni różnych pomysłów i młodzieńczego humoru. Dużo czasu spędzaliśmy na zabawach. Atrakcyjna była zabawa rycia korytarzy w ogromnym stogu siana. Różnica wieku była znaczna. Miałem 7 lat, kuzyn Bohdan – 10, jego brat Jurek – 12, drugi brat Edek – 15. Moją 9-letnią siostrę Zosię, jedyną dziewczynę w tym towarzystwie, bardzo adorowali, nagradzając rymowanym powitaniem: *Zofija, co pączki rozwija!*

Wujek Henryk, pracujący w urzędzie powiatowym, człowiek o dużych zdolnościach organizacyjnych, był znany w powiecie. Po paru latach wygrał konkurs na prezydenta podłódzkiego miasta Zgierza i stanowisko to piastował do wybuchu wojny. Miał możliwości załatwienia transportu i zaproszeń, dzięki czemu mogliśmy zwiedzić unikatowy wówczas ośrodek młodzieżowy w miejscowości Lisków, około 25 km na północny wschód od Kalisza.

Lisków był eksperymentalnym wielkim sierocińcem spółdzielczym, głównie dla sierot przywiezionych ze Wschodu po wojnie bolszewickiej, założony w 1900 roku przez ks. prałata Wacława Błazińskiego (1870-1944), prowadzonym przez księży, z finansową pomocą organów państwowych. Młodzi ludzie pod kierunkiem wyspecjalizowanych opiekunów uczyli się rzemiosła i utrzymywali się

¹¹ Nazywano to żydłaceniem; znaliśmy tę wymowę dobrze z Galicji.

ze sprzedaży swoich produktów: plonów ogrodniczych, wyrobów tkackich, stolarskich, obuwniczych, metalowych i innych. Był to wzorcowy ośrodek w kraju.

Byłem pod dużym wrażeniem tego fenomenu wspólnoty spółdzielczej dzieci i młodzieży, którego sława rozchodziła się szeroko w kraju i za granicą. Gdy myślę o tym po latach, oceniam to przedsięwzięcie bardzo wysoko, jako wspaniałą naukę życia i przykład twórczej ludzkiej inicjatywy.



Od lewej: Gosia, Wojtek, Zosia, mama z Maćkiem na ręku, wujek Janek, Adam, ciocia Tunia, Edzio, Zbiersk 1935

W czasie tego wakacyjnego wyjazdu na Zachód, do Kalisza, odwiedziliśmy również drugą część rodziny ze strony mamy, wujka Janka Lubińskiego, o którym wyżej wspomniałem. Był to wspaniały człowiek, o wielkiej wrażliwości i dobroci oraz o zdolnościach muzycznych. Tak się pechowo złożyło, że wtedy gdy powinien był studiować, wybuchła I wojna światowa. Po wojnie musiał pracować, mając już na utrzymaniu własną rodzinę. Mieszkał na małym osiedlu Cukrowni Zbiersk, 22 km na północ od Kalisza. Bardzo aktywnie zajmował się muzyką: prowadzeniem chórów, grą na skrzypcach, organizacją spotkań towarzyskich, bardzo potrzebnych w małych miejscowościach, na prowincji.

Moi kuzyni ze Zbierska to Wojtek, wówczas 14-latek, Małgosia 9-letnia i 2-letni Maciek (poniżej na portrecie). Żony wujka Janka – ciotki Juli wówczas nie poznałem, przebywała w sanatorium. Gdy po wojnie ciocia Julia zaprosiła mnie do Zbierska, chcąc pomóc rozbitkowi wojennemu na starcie pobytu w Polsce, nawiązałem

z nią bardzo przyjacielski kontakt. Była to bowiem osoba bardzo odczytana i o dużej erudycji. Z Wojtkiem spotkałem się podczas wojny, z pozostałymi po jej zakończeniu, o czym dalej piszę.



Maciej Lubiński (1933-1992), portret autorstwa Krystyny Szorskiej, 1994

Bardzo interesująco przebiegły wakacje rodzinne w Zbiersku.

Lwów – miasto dzieciństwa

To, co piszę o Lwowie, jest znikomą częścią tego, co powinno się o nim napisać i na co to wspaniałe miasto zasługuje. Istnieje obszerna literatura o Lwowie, spisana przez lwowiaków, bardzo do niego przywiązanych i go kochających. Wskutek powojennej zmiany granic, większość polskich mieszkańców Lwowa musiało w latach 1945-1946 opuścić swoje miasto, przenosząc się do Polski, ale również rozpraszając się po świecie. Spędziłem w nim najmłodsze, ale i najpiękniejsze lata dzieciństwa, przerwane wojną.

Rodzinne miasto Lwów, znajdujące się przed II wojną światową w granicach Rzeczypospolitej, było niewątpliwie najpiękniejszym miastem przedwojennej Polski (to nie jest szowinizm!).

W Polsce, właściwie tylko Wilno mogło pod tym względem konkurować z nim. Położone na odnogach masywów karpackiego i podolskiego, w kotlinie na wysokości 260 m n.p.m. (np. Wrocław około 100 m n.p.m.), otoczonej wzgórzami, sięgającymi 400 m n.p.m., ma znaczne różnice poziomów w obrębie miasta (około 150 m). Usytuowanie takie sprawia, iż jest sporo stromych ulic oraz piękne stoki narciarskie w miejskich parkach i okolicznych wzgórzach.

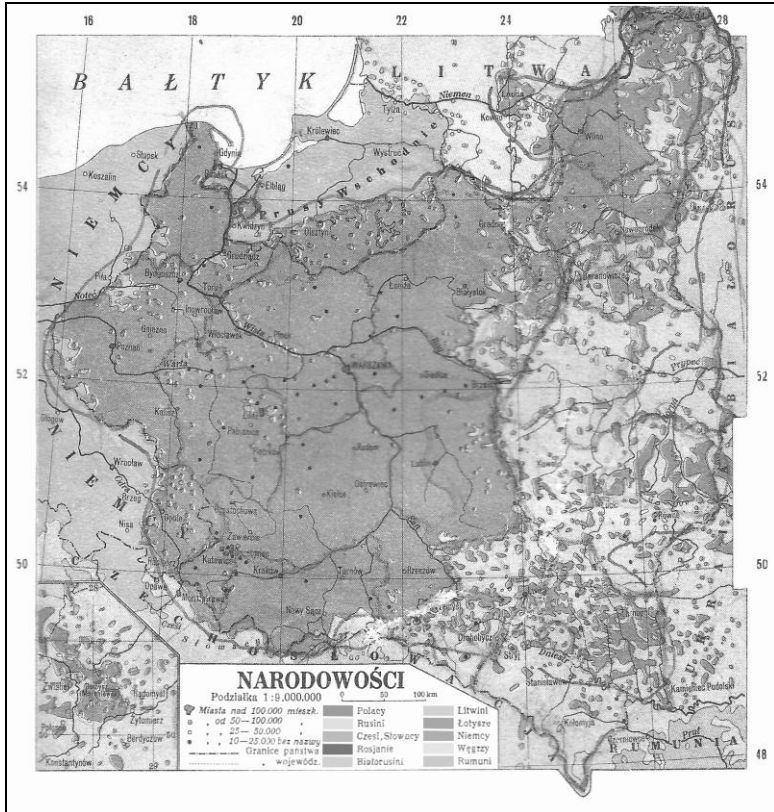
Najwyższym punktem Lwowa jest Wysoki Zamek (413 m n.p.m.), skąd roztacza się wspaniały widok na miasto i okolice. Żadne miasto nie może szczycić się takim położeniem zarówno w przedwojennej, jak i współczesnej Polsce! Brakowało tu jednak rzeki, o czym piszę w innym miejscu.



Adam Zaleski – sentymentalna podróż do krainy dzieciństwa, Wysoki Zamek Lwów 2012, fot. Ola Zaleska – wnuczka

Miasto Lwów założył około 1250 roku książę Daniel I Romanowicz Halicki, król Rusi w latach 1253-1264. Nazwał je imieniem syna – Lwa. W latach 1378-1939, z wyjątkiem 123 lat zaboru austriackiego (1795-1918) Lwów należał do Polski.

Dominująca kultura polska wielu pokoleń odcisnęła na nim swoje wyraźne piętno.



Narodowości. Mapa etnograficzna Polski, 1937. Atlas Polityczny E. Romera, Książnica Atlas, Lwów 1938

Narodowości najliczniej reprezentowane w skali kraju (1938) to: Polacy: 24,2 mln – 69%, Rusini (Ukraińcy): 5,25 mln – 15%, Żydzi: 2,9 mln – 8,5%, Białorusini: 1,65 mln – 4,7%, Niemcy: 0,77 mln – 2,2%. We Lwowie mieszkało około 70% Polaków, przy 316 tysiącach mieszkańców.

Lwów, leżąc na skrzyżowaniu szlaków handlowych, był miastem wielonarodowościowym, w którym zamieszkiwali Polacy, Ormianie, Żydzi, Rusini, Niemcy, Bułgarzy i inni. A zatem, atrakcyjność kulturowa miasta polegała na różnorodności, ale nade wszystko na **nieznanej w przeszłości** – w tym stopniu w krajach zachodnich – **tolerancji religijnej i narodowościowej**.

Miasto należało zatem przez wieki do Polski. Jednak ze względu na znaczny udział w południowo-wschodnich kresach II Rzeczypospolitej ludności ukraińskiej, w XX wieku powstały konflikty etniczne na tych terenach między Polakami i Rusinami. Głównym powodem tego był, moim zdaniem, fakt, że tereny te znajdowały się przez wieki w granicach Polski, a Rusini/Ukraińcy mimo swojej sporej liczebności, zwłaszcza na prowincji, byli w Polsce oficjalnie tylko **mniejszością narodową**, nie mając własnej państwowości.

Rodziło to jednak przez wieki niezadowolenie, wrogość, frustracje i konflikty polsko-ukraińskie, które przekształciły się, szczególnie w latach 1942-1944, w niesłychanie brutalne i krwawe walki. Na przykład, wspomniana na początku książki rodzinna wieś mojego ojca – Hucisko koło Bóbrki, została 12 kwietnia 1944 roku spalona przez oddziały UPA, a cała polska ludność wymordowana w niesłychanie okrutny i brutalny sposób.

Był to skutek wieloletniej, w tym czasie nasilonej, nacjonalistycznej propagandy, nawołującej do tzw. czystki etnicznej, czyli fizycznej likwidacji jednego z narodów, zamieszkujących sporne tereny. Zjawisko to wystąpiło drastycznie w końcu XX wieku również w byłej Jugosławii.

Dom rodzinny – Józia Jaworska

Moje dzieciństwo i mojej o dwa lata starszej siostry Zosi było bardzo szczęśliwe. Matki wówczas nie pracowały, mogły się całkowicie poświęcić organizacji domu i wychowaniu dzieci. Ojciec pracował cały dzień i spotykaliśmy się z nim jedynie przy kolacji. Natomiast w niedzielę był zawsze wspólny uroczysty obiad.

Rodziców otaczaliśmy wielkim szacunkiem i miłością. Nie do pomyślenia było niegrzeczne odezwanie się do kogokolwiek w domu, zarówno do rodziców, jak i do służącej. **Ojciec wpajał nam**

od dziecka oraz bezwzględnie egzekwował życzliwość i szacunek dla drugiego człowieka i dla jego pracy. Przez całe życie, zwłaszcza w późniejszej pracy, szczególnie jako przełożony, starałem się tę zasadę skrupulatnie przestrzegać.

Zamożniejsze domy, m.in. nasz, najczęściej zatrudniały służące i nianie, ponieważ było bardzo wiele dziewcząt na prowincji, dla których służba w miejskich domach była awansem społecznym. Była jedynym sposobem umożliwiającym przeniesienie się do miasta, naukę czytania i pisanie, późniejsze dobre wyjście za mąż, założenie swojego domu i ułożenie sobie dalszej przyszłości.

Dziewczyny te były traktowane jak członkinie rodzin. Były na ogół szanowane i bardzo oddane swoim pracodawcom, którym zawdzięczały całą swoją dalszą karierę życiową. Na przykład, nasza wierna służąca Józia Jaworska, która zaczęła u nas pracować przed moim urodzeniem, pochodząca z wiejskiej polskiej rodziny, ze wsi Bukaczowce koło Chodorowa – bardzo nas kochała, czego dowody otrzymywaliśmy w życiu codziennym.

Najbardziej dobitnym dowodem wierności i oddania Józii było jej zachowanie się podczas II wojny światowej, po naszym aresztowaniu przez NKWD w kwietniu 1940 roku, co opisuję w dalszej części wspomnień.

Muzyka w naszym domu

Nasz dom, podobnie jak inne w tym czasie, odznaczał się ciszą, trudną dzisiaj do zrozumienia przy obecnych ogromnych możliwościach odtwarzania muzyki w różnej formie. Radia z głośnikami i gramofony płytowe pojawiły się dopiero powszechnie przed wojną, w drugiej połowie lat 30. Wcześniej były tylko tzw. radia kryształkowe, których audycje ze stacji lokalnych słuchało się przez słuchawki. Nasze pokolenie pamięta do dziś wieczorne niedzielne audycje lwowskiej *Wesołej fali* z mówionymi lwowskim slangiem, tzw. *bałakiem*, dowcipnymi dialogami Szczepcia (Kazimierz Wajda) i Tońcia (Henryk Vogelfänger).

Mówiąc językiem współczesnym, słuchalność tych audycji była tak duża, że pustoszały w tym czasie ulice miasta. Dom nasz jednak rozbrzmiewał często muzyką graną na pianinie przez bardzo muzy-

kalną mamę, która w dzieciństwie w Warszawie, przed 1914 rokiem, przed jej wojennym pobytem na Ukrainie nauczyła się elementów gry na fortepianie i skrzypcach, a przede wszystkim czytania i bieglej gry z nut. Muzycznie była bardzo utalentowana i miała, może nie absolutny, ale bardzo dobry muzyczny słuch. Te cechy niewątpliwie przekazała w genach mnie, ale z całą pewnością ujawniły się one w całej wyrazistości u jej wnuka, mojego syna Piotra. Wybrał on swoją drogę życiową przez studia muzyczne, aby w końcu zostać profesorem Akademii Muzycznej w klasie gitary klasycznej.

Uczyłem się również przez pewien czas przed wojną gry na pianinie, ale nasza wywózka przerwała moją muzyczną edukację. Podczas zesłania, na pożyczonym akordeonie, grałem zapamiętane melodie. Po powrocie do kraju, nie podjąłem systematycznej nauki gry na pianinie, ale dobierając sobie ze słuchu akompaniament, nauczyłem się grania niezbyt trudnych melodii, co robię do dzisiaj wyłącznie dla siebie.

Mama również pięknie śpiewała i artystycznie gwizdała różne melodie. A więc moja rodzina była, jak wspomniałem, bardzo muzyczna. Oprócz gry na fortepianie, mama grała także na gitarze i skrzypcach. Miała piękny głos. Ojciec nie wykazywał wielkiego talentu muzycznego, kochał jednak muzykę i grał na mandolinie, czego nauczył się, będąc członkiem gimnazjalnej orkiestry.

Natomiast siostra bardzo ładnie śpiewała, a ja grałem na harmonijce ustnej. Ponadto, Zosia miała jeszcze uzdolnienia taneczne. Było to wykorzystywane w jej szkole, gdy przygotowywano program artystyczny na różne uroczystości, podczas których często tańczyła solowe partie. Mama zawsze akompaniowała młodzieży do tych występów. W roku 1935, przy poparciu wojewody lwowskiego Władysława Beliny-Prażmowskiego, którego córka była koleżanką szkolną siostry, urządzono poranne szkolne przedstawienie we lwowskim Teatrze Wielkim, co było ogromnym wydarzeniem w życiu szkoły i w naszej rodzinie. Można powiedzieć (z przyzwyczajeniem oka), że Zosia była solistką Teatru Wielkiego we Lwowie. Te rodzinne umiejętności artystyczne bardzo się przydawały podczas wakacyjnych wieczornych spotkań, a także w okresie Bożego Narodzenia, gdy często wieczorami śpiewało się kolędy. Niestety, obecnie tradycja ta jest w zaniku!

Atrakcje miejskie

A więc, nasze szczęśliwe dzieciństwo we Lwowie spędzaliśmy w domu z siostrą w towarzystwie niani lub mamy. Chodziliśmy na spacer do parku Stryjskiego¹², dokąd mieliśmy 15 minut drogi.

Zimy we Lwowie były znacznie surowsze niż we Wrocławiu. Ponieważ, jak wspominałem, były w parku dość strome stoki, można było, nie wyjeżdżając poza miasto lub w góry, pojeździć na sankach i na nartach prawie codziennie, gdy przez kilka zimowych miesięcy utrzymywała się pokrywa śnieżna.

Dzięki mroźnym dniom podczas zimy były również naturalne ślizgawki, na które już od dzieciństwa z siostrą uczęszczaliśmy. Były blisko – na terenie Cytadeli, odległej około kilometra od domu. Klimat lwowski był bowiem bardziej kontynentalny niż wrocławski i zdrowszy. Surowsze zimy i cieplejsze, pogodne lata. Jak wspominałem, wysokość miasta nad poziomem morza wynosiła 300-400 m.

Dzięki położeniu geograficznemu Lwowa na tzw. podziale wód, przez miasto przechodziła granica zlewisk wód do Morza Bałtyckiego i Czarnego. Może dlatego miasto miało tylko niewielką rzeczkę Pełtew, kierującą swe wody do Bugu, a potem do Wisły, a więc do Bałtyku. Nie można jednak twierdzić, że Lwów leży nad rzeką, ponieważ Pełtew płynie przez miasto w swoim górnym biegu, gdzie jest jeszcze dużym strumykiem i w końcu XIX wieku została zamurowana, stając się na terenie miasta podziemnym kanałem. Dopiero na peryferiach wypływa na powierzchnię. Potoki z południowej części miasta kierują swe wody w stronę Dniestru, a więc do Morza Czarnego.

¹² Przed wojną Park im. Jana Kilińskiego. Park Stryjski to jeden z największych parków we Lwowie: powierzchnia 56 ha. Powstał w latach 1876-1877 według projektu inspektora ogrodów miejskich Arnolda Röhringa.

Wizyty u wujostwa Varanków

Bardzo lubiłem niedzielne wyprawy całą rodziną na drugi koniec miasta do cioci Heli Varankowej, starszej, ukochanej siostry ojca, żony mojego ojca chrzestnego, zwanego wujkiem Varanką. Mieli oni kiedyś czworo dzieci, z których aż troje zmarło wskutek epidemii gruźlicy podczas I wojny światowej. Ich jedyny syn – Józef był już adwokatem i mieszkał osobno z żoną, a więc oni mieszkali sami. Ich kamienica na końcu ulicy Potockiego, jak pamiętam, stała w ciekawym miejscu. Zbudowana na stromym stoku, co we Lwowie występowało dość często, wskutek czego wchodziło się do bramy z ulicy, schodziło na dół, jakby do piwnicy, a po wejściu do mieszkania okazywało się, że ich okna po drugiej stronie domu są na wysokości pierwszego piętra, co było bardzo zaskakujące.

Przychodziliśmy do wujostwa na uroczyste obiady. Lubiłem zabawy z piękną i mądrą suką rasy spaniel o hiszpańskim imieniu Ines. Spacerowaliśmy z nią po pobliskich wzgórzach, położonych już na peryferiach miasta. Wujek Varanka miał również wspaniałą hodowlę kanarków. Ich śpiew był urzekający i wujek postanowił jednego nam podarować. Nazwaliśmy go Wicus i bardzo go pokochaliśmy. Śpiewał przepięknie i tego śpiewu można było długo słuchać. Okazało się jednak już na drugi dzień, że Wicus zaczyna swoje trele natychmiast po wschodzie słońca, a więc w lecie już około czwartej nad ranem, stawiając na nogi cały nasz dom i sąsiadów. Trzeba było przykrywać klatkę światłoszczelną tkaniną, można było wówczas regulować i ograniczać czas jego koncertów.

Wujostwo Varankowie byli wówczas emerytowanymi nauczycielami szkół ludowych. Po I wojnie światowej zasobna wówczas rodzina Zaleskich kupiła pod Lwowem majątek ziemski. Służył jako gospodarstwo zaopatrujące rodzinę w mieście w produkty rolne, wszyscy bowiem mieszkali we Lwowie.

Majątek nazwano *Józefówka* na pamiątkę babci Józefy. Wujostwo Varankowie podjęli się prowadzenia tego gospodarstwa. Opiekowali się nim w latach 20. i chyba na początku lat 30. Gdy Małopolski Zakład Odzieży zbankrutował w okresie kryzysu, *Józefówkę* sprzedano.

Po wojnie, w latach 70. ubiegłego stulecia, gdy zezwolono na wycieczki do Lwowa, o czym przez 30 lat marzyłem (trzeba było

wykupić vouchery), wybrałem się na ulicę Potockiego (za czasów sowieckich była to ulica Puszkina), aby zobaczyć dobrze znany dom wujostwa. Okazało się, że była to już dzielnica wojskowa (trwała jeszcze tzw. zimna wojna). Czułem, że jestem obserwowany, więc się szybko oddaliłem.

W latach 90. XX wieku, po upadku ZSRR, ponownie zwiedziłem tę dzielnicę. Piękne łąki, widoczne z balkonu wujostwa Varanów zostały zabudowane koszmarną sowiecką architekturą. Niestety, całe piękno tej okolicy zniknęło.

Właśnie z tej wizyty przypominam sobie śmieszne i ciekawe zdarzenie. Jechaliśmy tramwajem z córką mojego stryjecznego brata Tadeusza – Małgosią, ponieważ chciałem jej pokazać ich dom przedwojenny przy ulicy Isakowicza. Na marginesie powiem, że wielokrotnie w latach 90. i później jeździłem do Lwowa z dziećmi i krewnymi jako przewodnik po miejscach związanych z rodziną Zaleskich i innych, mając je jako lwowianin bardzo dobrze zakodowane w pamięci.

Tak więc, jadąc w tramwaju, w stronę przedwojennej ulicy Potockiego, zapytałem po ukraińsku współpasażera, gdzie mamy wysiąść. Ten odpowiedział, że ta ulica nazywa się teraz Puszkina. Wówczas jakiś inny pasażer włączył się do rozmowy, poprawiając, że to było za czasów sowieckich, a ostatnio nazwę jej zmieniono na ulicę generała Czuprynki.

Generał Taras Czuprynka, to pseudonim Romana Szuchewycza, byłego dowódcy UPA¹³. W tym momencie jakiś donośny głos z tyłu tramwaju wykrzyknął: *Kim był Czuprynka? Potocki – to był ktoś!* Inny bronił nazwy Puszkina; rozgorzała dyskusja wśród pasażerów. Umknęliśmy z tramwaju. Trzeba wyjaśnić, że za czasów sowieckich (1945-1989) był we Lwowie i we wszystkich miastach należących przed wojną do Polski, a po wojnie wcielonych do ZSRR, nakaz zmian nazw polskich na rosyjskie.

Gdy powstała niezależna Ukraina, nazwy rosyjskie były zmieniane na ukraińskie.

¹³ UPA – Ukraińska Powstańcza Armia. Prezydent Juszczenko wydał dekret o pośmiertnym uhonorowaniu Szuchewycza w 2007 roku tytułem Bohatera Ukrainy. Doniecki Okręgowy Sąd Administracyjny uchylił dekret o nadaniu Szuchewyczowi tego tytułu w kwietniu 2010 roku.

Polacy – Ukraińcy

Problem stosunków polsko-ukraińskich już krótko omówiłem. Nie będę się w tych wspomnieniach zajmował szczegółowo historią polskości ziem wschodnich II Rzeczypospolitej, o czym już wspomniałem wyżej. Są to sprawy bardzo skomplikowane i delikatne, wymagające obszernej, szczegółowej analizy naukowej, wykraczające poza zakres osobistych wspomnień, zwłaszcza że nie jestem historykiem.

Wobec rosnącego nacjonalizmu ukraińskiego, po zdobyciu niepodległości w 1989 roku, obserwuje się wielki kult byłego dowódcy UPA i coraz liczniej pojawiają się jego pomniki.

Ukraińcy, w dążeniu do pełnej niepodległości, której nie mieli nigdy w przeszłości, są na tym punkcie bardzo wrażliwi. Obecnie (2013) wykazują jednak mniejszą awersję do Polaków niż do Rosjan. Jeżdżąc od około 30 lat na Ukrainę, obserwuję zanik, a ściślej: poważne osłabienie nienawiści, może raczej niechęci do Polaków i wyraźne, często spotykane gesty sympatii. Przypisuję to biegowi czasu, wymieraniu pokolenia ludzi związanych z UPA i OUN¹⁴, głównie zmianie mentalności młodego pokolenia Ukraińców we współczesnej Europie, poglądów na stosunki polsko-ukraińskie oraz dążenie do integracji ze światem zachodnim.

Dowodem na to, że nastąpiły poważne przewartościowania w interpretacji historii Lwowa przez ówczesne władze ukraińskie, jest wydany w 2001 roku ilustrowany przewodnik *Lwów*¹⁵ po tym mieście. W przewodniku unika się przymiotników – polski, ukraiński, ale rzetelnie zestawione są wydarzenia dotyczące historii i współczesności Lwowa. Na przykład, Śluby króla Jana Kazimierza – złożone 1 kwietnia 1656 roku w katedrze lwowskiej – są opisane, aczkolwiek bez komentarzy i szczegółów historycznych, czego dotyczyły i królem jakiego państwa był Jan Kazimierz. Przypominam, że był to bardzo ważny akt historyczny w czasie potopu szwedzkiego, dotyczący m.in. polepszenia doli ludu oraz czci Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej.

¹⁴ Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów.

¹⁵ *Lwów*, ilustrowany przewodnik, Wydawnictwo *Centrum Europy*, Lwów, 2001. Wydawnictwo *Via Nova*, Wrocław.

Natomiast w jednostronicowej *Historii Lwowa*, przygotowanej w języku angielskim do prospektu na *Mundial 2012*, powiedziano między innymi, że: *Przez wieki Lwów był podbijany i podlegał Rzeczypospolitej. O Polakach nie pisze się w tej historii w ogóle, ale – moim zdaniem – dość elegancko i taktownie prospekt kończy się tekstem: Unikatowość miasta, która jest uznawana przez międzynarodową społeczność, była kreowana przez znanych rzeźbiarzy, artystów i filozofów. Ich pomysły i wizje, tworzone na lwowskich murach, zachowano do dziś. To one kreują ducha opiekuńczego, nadającego miastu czar i piękno przez wieki jego historii (genius loci).*

A więc, wszystko jest ujęte bez nacjonalistycznych akcentów! Trzeba dodać, że secesja w budownictwie bogatego lwowskiego mieszczaństwa jest, moim zdaniem, piękniejsza od secesji innych, znanych mi miast byłego imperium Austro-Węgier: Wiednia, Pragi, Budapesztu i innych.

Szkoła, życie rodzinne

W 1934 roku zacząłem naukę w pierwszej klasie szkoły powszechnej (tak nazywano dzisiejszą podstawówkę), o rok wcześniej, dlatego zawsze byłem najmłodszy w klasie. Nie było wówczas szkół koedukacyjnych, tylko męskie lub żeńskie.

Chodziłem do sześcioklasowej szkoły, która istniała przy liceum pedagogicznym, w którym kształcono nauczycieli szkół powszechnych. Byliśmy zatem jakby poligonem ćwiczebnym dla uczących się na nauczycieli studentów. Lekcje z nami prowadzili zarówno starsi doświadczeni pedagodzy, jak i w ramach swoich ćwiczeń młodzi kandydaci do zawodu nauczycielskiego – licealiści. Dzięki temu byliśmy pod podwójną kontrolą, co miało swoje dobre i złe strony. W sumie jednak poziom nauczania w tej szkole był jednym z lepszych.

Nauka szła mi dość dobrze i nie miałem z nią większych kłopotów. Wbrew powojennym oskarżeniom, że w Polsce, w okresie międzywojennym język ruski był dyskryminowany, już od pierwszej klasy, oprócz języka polskiego, mieliśmy w tym samym wymiarze język ruski. Żyliśmy przecież na Kresach Rzeczypospolitej i jeśli w miastach większość stanowiła ludność polskojęzycz-

na, to na prowincji dominowali Rusini i znajomość tego języka była w tej części przedwojennej Polski bardzo potrzebna.

We Lwowie i w ogóle na Kresach, społeczeństwo było wielonarodowościowe. Przed I wojną światową wszystkie nacje współżyły tam harmonijnie i bezkonfliktowo. Niestety, po I wojnie światowej, w okresie międzywojennym zaostrzyły się antagonizmy narodowościowe, a szczególnie polsko-ruskie, co przerodziło się podczas II wojny światowej w tragiczne wydarzenia z masowym wymordowywaniem ludności polskiej, przeważnie na prowincji.

Wśród dzieci i młodzieży szkolnej nie odczuwaliśmy żadnej wrogości do mniejszości narodowych, chociaż w tym czasie w Polsce, zwłaszcza na Kresach, wśród młodzieży akademickiej dużą aktywność przejawiały organizacje nacjonalistyczne, korporacyjne, zwłaszcza antysemitckie, a więc antagonistyczne w stosunku do mniejszości narodowych, działające pod ksenofobicznym hasłem: *Polska dla Polaków*.

Będąc przed wojną podczas wakacji na Huculszczyźnie, stykaliśmy się z tamtejszą młodzieżą poza domem. Niekiedy słyszeliśmy od nich takie powiedzenia: *...a my budemo Lachiw rizaty...* (a my będziemy rznąć Polaków). Tego dzieci nie mogły wymyślić same, a więc zasłyszały to w ich domach z rozmów dorosłych. Nie zwracaliśmy wówczas na to większej uwagi. Niestety, w czasie II wojny światowej, tragicznie się to potwierdziło w działaniu.

Od samego początku nauki w szkole, sport zajmował bardzo ważne miejsce. Zaraz po lekcjach, gdy na to pozwalała pogoda, graliśmy najczęściej w piłkę nożną lub w dwa ognie. Każdy miał swojego idola wśród znanych piłkarzy i zawsze w grze przybierał jego nazwisko, np. Matias, Kuchar (napastnicy), Albański (bramkarz) itp., a drużyna zawsze chciała mieć nazwę *Pogoń* – nazwę najlepszej lwowskiej drużyny, grającej w I lidze państwowej¹⁶, ostatecznie *Czarni* – mistrza ligi okręgowej.

¹⁶ Lwowski Klub Sportowy *Pogoń* – polski wielosekcyjny klub sportowy we Lwowie, działający w latach 1904-1939 i od 2009. W 20-leciu międzywojennym klub odnosił liczne sukcesy. Związek Polskich Związków Sportowych przyznał *Pogoni* tytuł „Najlepszego i najbardziej zasłużonego klubu sportowego w Polsce” (1938); pl.wikipedia.org/wiki/LKS_Pogoń_Lwów.

Konkurowaliśmy też w dyscyplinach lekkoatletycznych, takich jak bieg na 100 m, skok w dal i wzwyż; rzadziej technicznych, wymagających sprzętu, którego brakowało.

W 1937 roku wstąpiłem do harcerstwa. Drużynowym był jeden z kandydatów z liceum pedagogicznego. Ciekawe były zbiórki w terenie, na których zdobywało się sprawności harcerskie. Dużym przeżyciem było harcerskie przyrzeczenie i otrzymanie pierwszego stopnia – młodzika oraz krzyża harcerskiego. Najpiękniejsze były jednak defilady z okazji świąt państwowych: 3 Maja i 11 Listopada. Drużyna harcerska defilowała w szyku przed główną trybuną, na której stał Wojewoda, Prezydent Miasta i Generalicja. Grała orkiestra wojskowa ułanów na koniach, a nasza lewa noga miała kroczyć w takt uderzenia wojskowego bębna. To były niezwykle wydarzenia, upamiętniające się na długo w życiu 10-latka.

Oprócz wizyt u wujostwa Varanków, ważnymi przeżyciami były okolicznościowe spotkania rodzinne, organizowane u jednego z krewnych, mającego duże mieszkanie. Wobec licznego rodzeństwa ojca, w spotkaniach rodzinnych z okazji świąt Wielkanocy lub Bożego Narodzenia spotykało się 20-30 osób. Były to duże imprezy, a gospodarze mieli obowiązków co niemiara.

Przedwojenne uposażenia i emerytury pozwalały jednak na dostatnie życie i zatrudnianie na stałe służącej, która wykonywała wszystkie prace kuchenne, podając również do stołu. Podczas spotkań rodzinnych, najstarszego stryja Józefa najbardziej denerwował szum i harmider pochodzący z młodzieżowego końca stołu. Wciąż nas bezskutecznie uciszano. Nerwowy stryj niekiedy tego zgiełku nie wytrzymał. Dziękował i pierwszy pod jakimś pretekstem wymykał się z przyjęcia.

Leon Poradowski

Moja chrzestna matka, siostra ojca – ciocia Aniela Poradowska była nauczycielką. Wyszła za mąż za profesora gimnazjalnego Leona Poradowskiego – polonistę i specjalistę od łaciny – kochanego przez całą rodzinę, zwanego wujciem Lonciem. Było to zresztą podwójne pokrewieństwo, ponieważ wujcio był rodzonym bratem cioci Marty, żony stryja Józefa, najstarszego brata ojca.

Aniela i Loncio (na zdjęciach – str. 40 i 42), pobrawszy się już w zaawansowanym wieku, byli bezdzietni, a całą swoją miłość i zaangażowanie przelewali na swoich wychowanków.

Wujek zawsze znajdował czas na udzielanie, oczywiście bezpłatnych, korepetycji z trudnej łaciny i polskiego, przede wszystkim licznej grupie mojego starszego ciotecznego i stryjecznego rodu.

W książce *Z Kleparowa w świat szeroki*, były rektor Uniwersytetu Wrocławskiego: profesor **Alfred Jahn** tak wspomina w 1991 roku Leona Poradowskiego:

Leon Poradowski był jedynym moim profesorem, z którym utrzymywałem stały kontakt po opuszczeniu gimnazjum. Od czasu do czasu odwiedzałem go w domu, promieniał zawsze radością, gdy zjawiał się ukochany uczeń. Było nas zresztą więcej, przeważnie spośród ubogiej młodzieży przedmieść, którym okazał pomoc i serce. Samym swoim wyglądem budził szacunek i sympatię. Przygarbiony staruszek, z siwą, krótko przyciętą brodą, i te duże niebieskie oczy, w których kryło się wszystko, co jest ludzkie i dobre.

Nie przekazał swojej wiedzy w książkach, zawiodły go kiedyś próby literackie. Poprzestał na wychowywaniu cudzych dzieci, tych najbiedniejszych – z przedmieść, z marginesu społecznego, którym poświęcił wszystko: swoje szczęście, swój los. Był nieżyciowy, niezaradny.

*Opowiadał mi kiedyś, że miał zawsze trudności, gdy musiał cokolwiek załatwić w urzędzie, w banku. Wtedy stawał spokojnie i czekał tak długo, aż ktoś do niego podszedł i zapytał, w czym może mu pomóc. Najczęściej był to ktoś z jego uczniów lub byłych uczniów. Nie spotkałem w życiu nikogo, kto by tak mocno wierzył w dobrą naturę człowieka. **Ta wiara wystarczyła, aby czynić dobro, aby zmieniać ludzi, aby czynić ich lepszymi.***

Czy można sobie wyobrazić lepszego pedagoga?

Gdy Leon Poradowski zmarł po wojnie w Chełmnie na Pomorzu, odprowadzały go na cmentarz tysięczne tłumy ludności, wychowankowie, młodzież i ci wszyscy, którzy chociaż raz w życiu zetknęli się z tym nadzwyczaj życzliwym i dobrym człowiekiem.

Anna Sucharda-Sobczyk – Młodsza o...

Mieszkaliśmy we Lwowie blisko centrum miasta przy stromej uliczce, na stokach lwowskiej cytadeli. Cytadela była bardzo rozległa i dominowała nad miastem, a wznoszące się uliczki były często ślepe, bez wyjścia, bo zaczynały się tereny wojskowe, zajmujące spore obszary. Do Rynku od nas było niepełne półtora kilometra. Cytadela¹⁷ powstawały wcześniej, przed dynamicznym rozwojem miasta i dlatego znalazły się wkrótce w jego obrębie.

Z Hanią Suchardówną poznaliśmy się przez pośredniczki, nasze nianie, które wyprowadzały nas na spacer w wózkach po stromych podcytadelskich uliczkach. Mieszkaliśmy bowiem niecałe 200 m od siebie. Państwo Suchardowie na krótkiej ślepej bocznicy ulicy Długosza, my niżej, przy ulicy Jakuba Strzemie.

Najbardziej prawdopodobny scenariusz naszego poznania był następujący: widując się dosyć często na spacerach, nasze nianie nawiązały zapewne rozmowę, pytając, np. o wiek, płeć czy imię dziecka. Różnica wieku między nami była **jeden dzień!** Urodziłem się **31 maja**, a Hania **1 czerwca**. I tak to się zaczęło!

Może ta zbieżność dat urodzenia sprawiła, że kontakty między nami zachowały się we Lwowie nadal, już przez nas samych utrzymywane. Nie były one bardzo częste, ale co jakiś czas spotykaliśmy się w trójkę, z moją o dwa lata starszą siostrą Zosią i czasami dołączał do nas starszy od nas o 8 lat brat Hani Jurek.

Spotkania odbywały się prawie zawsze u państwa Suchardów, którzy mieli większe mieszkanie. Wkrótce mieszkanie przy ulicy Długosza zamienili na ulicę Badenich, blisko Politechniki, w której ojciec Hani był profesorem, następnie prorektorem (1933-1935), a tuż przed wojną rektorem (1938-1939). Bardzo z siostrą cieszyliśmy się, gdy państwo Suchardowie w 1935 roku ponownie zamieszkali blisko nas, przy ulicy Stryjskiej, koło parku.

Z tego mieszkania pamiętam najwięcej naszych spotkań. Tematyka spotkań była bardzo różna. W znacznym stopniu urozmaicał ją Jurek, niezwykle sympatyczny, dowcipny i pomysłowy, naginając się do naszej dziecięcej mentalności. Przede wszystkim było to dla nas miłe i nam imponowało, że w ogóle chciał się z nami zadawać.

¹⁷ Z jęz. włoskiego w odwrotnym porządku słów: *della cita – pod miastem*.

Jurek miał wspaniałe poczucie humoru. Wymyślał na przykład zabawę ściągnięcia go z kanapy, której kurczowo się trzymał. Kana- pa, ciągniona przez nas, wędrowała po całym pokoju, co wywoły- wało naszą ogromną radość. Albo zniżał się do naszego poziomu i całkiem poważnie graliśmy w prawdziwego brydża, w którego grywano w naszych domach. Jurek przepytywał mnie również z ostatnich wyników sportowych i byłem bardzo dumny, gdy mnie chwalił za ich znajomość, sam był bowiem zapalonym kibicem *Po- goni Lwów*.

Wesołą i skora do śmiechu osobą była również mama Hani. Bardzo z moją siostrą lubiliśmy niezwykle miłą, ciepłą i pogodną atmosferę domu państwa Suchardów. Pamiętam, że po obiedzie musieliśmy być cicho, ponieważ ojciec Hani odpoczywał przed wyj- ściem na „drugą zmianę”, gdyż jako uczony pracował często rów- nież po południu.

Nie wiem, jak doszło do tego, że naszą z Hanią tradycją stało się wspólne uczestniczenie w wielkanocnej rezurekcji, w kościele Świętego Mikołaja. Jakoś zawsze w ten dzień umawialiśmy się, aby razem być na tej uroczystości.

Wojna rozdzieliła nas na długie lata, ale gdy wróciłem do kraju z zesłania i postanowiłem studiować chemię na Politechnice Wro- cławskiej, spotkaliśmy się z Hanią ponownie. Okazało się, zupełnie niespodziewanie, że jest moją koleżanką na wydziale, studiującą o rok wyżej. Wyszła za mąż za kolegę z tego samego roku studiów – Lucjana Sobczyka, obecnie profesora i członka Polskiej Akade- mii Nauk.

Po studiach pracowaliśmy z Hanią na tej samej uczelni, a po reformie instytucyjowej w 1968 roku znaleźliśmy się w tym samym Instytucie Chemii Fizycznej i Organicznej, w którym dr inż. Anna Sucharda-Sobczyk przez wiele lat kierowała Centralnym Labora- torium, a ja przez parę lat byłem jego dyrektorem.

I tak nasze losy splatają się, z przerwami, od urodzenia do dziś. Na urodziny ja, jako starszy, dostaję życzenia od Hani pier- wszy, wykorzystuje ona bowiem to, że w tym tylko dniu jest ode mnie młodsza o rok. Przy tych okazjach wymieniamy swoje poglą- dy na temat przemijania i jego wpływu na nasz aktualny stan zdrowia i świadomość.



Anna Sucharda-Sobczyk

Hania jest również wyśmienitą gospodynią i uzdolnioną humanistką-poetką. Jej wykwintne przyjęcia z okazji, np. zakupu nowego instrumentu do Centralnego Laboratorium stały się w Instytucie legendarne.

Rozdział poświęcony Hani zakończy jednym z licznych wierszy, przez nią napisanych, który z życzeniami otrzymałem z okazji mojego 70-lecia.

*Adaśku kochany,
w dniu Twojego święta
przyszłam z uśmiechem Lwowa
i sama uśmiechnięta.*

*Sędziwego nam przyszło
wielce wieku dożyć,
a jeszcze wszak możemy
i wstać, i się położyć,
i zgiąć, i nienajgłupiej
wtrącić to i owo,
choć nie zawsze w tym życiu
było nam różowo.*

*Czyż myśleliśmy kiedyś
tam, na Jakuba Strzemię,
że przyjdzie nam przeżyć wojnę,
która tak zmieni ziemię?*

*Czyż myśleliśmy kiedyś
na Długosza, Badenich,
że się w naszym życiu
tak wszystko odmieni...*

*No i teraz sędziwi
(wnukom się należy)
spiszmy jak było, co było,
bo nikt nie uwierzy.*

*I trzymajmy się, nie dajmy
tej nieludzkiej starości,
żyj Adaśku sto lat,
w zdrowiu i radości!*

Tego samego Hani życzę!

Powyższe przesłanie Hani jest jedną z motywacji napisania tych wspomnień!

Nadchodzi wojna

W 1939 roku nad naszym wspaniałym beztróskim życiem zaczęły gromadzić się chmury! Ojciec bardzo pilnie śledził wydarzenia polityczne na świecie. Codziennie słuchał audycji radiowych i czytał gazety. Martwił się bardzo bieżącą sytuacją polityczną i groźbą wybuchu nowej wojny.

Gdy z jednej strony, na Zachodzie, po opanowaniu rządów przez faszystów, zbroili się Niemcy i Włosi (słynna Oś Berlin – Rzym), z drugiej, na Wschodzie, rosła potęga sowiecka – coraz mniej prawdopodobnym stawało się zachowanie pokoju w Europie.

Szczególnie obawiał się ojciec agresji ze Wschodu, wiedząc jako uczestnik wojny z bolszewikami, że ich celem było zawładnięcie Europą i że **na ich drodze stała w 1920 Armia Polska**. Był prawie pewien, że gdy nadarzy się okazja, zostanie ona przez komunistów wykorzystana. Nawet w ich ówczesnym hymnie sowieckim – *Międzynarodówce* eksponowane było ostrzeżenie:

*Bój to będzie ostatni, krwawy skończy się trud,
gdy związek nasz bratni ogarnie ludzki ród.*

Ojciec twierdził wówczas, że jeśli wojny nie da się uniknąć, to lepiej, aby była teraz, bo w takim przypadku on pójdzie na wojnę i jako stary oficer nie będzie walczył na pierwszej linii frontu, a w razie dostania się do niewoli, będą go chroniły międzynarodowe konwencje o jeńcach wojennych: Haskie z 1899 i 1907 roku oraz Genewska z 1927 roku, zwłaszcza z 1925 roku *O traktowaniu jeńców wojennych podczas wojny*. Gdy wojna wybuchnie za 10 lat, jak rozumował ojciec, to ja jako młody żołnierz zostanę wysłany na pierwszą, najbardziej niebezpieczną linię frontu.

Tymczasem, pojechaliśmy latem w Czarnohorę, do Lubizni na wakacje, w dwukrotnie już odwiedzane miejsce koło Delatyna, w dolinie rzeki Prut. Ojciec zwykle w lipcu pracował i dojeżdżał do nas na sierpień. Gdy po 20 sierpnia sytuacja polityczna zaczęła się gwałtownie zaostrzać, zwłaszcza po ogłoszeniu w gazetach i radiu informacji o zawarciu 23 sierpnia 1939 roku *Paktu Ribbentrop-Mołotow*, wybuch wojny mógł nastąpić lada dzień. Ojciec zarządził wcześniejszy powrót do domu.



Ostatnie wspólne zdjęcie rodziny Zaleskich. Lubieżnia w Czarnohorze, sierpień 1939

II wojna światowa

Ponieważ 1 września 1939 roku przypadał w piątek, rozpoczęcie roku szkolnego przesunięto na 4 września. Natomiast na rano 1 września drużynowy zarządził ćwiczenia terenowe, dlatego wstaliśmy wcześniej i zjawiliśmy się pod Wysokim Zamkiem na zbiórce, mając przed sobą widok leżącego w dole miasta. Około godziny 10. usłyszeliśmy warkot silników lotniczych i słychać było pukanie w powietrzu.

Myśleliśmy, że to ćwiczenia lotnictwa wojskowego. Gdy w południe wróciliśmy do miasta, dowiedzieliśmy się, że był to pierwszy nalot niemieckich samolotów na Lwów, a pukanie to był odgłos dział przeciwlotniczych i ostrzeliwujących siebie w powietrzu lotników. Po ulicach mknęły liczne karetki pogotowia.

Tak rozpoczęła się II wojna światowa, a z jej rozpoczęciem skończyło się nasze bez troskie, szczęśliwe dzieciństwo!

Dalsze wydarzenia były dla nas nastolatków ogromnym, zaskakującym i stresującym przeżyciem. Nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy z tego, że nagle staliśmy się osobami wcześniej dojrzałymi, współodpowiedzialnymi za losy naszych rodzin. Wydarzenia wrześniowe i ich skutki streszczę bardzo skrótowo.

4 września 1939 roku ojciec mój, kapitan rezerwy, zgłosił się na ochotnika do wojska, gdyż mając 50 lat, nie podlegał mobilizacji. Jednak będąc doświadczonym i wyszkolonym oficerem, otrzymywał ze sztabu w okresie międzywojennym co jakiś czas wojskowe zadania teoretyczno-taktyczne do wykonania. Po umundurowaniu dostał przydział do obrony Lwowa i do domu przychodził co kilka dni, aby zmienić bieliznę.

Lwów był codziennie bombardowany. 14 września jedna bomba zniszczyła kamienicę po drugiej strony naszej ulicy, uszkadzając cały front naszego domu. Przed tym jednak, po ogłoszeniu syrenami alarmu lotniczego, zdążyliśmy zejść do piwnicy: naszego schronu. W przeciwnym razie mogliśmy zginąć. Ze zniszczonego domu, podczas wybuchu bomby, cegły leciały dokładnie nad stołem, przy którym przed chwilą przerwaliśmy spożywanie obiadu. W pewnej chwili dom zatrzęsął się, a za moment do piwnicy wdarła się chmura duszącego pyłu ceglanego.

Trudno było zorientować się, czy bomba uderzyła w nasz czy w sąsiedni dom i czy to jest tylko pył ceglany, czy dym z pożaru! Gdy alarm odwołano, przekonaliśmy się, że dom nasz stoi, a kiedy udaliśmy się do naszego mieszkania, zobaczyliśmy jego zupełną ruinę. Okna były wybite z ramami, zniszczone przez lecące z drugiej strony ulicy cegły, trafionej bombą, zniszczonej do fundamentów kamienicy. Jej odłamki lecące ponad stołem, wbiły się w przeciwległą ścianę jadalni, w której przed kilkoma minutami siedzieliśmy przy stole.

Wkrótce wojska niemieckie otoczyły miasto i rozpoczęły artyleryjski ostrzał, bardziej niebezpieczny niż bombardowanie, trwający bez przerwy i bez ostrzeżenia, w przeciwieństwie do nalotów, zapowiadanych przez radio, co umożliwiało zejście do schronu czy piwnicy. W taki tragiczny sposób zginął nasz sąsiad, mieszkający piętro wyżej, który – będąc w mieście i słysząc ostrzał – ukrył się w najbliższej bramie kamienicy. Tam właśnie wpadł artyleryjski pocisk, zabijając wszystkich, którzy się ukrywali.

17 września 1939 roku wojska sowieckie wtargnęły do Polski od Wschodu, zdradziecko, bez wypowiedzenia wojny, zgodnie z Tajnym Porozumieniem z 23 sierpnia 1939 roku, zwanym *Paktem Ribbentrop-Mołotow*.

Walcząca z Niemcami Armia Polska została całkowicie zaskoczona, a rozkaz generała Edwarda Rydza-Śmigłego – Naczelnego Wodza, wydany 17 września 1939 roku, nakazywał niestawianie zbrojnego oporu w celu uniknięcia rozlewu krwi.

Już 22 września wojska sowieckie stanęły pod Lwowem. Dowództwo garnizonu lwowskiego, odpierającego skutecznie dotychczasowe ataki niemieckie na miasto, zdecydowało poddać miasto Sowiecom, z którymi nie byliśmy przecież oficjalnie w stanie wojny. W swoich wojennych pamiętnikach dowódca VI Okręgu Korpusu – generał Władysław Langner napisał, że sztab zdecydował poddać miasto Słowianom, za jakich jakże niesłusznie i bezkrytycznie uznano Armię Czerwoną. Nie miało to jednak większego znaczenia, ponieważ dokładny scenariusz powojennej konfiguracji granicy sowiecko-niemieckiej został ustalony już w *Pakcie Ribbentrop-Mołotow*.

21 września zrozpaczony ojciec przyszedł do domu pożegnać się z nami. Powiedział, że mam opiekować się mamą i siostrą; dbać o nie! **Miałem 11 lat!**

Dlaczego nie został w domu? Twierdził, że dowódca Okręgu Korpusu¹⁸ wydał rozkaz wszystkim oficerom Garnizonu Lwowskiego stawienia się nazajutrz na Placu Bernardyńskim, aby zgodnie z podpisanymi ze sztabem Armii Czerwonej warunkami kapitulacji miasta mogli oni opuścić Lwów w kolumnach marszowych, zachowując białą broń. Za miastem mieli zostać zwolnieni, mogąc udać się „w dowolnym kierunku”.

¹⁸ Władysław Aleksander Langner w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku dowodził obroną Lwowa. Bronił miasta przed siłami niemieckimi dziesięć dni (12-22 września), dysponując ponad 20 batalionami piechoty, 65 armatami polowymi oraz 18 działami przeciwlotniczymi. Ochotniczo w obronie miasta udział brali także studenci, robotnicy i harcerze. 22 września 1939 roku Langner, chcąc uniknąć zniszczenia Lwowa i zagłady mieszkańców, wydał rozkaz złożenia broni i wyjścia z miasta, kapitulując przed Armią Czerwoną. Po podpisaniu dokumentu kapitulacji, miał powiedzieć: *Z Niemcami prowadzimy wojnę. Miasto biło się z nimi przez 10 dni. Oni, Germanie, wrogowie całej Słowiańszczyzny. Wy jesteście Słowianie...*

Ojciec poznał dobrze postępowanie władzy radzieckiej podczas Rewolucji Październikowej na Ukrainie w 1917 roku wiedział więc, że jeśliby się nie stawił, będą go poszukiwać, a jeśli nie odnajdą – aresztują rodzinę. Do tego, oczywiście, nie chciał dopuścić.

Generał Langner rozmawiał w końcu września z członkiem Biura Politycznego Partii – Nikitą Chruszczowem, który obiecał mu bezpieczeństwo wszystkich polskich oficerów Garnizonu Lwowskiego! Wartość tych obietnic była taka, że po opuszczeniu miasta oficerowie zostali otoczeni przez oddziały sowieckiej policji politycznej NKWD, z psami, i pognani piechotą na Wschód.

Złamano wszystkie umowy i międzynarodowe konwencje o jeńcach wojennych, na które tak liczył mój ojciec!

Po paru tygodniach nadeszła karteczka od ojca z obozu jenieckiego w Starobielsku we Wschodniej Ukrainie. Niewola zamiast wolności, śmierć za oficerski honor i patriotyzm – taki los spotkał elitę wojska polskiego.

We Lwowie i na wschodnich terenach Polski, według granicy uzgodnionej przez Związek Sowiecki i hitlerowskie Niemcy wcielano w życie tajne porozumienie. Jak bardzo dyskryminowało ono Polaków, wkrótce tego doświadczyliśmy.

Rozpoczęła się czarna noc okupacji sowieckiej.

Sowiecka okupacja

Wróciliśmy do szkół z jakże innym, obcym nam programem nauczania, przepojonym wrogą propagandą komunistyczną. Przeżyliśmy we Lwowie okrutną mroźną zimę 1939/1940. Na terenach okupowanych przez Związek Sowiecki rozpoczęły się represje, prześladowania i aresztowania. Mówiono o wywożeniu Polaków na Syberię. Czuliśmy się zaszczuci i niepewni ani dnia, ani godziny!

Od ojca nadeszły pierwsze wiadomości z niewoli. Pisał, że znajdują się w obozie jenieckim polskich oficerów w Starobielsku we Wschodniej Ukrainie, nie głodują i są zdrowi. Prosił jedynie o ciepły pas na biodra, bo chorował na nerki. Wiedzieliśmy, że nie może szczegółowo opisywać swoich warunków życia, ponieważ cenzura obozowa zatrzymałaby list z takimi informacjami.

W sumie, do kwietnia 1940 roku dostaliśmy 2-3 karteczki. W jednej było potwierdzenie otrzymanej od nas paczki.

W połowie października 1939 roku zgłosił się do mamy jakiś mężczyzna. Prosił o rozmowę bez świadków. Po chwili wyjął z kieszeni zegarek kieszonkowy ojca, srebrną papierośnicę i obrączkę. Mama przeraziła się, gdyż przedmioty osobiste przynosi się rodzinie w przypadku śmierci ich właściciela. Po chwili wyjaśnił, że byli więzieni, razem z ojcem otwartym wagonem – lorą i przed Tarnopolem, na postoju zaproponował ojcu wspólną ucieczkę, zorientowawszy się, że strażnicy byli niezbyt liczni i czujni. Spotkał się z odmową, gdyż ojciec wciąż wierzył w siłę międzynarodowych konwencji, które go jako oficera chronią, i obawiał się represji w stosunku do rodziny. Przekazał jedynie wymienione przedmioty, które dotarły do mamy, ponieważ temu człowiekowi powiodła się ucieczka. Jego dalszego losu nie znam.

Znajomość wiarołomności i mentalności bolszewików w tym przypadku zgubiła ojca. Wobec świadomości zupełnego rozkładu armii i państwa mógł się ratować, ukryć we Lwowie lub pod miastem na wsi, skąd pochodził.

Tymczasem, we Lwowie nasilał się sowiecki terror. Słyszało się o licznych aresztowaniach. Po raz pierwszy mama nakazała nam ostrożność w wypowiedziach do innych osób, w szkole, w tramwaju, na ulicy.

Było to zetknięcie się z zupełnie nieznanym nam dotychczas i obcym zjawiskiem – możliwym donosicielstwem i niemówieniem prawdy! Na terenach okupowanych przez Sowietów zaczęły dziać się brutalne i bezprawne procesy wywłaszczania całego polskiego kupiectwa.

Nakazano pod groźbą więzienia otwarcie wszystkich sklepów i prowadzenie handlu, co mama również musiała zrobić, odpowiadając za towar w ojca sklepie. Okupant wydrukował ogromne ilości polskich pieniędzy i wyposażył w nie swoje wojsko oraz ich liczne rodziny, sprowadzone ze Związku Sowieckiego. Wykupowano wszystkie towary w bogato zaopatrzonych polskich sklepach, o czym nie śniło się przyjezdnym sowieckim obywatelom.

W tej sytuacji półki sklepowe szybko zaczynały pustoszeć, nie było bowiem nowych dostaw. Cały towar do około grudnia 1939 roku został sprzedany.

Niestety, polskie pieniądze natychmiast zostały oficjalnie, dekretem państwowym unieważnione. Stały się makulaturą! W ten prosty gangsterski sposób wszyscy polscy kupcy i społeczeństwo zostali obrabowani!

Tymczasem, Związek Sowiecki kontynuował swoją politykę zaborczą, inicjując na północy wojnę sowiecko-fińską. W tajnym protokole do *Paktu Ribbentrop-Mołotow* z 23 sierpnia 1939 roku, obok planu aneksji państw nadbałtyckich, było też uznanie za strefę wpływów ZSRR przygranicznych rejonów fińskich na północ od Leningradu, na co Finowie się nie zgodzili. Stalin postanowił wyegzekwować to na drodze wojny. Wojska sowieckie, swoim zwyczajem, bez wypowiedzenia wojny przekroczyły granicę fińską 30 listopada 1939 roku. Wojna toczyła się na wąskim przesmyku karelskim, na północ od Leningradu. Finowie wybudowali tam tzw. *Linie Mannerheima*, nazwa od nazwiska ich głównodowodzącego; linię umocnień betonowych, fortów i zapór, o którą toczyły się zacięte walki w bardzo trudnych warunkach zimowych.

Echa tych walk dochodziły do Lwowa i wszyscy Polacy byli, oczywiście, sercem po stronie Finów, nie tracąc jednocześnie swojego poczucia humoru. Natychmiast zaczęły krążyć dowcipy wysmiewające Sowietów, ponieważ z komunikatów wynikało, że liczebnie ponad 3-krotnie większa ich armia nie może przełamać obrony świetnie zorganizowanych i odważnych Finów. Pyta ktoś znajomego: *Czy słyszałeś, że Nurmi¹⁹ popełnił samobójstwo? Dlaczego? Nie mógł dogonić uciekających czerwonoarmistów!* Studenci lwowscy wyszli na ulicę z hasłem: *Nie oddamy Lwowa Finom!*

Wobec bohaterskiego i świetnie zorganizowanego oporu Finów, Stalin zrezygnował z dalszego prowadzenia wojny i 12 marca 1940 roku zawarto pokój. Finowie oddali część wyludnionego terytorium na północ od Leningradu, ewakuując z niego w głąb kraju całą jego ludność. Ofiary Sowietów w ludziach były około 10-krotnie większe od fińskich. Nie było celu dalszego prowadzenia wojny wobec powstawania planu nowej agresji. O tym jednak wówczas nie wiedzieliśmy, zainteresowani głównie tragicznym losem naszego kraju i rodaków.

¹⁹ Fiński mistrz olimpijski w biegach.

Działanie policyjnego systemu sowieckiego osiągnęło również mamę. Około połowy listopada 1939 roku mama zaczęła znikać wieczorami z domu i wracać bardzo późno z oznakami wielkiego zdenerwowania. Czasem płakała, ale bardzo się z tym kryła, nic nam nie mówiąc. Dopiero po upływie wielu miesięcy, już na zesłaniu, opowiedziała nam tę całą historię. Otóż, ojciec miał przyjaciela Witolda Kleczewskiego, inżyniera serwisu polskiego fiata we Lwowie, który był u nas w domu częstym gościem. Okazało się, że był członkiem tajnego, polskiego kontrwywiadu wojskowego (II Oddział Sztabu Generalnego, zwany dwójką), o czym moi rodzice zupełnie nie wiedzieli. Członkowie służb specjalnych są zawsze śledzeni przez własne służby wywiadowcze.

Na nieszczęście, dokumentacja fotograficzna tych akcji wpadła w 1939 roku w ręce NKWD (tajna sowiecka policja polityczna), a wśród zdjęć były fotografie naszej rodziny, robione bez naszej wiedzy przez agentów podczas naszych kilkuletnich towarzyskich kontaktów z inżynierem Kleczewskim. NKWD zainteresowało się tym wątkiem i wezwało mamę na przesłuchanie.

Mama była kobietą bardzo atrakcyjną, znającą biegle język rosyjski. Enkawudziści mieli dwa cele – po pierwsze dowiedzieć się czegoś o polskim wywiadzie, sądzili, że mają do czynienia z osobą, która była z nim związana, po drugie – wciągnąć ewentualnie mamę do współpracy. Zachowywali się bardzo przyjaźnie i kulturalnie! Dla mamy była to wielka tragedia, ponieważ do takiej roli zupełnie się nie nadawała, a oni sądzili, że robi po prostu uniki, odmawiając współpracy.

Po grzecznych i przyjacielskich rozmowach, przeważnie nocami, stosowali różne próby zastraszania, z groźbą izolacji dzieci włącznie, ale nie stosowali żadnej przemocy fizycznej. Oczywiście, z bezwzględnym nakazem zachowania tajemnicy o tych propozycjach pod groźbą więzienia.

Ciekawe jest to, że wśród enkawudzistów jeden okazał się przyzwoitym człowiekiem, po prostu zlitował się nad mamą. Widząc jej rozterki, fatalny stan psychiczny, zupełną nieprzydatność do celów wywiadowczych, na kolejnym spotkaniu zakomunikował to jej, kończąc nieudany werbunek do służby wywiadowczej. Inna sprawa, że zapewne wiedział, iż wkrótce będziemy aresztowani i wywiezieni.

Okazało się jednak, że po naszym aresztowaniu, NKWD wezwało naszą służącą Józię, proponując jej współpracę i chcąc od niej bezskutecznie wydobyć informacje o naszej rodzinie, których się spodziewali od osoby tak blisko z nami związanej, a przez nas przez tyle lat „ciemnionej i wyzyskiwanej”, o czym byli przekonani. O tym Józia opowiadała nam po naszym powrocie, po wojnie.

Dodam, że Józia była zupełnie głucha na sowiecką politykę kokietowania prostych ludzi i skłócania ich z inteligencją, a raczej z byłymi pracodawcami, w interpretacji komunistów – wyzyskiwaczami. Czuła się pełnoprawnym członkiem rodziny, szanowana i kochana przez nas, była gotowa na każdy akt lojalności i solidarności ze swoimi pracodawcami. Dlatego niczego się od niej nie dowiedzieli i po pewnym czasie przestali ją nękać.

Policja polityczna

Wprowadziłem nazwę policji politycznej NKWD, z którą zetknęliśmy się po raz pierwszy w życiu w 1939 roku. Poświęcam więcej uwagi i wyjaśnień tej instytucji, tak haniebnie zapisanej w historii XX wieku w Polsce, zwłaszcza w naszej rodzinie.

Każdy system totalitarny nie może obejść się bez swojej policji politycznej. Tak było w systemie hitlerowskim, w którym funkcjonowało Gestapo: Geheime Staatspolizai/tajna policja oraz wspierające ją jednostki paramilitarne SS: der Schutzstaffel der NSDAP, powstałe dopiero w 1933 roku. Z chronologii zatem wynika, że to właśnie hitlerowcy przy tworzeniu tych wewnątrzpartyjnych formacji kontrolnych wzorowali się na przykładzie Związku Sowieckiego, a nie odwrotnie.

Sowiecka policja polityczna powstała 17 grudnia 1917 roku, utworzona przez SOWNARKOM – Radę Komisarzy Ludowych, odpowiednik Rady Ministrów, jako Wszechrosyjska Nadzwyczajna Komisja do spraw Walki z Kontrewolucją i Sabotażem nazwana w skrócie CZEKA, a jej funkcjonariusze – czekistami. Na jej czele stanął, niestety, nasz rodak, szlacheckiego pochodzenia, Feliks Dzierżyński. Instytucja ta odznaczała się wyjątkowo zbrodniczą działalnością, brutalnością i okrucieństwem, jak wynika między innymi z dalszego tekstu książki.

W 1922 roku CZEKA została przemianowana na GPU (Gosudarstwiennieje Politiczeskoje Uprawlenije: Państwowy Zarząd Polityczny), w 1923 roku na OGPU (Obiedinionnoje Gosudarstwiennieje Politiczeskoje Uprawlenije: Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny). W 1934 roku zmieniono na NKWD (Narodnyj Kommissariat Wnutriennych Dieł: Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych). Natomiast w 1946 roku, w gruncie rzeczy ten sam wciąż urząd, nazywa się już MWD (Ministerstwo Wnutriennych Dieł/Ministerstwo Spraw Wewnętrznych).

Od roku 1954 do dziś, mimo wielkich zmian polityczno-strukturalnych, formacja odpowiedzialna za bezpieczeństwo wewnętrzne Rosji nazywa się KGB (Komitet Bezpieczeństwa Państwowego/Комитет государственной безопасности). Jej funkcjonariuszy potocznie, chociaż niezupełnie gramatycznie, nazywa się (trochę pogardliwie) *kagebesznikami*.

Opisałem dokładnie tę, można powiedzieć, zbrodniczą instytucję, która przez wiele lat towarzyszyła nam w XX wieku i zapisała się tak negatywnie w naszej historii. W powojennych czasach komunistycznych wywierała istotny wpływ na polskie organa bezpieczeństwa, co skutkowało wieloma procesami politycznymi i często krzywdzącymi wyrokami.

Niestety, obecnie obserwując prowadzone w Rosji procesy i patrząc na oskarżonych więźniów politycznych (nie bandytów), zamkniętych w metalowych klatkach, co jest dla mnie szokujące, ma się wątpliwości odnośnie demokratyzacji sytuacji wewnętrznej kraju naszego wschodniego sąsiada.

Akcje przedwysiedleńcze

W krótkim czasie po upadku Polski – w 1939 roku, po zakończeniu działań wojennych – władze sowieckie rozpoczęły na terytorium okupowanym akcje zmierzające do oczyszczania tych terenów z ludności uznanej za element antysowiecki i kontrrewolucyjny. Istnieje jednak przekonanie, że przy wyborze ludzi przeznaczonych do deportacji kierowano się głównie względami politycznymi i społecznymi, a nie etnicznymi. Planowano deportację grup społecznych związanych z polską przedwojenną państwowo-

ścią, odgrywających istotną rolę ekonomiczną, polityczną lub kulturalną w społeczeństwie, będących kreatorami więzi społecznych i opinii publicznej, stanowiących z tej racji potencjalne zagrożenie dla procesu przemian ustrojowych, przeprowadzanych pod okupacją sowiecką.

W tym procesie **wielką rolę odgrywał terror**, przy pomocy którego starano się zniszczyć jakiegokolwiek przejawy lub tylko potencjalne możliwości oporu, zastraszyć społeczeństwo, rozbić jego istniejące struktury i stworzyć warunki do jego sowietyzacji.

Dodatkowym, ważnym celem deportacji miało być poprawienie stosunku liczby ludności białoruskiej i ukraińskiej do liczby Polaków na okupowanych terenach, ale przede wszystkim zmiana stosunku ich przynależności klasowej.

W tym celu, przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej (22 lipca 1941 roku), odbyły się cztery masowe deportacje ludności polskiej w głąb Związku Sowieckiego.

Przygotowania do deportacji w świetle dokumentów

- 5 grudnia 1939 – uchwała Biura Politycznego partii bolszewickiej i Rady Komisarzy Ludowych ZSRR o wysiedleniu tzw. osadników.
- 29 grudnia 1939 – Rada Komisarzy Ludowych zatwierdza szczegółową instrukcję wykonawczą tej uchwały.
- 7 marca 1940 – zostaje wydana dyrektywa Ławrientija Berii²⁰, dotycząca deportacji na okres 10 lat do Kazachskiej SSR członków rodzin jeńców wojennych i więźniów. Można zabrać do 100 kg bagażu, opuszczone lokale przeznaczają się do zasiedlenia przez władze, sprzedaż mienia zleca się powierzonej osobie, która ma je do 10 dni sprzedać, oddać pieniądze do NKWD, które prześle deportowanemu. Zostaje wydana dyrektywa w sprawie spisów rodzin jeńców przebywających w obozach.
- 13-20 marca 1940 – dyrektywy Berii dla kierownictwa obozów o przygotowywaniu spisów rodzin jeńców.

²⁰ Ławrientij Pawłowicz Beria (1899-1953) radziecki działacz komunistyczny pochodzenia gruzińskiego, szef NKWD, który był w znacznym stopniu odpowiedzialny za wielkie czystki okresu stalinowskiego.

- 20 marca 1940 – dyrektywa Berii dla komisarza ludowego Kazachskiej SSR o deportacji 25 tysięcy rodzin jeńców wojennych do północnych obwodów KSSR. Zawarte były w niej ściśle instrukcje operacyjne, ostrzegające przed wrogą działalnością i ewentualnymi próbami ucieczki zesłanych.
- 6 kwietnia 1940 – cofnięcie niektórym rodzinom jeńców rozkazu wywózki. Jeńcy ci (przeważnie wyżsi oficerowie) prawie wszyscy zostali uratowani w Griazowcu.
- Cofnięcia wywózki były skutkiem interwencji krewnych lub instytucji i dotyczyły rodzin jeńców, którzy zadeklarowali współpracę z NKWD.
- 10 kwietnia 1940 – ostateczne zatwierdzenie rozkazu wywózki i szczegółowe instrukcje wywózkowe: służba sanitarna, żywienia, zagęszczenie w wagonach.

Ponadto, jesienią 1939 lub wczesną wiosną 1940 roku NKWD otrzymało od Gestapo listę polskich oficerów, przebywających w niemieckich oflagach, z adresami ich rodzin, zamieszkujących tereny okupowane przez ZSRR, aby objąć je deportacją z rodzinami jeńców polskich, przebywających w niewoli sowieckiej.

Deportacje – dane liczbowe

Liczba wywiezionych osób była przez wiele lat wielką niewiadomą. Nie było bowiem żadnych wiarygodnych źródeł jej pozyskania. Stosowano w szerokich granicach oceny szacunkowe. Pamiętam, że określano ją w latach 40. XX wieku od około **800 tys.** do **2 mln osób**. Nawet po *Umowie Sikorski-Majski* (lipiec 1941) nie można było dokonać rejestracji rozproszonej ludności polskiej na ogromnych obszarach ZSRR. Czynność ta, rozpoczęta wkrótce po jej zawarciu przez delegatury Ambasady Polskiej w Kujbyszewie (Moskwa była w tym czasie w strefie frontowej), została natychmiast potraktowana jako szpiegowska, a delegatów, niestety, aresztowano. Dopiero po upływie pół wieku, w 1992 roku, pojawiły się dane, zaczerpnięte z ujawnionych ściśle tajnych, archiwów NKWD.

Pomimo nieufności do nich niektórych historyków, wydaje się, że są one wiarygodne. Przekonanie – że dane, pochodzące z publikowanych obecnie, a dawniej utajnianych źródeł sowieckich są fałszywe – jest błędne.

Aparat represji NKWD działał niezwykle precyzyjnie i był kontrolowany skrupulatnie przez własne służby wewnętrzne, dlatego zaczerpnięte stamtąd informacje są wysoce prawdopodobne. Zupełnie inaczej należy traktować dane sowieckiego aparatu propagandowego i prasowe, gdzie informacje – przeznaczone do powszechnej publikacji w massmediach – były świadomie oraz celowo zmieniane i fałszowane.

Weryfikacją tego poglądu może być następujące, uproszczone rozumowanie w odniesieniu np. do **wywózki kwietniowej**, obejmującej rodziny oficerów i policjantów, wymienionych w słynnym piśmie Berii do Stalina z 5 marca 1940 roku. W tym rozkazie wymieniana jest liczba **14700+11000=25700** więźniów.

Licząc przeciętną rodzinę jednego więźnia na 3 osoby – daje to **77 tys.** osób. Biorąc pod uwagę fakt, że nie wszyscy jeńcy mieli rodziny (samotni) i niektóre rodziny, mieszkające w tym czasie na terenie Generalnej Guberni, były poza zasięgiem NKWD, **liczba 61 tys. wywiezionych 13 kwietnia 1940 roku, podana przez NKWD, wydaje się wysoce prawdopodobna.**

Wywózka pierwsza

Na pierwszy ogień poszli osadnicy wojskowi, którzy po zakończeniu wojny z bolszewikami w 1920 roku otrzymali parcele ziemi na Kresach, oraz cywilni koloniści, polscy chłopi, którzy nabyli na Wschodzie ziemię z parcelacji wielkich majątków.

Sądzę, że była ona przeprowadzona dość spontanicznie, chodziło bowiem o usunięcie rodzin osadników i leśników, którzy dostali przydziały osiedlenia się na wschodniej rubieży RP, zaraz po zawarciu Pokoju Ryskiego w marcu 1921 roku. Fragmenty losów tych ludzi pokazane są w filmie A. Wajdy *Syberjada polska*.

10 lutego 1940 roku wywieziono 139-141 tysięcy osadników i leśników do Północnych terenów europejskiej części ZSRR oraz do Północnego Kazachstanu.

Wywózka druga

Zarządzenie z 5 marca 1940 roku

NKWD poleca: *do 15 kwietnia 1940 deportować do rejonów Kazachskiej SRR na okres 10 lat wszystkich członków rodzin byłych oficerów Armii Polskiej, policjantów, strażników więziennych, żandarmów, wywiadowców, byłych obszarników, fabrykantów i wysokich urzędników państwowych byłego polskiego aparatu państwowego, przetrzymywanych w obozach jeńców wojennych i więzieniach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi.*

W celu wykonania zarządzenia, Beria rozkazał niezwłocznie przystąpić do sporządzania według określonego wzoru ścisłej ewidencji członków rodzin wszystkich wyżej wymienionych kategorii jeńców wojennych i osób aresztowanych oraz zakończyć ją do 30 marca 1940 roku. Z przytoczonych dat wynika, jak bardzo stalowski aparat represji spieszył się z wykonaniem swojego zbrodniczego planu likwidacji polskiej kadry wojskowej i policyjnej wraz z usunięciem ich rodzin w odległe obszary Związku Sowieckiego.

13 kwietnia 1940 roku deportowano do Północnego Kazachstanu 61 tys. osób – rodzin polskich jeńców wojennych, przebywających wówczas w obozach Ostaszków, Kozielsk i Starobielsk. W tej wywózce znajdowały się również rodziny polskich oficerów, będących w niewoli niemieckiej, zamieszkujące tereny okupowane przez Związek Sowiecki, znajdujące się w zasięgu władz sowieckich. Spis oficerów został prawdopodobnie przekazany przez **Gestapo** władzom **NKWD** na jednej ze wspólnych konferencji (Zakopane) w końcu 1939 lub na początku 1940 roku, co jest kolejnym dowodem współpracy tych instytucji.

Wywózka trzecia

30 czerwca 1940 roku wywózka 78 tysięcy osób do Środkowej Syberii i Kazachstanu objęła Polaków i Żydów, pochodzących z terenów okupowanych przez Niemców, a znajdujących się w tym czasie po wschodniej stronie granicy niemiecko-sowieckiej w wyniku ewakuacji we wrześniu 1939 roku.

Wywózka czwarta

Koniec czerwca 1941 roku – tuż przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej, wywózka objęła niedokładnie określoną (z powodu chaosu przed wybuchem wojny) liczbę osób, ale przybliżone dane wykazują **34-44 tys. osób**.

W sumie deportowano prawie **400 tysięcy** osób, a ustalenie dokładnej liczby jest bardzo trudne, ponieważ przez pół wieku przed ujawnieniem archiwów NKWD, podawana w literaturze liczba deportowanych opierała się, jak wspomniano wyżej, jedynie na przybliżonych szacunkach. Dane NKWD opierają się na oryginalnych dokumentach z odtajnionych w 1990 roku archiwów.

Nigdy nie będziemy mogli dokładnie określić liczby aresztowanych, deportowanych i zamordowanych w ZSRR obywateli polskich. Nigdy również nie dowiemy się, ilu Polaków nie powróciło po zakończeniu wojny do kraju. Potwierdzają ten pogląd liczne, nieujęte w żadnych statystykach, mogiły Polaków w Związku Sowieckim, o czym piszę w dalszej części tej książki.

Zbliża się 74. rocznica wywózki z 13 kwietnia 1940 roku. Najmłodsze ofiary tej akcji, pamiętające jej przebieg, przekroczyły już 70 lat. Warto wykorzystać ich wspomnienia, aby skonfrontować je z oficjalnymi instrukcjami operacyjnymi, określającymi zalecany ich przebieg, o czym dowiedzieliśmy się niedawno, po ujawnieniu archiwów NKWD. Okazuje się, że instrukcje wykonawcze były zaplanowane szczegółowo, o czym świadczą dokumenty: **Uchwała Biura Politycznego KP(b)** z 25 grudnia 1939; **Instrukcja Wykonawcza** z 29 grudnia 1939; **Rozporządzenie** z 7 marca 1940 roku.

Zawarto w nich nakaz Komisarza Ludowego Spraw Wewnętrznych ZSRR Ł.P. Berii dla Komisarzy Ludowych Spraw Wewnętrznych USSR I.A. Sierowa i BSSR Ł.F. Canawy deportacji do Kazachskiej SRR członków rodzin jeńców wojennych i więźniów.

Trzeba przypomnieć, że wspomniane pismo Berii do Stalina, będące faktycznie wyrokiem śmierci na 21 700 polskich jeńcach wojennych, nosi datę **5 marca 1940 roku**.

Z analizy chronologii zarządzeń NKWD i wywozek wynika, że akcje były tak skoordynowane, aby likwidacja polskich jeńców wojennych w Kalininie, Katyniu i Charkowie zbiegła się w czasie z deportacją ich rodzin.

W latach 2008-2009 zostały opublikowane w *Rodowodzie II* bardzo interesujące, **nieznane wcześniej materiały**, opracowane na podstawie wydanej w roku 2006 przez Ambasadę Republiki Kazachstanu w Polsce pracy *Historia Polaków w Kazachstanie w latach 1936-1956*. Zostały w niej ujęte m.in. dokumenty dotyczące spraw i losów aresztowanych 13 kwietnia 1940 roku, wywiezionych do północno-wschodniego Kazachstanu Polaków, głównie rodzin polskich jeńców wojennych, zamordowanych przez NKWD na podstawie rozkazu z 5 marca 1940 roku.

Z pism i dyrektyw władz lokalnych rejonów, do których przesiedlono zesłańców, nazwanych przez władze sowieckie *specpriesielencami*, dowiadujemy się o różnych sytuacjach i wielu problemach, które musieli rozwiązywać miejscowi dygnitarze partyjni i lokalne administracje Kazachstanu, gdy na ich terenie w krótkim czasie znalazły się, jak się okazuje, wcale niepożądane, a wywiezione na podstawie decyzji centralnych władz Związku Sowieckiego rzesze Polaków – represjonowanych przez system sowiecki, uznanych za ludzi „klasowo obcych”, ze zrozumiałych powodów wrogo nastawionych do miejscowych władz i w ogóle do Związku Sowieckiego. Jest to więc jakby spojrzenie na losy wysiedlonych Polaków ze strony lokalnych władz administracyjnych regionów, do których zostali wywiezieni.

Należąc wówczas jako 11-latek do tej grupy zesłańców, bardzo dokładnie pamiętam wszystkie szczegóły tych wydarzeń. Pozwalam sobie podjąć próbę krótkiego przypomnienia i porównania naszych losów z warunkami opisanymi w materiałach przedstawionych w powyżej wspomnianych publikacjach.

Zastrzegam jednak, że jest to punkt widzenia jednego z wielu – żyjących jeszcze, już niezbyt licznych – świadków. Relacja dotyczy głównie tych sytuacji, w których na zasadzie przypadku ja i moja rodzina znaleźliśmy się, rzućni przez stalinowski system represji, lub znanych mi z autopsji czy różnych historii wywiezionych Polaków. Jak wynika z bardzo obszernej literatury zesłańczej, wywożeni Polacy dostawali się do miejsc o diametralnie różnych warunkach życia. Zależało to, moim zdaniem, od ślepego przypadku, bowiem **nikt z zesłanych nie był kierowany do określonego z góry miejsca** i nie miał na to żadnego wpływu. Rozdzielanie przesiedlanych osób następowało do uprzednio zgłoszonych

przez lokalne władze miejsc na podstawie nakazów NKWD, ale według nieprzewidywalnego porządku zapełniania transportów ludźmi na stacjach wyjazdowych i ich wyładowywania na stacjach końcowych.

Aresztowanie i zesłanie

Atmosfera wiosną 1940 roku w okupowanym Lwowie, gdzie mieszkaliśmy, była bardzo napięta i po wywózkach lutowych nie byliśmy pewni ani dnia, ani godziny. 13 kwietnia 1940 roku około 5 rano obudził nas łomot do drzwi. Przerazona mama otworzyła i w tym momencie weszło 4 funkcjonariuszy NKWD z pistoletami w rękach, wspieranych przez 4 żołnierzy z karabinami, z długimi bagnetami (pikami). **Ośmiu uzbrojonych mężczyzn przyszło, aby aresztować kobietę z dwojgiem dzieci!**

– „Macie broń?” (Есть оружие?) – krzyknął bez wstępnych słów oficer. – „Jaką broń? Czego od nas chcecie?” (Какое оружие? Чего от нас хотите?) – zapytała mama, warszawianka, znająca biegle z zaboru rosyjskiego ich język. – „Zbierajcie się ze wszystkim (?), pojedziecie!” (Собирайтесь совсем, поедете). – „Dokąd?” (Куда?) – pyta mama. – **Do Waszego męża** – odpowiedział bez namysłu oficer. **On życzy sobie, abyście do niego przyjechali. Nie musicie ze sobą wiele zabierać, bo tam wszystko jest!** (К Вашему мужу. Он желает, чтобы Вы к нему приехали. Не берите много вещей, потому что там всё есть).

Przytoczony fragment dialogu w języku rosyjskim jest dosłowny i będę go pamiętać do końca moich dni. Mama cytowała go bardzo często, przez wiele lat, nawet mając już daleko posuniętą demencję, aż do śmierci w wieku 94 lat. Tę cyniczną wersję zawiadamiania wywożonych o ich aresztowaniu przez funkcjonariuszy NKWD, jak się okazało, powtarzano w wielu domach, była ona zapewne nakazana instrukcją operacyjną NKWD, aby złagodzić tę potworną informację.

Tego absurdalnego i cynicznego stwierdzenia nie można było w tym stanie pośpiechu i stresu dokładnie analizować czy zastanawiać się nad jego słusznością. Wydawało się, że wszystko się kończy, a przyszłość była wielką ciemną plamą.

Rozpoczęto rewizję, wyrzucając wszystko z szaf i biurka, depcząc po tym buciorami. Zrozpaczona mama wrzucała beładnie jakieś rzeczy do jednej walizki-torby, trudno było w tym chaosie cokolwiek znaleźć. Wziąłem swój harcerski plecak, do którego mama dorzuciła dwie torebki cukru w kostkach i kosmetyki z wodą kolońską. Zabrałem ze sobą przede wszystkim niedawny prezent od ojca – *Atlas geograficzny świata* Eugeniusza Romera (1871-1954). Chciałem jak rasowy turysta wiedzieć, dokąd będą nas wieźli. Od dziecka interesowałem się geografią. Okazało się, że był to jedyny atlas w transporcie (kto miał głowę zabierać takie drobiazgi), przewożącym około półtora tysiąca osób. Z dumą udzielałem informacji przez okienko ludziom z sąsiednich wagonów, gdzie się aktualnie znajdujemy podczas tej ponad 5-tysięcznokilometrowej jazdy.

Dodam, że podczas podróży woda kolońska w plecaku wylała się na cukier i zabarwiła go fioletowym kolorem z ołówka kopiiowego, znajdującego się przypadkowo w kieszonce plecaka. Do dzisiaj pamiętam smak wody kolońskiej po słodzeniu tym perfumowanym kolorowym cukrem, który został w końcu przez nas spożyty wobec braku innego.

Patrzyłem uważnie na grasujących po naszym mieszkaniu nieproszonych gości. Czterech enkawudzistów w niebieskich czapkach (znanych z filmu K. Wajdy *Katyn*) zachowywało się brutalnie. Chyba byli pod wpływem środków odurzających. To oni przeprowadzali rewizję i bardzo głośno krzyczeli, dopytując o broń. Natomiast broń: pistolet ojca i malutki prawdziwy pistolet-maskotka mamy, kaliber 3 mm, były ukryte gdzieś w kredensie. Czterech żołnierzy szeregowych, z poboru, nienależących do NKWD i niebędących zawodowymi policjantami, nadzorowało rewidujących.

Widziałem w ich oczach wyraźne współczucie dla nas.

Potwierdziło się to, gdy siedzieliśmy już w skrzyni ciężarówki, stojącej pod naszą kamienicą. Jeden z żołnierzy przyniósł nam zegarek kieszonkowy ojca ze słowami: – „Вы забыли часы” (Zapomnieliście zegarka). Był to wielki gest z jego strony, bo zegarek był w owym czasie bardzo cennym przedmiotem i mógł go sobie w tym rozgardiaszu po prostu zabrać do kieszeni.

Nie poinformowano nas ani o prawnych podstawach naszego aresztowania, ani o dozwolonej ilości bagażu, który mo-

żemy wziąć zawartych w instrukcji operacyjnej NKWD, ani o tym, na jaki czas jesteśmy wywożeni i za co!

Ostatecznie, wzięliśmy ze sobą, podobnie jak inni, poza nielicznymi wyjątkami, w sumie około 15 kg zamiast dozwolonych 300 kg (jak się okazało po przestudiowaniu instrukcji wywozowych NKWD, opublikowanych dopiero po 1990 roku).

Jest charakterystyczne, że w stalinowskim totalitarnym zbrodniczym systemie starano się niekiedy stwarzać pozory praworządności. I tak, w Uchwale Deportacyjnej z 3 marca 1940 roku jest m.in. postanowienie, że: *cały pozostały majątek wysiedlanych ci ostatni mają prawo bądź spieniężyć, bądź wziąć ze sobą do miejsca deportowania, ale nie więcej niż 100 kg na członka rodziny.*

W naszym przypadku było tak, że po trzech miesiącach pobytu na zesłaniu wezwano mamę do siedziby miejscowego NKWD i wypłacono jej należność za sprzedane rzekomo całe mienie z naszego w pełni zagospodarowanego trzypokojowego mieszkania, razem z pianinem. Wynosiła ona 4,5 tys. rubli, podczas gdy dla porównania, cena samego pianina w sklepie muzycznym w tym czasie wynosiła około 6 tys. rubli! A więc zwrócono nam znikomą wartość zagrabionego mienia. **Był to zatem zwykły rabunek i gangsterstwo reżimu stalinowskiego!** Nie wiem, jaki odsetek wywiezionych na zesłanie otrzymał jakieś finansowe rekompensaty.

Po około 2-godzinnej rewizji, zostaliśmy załadowani do wspomnianej, odkrytej ciężarówki – stojącej przed bramą naszej dwupiętrowej kamienicy – i przewiezieni do podmiejskiego dworca Podzamcze.

Na torach stały pociągi towarowe (ros. *eszelony*), o długości około 50 wagonów, które zapełniano sukcesywnie przywożonymi na stację aresztowanymi rodzinami zesłańców. Do jednego z nich załadowano nas. Wagon szybko zapełniał się ludźmi. Byliśmy jedni z pierwszych w naszym wagonie, więc mając wybór, załadowałem się na górną półkę przy okienku. Półek było cztery, po dwie z przodu i z tyłu wagonu, na szerokość wagonu: około 2,7 m i długich na około 2 m. Powierzchnia wspólna do poruszania się 22 osób na środku wagonu wynosiła około 2,5 x 2,7 m, na niej musiała zmieścić się jeszcze kabina sanitarna. Długość tego sowieckiego wagonu, zwanego *tiepluszka*, wynosiła około 6,5 m. Nazwa *tiepluszka* oznaczała, że w tych wagonach przewidywane było og-

rzewanie piecykiem w czasie mrozów. W naszym transporcie nie było piecyków w wagonach. Na nasze szczęście, była już połowa kwietnia i ogrzewanie nie było konieczne. Czy to przypadek, czy znalazł się we władzach sowieckich ktoś, kto planując naszą wywózkę w kwietniu 1940 roku brał pod uwagę warunki transportu ludzi w bydlęcych wagonach w różnych porach roku? Wiadomo było bowiem, że podczas pierwszej – lutowej wywózki Polaków z Kresów przy 30 stopniowych mrozach, ludzie zamarzali w wagonach podczas transportu, a ich ciała wyrzucano po drodze na zewnątrz (film A. Wajdy *Polska Syberia*).

Okienka (cztery) o wymiarach około 40 x 60 cm w tych wagonach nie miały szyb, były zakratowane i zamykane od wewnątrz uchylną klapą z grubej stalowej blachy. Były one w nocy i przez pierwsze chłodne dni zamknięte. Z biegiem czasu, w miarę ocieplania się na zewnątrz podczas podróży, zwłaszcza już za Uralem, można było zostawiać okienko na dzień otwarte.

Wagon zappełniał się wciąż dowożonymi ludźmi. Obok nas, na półce ulokowała się rodzina zawodowego kapitana: pani Antonina Dyhdalewiczowa z 13-letnią córką Hanią i 11-letnim synem Wojtkiem – moim późniejszym przyjacielem i towarzyszem wypraw do lasu po opał. Jest to jedyny człowiek z naszego wagonu, mieszkający w Gliwicach, z którym do dzisiaj utrzymuję kontakt i uzgadniam niektóre fakty i wydarzenia tej książki²¹. Dalej była pani Maria Olszańska (chora na otwartą gruźlicę) – żona lekarza, majora WP. Następnie pani Schuererowa z 18-letnią córką Rysią. Na naszej półce rozlokowało się 9 osób, czyli na jedną osobę przypadało około 30 cm miejsca, a więc bardzo ciasno, co miało tę zaletę, że wspólnie ogrzewaliśmy się w chłodne kwietniowe noce.

Do naszego wagonu załadowano jeszcze następujące osoby, które znalazły miejsce na pozostałych półkach: panią Matyldę Kadłubkiewiczową, żonę funkcjonariusza policji, z 18-letnim synem Stasiem i 9-letnim Rysiem; panią Jadwigę Świdzińską, żonę oficera, z synem Jurkiem; panią Marię Sicińską, żonę oficera z córkami 13-letnią Krystyną i 17-letnią Zosią; panią Kinelową, uciekinierkę z Warszawy, z 16-letnim Jackiem i 19-letnią Krysią oraz dwie

²¹ Wojciech Dyhdalewicz, *Relacja ze zsyłki do Kazachstanu*, wydanie prywatne, format: 17 x 24 cm.

samotne osoby: panią Franciszkę Pańczyszyn, chyba żonę funkcjonariusza policji, i 29-letniego studenta Stanisława Dracza, represjonowanego za działalność polityczną.

Gdy w wagonie znalazły się 22 osoby, średnia wymagana liczba, zaryglowano **drzwi i zostaliśmy zamknięci, upokorzeni w naszym więzieniu na kołach, niepewni dalszej przyszłości**. W tym składzie i w tych koszmarnych, urągających elementarnym zasadom higieny warunkach mieliśmy spędzić nieznaną nam czas w potwornym hukie źle resorowanych bydlęcych wagonów. Już w ciągu kilku godzin wystąpił problem fizjologicznych potrzeb. W ścianie wagonu, na wysokości około 50 cm, umieszczono skośnie kanał ze zbitych czterech nieheblowanych deseczek, o przekroju kwadratowym i szerokości boku około 12 cm. Była to nasza toaleta bez kabiny. Po naradzie, zrobiono kabinę z zabranego przypadkowo przez moją mamę prześcieradła i podwieszono na sznurkach do sufitu. Największy kłopot był z zatykaniem się tego drewnianego kanału, nachylonego około 45° do poziomu, przez który opornie schodziły odchody. Trzeba było je przepychać podarowaną przez mamę, również przypadkowo zabraną parasolką, niestety składaną, a więc **za krótką jako udrażniacz** tego kanału.

I ten zapach!

Wieczorem usłyszeliśmy jakiś harmider obok naszego wagonu, który stał na ostatnim torze przed trawiastą skarpią. Gdy wyrzeliśmy przez okienko, ku naszemu zdumieniu i przerażeniu zobaczyliśmy naszą służącą – wierną i bezgranicznie nam oddaną Józję. Na kilka dni przed naszą wywózką wyjechała na wieś, by odwiedzić swoich rodziców. Wróciła w południe, w dniu naszego aresztowania, gdy byliśmy od świtu zamknięci w zaplombowanych wagonach, czekając na odjazd transportu, który był pilnowany przez uzbrojonych żołnierzy.

Zastawszy w domu zaplombowane drzwi i dowiedziawszy się od sąsiadów, co się wydarzyło, Józia natychmiast pojechała na dworzec, wdarła się na strzeżony peron i szarpiąc strażnika za karabin, krzyczała, nie zważając na powagę sytuacji i własne bezpieczeństwo: – *Co zrobiliście z moim Państwem?* Usiłowała nam coś podać, zapewne do jedzenia, ale ją odpędzono. Ten incydent widzieliśmy bezsilni, zrozpaczeni przez okienko, czekając na odjazd

pociągu. Strażnicy – prości żołnierze z poboru, nie NKWD-ziści, bo ci mogliby strzelać (Niemcy w takim przypadku agresji w stosunku do wartownika na służbie na pewno strzelaliby), zaskoczeni, stali milcząco jak wryci, nie robiąc jednak żadnej krzywdy tej prostej wiejskiej dziewczynie!

Na tym jednak, jak się potem okazało, Józia nie poprzestała. Z narażeniem życia, a przynajmniej pod groźbą aresztowania, włamała się w nocy od strony kuchni do naszego od frontu zaplombowanego mieszkania. Wiedząc o tym, że w pianinie są ukryte nasze rodzinne kosztowności i biżuteria, wyniosła je, a po wojnie oddała nam wszystko, gdy wróciliśmy z zesłania.

Trudno w taką uczciwość dzisiaj uwierzyć! Na podstawie takich faktów ugruntowuje się wiara w ludzi!

Droga w nieznane

Nie mogliśmy otrząsnąć się z dopiero co przeżytych wydarzeń. Była to jednocześnie dla dziecka bardzo skuteczna lekcja ludzkiego zachowania się, respektowania obecności sąsiada, solidarności i kultury. Łatwo jest te cechy wykazywać w normalnych warunkach, ale najlepszym testem ich przestrzegania są warunki ekstremalne, w jakich się znaleźliśmy.

Na drugi dzień rano pociąg z wielkim hukiem ruszył do nieznanego nam celu.

W tym składzie osób, skazanych na siebie w wagonie, rozpoczęliśmy naszą przymusową podróż, rozpoczynając nowy etap naszego życia. W tej beznadziejnej sytuacji ktoś miał ze sobą karty, więc natychmiast zaczęła się akcja stawiania kabał i wróżenia z kart. Pamiętam, że dominującą wróżbą był układ pokazujący radość z powodu podróży. Pozostała bowiem jedynie nadzieja. Nikt nie płakał i głośno nie narzekał, nie było bowiem nikogo, kto mógłby współczuć. Wszyscy byli przecież w tej samej sytuacji w obliczu utraty wszystkiego i dalszej niepewności losu.

Co dwa dni dawano nam zupę z pokrzyw, chleb i wodę. Wieczorami grałem popularne melodie na harmonijce ustnej, na której nauczyłem się grać podczas ostatnich wakacji, a niektórzy współtowarzysze niedoli podśpiewywali.

Przez okienko oglądałem trasę naszej podróży i sprawdzałem z atlasem. Podwołoczyska – przedwojenna granica z ZSRR, Kijów, Kursk, Woroneż, wiosenne bezkresne rozlewiska Wołgi, Kujbyszew, Ufa, Czelabińsk, uralskie niezalesione dzikie, niezbyt wysokie góry i wąwozy. Już Azja, a więc Syberia – Omsk, Nowosybirsk. Gdy zbudziłem się rano, po nocnym postoju w Nowosybirsku, stwierdziłem, że zmieniliśmy kierunek jazdy na południowy, co potwierdziło się, gdy dojechaliśmy do miasta Barnauł²². A więc wywożą nas nie na Daleki Wschód i może nie do mroźnej tajgi?

Gdy obecnie wspominam naszą podróż i szczegóły aresztowania, nie mogę wyjść z podziwu, jak ludzie mogli wytrzymać tak drastyczną zmianę warunków życia! Przecież w ciągu kilku godzin straciliśmy wszystko – mieszkanie, cały dobytek, dorobek życia rodziców – i wolność.

Pytanie: dlaczego? Jakie przestępstwo popełniliśmy, aby zasłużyć na taką karę? Zostało na całe życie poczucie wielkiej doznanej krzywdy!

Pozostawiło to jednak trwałe ślad na psychice dziecka! Przez całe moje dalsze długie życie bardzo żywo reagowałem i nie mogłem się pogodzić z wszelkimi przejawami fizycznej przemocy, której w taki sposób doznałem w dzieciństwie.

Wyładowano nas 30 kwietnia 1940 roku, po 17 dobach podróży, w ciepłą kwietniową noc na stepie, nad rzeką Irtysz, koło miasta Semipałatyńsk we Wschodnim Kazachstanie.

Przyjechały furmanki, które dowiozły nas do cegielni na stepie. **Tutaj mieliśmy bezterminowo wykonywać katorżnicze fizyczne prace.** Nie znaliśmy wówczas treści Rozporządzenia NKWD z 5 marca 1940.

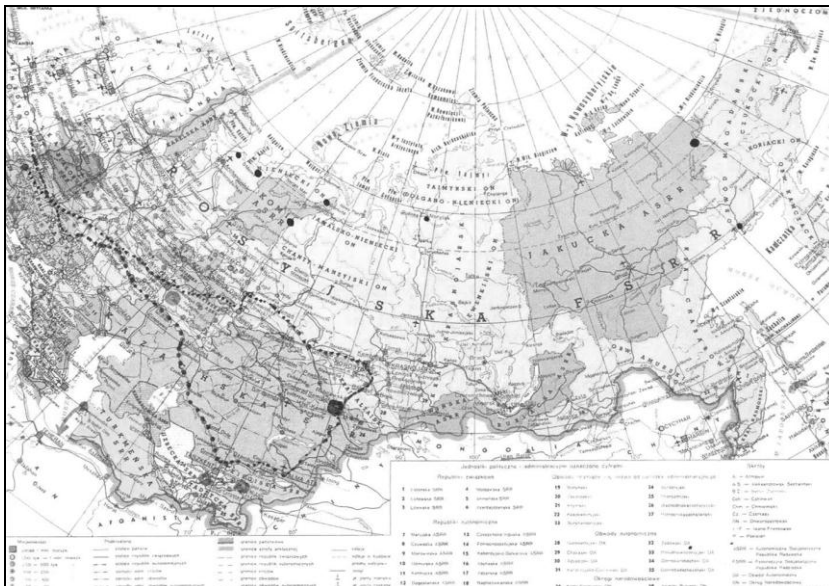
Gdy sowiecki oficer, aresztując nas we Lwowie, cynicznie oznajmił mamie, że ojciec ją zaprasza do siebie, prawdopodobnie, jak się po upływie pół wieku okazało, ojciec był w tym czasie transportowany do Charkowa na śmierć, lub już nie żył.

Czy istnieją granice cynizmu?

²² Barnauł, miasto w azjatyckiej części Rosji, nad rzeką Ob, stolica Kraju Ałtajskiego, Zagłębie Kuźnieckie.



Mapa Kazachstanu, z zaznaczonym Semipalatyńskiem, 2001





Kazachstański step

III. Kazachstan

Semipałatyńsk – nowa rzeczywistość

Gdy wyładowano nas 30 kwietnia 1940 roku z bydłących wagonów na kazachstańskim stepie, była ciepła bezchmurna noc. Wiał lekki wiaterek i pachniało stepem.

Gdyby nie tragizm sytuacji, wyrwanemu ze snu 11-letniemu chłopcu zdawałoby się, że zaczynają się kolejne wakacje. Kiedy spojrzałem na niebo rozświetlone gwiazdami, miałem wrażenie, że były one identycznie rozmieszczone na firmamencie jak w Polsce! Nic dziwnego! Sprawdziłem później w *Atlasie* Romera i okazało się, że znajdowaliśmy się na przecięciu linii kolejowej Nowosybirsk-Taszkent z rzeką Irtysz, na dokładnie tej samej szerokości geograficznej, co południowa Polska. W tej sytuacji na niebie jest identyczna konfiguracja ciał niebieskich, tylko o innych godzinach (wcześniej 4-5 godzin niż w Polsce).

Byliśmy w samym centrum kontynentu euroazjatyckiego, w miejscu najbardziej na kuli ziemskiej oddalonym od najbliższej wielkiej wody – oceanu, około 3 tys. km, a więc o drastycznie kontynentalnym klimacie bardzo mroźnych zim i upalnego lata przy bardzo krótkich wiosnach i jesieniach. Mieliśmy wkrótce tego doświadczyć.

Stacja nazywała się Żana-Semiej (Żana po kazachsku: nowy) i znajdowała się na południowym brzegu rzeki Irtysz (o długości 4248 km), która w tej części płynie ze wschodu na zachód. Jest to jej dolny bieg (około 500 km od źródeł). Żana-Semiej jest lewo-brzeżną częścią wojewódzkiego (oblastnego) miasta Semipałatyńsk (Semiej – od 2007), który położony jest na północnym brzegu Irtysza, w tym miejscu szerokiego już prawie na pół kilometra.

Rzeka Irtysz stanowi granicę dość drastycznie różniących się krajobrazów: po prawej, północnej stronie rzeki są lasy iglaste i mieszane, na piaszczystej glebie, a na lewym brzegu bezkresny kazachstański step. Miasto zabudowane było przeważnie parterowymi drewnianymi domkami (chatami). Liczyło wówczas około 150 tys. mieszkańców.

Chciałem odwiedzić w XXI wieku Semipałatyńsk. Po odmowie przez Ambasadę Kazachstańską w Polsce udzielenia mi wizy bez zaproszenia i z powodu braku aktualnych wycieczek do Kazachstanu, organizowanych przez biura turystyczne, zrezygnowałem z tego zamiaru. Gdy teraz oglądam Semipałatyńsk na zdjęciach satelitarnych, widzę, że wszystkie te chatki, które przed 60 laty stanowiły 95 procent miasta, zostały wyburzone. Miasto zabudowano domami wielopiętrowymi. Moja szkoła nr 1 pozostała. Centralny park w mieście, gdzie grywaliśmy podczas wojny w siatkówkę z przygodnymi partnerami, jest w dawnym miejscu. Wybudowano przez Irtysz dwa wielkie mosty o nowoczesnej architekturze. Nędzny wówczas Kazachstan jest obecnie – głównie dzięki odkrytym złożom ropy i gazu – bogatym, nowoczesnym, niepodległym państwem.

Jak dalece przypadek rządził losami ludzi, mogłem przekonać się po latach, gdy dowiadywałem się, co przeżywali zesańcy z różnych części naszego transportu. Otóż, z pociągu z wywozonymi ludźmi, zwanym po rosyjsku *eszelonem*, odczepiano sukcesywnie wagony, według zaprojektowanego wcześniej klucza, w miejscowościach, które pod koniec 1939 i na początku 1940 roku, na wezwanie NKWD, zgłosiły zapotrzebowanie na siłę roboczą.

Byliśmy odczepieni jako jedni z pierwszych z 50-wagonowego eszelonu. Transport szedł dalej na południe magistralą Nowosybirsk-Taszkent. Miejsca docelowe były położone w różnych odległościach od linii kolejowej, niekiedy do 300 km.

Transportowano ludzi głównie na wschód, aż pod chińską granicę. Były to miejsca odległe od ośrodków cywilizacji: szpitali, aptek, lekarzy poczty itd., gdzie śmierć w okresie surowej kazachstańskiej zimy zbierała, zwłaszcza wśród nieprzystosowanych zesańców, okrutne żniwo. Kto miał szczęście być odczepionym na stacji kolejowej niezbyt oddalonej od miejsca docelowego, ten miał większą szansę przeżycia. Myśmy to szczęście mieli!

Z pamiętników jednej z moich koleżanek: Ireny Benit-Leonkiewicz²³, której wagon z drugiego końca naszego transportu odczepiono dopiero kilkaset kilometrów dalej na południe, dowiedziałem się, że po wyładowaniu z pociągu wieziono ich wozami zaprzęgniętymi w woły przez kilka dni od magistrali kolejowej, kilkaset kilometrów na wschód, aż pod granicę chińską, do kołchozu hodowlanego, odciętego zupełnie od ośrodków cywilizacji. Podczas zimy 1940/1941 na 35 Polaków w tym kołchozie zmarło aż 11 osób. Mogli oni być pochowani dopiero wiosną, a do tego czasu ich ciała leżały w ziemiankach całkowicie zasypanych śniegiem, ponieważ pochówek w zlodowaciałej ziemi był niemożliwy.

Tam, gdzie nas wyładowano, na placu obok torów kolejowych, oświetlonego jedynie rozgwieżdżonym niebem, widać było kilkanaście wozów zaprzęgniętych w konia-szkapę z woźnicami o azjatyckich rysach, kojarzących się z twarzami opisywanymi z czasów najazdów tatarskich. Wozy te, po rosyjsku nazywane podwodami, były płaskim czworobokiem z desek o wymiarach około 1,5 x 2,5 metra, umieszczonym i przymocowanym poziomo na nieresorowanych czterech kołach.

Pośrodku wozów złożono bagaże, ludzie siedzieli dookoła nich, na brzegach, z nogami spuszczone ku ziemi. Kawalkada wozów, wioząca zesłańców z 3 wagonów, około 70 osób, jak się później okazało, ruszyła w step wyboistą, stepowo-pustynną drogą. Jak długo jechaliśmy, trudno ocenić, ponieważ drzemali prawie wszyscy, zmęczeni wielodniową podróżą. Celem była Cegielnia numer 2 (*Кирпичный завод 2*) – oddalona o 6 km od stacji Żana-Semiej – **miejsce naszej bezterminowej zsyłki i niewolniczej pracy.**

W pobliżu miejsca naszej zsyłki, na kazachstańskich stepach, w krótkim czasie po naszym powrocie do kraju, (1949), urządzono największy – spośród 110 – poligon atomowy w ZSRR, drugi na świecie, zamknięty w 1991 roku. Widzieliśmy to miejsce wówczas na horyzoncie (oddalone około 50 km) jako wzniesienie (1085 m n.p.m.). Była to góra Diegielen, dominująca w krajobrazie pozbawionym drzew. Tam od 1961 roku dokonano 209 testowych prób wybuchów nuklearnych o mocy do 140 kiloton, skazując na ogrom-

²³ Irena Benit-Leonkiewicz – *Zesłańcze wspomnienia*, Związek Sybiraków Oddział w Łodzi nr 11, str. 95-127, 2000.

nym obszarze przyrodę²⁴ w tej części Kazachstanu, powodując degenerację i kalectwo wielu tysięcy zamieszkałych tam ludzi.

W przeciwieństwie do wielu tysięcy wywiezionych Polaków, którzy nierzadko zostali ulokowani w zupełnym pustkowiu i musieli sami budować sobie pomieszczenia mieszkalne, my zostaliśmy ulokowani w drewnianym parterowym, dwuizbowym baraku po zlikwidowanym żłobku. Ustawiliśmy sobie przygotowane prycze (zbite deski na 2 koziołkach), kładąc na nich sienniki, czyli worki wypełnione słomą. Prycze musiały być ustawiane bardzo gęsto – jedna przy drugiej, z wąskimi przejściami między nimi. Oddzielne prycze mieli tylko ludzie samotni. Rodziny spały na zsuniętych, aby oszczędzić miejsca na przejścia umożliwiające komunikację po izbie. Wymiary jej około 5 x 8 m. Na powierzchni około 40 m² mieszkało 20 osób (2 mężczyzn, 11 kobiet i 7 dzieci). Pomieszczenie miało ceglaną kuchnię z żeliwnym blatem.

W *Rodowodzie II*, opublikowanych materiałach z Kazachstanu, mówi się o kołchozach i sowchozach, gdzie nie było w zasadzie deficytu siły roboczej. W cegielni, przy produkcji wyłącznie ręcznej, pracy fizycznej było pod dostatkiem i wszyscy Polacy w wieku powyżej 16 lat musieli pracować. Dzieci nie musiały się uczyć, miały więc pełną swobodę, ale często musiały stawać w kolejce po chleb i dostarczać inne potrzebne do życia rzeczy z oddalonego o 6 km miasta, do którego trzeba było dostawać się piechotą. Przeprawiano się do miasta Semipałatyńsk – stolicy „obłasti” (odpowiednik województwa) wahadłowo kursującą motorówką, przepływając na drugą (północną) stronę rzeki Irtysz. Można było przedostać się również, przejeżdżając pociągiem wahadłowym przez jedyny most kolejowy; drogowego wówczas nie było.

Jesienią, około 1-10 października, podczas gdy wodę w rzece skuwał lód, transport wodny był zawieszany na około 3-4 tygodnie. Pozostawał więc jedynie pociąg. Gdy rzekę mróz skuwał grubą warstwą lodu, wytyczano na nim drogi, funkcjonujące do około 1 kwietnia. Wtedy ponownie zawieszano ruch po lodzie przez rzekę, aż do dnia ruszenia lodów, co trwało jedną/dwie doby, po czym przewozowa motorówka zaczynała letni sezon.

²⁴ J. Hugo-Bader, *W rajskiej dolinie wśród zielska*, str. 267, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.

Życie w cegielni – lato 1940

Praca w cegielni była wyłącznie fizyczna i całkowicie ręczna. Polacy pracowali albo przy formowaniu surowych cegieł z gliny, albo przy załadunku cegieł do pieców lub wynoszeniu wypalonych cegieł z pieca. Przy formowaniu cegieł trzeba było narzucić z pewnej wysokości ulepioną z gliny kulę do leżącej na stole formy drewnianej na cztery cegły. Po zgarnięciu nadmiaru gliny drewnianą listwą, przenoszono 22-kilogramową formę na zadaszony klepisko, odległe o około 5-50 m od stanowiska formowania. Tam wyrzucano te cztery cegły jak babki z piasku na ziemię. Dzienna norma dla jednej osoby wynosiła 1600 cegieł, czyli 400-krotne przejście z ciężarem od stołu na wolne miejsce na klepisku, przechodząc dziennie z ciężarem 22 kg (w ciągu dnia blisko 9 ton) w sumie około kilku kilometrów. Tę katorżniczą pracę wykonywała moja mama oraz inne Polki, nigdy przedtem nie wykonujące ciężkich prac fizycznych. Jeszcze chyba gorszą pracę mieli ludzie przy piecach. Trzeba było piec załadować według instrukcji specjalisty surowymi cegłami, zostawiając w tym zbiorze cegieł kanały do napełnienia ich węglem. Następnie podpalano pod piecem drewno i wypalano cegły drewnem i węglem, znajdującymi się w ułożonych kanałach kominowych przez kilka dni. Potem należało czekać kilka dni na jego ostygnięcie. Ze względu na konieczność wykonania planu, nie czekano na całkowite ostygnięcie pieca i kazano wynosić (ręcznie, w brezentowych rękawicach) gorące jeszcze cegły o temperaturze ponad 100°C! Gdy postawiło się na takiej, wyjętej z pieca, cegle naczynie z wodą, to wskutek wysokiej temperatury i zgromadzonemu w cegle ciepłu, woda się zagotowywała! Pracowano w potwornym upale wewnątrz i na zewnątrz pieca, w pyłe ceglany! Było to niezwykle trudne do zniesienia, zwłaszcza że egzekwowano bezwzględną dyscyplinę pracy. Przy trzykrotnej absencji lub spóźnieniu był sąd i wyrok: pół roku więzienia bez zawieszenia. Przeżył to jeden z naszych współtowarzyszy 18-letni Staś Kadłubkiewicz, który chcąc zaimponować dziewczynom, świadomie trzykrotnie spóźnił się do pracy. Gdy po 6 miesiącach wrócił z więzienia, po pobycie w 60-osobowej celi z miejscowymi kryminalistami, bez prawa do spaceru, był cieniem człowieka i nadawał się do leczenia szpitalnego.

W jednym z baraków organizowano codzienne wspólne modlitwy wieczorne. Kierownictwo cegielni nie zakazywało ich i pozostawiało te spotkania bez komentarzy, aczkolwiek były one zapewne pilnie śledzone. Na tych modlitwach zaczął pojawiać się mężczyzna o nazwisku Nowak, o bardzo podejrzanym wyglądzie i zachowaniu. Powiedział, że pochodzi z polskiej rodziny, zesłanej tam na początku XX wieku. Bardzo żarliwie się modlił, oświadczając, że jest szczęśliwy, mogąc się modlić na tych spotkaniach z rodakami. Wkrótce okazało się, że konfidencyjnie proponował niektórym rodzinom z dorosłymi już dziećmi umożliwienie ucieczki do Chin (około 500 km). Zdołał namówić dwie rodziny: panią Świdzińską z 17-letnim synem i panią Kinelową z 18-letnią córką i 16-letnim synem. W umówiony dzień, o świcie pojawiła się ciężarówka za cegielnią i zabrała obie rodziny nie do Chin, a do więzienia. Dzieci wróciły za parę dni, matki zaś siedziały w więzieniu do amnestii w lipcu 1941 roku. Nowak zniknął bezpowrotnie. Tak realizowano działania operacyjne, pkt 4. Dyrektywy Berii z 20 marca 1940 roku: **Zorganizować agenturalno-operacyjną obsługę deportowanych osób, zapewniając wcześniejsze wykrywanie ich wrogiej działalności i zapobieganie próbom ucieczki.**

Czy byliśmy pilnowani lub zamykani? Czy byliśmy więźniami? Nie było takiej potrzeby! Jedynym środkiem komunikacji była kolej. Aby z niej korzystać w tym policyjnym stalinowskim systemie, trzeba było kupić na stacji bilet za okazaniem paszportu, w którym zesłani Polacy mieli wpisaną adnotację: **Bez prawa opuszczania miasta Semipałatyńsk**. Kontrola biletu dokonywał – przy wejściu do pociągu – dróżnik, urzędujący w każdym wagonie.

Była to wystarczająca zaporą, ponieważ szos w Kazachstanie wówczas nie było, tylko szlaki przez bezkresne niezalesione stepy, gdzie grasowały wilki. Całkowity brak wody i samotna wędrówka przez nie groziły niechybną śmiercią.

Bardzo niebezpieczną dla polskich dzieci w wieku poniżej 10 lat była choroba infekcyjna, zwana azjatycką szkarlatyną. Dzieci poniżej 6-7 lat zarażone tą chorobą przeważnie umierały. W naszym baraku zachorował 6-letni Januszek Wawryk, sąsiadujący ze mną pryczami. Oczywiście, bardzo szybko zaraziłem się od niego, a od nas moja 13-letnia siostra. Był lipiec, potworne upały na stepie i my w baraku we troje w 40-41-stopniowej gorączce bez żadnych le-

karstw i pomocy medycznej. Mamy nie zwolnili z pracy. Na szczęście, nasza sąsiadka – pani Olszańska, niepracująca z powodu otwartej gruźlicy, podawała nam wodę i odganiała latające liczne muchy. Na kilka dni straciłem przytomność wskutek bardzo wysokiej gorączki. Gdy ją odzyskałem, Januszek już nie żył. Został pochowany przez kolegów za barakiem, na stepie, w piaskowej mogile, ze zbitym z dwóch deseczek krzyżem.

Ile takich dziś nieznananych i już zapomnianych polskich mogił pozostało na kazachstańskim stepie?

Jako 13-letni chłopiec, również chowałem w stepie, zawinięte w prześcieradło, bo trumien nie było, dwie zmarłe osoby. Pisałem wyżej, że określenie liczby wywiezionych Polaków jest bardzo trudne, chociażby ze względu na ludzi zmarłych i pochowanych w mogiłach rozrzuconych po całym bezkresnym obszarze Związku Sowieckiego.

Zrozpaczona mama, jako jedyna w cegielni znająca biegle język rosyjski, poszła do dyrektora cegielni z błagalną prośbą o furmankę (podwodę), aby pojechać po lekarza do miasta. Ku jej wielkiemu zdumieniu i radości dyrektor (Kazach) wyraził zgodę i mama pojechała do miasta po lekarza. Gdy ten dowiedział się, że **chodzi o polskich zesłańców, zapewne ze strachu – odmówił. Byliśmy przecież oficjalnie wrogami klasowymi i kontrrewolucjonistami!** Nie wiem, kim był ten lekarz, ale podobne niezyczliwości ze strony miejscowej ludności spotykały nas bardzo rzadko. Mając widocznie silne organizmy, zaczęliśmy wkrótce wracać do zdrowia.

Dla pełnego zilustrowania naszej sytuacji, warunków życia i pracy przedstawiam oryginalny tekst zachowanej do dziś kartki pocztowej z 18 lipca 1940 roku, wysłanej przez moją mamę do swojego brata – Janka Lubińskiego, mieszkającego pod okupacją niemiecką (w Reichu), koło Kalisza.

Drodzy moi kochani! Kartki Tuni i Janka z 2/V i 15/III otrzymałam, tutaj przysłano mi je ze Lwowa. Piszę stąd drugą kartkę do Was Kochani, może dojdzie. Zapewne wicie już od Wojtka, że wysiedlono nas z tysiącami Polaków na Wschód. Żyjemy w Azji, w cegielni, gdzie wyko-

nujemy pracę fizyczną, noszenie cegieł do pieców, składanie. Ja formuję cegły z gliny mokrej, wyrabiam już 1200-1300 dziennie. Norma dzienna jest 1600. To przede wszystkim wprawa, więc dojdę do tego wkrótce. Dostają za tysiąc zrobionych cegieł 6 rubli 38 kopiejek, płacą jak chcą, jednak dotychczas dali mi 50 rb. w miesiącu – to wszystko.

Jak żyjemy? Bóg pomaga! Trochę się sprzeda rzeczy, których tu brak, na wagę złota! Rodzina przysłała mi ze Lwowa gotówkę i wysłała paczki żywnościowe, jeszcze żadna nie doszła! Dostajemy 1 kg chleba dziennie (oczywiście z dziećmi) i to ma nam wystarczyć. Oczywiście, to za mało, więc czasem ktoś nie potrzebuje i mi odstępuje. Zabrali nas pod bagnety za godzinę, wzięłam tylko, co najpotrzebniejsze.

Stało się to 13 kwietnia. Jechaliśmy 17 dni w zamkniętych wagonach po 28-30 osób. Mieszkamy w małym domku o dwóch izbach, zamiast łóżek prycze z desek na kozłach. W domu Józia trochę uratowała sukien i butów, reszta przepadła, rozgrabiono i zabrano!

O Rysiu nic nie wiem od chwili wyjazdu, jednocześnie coś z nimi zrobiono, wywieziono, czy co? Dosyć, że w żaden sposób nie możemy się porozumieć i do Lwowa on też nie pisze! Straciłam nadzieję zobaczenia się kiedykolwiek z nim w życiu! Jak cierpię, Bóg jeden wie! Tylko modłę się i ufam w miłosierdzie Boże.

Biedne moje dzieciaki dzielą los ze mną. Przeszły ciężką odrę azjatycką, zdani na łaskę Najwyższego! Bóg pozwolił je mieć przy sobie. Zocha gotuje obiady, Adaś pomaga, nosi wodę, rąbie drewno, ja pracuję. Bóg dodaje mi siłę, gdyż wykonuję pracę ponad siły, ale jestem zdrowa. Mam nadzieję, że nadal tak będzie, bo czuję się dobrze. Upały zamęczają, bo dziś jest w cieniu 45 stopni! Ale wstaję o 5-tej i prędej się kończy. Pracuję 8 godzin.

Całuję Was kochani, piszcie, może dojdzie. Módlcie się, nie wiem, czy i kiedy wrócimy i czy się zobaczymy. To nie tak łatwo stąd się wydostać! Pracować się musi, a kto nie pracuje, nie dostanie tego kila chleba!

Sytuacja polityczna w Europie (1940)

Znajdując się w skrajnie trudnych warunkach, po brutalnej deportacji i utracie całego dobytku – dorobku życia rodziców, przy całkowitym braku wiadomości o naszych ojcach, trzeba było mieć bardzo silne nerwy, aby to psychicznie wytrzymać. Myślę o matce i ogólnie osobach starszych, ponieważ my – dzieci nie w pełni wówczas zdawaliśmy sobie sprawę z naszego tragicznego losu, poza tym dziecko nie przeżywa tak silnie zmienne, nawet tragiczne warunki życia jak dorośli.

Trzeba jednak podkreślić, że w ciągu krótkiego czasu, walcząc z niewyobrażalnymi dotychczas trudnościami, staliśmy się ludźmi świadomymi, silnymi i mentalnie dorosłymi. Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę, że jako ofiary m.in. klęski wojennej naszego państwa, powinniśmy upatrywać jakichkolwiek zmian naszego losu jedynie w zmianach sytuacji politycznej na świecie, w tym sytuacji Polski, co należało bacznie śledzić.

W ciągu paru tygodni zacząłem nieźle rozumieć język rosyjski, co dla nas lwowiaków, uczących się w szkole podstawowej (powszechnej) języka ukraińskiego (wówczas mówiło się – ruskiego) w cyrylicy, nie było takie trudne, a po paru miesiącach mówiłem już biegle po rosyjsku.

Informacje ze świata docierały do nas jedynie przez miejscową 4-stronicową gazetę codzienną „Priirtyshskaja Prawda”²⁵, której nie można było kupić, ale jeden egzemplarz docierał do cegielni i był udostępniany przez wywieszenie go na tablicy ogłoszeń, gdzie go można było przeczytać. Z tej gazety dowiadywaliśmy się o fatalnej sytuacji w Europie, gdzie niemiecka potęga wojskowa odnosiła kolejne spektakularne sukcesy. Zapowiedziany przez Hitlera *Blitzkrieg* był konsekwentnie realizowany. W kwietniu – atak na Norwegię, kapitulacja Danii. W maju zwycięska ofensywa niemiecka na Belgię, Holandię i Francję (z ominięciem Linii Maginota), wreszcie **14 czerwca 1940 roku Niemcy zajmują Paryż!**

Był to dla nas ciężki cios, wiedzieliśmy bowiem, że walczą tam nasze dywizje, kontynuując walkę z najeźdźcą i w tej sytuacji traciliśmy wszelką nadzieję na jakiegokolwiek korzystne dla nas zmia-

²⁵ „Прииртышская Правда”.

ny, które mogłyby zwiastować szanse na zwycięstwo Aliantów w wojnie i nasz powrót do kraju. **Czuliśmy się, jak przed bramą dantejskiego piekła: *lasciate ogni speranza***²⁶.

Nastało bardzo upalne lato, a z nim niezwykle dokuczliwa plaga pluskiew w drewnianych barakach, nie dających w nocy spać. Do tego doszła plaga wszy, które gryzły do krwi, zostawiając na ciele blizny. Jedynym pocieszającym zjawiskiem było wyczuwalne w prasie osłabienie dotychczasowych przyjacielskich stosunków sowiecko-niemieckich – czyli dobrych relacji i sojuszu między naszymi dwoma wrogami, aczkolwiek zupełnie nie potrafiliśmy sobie wytłumaczyć i przewidzieć, jakie to ma dla losów wojny w Europie i dla nas znaczenie.

**O naszych ojcach nadal nie było żadnych wiadomości.
Jeszcze nie traciliśmy nadziei na spotkanie z nimi.**

Symptomy zmian

Zarobki w cegielni były niewystarczające na utrzymanie się, kwitła więc sprzedaż rzeczy zabranych ze sobą w jakże za małej ilości (o czym wcześniej wspomniałem). Z miasta przychodzili do nas zasobniejsi ludzie, np. żony funkcjonariuszy partyjnych i dygnitarzy, dowiedziawszy się, że Polacy mają rzeczy, o których tamtejsze kobiety mogły tylko marzyć. Znanym powszechnie faktem była np. sprzedaż koszul nocnych jako eleganckich sukienek balowych. W tym czasie zaczęły napływać paczki żywnościowe oraz pieniądze przysyłane pocztą przez rodzinę ze Lwowa.

Chociaż w Europie toczyła się wojna, Związek Sowiecki nie był w niej czynnie zaangażowany. Był jednak oficjalnie wciąż sojusznikiem hitlerowskich Niemiec!

W połowie sierpnia ogłoszono w cegielni, że przyjechali ludzie z miasta, poszukujący do pracy fachowców. Była to absolutna nowość, sprzeczna z zaleceniem zatrudniania Polaków wyłącznie przy pracach fizycznych²⁷. W pierwszej turze poszukiwano księgowych.

²⁶ *Porzućcie wszelką nadzieję.*

²⁷ *Rodowód II*, nr 14, str. 43.

Zarysowała się więc perspektywa legalnego wydobycia się z katorżniczej pracy w cegielni, ponieważ w przypadku zakwalifikowania się kandydata, po pomyślnym zdaniu egzaminu specjalistycznego obiecano wydanie zezwolenia na zamieszkanie w mieście Semipałatyńsk.

Nikt z Polaków w naszej cegielni nie zgłaszał się do tych prac z powodu nieznamośności języka rosyjskiego, którego znajomość była konieczna w zawodach niefizycznych.

Mama, mająca niepełne ogólne średnie wykształcenie, przerwane I wojną światową, nie miała żadnych kwalifikacji. Głównym jej atutem, w przeciwieństwie do innych Polaków była, jak wspominałem, biegła znajomość języka rosyjskiego, duże zdolności manualne, artystyczne i muzyczne.

Stała więc przed profesjonalną werbunkową komisją egzaminacyjną, która przyjechała do cegielni. W swojej naiwności była przekonana, że znajomość tabliczki mnożenia i innych elementarnych działań matematycznych, nabytych w gimnazjum, wystarczy do pomyślnego zdania egzaminu na księgową.

Gdy zadano jej pytania dotyczące podstawowych terminów i pojęć, używanych w księgowości, jak: *saldo*, *loco*, *franco*, *manko*, *porto* itp., o których nie miała zielonego pojęcia, została szybko wyrzucona za drzwi i wróciła do formowania cegieł.

Po krótkim czasie przyjechała inna komisja, tym razem poszukująca rzemieślników. Mając umiejętności przeciętnej gospodyni domowej i posługiwania się maszyną do szycia, przy wspomnianych zdolnościach manualnych, mama zgłosiła się do egzaminu praktycznego szwaczki, który odbył się wkrótce w mieście i pomyślnie go zdała! Poza jej szczególnymi zdolnościami artystycznymi, zadziwiła komisję gustownym wykończeniem (ros. *oddietka*) sukienki, a niewątpliwie decydującą rolę w pozytywnym zdaniu egzaminu odegrała biegła znajomość języka rosyjskiego, konieczna przy ustalaniu w przyszłej pracy szczegółów zlecanej usługi krawieckiej.

Jako jedyna polska rodzina zesłańcza w całym obwodzie semiipałatyńskim otrzymaliśmy w październiku 1940 roku od NKWD prawo do zamieszkania i zameldowania się w mieście, co miało dla nas ogromne znaczenie i pozytywne skutki.

Przeprowadzka do miasta

Trzeba było teraz znaleźć jakieś mieszkanie w mieście. Chodziliśmy z mamą od chaty do chaty, pytając o możliwość wynajęcia pokoju sublokatorskiego. W końcu znaleźliśmy pokój przy ulicy Dostojewskiego, w jednej z parterowych drewnianych chat, z których składało się w 95 procentach to 150-tysięczne miasto. Mieliśmy swój pokój, który po straszliwych warunkach barakowych wydawał się nam pałacem. Opalało się drewnem przynoszonym przeze mnie, co kilka dni na plecach z oddalonego o 5 km lasu, gdzie wolno było zbierać szyszki i suche gałęzie.

Naszymi gospodarzami było starsze kulturalne małżeństwo, on – emeryt inżynier, ona była nauczycielka. Mieszkaliśmy u nich tylko parę tygodni, ponieważ nasz miły gospodarz zaczął z zainteresowaniem zerkać na mamę, która była zawsze zadbana i mimo doznanych przejść wciąż atrakcyjna jako kobieta, mając 41 lat. W tej sytuacji zaczęły się szykany ze strony gospodyni, której to nie uszło uwadze, nie pozostawało więc nam nic innego jak szukać innego locum. Znowu chodziliśmy po domach i w końcu znaleźliśmy pokój u starszych ludzi, w drewnianej chacie, przy ulicy Hercena 90. Tam mieszkaliśmy ponad 2 lata.

Anastasija Prokofiewna Sur

Nasi nowi gospodarze, ludzie w wieku około 60 lat, byli ukraińskiego pochodzenia o dziwnym, jak na tę narodowość krótkim nazwisku – Sur. Gdy pytano gospodynię o nazwisko, zawsze odpowiadała: *Sur*, dodając – *po prostu – Sur*, bo często dopytywano się, sądząc, że jest to jakiś skrót. Trudno było posądzić prostą ukraińską rodzinę o pochodzenie francuskie!

Gospodarz – Fiedosij Demianowicz był z zawodu mistrzem jubilerskim, człowiekiem skromnym, zupełnie niekomunikatywnym – milczkiem. Natomiast jego żona, nasza gospodyni – Anastasija Prokofiewna, kobieta prosta, po podstawówce – była, jak to często bywa, jego przeciwieństwem, osiłą i głową gospodarstwa, dominowała w nim całkowicie i tylko z nią załatwiała się wszystkie sprawy formalne i towarzyskie.

Podaję nazwy ludzi według zasady rosyjskiej: imia-otczestwo, tzn. pierwsze imię i imię ojca. Ta forma jest wyłącznie wśród Rosjan używana we wszystkich środowiskach i jest najbardziej elegancka i grzeczna. Nawet na uczelniach i w środowiskach naukowych, gdzie u nas stosowane są tytuły akademickie, w Rosji preferuje się zwracanie per imia-otczestwo. Pytałem kiedyś Rosjanina – osobę dobrze zorientowaną, skąd mam znać imię ojca osoby mi nieznanej, z którą chcę rozmawiać. Odpowiedział mi: *Jeśli idziesz po raz pierwszy do kogoś i chcesz z nim załatwić jakąś sprawę – to postaraj się wcześniej skądkolwiek dowiedzieć, jak jego wieliczat' (jak go nazywać przez imia-otczestwo). Nieznajomość tego jest nietaktem.* Powiem więcej – nawet w małżeństwach, nie tylko inteligenckich, małżonkowie do siebie i o sobie używają tej właśnie formy. Jest to staroruski wyraz wzajemnego szacunku.

Często potocznie, przy bliższej znajomości używa się tylko *otczestwa*, np. Piotr Iwanowicz (syn Iwana) nazywany jest przez bliskich znajomych – Iwanowicz, a nawet skrótowo: Iwanycz.

Nasi gospodarze znaleźli się w Semipałatyńsku na początku XX wieku, gdy osiedlała się tam ludność emigrująca z przeludnionej Ukrainy i Białorusi. Jako specjalista jubiler (*juwielir – dielomastier*) nasz gospodarz w czasie porewolucyjnym był człowiekiem majątym. Gdy władza sowiecka zaczęła w latach 30. wywłaszczać tę część społeczeństwa, jako burżujów, wprowadzając *urawniłowkę*, naszym gospodarzom zabrano wszystkie kosztowności, robiąc rewizję, z przekopywaniem całego ogrodu w poszukiwaniu ewentualnie ukrytych cennych rzeczy włącznie.

Fiedosij Demianowicz został pozbawiony wykonywania zawodu jubilera i mógł wykonywać jedynie zawód ślusarza. Zajmował się naprawą popularnych wówczas prymusów – kuchenek naftowych i innych. Ponadto, wolno mu było zajmować się przetapianiem na bryle węgla drzewnego wyrobów ze złota, które mu przynosili najczęściej uciekinierzy z okupowanych terenów – ewakuowani Żydzi. Wobec braku towarów, podczas wojny wprowadzono sieć sklepów firmy nazwanej *Altajzołoto*, sprzedających brakujące na rynku towary za złoto, według specjalnego cennika. Warunkiem przyjęcia złota do obrotu, była przetopiona forma tego metalu, a nie jakiś przedmiot ze złota. W miarę pogarszania się warunków życia, Fiedosij Demianowicz miał coraz więcej klientów.

Anastasija Prokofiewna była dla nas, jak się nam wydawało, zycziwa. Dała mi kawałek piaszczystego ogrodu (wszędzie tam była ziemia piaszczysta), gdzie w lecie 1941 i 1942 roku uprawiałem pomidory, ogórki i arbuzy, ponieważ w tamtejszym klimacie i glebie tylko te rośliny nieźle się hodowało. Na wiosnę 1942 roku, na prośbę gospodyni, wykopałem na ogródku studnię o głębokości 4 metrów (głębiej kopać było bardzo trudno), zrobiłem szalunek z desek i tą wodą podlewało się nasze rośliny. Domek składał się z dwóch pokoi i przechodniej kuchni, która miała centralne położenie, wchodziło się do niej z sieni, po prawej był nasz pokój, około 12 m² (3 x 4), a po lewej pokój gospodarzy, około 20 m².

Po pewnym czasie okazało się jednak, że nasi gospodarze lubią sobie dobrze popić. Zapraszali co jakiś czas siostrę gospodarza z mężem i zaczynała się popijawa. Trwała do późnej nocy, a kiedy już spaliśmy, Anastasija pukała do naszych drzwi z prośbą, abym wyszedł. Musiałem się ubrać, wyjść. Wówczas, kompletnie pijana zwracała się do mnie: *Adam, nie w służbu, a w družbu schadi za półlitroj*²⁸. Dziwne jest, że w tym policyjnym kraju, podczas okrutnej wojny i głodu, funkcjonowały meliny, gdzie o każdej porze dnia czy nocy można było dostać alkohol! Były prawdopodobnie popierane przez państwo!

Nie miałem innego wyjścia. 13-letni chłopiec szedł w czarną noc, niekiedy w mróz i śnieg, aby zaspokoić pragnienie pijaków. Czasami musiałem iść po raz drugi. Z zupełnie pijanymi ludźmi nie było żadnej możliwości się dogadać. Pewnej nocy, około 3 nad ranem, ponownie usłyszałem alarmujące pukanie: *Adam, schodi pozwoni na skoruju pomoszcz, Fiedosij Demianowicz bolien!*²⁹ Telefon był w odległej 300 m wieży ciśnień (ros. *Водокачка*), czynnej całą dobę, bo tam kupowało się wodę pitną. Pogotowie rzeczywiście przyjeżdżało, stwierdzali zupełną nietrzeźwość chorego, może dawali mu jakieś placebo, i odjeżdżali, chyba bez żadnych konsekwencji finansowych dla wzywającego. Zapewne byli do tego przyzwyczajeni, a zlekceważenie wezwania, mogłoby mieć niewiadome i nawet niebezpieczne skutki w razie rzeczywistego zagrożenia. Poza tym, nad wszystkim czuwało wszechobecne NKWD!

²⁸ *Adamie, nie z obowiązku lecz z przyjaźni skocz po półlitra.*

²⁹ *Adamie, skocz do telefonu i wezwij pogotowie ratunkowe. Fiedosij Demianowicz jest chory.*

Nie był to jednak koniec takich nocnych seansów. Gdy goście już się rozeszli, a Fiedosij Demianowicz spał, Anastasija Prokofiewna, kompletnie pijana stawała pod piecem w kuchni i zaczynała monolog, tematycznie skierowany do nas, za drzwiami. Poruszała w nim najróżniejsze tematy, niestety dla nas nieprzyjemne i niemiłe. Na przykład mówiła, że przyjechaliśmy z Polski *gorod obsirat'* (*obrywać* im miasto), zapominając o tym, że nie przyjechaliśmy, a nas przywieziono, dalej wyrażała zdziwienie i dezaprobatę, że codziennie się myjemy i wiele innych bezsensownych uwag krytycznych i pretensji pod naszym adresem. I tak przez godzinę lub dłużej. Słyszalność wywodu była bardzo dobra, ponieważ drzwi były z dykty.

Nie było żadnego sensu podejmować dyskusji z zupełnie pijanym człowiekiem. Nie mogliśmy, oczywiście, spać. Mama dostawała rozstroju nerwowego, przygotowując się do porannej poważnej rozmowy. Nie dochodziła ona jednak do skutku, ponieważ na pytanie, następnego dnia, o co jej chodziło, niczego nie pamiętała i uciła dalszą dyskusję twierdzeniem: *Nie obraszczajcie wnimanija, czto pijanica bołtajet!*³⁰

A zatem, Anastasija Prokofiewna miała jakby dwie osobowości: pijacką i normalną! I tak żyliśmy harmonijnie do następnej ich libacji. Tematów politycznych nie poruszało się w rozmowach, ale po pijanemu nasza gospodyni czasem pozwalała sobie, ścisząc głos, na powiedzenie: *Sierp i mołot – smiert' i gołod!* Tego nie trzeba tłumaczyć!

Jako miłośnik psów, opiszę naszą przyjaźń z wielorasowym pieskiem gospodarzy o imieniu Bukiet. Może imię pochodziło od bukietu ras, które reprezentował. Piesek był bardzo podobny rozmiarami i maścią do późniejszej kosmicznej Łajki³¹. Był biały z wielokolorowymi plamami i uszkiem z opuszczonym w dół zakończeniem. Zawsze zastanawialiśmy się, czym karmią go gospodarze podczas tego głodu.

Okazało się, że Bukiet był na własnym wikcie. Kiedyś nakryłem go, jak zdążał truchtem na pobliski ryneček, gdzie były jatki mięsne z kosmicznie drogim, dla nas niedostępnym mięsem. Wieczorami grasowały tam miejskie, głównie bezpańskie, psy.

³⁰ Nie zwracajcie uwagi na bełkot pijaka!

³¹ Łajka (ros. лайка – oszczekiwacz) – ogólna nazwa psa, obejmująca wiele ras psów z grupy szpiców, z północy kontynentu eurazjatyckiego.

Oczyszczały targowisko z odpadów mięsnych i wyrzuconych kości. To właśnie była stołówka Bukieta. Wieczorem wracał do domu. Bardzo często polegiwał w naszym pokoju i przyjaźnił się z nami, mimo że jedzenia, oczywiście, nie dostawał. Była to więc prawdziwa, bezinteresowna miłość.

Gdy w 1943 roku wyprowadziliśmy się od Anastasiji Prokofiewny do innej części miasta około 1,5 km od poprzedniego mieszkania, jakież było nasze zdziwienie i wielka radość na widok Bukieta. Po upływie 2-3 tygodni od naszej wyprowadzki Bukiet zaskrobał do drzwi i zaszczekał. Przebiegł samotnie przez zaludnione miasto i znalazł nasz dom! Semipałatyńsk był miastem o ulicach bez chodników, poza ścisłym centrum i o małym ruchu pojazdów. Mimo tego trzeba było mieć wrażliwy instynkt i węch, aby odbyć taką wędrówkę! Takie mądre i zaradne były te kazachstańskie psy!

Po długich serdecznych powitaniach Bukiet położył się na łóżku i przespał całą noc. Na drugi dzień zniknął. Jak dowiedzieliśmy się, wrócił do swojego domu, nie powtarzając więcej tych wizyt. Po prostu zatęsknił i chciał nas odwiedzić.

Pierwsza zima na zesłaniu była okrutna dla wielu zesłańców, o czym już wspominałem, a zwłaszcza dla naszych współtowarzyszy, pozostałych w cegielni. Mieszkając na skraju bezkresnego stepu i pracując nadal w bardzo trudnych warunkach, często byli zasypywani zamieciami śnieżnymi. Przy mrozach średnio minus 15-25°C (w lutym temperatura spadała do minus 50), zawieszona była jedynie produkcja surowych cegieł. W swoich wspomnieniach, mój przyjaciel Wojtek Dyhdalewicz, który zimował w cegielni, pisze, że najtrudniejszym do zniesienia było zimno w nieocieplanym baraku, stojącym na skraju cegielni, ogrzewanym jedynie kuchenną płytą, zasypywanym często aż po dach śniegiem. Nie było opału, więc podkradano węgiel przeznaczony do pieców cegielnianych i przynoszono w kieszeniach.

Dowodem czujności władz było zatrzymanie jednej Polki, matki czterech chłopców – z około 2-kilogramową porcją kradzionego węgla w kieszeniach kurtki. Skazano ją na rok więzienia i czwórka jej synów w wieku 4-17 lat pozostała sama, bez matczynej opieki.

Nasza mama, na szczęście, wyzwolona od katorżniczej pracy fizycznej, pracowała w państwowej szwalni, szyjąc sukienki na za-

mówienie. W pracy wywiązywała się bardzo dobrze ze zleconych jej zadań i była traktowana przez kierownictwo tej placówki jak inni miejscowi pracownicy, a nawet chwalona. Jej klientki w tej państwowej szwalni nawiązały z nią osobisty kontakt i zapytały, czy mama mogłaby szyć prywatnie, w domu. Bez maszyny nie było to możliwe. Znalazła się jednak osoba, która zaproponowała bezpłatne użyczenie przenośnej maszyny do szycia z napędem ręcznym.

Od tej pory mama, oprócz pracy w spółdzielni szyła w domu i miała mnóstwo zamówień. Ciekawe jest to, że tego typu działalność nie była przez władze prześladowana – była przecież niepolityczna, a przy tym deficycie podaży wyrobów krawieckich na rynku, była nieoficjalnie popierana. Nasza sytuacja materialna zaczęła się polepszać!

Oczywiście, mama była w pracy bacznie obserwowana przez tajnego funkcjonariusza służb bezpieczeństwa (NKWD), który rezydował w każdym zakładzie pracy. Trzeba podkreślić, że nasze mieszkanie w mieście u Anastasiji Prokofiewny stało się przystankiem dla naszych byłych towarzyszy niedoli z cegielni, którzy podczas tej srogiej zimy musieli załatwiać swoje sprawy w mieście – na poczcie, w aptece, u lekarza itp. Mogli się u nas ogrzać, posilić się, wypić coś ciepłego i odpocząć przed bardzo trudną drogą powrotną w zimowe miesiące, prawie zawsze po nastaniu ciemności.

Aby dostać się do oddalonego od cegielni o 6-8 km miasta, położonego po drugiej stronie rzeki, musieli pokonać tę drogę już bez przeprawy motorówką, lecz pieszo przez skutą lodem rzekę, ponieważ już w końcu października ona zamarzała. Wówczas, jak wyżej wspomniałem, po zezwoleniu odpowiednich służb stawała się szlakiem komunikacyjnym z wytyczonymi drogami, aż do końca marca, a kiedy słońce już mocno grzało i temperatura podnosiła się do 20°C, pojawiał się komunikat zakazujący ruchu pojazdów i pieszych przez lód.

W tym przejściowym okresie jedyną komunikacją przez rzekę był pociąg zwany *trudowej*, czyli pracowniczy, odjeżdżający ze stacji Żana-Semiej do Dworca Głównego w Semipałatyńsku. Około 10-15 kwietnia lody na rzece Irtysz z hukiem ruszały i w ciągu kilku dni rzeka stawała się żeglowna.

Wojna sowiecko-niemiecka (1941)

Tak ważna dla naszych dalszych losów sytuacja polityczna w Europie wciąż się dla nas pogarszała. Wojna rozszerza się na kontynent afrykański, gdzie „lis pustyni” – feldmarszałek Erwin Rommel prowadził z powodzeniem ofensywę przeciwko Brytyjczykom.

W kwietniu 1941 roku wojska niemieckie zajmują Jugosławię i Grecję. Prasa sowiecka milczy na temat przyjaznych do pierwszej połowy 1940 roku stosunków sowiecko-niemieckich. Dopiero po wybuchu wojny dowiadujemy się, że **Hitler zdradza swojego sojusznika, decyduje się na agresję Niemiec na ZSRR.**

Już 18 grudnia 1940 roku jest gotowy supertajny ostateczny plan inwazji, nazwany **Planem Barbarossa**. Początkowo Hitler wyznaczył inwazję na 15 maja 1941 roku, ale ze względu na wypadki na Bałkanach, przesunięto ją na 22 czerwca.

I oto, zupełnie niespodziewanie dla nas i dla prawie wszystkich na świecie, **22 czerwca 1941 roku** zostaje ogłoszony komunikat TASS³² o **napaści wojsk niemieckich na ZSRR, bez wypowiedzenia wojny**. Dla wszystkich, a szczególnie dla środowiska Polaków na zesłaniu była to wiadomość szokująca!

W ciągu jednego dnia, a nawet kilku godzin sytuacja polityczna w Europie i na świecie zmieniła się diametralnie. **Od tej chwili nasz ciemniejszy – Związek Sowiecki staje się śmiertelnym wrogiem naszego głównego wroga i okupanta Polski – hitlerowskich Niemiec!** Wszyscy Polacy na zesłaniu przyjęli to jako wybawienie, licząc na istotną zmianę naszej sytuacji, na razie nie wiadomo było zupełnie, w jaki sposób.

W pierwszych tygodniach wojny NKWD bardzo bacznie obserwuje Polaków. Mama jest wzywana do NKWD. Przepytwana łagodnie i grzecznie na temat jej zdania o zaistniałej sytuacji. W odpowiedziach musi lawirować, żeby nie powiedzieć, zgodnie z naszymi przekonaniem, że widzimy w tej sytuacji jakąś dla nas nadzieję na wyzwolenie. Warunki polityczne do zawarcia umowy między polskim rządem emigracyjnym w Londynie a Związkiem Sowieckim przy tym układzie były niezwykle sprzyjające. Zaistniały tym samym realne możliwości uratowania setek tysięcy Pola-

³² Teliografnoje Agenstwo Sowieckowo Sojuza.

ków, zamkniętych w więzieniach na terytorium całego ZSRR, więzionych w setkach obozów koncentracyjnych Archipelagu Gułag, rozproszonych w różnych stronach jako ofiary masowych aresztowań i przymusowych deportacji.

30 lipca 1941 roku w Londynie został zawarty układ przywracający, zerwane 17 września 1938 roku, stosunki dyplomatyczne między rządem Rzeczypospolitej Polskiej a ZSRR, znany jako *Układ Sikorski-Majski* od nazwisk jego sygnatariuszy: premiera polskiego rządu w Londynie i sowieckiego ambasadora w Wielkiej Brytanii. Najważniejszymi ustaleniami tego układu była amnestia dla wszystkich obywateli polskich na terenie ZSRR, którzy mieli ograniczoną wolność, a więc zamkniętych w więzieniach i obozach, a także dla nas, zesłańców – *specpieresielieńców*.

Uzyskaliśmy prawo swobodnego poruszania się po Związku Sowieckim, co jednak było niezwykle trudne, wobec toczącej się okrutnej wojny i przeładowaniu środków transportu (głównie kolei) dostawami wojskowymi i ewakuacją całych fabryk i ludności z terenów przyfrontowych. Drugim ważnym dla nas punktem układu była decyzja o utworzeniu na terytorium Związku Sowieckiego Armii Polskiej, która miała uczestniczyć pod polskim dowództwem w wojnie przeciwko hitlerowskim Niemcom, obok Czerwonej Armii. Dowódcą tej armii został dotychczasowy więzień Łubianki generał Władysław Anders. Liczyliśmy przede wszystkim na to, że dowiemy się o nieznanym losie naszych ojców z obozów jeńieckich NKWD, z którymi wiosną 1940 roku utraciliśmy kontakt.

W większych miastach powstają Delegatury Ambasady Polskiej w ZSRR. Ich zadaniem jest rejestracja Polaków, którzy do 17 września 1939 roku byli obywatelami polskimi, a także ich działalność społeczna, oświatowa itp. Szczególne trudności napotykały przy ustalaniu miejsc pobytu Polaków. Taka bowiem działalność była w ZSRR traktowana jako szpiegowska i wielu delegatów dostało się później za to do więzienia.

Pierwsze polskie dywizje zaczynają powstawać w części europejskiej ZSRR (Buzułuk, Tockoje), ale dopiero wczesną wiosną 1942 roku sztab generała Andersa przenosi się w strefę łagodniejszego klimatu – do miejscowości Jangi-Jul na południe od Taszkeentu w Uzbekistanie. Rozpoczyna się wielka wędrówka Polaków po Związku Sowieckim.

Pomimo rozporządzeń o amnestii i o swobodnym poruszaniu się po Związku Sowieckim oraz zaleceń rządowych, aby ułatwić przemieszczanie się Polakom po tym ogromnym kraju, realizacja tego była bardzo trudna. Po pierwsze, trwała okrutna wojna z Niemcami i wszystkie koleje były zajęte ewakuacją przemysłu i ludzi, przewozem wojsk, towarów, przede wszystkim zaopatrzenia frontu i wojska ze strefy działań wojennych. Obowiązywała nienaruszalna zasada: *Всё для фронта, всё для Родины*³³. Wszystkie przewozy, niezwiązane z tym celem, były odraczane i opóźniane. Ludzie czekali często tygodniami na dworcach, na zdobycie miejscówki, przeważnie w okropnych warunkach, wyczerpani.

Na południe, do Jangi-Jul (Uzbekistan), ruszyli więźniowie z obozów koncentracyjnych, położonych na dalekiej północy. Dołączyli do nich zesłańcy z Syberii i Republiki Komi, z Kamczatki. Z całego niezmiernego obszaru tego kraju zaczęli zjeżdżać na południe wycieńczeni, zawszeni, wygłodniali, schorowani Polacy w nadziei wstąpienia do wojska. Liczyli na wyżywienie, umundurowanie i możliwość walki z najeźdźcą – hitlerowskimi Niemcami. Organizacja przemieszczeń i lokalizacji tej ogromnej populacji rodaków była zadaniem niezwykle trudnym, ponieważ nie dało się wszystkich od razu przyjąć, nakarmić, zakwaterować i wyposażyć.

Do wojska zostały wcielone w pierwszej kolejności roczniki poborowe, a całe rzesze ludności, która spontanicznie i w sposób niekontrolowany napłynęła z całego ZSRR, starano się rozlokować przynajmniej tymczasowo w okolicznych w stosunku do punktów tworzenia się armii – kołchozach i farmach, co też napotykało na znaczne trudności. Trwała przecież okrutna wojna: głód, choroby, dziesiątkowały Polaków, pochowanych potem na licznych cmentarzach polskich w Uzbekistanie. O gehennie Polaków w Związku Sowieckim, w latach 1941-1942, a zwłaszcza w Uzbekistanie, pisze naoczny świadek i uczestniczka tych wydarzeń Beata Obertyńska w książce *W domu niewoli*.

Wielu Polaków – *specpriesielielców*, szczególnie młodych ludzi w wieku poborowym – decyduje się na bardzo trudną wyprawę: jazdę fatalnie kursującymi, niezwykle przeładowanymi pociągami do ośrodków, gdzie tworzy się Armia Andersa.

³³ Wszystko dla frontu (na potrzeby frontu), wszystko dla Ojczyzny.

Samodzielna wyprawa matek z dziećmi była ryzykowna w warunkach wojennych, gdy jedynym możliwym środkiem transportu była kolej, przepełniona wojskowymi transportami i falą uciekinierów sowieckich z zachodniej części kraju. Łatwiejszą sytuację miały te rodziny, których krewni, zwolnieni z obozów na podstawie amnestii, dotarli już do ośrodków tworzenia się Armii Polskiej, i mogli wysłać oficjalne urzędowe zaproszenia imienne dla bliskich, na podstawie którego otrzymywali oni dokument znacznie upraszczający procedurę zdobywania biletów i miejscówek, ale także związany z wielodniowym wyczekiwaniem przy kasach kolejowych.

Nam, niestety, nie było komu wysłać takiego zaproszenia (ros. wyzow). Poza tym, dla ludzi w wieku niepoborowym istniało ryzyko, że nie będą wcieleni do wojska i będą musieli szukać miejsca zamieszkania gdzieś w pobliżu Polskiej Armii w nadziei, że będą mogli opuścić Związek Sowiecki w przypadku ewakuacji wojska na Bliski Wschód: Iran, Irak, Palestyna.

Złożyłem podanie w miejscowej Delegaturze Ambasady Polskiej do tzw. Polskich Hufców Junackich, tworzonych na Bliskim Wschodzie, dla młodzieży w wieku przedpoborowym, ale nie mając jeszcze ukończonych 14 lat, nie zostałem przyjęty. Poza tym, gdy mama zapytała mnie: *Czy chcesz nas same tutaj zostawić?* zrezygnowałem z dalszych starań, pamiętając pożegnalne słowa ojca we wrześniu 1939 roku. Inna sprawa, że miejsca w tych hufcach były przeznaczone w pierwszej kolejności dla sierot, czyli dla dzieci, które w koszmarnych warunkach utraciły swoje matki i zostały zupełnie samotne w tym okrutnym, bezkresnym kraju. Pozostaliśmy na miejscu do końca wojny, podobnie jak około 80 procent zesłańców.

Semipałatyńsk jest położony przy turkiestańsko-syberyjskiej magistrali kolejowej, łączącej Nowosybirsk z Taszkentem. Zatem, wszystkie pociągi jadące z północy na południe przejeżdżają przez to miasto. Liczba mnoga odnosi się do pociągów wojskowych i towarowych, natomiast dziennie jechał tylko jeden pociąg osobowy.

Z chwilą ogłoszenia amnestii, oczekiwaliśmy z niecierpliwością na powrót ojca i innych polskich oficerów z niewoli sowieckiej. Prawie codziennie wychodziliśmy z siostrą na dworzec, do tego jedyne w ciągu dnia pociągu. Pytaliśmy, czy jadą w nim jeńcy

obozów w Starobielsku, Kozielsku, Ostaszkwie. Nikt z wymienionych obozów nie przejeżdżał przez Semipałatyńsk i nikt z wieluset pytanym przez nas byłych więźniów nie wiedział nic oraz nie słyszał o miejscu ich pobytu.

Wojtek Lubiński

Wróćę do września 1939 roku. Pewnego dnia, w końcu września, gdy kończyła się kampania wrześniowa, zjawia się w naszym mieszkaniu we Lwowie mój kuzyn Wojtek Lubiński ze Zbierska (pod Kaliszem), syn wujka Janka, o którym już wspomniałem.

Wujostwo wyruszyli z dziećmi – uciekając, jak wielu Polaków na początku wojny, na wschód przed nawałą niemiecką – furmanką prowadzoną przez ciocię Julę. Wujek Janek został w domu, pilnując mienia. Po dotarciu w okolice Łodzi, najstarszy z rodzeństwa 18-letni Wojtek postanowił uciekać dalej rowerem, ponieważ wojska niemieckie niebezpiecznie zbliżały się, a młodzieńcy czuli się najbardziej zagrożeni. Panowała ogólna panika i nikt nie potrafił myśleć rozsądnie, więc decyzje były podejmowane żywiołowo.

Trzeba podkreślić, że Wojtek był zawsze człowiekiem niepokornym i dążył do wykorzystania takiej okazji, aby wyzwolić się spod kontroli rodzicielskiej i uzyskać pełną swobodę.

Wkrótce wojska niemieckie ogarnęły uciekinierów, którym pozostało zawrócić z powrotem do Zbierska, do domu. Działania wojenne w 1939 roku dobiegły końca i nastąpiła okupacja. Cukrownia Zbiersk znalazła się na terenie prowincji Warthegau, wcielonej do Reichu (Niemiec), czyli nienależącej do General Gouvernement, zwanej popularnie Gubernią.

Wojtek – po wielu przygodach, przez Polesie, Wołyń dotarł do nas, do Lwowa, w końcu września, gdzie, oczywiście, miał oparcie. Dla niego to była wielka przygoda – niezależnił się od opieki i dyscypliny domu rodzicielskiego, miał pełną wolność, mógł decydować o sobie, a bardzo tego chciał. Przez kilka tygodni mieszkał w naszym mieszkaniu, ale moja mama, czując się odpowiedzialna za losy bratanka, zaczęła kontrolować jego poczynania. Postanowił więc cioci podziękować za opiekę i prowadzić samodzielne życie w okupowanym przez Sowieców Lwowie.

Wiedzieliśmy, że zajmuje się czarnorynkowym handlem, jak większość Polaków pod sowiecką okupacją. Wojtek miał szczególny talent i wyczucie w handlu. Po naszym aresztowaniu kontakt z Wojtkiem się urwał, ale od lwowskiej rodziny dowiedział się, że zostaliśmy wywiezieni do Semipałatyńska.

W środku lata 1940 roku Wojtek zostaje aresztowany przez NKWD we Lwowie za przynależność do polskiej organizacji podziemnej i zapewne również za zajmowanie się nielegalnym handlem, który okupanci nazywali spekulacją. Tacy młodzi Polacy byli bacznie obserwowani przez władze okupacyjne i prędzej czy później wpadali w ręce NKWD.

Wojtek był sądzony i skazany na parę lat obozu koncentracyjnego, co było powszechne na okupowanych terenach. Dostał się do ciężkiego obozu *Suchobezwodnoje* na północnym Uralu. Tam przeżył w koszmarnych, zimowych warunkach, wśród niebezpiecznych sowieckich kryminalistów, trudną zimę 1940/1941.

Gdy ogłoszono amnestię dla Polaków w wyniku *Umowy Sikorski-Majski*, zapytano go, dokąd chciałby się udać. Bez wahania odpowiedział, że do swojej cioci, która mieszka w Semipałatyńsku, bo tylko tyle o nas wiedział.

Pewnego dnia, na początku listopada 1941 roku, nasza gospodyni Anastasija Prokofiewna, przyprowadza nam nędzarza w zawieszonych łachmanach, w obuwiu z wyciętych kawałków opony samochodowej, zszytych drutem, który koło dworca, na ulicy, zupełnie przypadkowo zapytał właśnie ją, czy nie zna Polki o nazwisku Zaleska, z dwojgiem dzieci.

Ten zadziwiający przypadek sprawił, że Wojtek znowu spotkał się z nami w jakże odmiennych okolicznościach! Zamieszkał z nami. Byliśmy teraz we czwórkę w tym naszym 12-metrowym pokoiku. W nocy trudno było się po nim poruszać. Oczywiście, cały jego dobytek i zawzione ubranie zostało spalone, a w działającym już wówczas Biurze Delegatury Ambasady Polskiej w naszym mieście dostał z amerykańskich darów ubrania, w których przezimował, mieszkając z nami.

Jako były więzień Gułagu i człowiek bardzo zaradny wiedział, że w tej sytuacji, w tych głodowych warunkach trzeba się trzymać w pobliżu instytucji związanych z wyżywieniem. Podjął więc pracę jako woźnica – prawie wszyscy młodzi tubylcy byli na froncie.

Rozwoził saniami zaprzężonymi w konia pieczywo z piekarni, gdzie zawsze mógł liczyć na dodatkowe, pozakartkowe porcje.

Nasi gospodarze mieli córkę Raisę, zdrobniale – Raję lub Raiczkę, o której Anastasija Prokofiewna z dumą opowiadała, że ukończyła germanistykę i jest *nauczycielką języka niemieckiego, a jej mąż jest dyrektorem kołchozu*. Po roku zamieszkiwania u Anastasiji Prokofiewny, mieliśmy okazję poznać jej dwudziestokilkuletnią córkę, która przyjechała z odległego o ponad 100 km kołchozu w odwiedziny do rodziców, ze swoim niemłodym już mężem, na kilka dni. Raja była miłą, wesołą, niepiękną, ale kokieteryjną, dobrze zbudowaną dziewczyną, seksi, o wielkim biuście.

Był już listopad 1941 roku i z nami mieszkał już Wojtek, który wrócił z lagrów. Jako wielkiemu kobieciarzowi – 21-letniemu podrywaczowi, wyposzczonemu po pobycie w gułagu – Raja od razu wpadła w oko. Będąc woźnicą, miał do dyspozycji sanie z koniem. Udało mu się namówić ją do wieczornego kuligu, a więc *hajda trojka, śnieg puszysty*³⁴. Potem podniecał mnie, przerażonego 13-letniego smarkacza, i gorszył, szeptem opowiadając wieczorami ze szczegółami o swoich miłosnych sukcesach z Rają, podczas wieczornych przejażdżek saniami przy księżycu. Na szczęście, Raja z mężem wyjechali, zanim zauważono ich miłosne igraszki.

Na wiosnę 1942 roku został zmobilizowany do powstającej na terenie ZSRR Polskiej Armii pod dowództwem Andersa. Wywędrował z armią na Bliski Wschód, potem uczestniczył w kampanii włoskiej, w bitwie pod Monte Cassino.



Po zakończeniu działań wojennych Wojtek ożenił się z Włoszką Alfonsiną Bocolacci, z którą miał córkę Julię (1946). Zamieszkali w mieście Fermo, prowincja Fermo, ustanowiona jako piąta prowincja w regionie Marche (2004), wydzielona z wcześniej istniejącej prowincji Ascoli Piceno.

Wojtek Lubiński z żoną, Fermo 1945

³⁴ Fragment starej rosyjskiej pieśni: *Гайда тройка, снег пушистый, ночь морозая кругом, светит месяц серебристый, мчится парочка вдвоём...*

Powojenne losy Wojtka

W roku 1948, na prośbę swojej matki, wraca do Polski z żoną i 2-letnią córeczką Julą. Osiedla się w Zbiersku, a potem w Kaliszu.



Mario i Julia Lubińscy, Kalisz 1955, fot. AZ

Przychodzi na świat drugie ich dziecko: syn Mario (1951). Zawsze niezależny Wojtek nie może znieść komunistycznych ograniczeń w wolnym handlu i produkcji, którą się zajmuje, prowadząc chałupniczo szwalnię dziecięcych ubranek, których wzory otrzymuje od swojej teściowej z Włoch. Postanawia pod pretekstem wizyty u włoskiej rodziny żony wyjechać z Polski, by tam poprosić o azyl.

Ciekawe, że władze włoskie, chcąc być lojalnymi w stosunku do komunistycznego rządu polskiego, przez wiele lat robią im trudności z przyznaniem obywatelstwa, ponieważ Alfonsina podczas pierwszego pobytu w Polsce zrzeka się nieopatrnie obywatelstwa włoskiego, przyjmując polskie, zgodnie z zasadą: *Gdzie ty Kajus, tam i ja Kaja*. Wykorzystując koneksje kościelne, udaje się im po kilku latach uzyskać zameldowanie we Włoszech i tam zamieszkać na stałe. Pracuje wiele lat, prowadząc własną hurtownię artykułów nikotynowych. Umiera w Fermo (2009).



Adam z Julą Lubińską, Fermo 1964



Mario Lubiński z córką Margheritą i z babcią – Małgorzatą Rutską z domu Lubińską, Wrocław 2009, fot. Adam Zaleski



Wnuki Wojtka Lubińskiego, dzieci Julii i Franco Picoletto: Sergio, Silvia, Marina, na ślubie Elisy z Massimiliano Zammarano, Fermo 2009, fot. Adam Zaleski

Julia i Mario zakładają rodziny we Włoszech. Julia wychodzi za mąż za przedsiębiorcę obuwniczego Franco Picoletto, zamieszkuje w mieście Bracciano w północnych Włoszech i ma troje dzieci: Silię, Gorgio i Marinę – na zdjęciu powyżej.

Mario współpracuje z ojcem, prowadząc w Fermo firmę *Articoli pro fumatori (Artykuły dla palaczy)*, przejmując ją również po śmierci ojca. Żeni się z piękną Tizianą, z którą ma 5 córek: Elisę, Cristinę, Annę, Margheritę, Irinę i syna Stephano.



Wnuki Wojtka Lubińskiego, dzieci Maria i Tiziany. Od lewej: Margherita, Anna, Irina, Cristina, Stephano, Elisa. Stoją: Tiziana ze swoją matką, Pasqua 2009

Elisa wychodzi za mąż za Massimiliano Zammarano w 2009 roku, a Cristina za Roberto Quagliolo w roku 2010. Elisie i Massimiliano rodzi się syn Riccardo (2010), a Cristinie i Roberto uroczą córeczka Beatrice (2011).

W 2009 byliśmy z Zosią, Piotrem i wnuczką Olą na ślubie oraz weselu Elisy i Massimiliano w Fermo, zaproszeni przez Mario.

Zosia i Stasio Grodzieńscy

Po uzyskaniu w jesieni 1940 roku pozwolenia na osiedlenie się w Semipałatyńsku, nasi znajomi z cegielni prosili mnie o załatwianie różnych spraw w urzędach, których sami nie mogli wykonać z powodu odległości zamieszkania. Tak się zdarzyło, że omyłkowo wysiedlonej starszej pani rodzina załatwiła w NKWD prawo do powrotu i proszono mnie, abym zaprowadził ją w Semipałatyńsku do gmachu NKWD. Był grudzień 1940 roku.

Gdy znalazłem się po południu w holu tej ponurej instytucji, zobaczyłem z wielkim zdziwieniem znajomych z sąsiedniej ulicy we Lwowie: Zosię (16 lat) i jej o rok młodszego brata Stasia Grodzieńskich, z którymi po wywóźce nie mieliśmy żadnego kontaktu. Mieli ze sobą tobołek i nie wiedzieli, co dalej robić. Zostali wypuszczeni z więzienia i znaleźli się jako bezdomni na ulicy, na szczęście, w niezbyt mroźny wieczór.

Okazało się, że byli wywiezieni 13 kwietnia 1940 roku i osadzeni w kołchozie około 100 km od Semipałatyńska. Tam zjawił się prowokator, analogiczny do opisanego wyżej Nowaka, który obiecał im i ich matce załatwić ucieczkę do Chin. Skończyło się podobnie jak to wcześniej opisałem. Matkę zatrzymano w więzieniu, skąd wyszła po amnestii w sierpniu 1941 roku, a ich jako nieletnich wypuszczono wieczorem na ulicę w obcym mieście, bez żadnej pomocy!

Oczywiście, zabrałem ich do pokoiku w naszej chacie u Anastasiji Prokofiewny. Po kilku dniach znaleźli sobie pokój sublokatorski u byłego popa. Telegraficznie rodzina przysłała im pieniądze ze Lwowa i w ten sposób mogli dalej egzystować. Mieliśmy więc towarzystwo w mieście. Byli to bardzo sympatyczni przyjaciele, z którymi często spotykaliśmy się przez następne pół roku, do ich wyjazdu.

Los wkrótce nas rozdzielił. Po amnestii i połączeniu się z matką, natychmiast, bez wahania przedzierali się do Armii Andersa, będąc w wieku poborowym 16-17 lat. Zostali wcieleni do wojska i wywędrowali na Zachód. W latach 90. ubiegłego stulecia, zdobyliśmy od ich krakowskiej rodziny adres Zosi Grodzieńskiej w Kalifornii i po nawiązaniu kontaktu umówiliśmy się w Krakowie. Na tym spotkaniu poznaliśmy ich wojenne i powojenne losy.

Mój przyjaciel Staś uczestniczył w inwazji Aliantów na Europę i walcząc w Normandii, zginął pod Falaise w sierpniu 1944 roku. Zosia wyszła za męża. Po wojnie emigrowali z mężem do USA. Zamieszkali w Los Angeles. Byłem z nimi po 1998 roku stale w kontakcie.



Zosia Grodzieńska z mężem oraz siostra Zosia, Kraków 2001, fot. Adam Zaleski

Spotkaliśmy się w Krakowie, podczas ich odwiedzin w kraju w roku 2001. Będąc w Kalifornii w 2004 roku, miałem odwiedzić Zosię w Los Angeles, ale groźny rak płuc zabrał ją z tego świata kilka miesięcy przed moim przyjazdem.

Bronisław Tomczyk

Jak już wspominałem, moi rodzice prowadzili szerokie życie towarzyskie, a my, dzieci, poznawaliśmy, dzięki temu nowych ciekawych ludzi. Około 1937 roku pojawił się u nas w domu bardzo przystojny trzydziestoparoletni mężczyzna, o nienaganych manierach – pan Bronisław Tomczyk, zwany przez przyjaciół Bionio. Był z wykształcenia prawnikiem.

Pracował jako doradca w Dyrekcji PKP we Lwowie. Spotykaliśmy się również na spacerach w parku Stryjskim, razem z przyjaciółką mamy panią Neonillą Kilarową, matką Wojciecha, znanego wybitnego kompozytora.



Park Stryjski. Od lewej: Zosia, Wojtek Kilar, jego mama – Neonilla, Bronisław Tomczyk, Adam, Lwów 1938, fot. Stanisława Zaleska

Pan Bronisław zaimponował mi bardzo, gdy dowiedziałem się, że jest lotnikiem sportowym. Latał nieprofesjonalnie na samolotach sportowych i awionetkach, a więc w pewien sposób był związany z lotnictwem. Po wybuchu wojny straciliśmy, oczywiście, kontakt z panem Tomczykiem, z którym w przeszłości łączyły nas jedynie luźne relacje towarzyskie.

Minęło kilka lat. Jest jesień 1941 roku. Mieszkamy już od roku w Semipałatyńsku u Anastasiji Prokofiewny. Przeżywamy naszą amnestię i wędrowkę Polaków po Związku Sowieckim do powstającej Armii Andersa.

Jakież było nasze zdziwienie, gdy pod koniec września 1941 roku zjawia się u nas Bronisław Tomczyk! Nie w tak okropnym, wynędzniałym stanie jak mój kuzyn Wojtek, lecz dość schludnie ubrany. W jaki sposób do nas dotarł?

Już 27 września 1939 roku, po klęsce wrześniowej, zaczyna się tworzenie struktur podziemnych na terenach okupowanych. Powstaje SZP – Służba Zwycięstwa Polski, która 13 listopada 1939 roku przeradza się w Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), a później: 14 lutego 1942 roku Dekretem Naczelnego Wodza generała Władysława Sikorskiego – w Armię Krajową (AK).

W początkowej fazie na czele walki podziemnej staje generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz (1893-1964), nota bene nie tylko wojskowy, lecz wolnomularz, teozof, duchowny kościoła liberalno-katolickiego. Tomczyk natychmiast angażuje się we Lwowie w działalność podziemną. Niestety, liczni donosiciele-komuniści przyczyniają się do ujawnienia powstałych struktur podziemnych i zarówno generał Tokarzewski, jak i podlegli jemu działacze-konspiratorzy trafiają do więzień i łagrów. Generał Tokarzewski trafia do więzienia na Łubiance, skąd po amnestii, razem z generałem Andersem będą tworzyć Armię Polską w ZSRR; generał Anders – II Korpus, generał Tokarzewski – III Korpus.

Aresztowany we Lwowie Tomczyk po miesięcznym okrutnym śledztwie we Lwowie, o którym dalej więcej piszę, jest sądzony i skazany na 8 lat ciężkich robót na Syberii, a po ponadrocznym pobycie w obozie zostaje zwolniony na mocy *Układu Sikorski-Majski* i dostaje się do Polskiej Ambasady w Kujbyszewie. Wszystkie ambasady są w jesieni 1941 roku ewakuowane z Moskwy wobec zbliżania się niemieckich wojsk do stolicy. Tam zostaje mianowany attaché i delegowany do Semipałatyńska – jednego z większych w tym czasie w ZSRR skupisk Polaków – w celu przeprowadzenia poboru do Armii Andersa. Przeglądając listę Polaków w Polskiej Delegaturze w Semipałatyńsku, znalazł nasze nazwisko. Stąd jego niespodziewane u nas odwiedziny.

Niezapomniana była ta wizyta u nas pana Bronisława w Semipałatyńsku. Bardzo dokładnie przez cały wieczór opowiadał nam o szczegółach śledztwa we Lwowie.

Po raz pierwszy dowiedzieliśmy się od bezpośredniego świadka o sowieckich metodach śledczych. Był to czas, kiedy NKWD

nie stosowało już tortur fizycznych (stresujące dla śledczych i kosztowne!), ale bardziej wyrafinowane i naukowo opracowane metody *doprośa* (śledztwa). Nigdy nie zapomnę relacji pana Bronisława!

Pokoik w piwnicy gmachu NKWD – we Lwowie przy ulicy Pełczyńskiej, dawny budynek dyrekcji Miejskich Zakładów Elektrycznych. Na środku pokoiku stół, przy którym odbywa się przesłuchanie więźnia. Silne światło skierowane na twarz przesłuchiwanego. Przesłuchanie może trwać nieskończenie długo. Zmieniają się tylko śledczy. Za pokojem, w długim korytarzu słychać co chwilę strzały. *Nu Tomczik ty młodoj, nie żałko tiebie uże umirat?* (*Tomczyk, jesteś młody, nie żal ci umierać?*) Słychać strzały w korytarzu! To tworzenie odpowiedniej atmosfery! Pytanie: *Nu Tomczik, czto wy dietali w aprielle 1939 goda?* (*Tomczyk, co robiliście w kwietniu 1939 roku?*) Następuje odpowiedź więźnia. *A prieżdnie?* (*A przedtem?*) Odpowiedź więźnia. *A prieżdnie?* Odpowiedź więźnia. *A prieżdnie?* Odpowiedź itd. Wreszcie śledczy dochodzi do jakiegoś czasu, np. do lat dwudziestych i wówczas następuje zwrot o 180 stopni. Następne pytanie brzmi: *A patom?* (*A później?*) Odpowiedź itd.

Tak powstaje autoweryfikacja poprzednich odpowiedzi; bardzo łatwo wykryć nieścisłości, co jest traktowane jako wpadka. Śledztwo zaczyna się od nowa lub kończy. Przesłuchanie trwa wiele godzin, więzień nie jest w stanie skupić myśli, pada ze zmęczenia i braku snu. W pewnym momencie można mu było podsunąć jakieś ważne oświadczenie lub zgodę na podpisanie czegoś, czego przedtem nie chciał zrobić; teraz miał zupełnie zaburzoną świadomość.

Słuchając pana Bronisława, byliśmy pod ogromnym wrażeniem jego opowieści, czego najlepszym dowodem jest zapamiętanie tego przeze mnie przez długie lata. Pan Bronisław był wówczas, po tych koszmarnych przejściach, **mając trzydzieści parę lat, całkowicie siwy**. Nikogo jednak nie wydał! W Semipałatyńsku pan Tomczyk był tylko kilka dni i kontakt z nim się urwał. Sądziłem, że nigdy nie dowiem się o jego dalszych losach. Myliłem się jednak.

W 1994 roku zmarła w Krakowie moja mama i od tego czasu dość często jeździłem na jej grób. Na początku 1998 roku, gdy chciałem odwiedzić mamy grób na cmentarzu Rakowickim, musiałem trochę poczekać, ponieważ od dworca szedł uroczysty kon-

dukt z wojskowymi honorami. Odprowadzano na miejsce wiecznego spoczynku szczątki jakiegoś polskiego lotnika, przywiezione z Wielkiej Brytanii. W kwartalniku „Cracovia – Leopolis” udało mi się znaleźć dopiero teraz (2013), przy przygotowywaniu tekstu tej książki następującą notatkę z 9 stycznia 1998 roku.

Spocząć w wolnej Polsce

Ostatnia droga Bronisława Tomczyka

Wczoraj na cmentarzu Rakowickim, przy kwaterze lotników brytyjskich, spoczął zmarły na emigracji w Wielkiej Brytanii major Bronisław Tomczyk (Tom Conrad), weteran lotnictwa. Do wybuchu II wojny światowej pracował jako prawnik w Dyrekcji PKP we Lwowie. W październiku 1939 roku aresztowała go NKWD. Po miesiącach przesłuchań został skazany na 8 lat robót oraz wywózkę do łagru na Syberię. Na mocy Układu Sikorski-Majski trafił do formującego się polskiego wojska i jako attaché wojskowy w Delegaturze Rządu Polskiego w Semipałatyńsku organizował pobór do wojska w Kujbyszewie, Kołtubance i Buzuluk. U boku Władysława Andersa przedostał się do Szkocji, gdzie jako oficer operacyjny dostał przydział do 308 Dywizjonu Myśliwskiego, a później do 306 Dywizjonu. Dostał skierowanie do 129 Dywizjonu RAF w 133 Polskim Skrzydle Myśliwskim PDM, w którym pełnił funkcję oficera taktycznego. Podczas inwazji wojsk aliantów w Europie Zachodniej był oficerem łącznikowym RAF. Po zakończeniu wojny nie wrócił już do Polski, wyjechał do USA. Po powrocie do Londynu w 1954 roku rozpoczął pracę na Wydziale Współpracy Naukowej z Zagranicą w Ambasadzie USA, by wkrótce objąć stanowisko kierownika. Dopiero po roku 1973 kilkakrotnie przyjeżdżał do Polski. W roku 1992 został mianowany majorem rezerwy przez Władze Polskie w Londynie. Zmarł 13 grudnia 1997 roku.

A więc, dopiero teraz – w 2013 roku – dowiedziałem się, że w styczniu 1998 roku zupełnie nieświadomie i przypadkowo uczestniczyłem w ostatniej drodze majora Bronisława Tomczyka, naszego znajomego ze Lwowa. Tak wiele lat po wojnie nieprzewidywalnie krzyżują się ludzkie szlaki!

Tola – wirtuoz gitary

W 1943 roku nadarzyła się okazja rozstania się z Anastasią Prokofiewną i przeprowadzenia się do mieszkania na pierwszym piętrze w jednopiętrowym, również drewnianym domu przy ulicy Komisarskiej 71. Na zdjęciu satelitarnym w 2013 roku już go nie znajduję, stoją tam bloki mieszkalne. Nasz pokój był teraz większy – około 20 m², ale bez pieca, tylko ogrzewany tzw. kozą, piecykiem metalowym, który, jak wiadomo, utrzymuje ciepło tylko podczas palenia.

Podpatrzywszy na cegielni pracę zduna, postanowiłem zbudować sam piec z cegieł, zawierający płytę kuchenną do gotowania. Spaliny skierowałem do ceglanego, labiryntowego ogrzewacza dla utrzymania przez dłuższy czas ciepła w pokoju, dzięki dużej pojemności cieplnej cegieł. Od dzieciństwa miałem skłonności inżynierskie. To mi się udało, ale do palenia miałem tylko drewno, przyniesione na plecach z oddalonego o 6 km lasu, a ono z kolei nie było w stanie ogrzać tak dużego pokoju w drewnianym domu, w czasie największych mrozów.

W lutym temperatura na zewnątrz spadała do minus 45°C, a nad ranem w domach było zawsze poniżej zera (rekord w naszym pokoju minus 10°), w czasie mrozów do 20°, zawsze koło zera. Często trzeba było rano przebijać skorupę lodu w wiadrze z pitną wodą.

Właścicielką domu była bardzo miła i kulturalna osoba – pani Liza; zapomniałem jej nazwiska. Bardzo sympatyzowała z Polakami i to właśnie ona prosiła, aby mówić do niej pani Liza (ros. Jelizawieta). Nazywanie w Rosji per pani nie jest przyjęte.

W końcu 1942 roku wrócił do niej z frontu jej syn Anatolij nazywany Tolą. Zdał wiosną 1941 roku maturę. Niedługo wybuchła wojna, na którą natychmiast wyruszył, zmobilizowany w pierwszych dniach po jej rozpoczęciu. Latem 1941 roku, gdzieś pod Woroneżem został ranny w goleń kulą rozrywającą typu dum-dum, nota bene zakazaną do zastosowań wojskowych konwencją haską z 1899 roku. Niemcy jednak nie respektowali tych zakazów i stosowali je na froncie wschodnim w 1941 roku. Kula rozerwała mu kość piszczelową na poziomie łydki, wskutek czego utworzył się staw rzekomy.

Rozerwana kość nie mogła zrosnąć się i trzeba było przeprowadzić skomplikowaną operację łątania przy pomocy wstawienia kości z innej części układu kostnego pacjenta. W warunkach frontowych tego nie można było wykonać i Tola wrócił do domu o kulach, nie mogąc stanąć na uszkodzonej nodze. Musiał oczekiwać w kolejce na przeprowadzenie zabiegu w specjalistycznej klinice, w Tomsku, na Syberii.

Mimo iż byłem od niego o 7 lat młodszy, nawiązałem dobry kontakt z tym wspaniałym człowiekiem, byłem lekkoatletą, gimnastykiem przyrządowym, a przede wszystkim bardzo muzycznym, towarzyskim, wrażliwym i zdolnym. Grał pięknie na gitarze klasycznej, nawet walce Szopena (co na gitarze jest bardzo trudne), które wykonywał specjalnie dla nas Polaków – do których, podobnie jak jego matka – czuł wielką sympatię.

Pamiętam między innymi, jak charakterystycznie opowiadał o froncie: *Wot Niemcy – oni kulturno wojują. U nich wozdusznyje materace. Na każdym mieście, gdzie dlinnieje zadierżywajutsia strojat baniu. U nich palatki. A nasz brat naczujet na gołoj ziemi, a pod gołowej szyniel*³⁵.

W Semipałatyńsku w tym czasie, już po wyjeździe Armii Andersa, powstało Polskie Koło Artystyczne, w którym aktywnie pracowały moja mama jako pianistka i siostra jako tancerka. Koło zapraszało Tolę, który uświetniał swoją wirtuozerską grą na gitarze te spotkania. Gdy myślę o napotkanych za Uralem Rosjanach, Tola i jego mama – pani Liza stanowią przykład ludzi ciepłych o szerokiej, przyjaznej rosyjskiej duszy i o wysokiej kulturze. Piszę o tym z miłym wspomnieniem o nich, wbrew utartej wśród Polaków przeciwnej opinii, wynikającej zapewne z ograniczonego kontaktu z Rosjanami lub nie takimi Rosjanami.

Pytają mnie często, zwłaszcza młodzież – przy okazji licznych spotkań i pogadanek – o mój pobyt na zesłaniu, a szczególnie o stosunek do ludzi tam napotkanych. Nieraz, słysząc o naszych trudnych przeżyciach, pytają: Ale Ty pewnie tych ruskich nienawidzisz? Wywieźli Cię, ograbili, ojca zamordowali. Jak absurdalne, bezsensowne i krzywdzące wielu ludzi jest to uogólnienie!

³⁵ Niemcy wojują kulturalnie. Mają nadmuchiwane materace. Na każdym dłuższym postoju budują łażnię. Mają namioty. A nasze bractwo nocuje na gołej ziemi, a pod głowę kładzie żołnierski płaszcz.

Gdy sobie przypominam odruchy przyjaźni, współczucia i sympatii ze strony olbrzymiej większości z nich, to wstyd mi za pytających! Winę ponosi nieludzki stalinowski system represji, który zarówno nas jak i ich boleśnie doświadczył.

Tola wkrótce doczekał się swojej kolejki w tomskiej klinice, a po operacji rozpoczął tam studia i po naszym wyjeździe straciliśmy kontakt z tym ciekawym i sympatycznym człowiekiem.

Churszud Chiderbejli – Szurka

Jesienią 1941 roku, postanowiliśmy, abym rozpoczął naukę w szkole, oczywiście rosyjskiej. Dłuższa przerwa w nauce byłaby niebezpieczna i trudna w przyszłości do nadrobienia. Minął rok naszego pobytu, byliśmy wolnymi obywatelami. Poznałem już wystarczająco język, aby móc dorównać miejscowym. Także polityczne przeszkody zostały usunięte naszą amnestią.

W Semipałatyńsku dobrą opinią cieszyła się Szkoła nr 1 im. Czernyszewskiego, kierowana przez znanego w mieście wzorowego dyrektora i pedagoga o nazwisku Zorin. Do niego też bezpośrednio udaliśmy się z mamą. I podobnie do poprzednich sytuacji zetknięcia się mamy z władzami, duże wrażenie na dyrektorze zrobiła mamy znajomość języka u byłego już zesańca z kapitalistycznego kraju, zapewne też ogłada i ...uroda.

Byliśmy wciąż jeszcze na tych terenach egzotyką. Po krótkiej rozmowie, powiedział nam, abyśmy się zgłosili w następnym dniu i jestem pewien, że dowiadywał się o pozwolenie w NKWD. Zostałem przyjęty.

Byłem nowym, który zawsze jest pod obstrzałem innych kolegów. Muszę stwierdzić, że przyjęto mnie życzliwie i zaakceptowano. Nikt nie śmiał się, gdy popełniałem jakieś błędy językowe, których wkrótce całkowicie się wyzbyłem, starając się za wszelką cenę nie wyróżniać pod tym względem od reszty.

W klasie było sporo Żydów, uciekinierów z okupowanych przez Niemców terenów, gdzie byli narażeni na śmierć. Dodam, że w społeczeństwie sowieckim pozostawały resztki przedrewolucyjnego antysemityzmu i Żydzi zawsze byli narażeni na przytyki w swoją stronę, ale wśród młodzieży tego się nie odczuwało.

W tym miejscu dodaję dygresję, dotyczącą przymiotnika *sowiecki*. Źródłosłowem jest rzeczownik: *sowiet – rada*. Na początku rewolucji październikowej władza opierała się na radach robotniczych – sowietach i dlatego do nazwy państwa wkomponowano pochodzące stamtąd słowo *sowiecki*, co przetłumaczono na język polski: *radziecki*. Nie lubię tego słowa, więc pozwalam sobie w całej książce stosować rosyjską jego interpretację: *sowiecki*.

Posadzono mnie w ławce z Azerbejdżaninem o imieniu Churszud, a nazwisku Chiderbejli (końcówka nazwiska *-bejli, -bey* oznacza w niektórych językach, np. kaukaskich, szlachectwo). Zazwyczaj wszystkie nierosyjskie imiona w Związku Sowieckim są upodabniane do używanych przez Rosjan, dlatego Churszuda nazywano Szura lub Szurka – jednym z licznych rosyjskich zdrobnień popularnego imienia Aleksander. Wkrótce zaprzyjaźniłem się z nim. Zaczął mnie zapraszać do domu. Używam nazwy: Azerbejdżanie, zamiast synonimu – Azerowie, której, jak mi się wydaje, zaczęto używać dopiero niedawno, wówczas tego nie słyszałem.

Rodzice Szury byli lekarzami – wenerologami. Pochodzili ze stolicy Azerbejdżanu – Baku, gdzie podobno mieli najładniej urządzone mieszkanie w mieście. Gdy wojska niemieckie zbliżały się latem 1942 roku do Kaukazu, NKWD zaczęło prześladować ludzi, mających koneksje z krajami zachodnimi. Ojciec Szury miał brata, który wyemigrował przed rewolucją październikową na Zachód, i utrzymywał z nimi kontakt. Tym samym, znaleźli się w kręgu podejrzanych o kontrrewolucję (utarty, nic nieznaczący zarzut, wykorzystywany często przez NKWD do obciążania winą ludzi o innych niż władza nakazuje poglądach politycznych. My też byliśmy traktowani jako kontrrewolucjoniści!?)

Doktor Chiderbejli sądził jednak, że głównym powodem ich deportacji był zamiar wykorzystania okazji przez szefa NKWD w Baku zajęcia ich pięknego mieszkania. Wierzyłem im, że tak było, widząc, jakie przywieźli piękne rzeczy: kilimy, perskie dywany, bardzo cenne wyposażenie mieszkania, tylko część zabranego dobytku. Rodzice Szury, wybitni specjaliści, zostali zatrudnieni w pobliskim szpitalu wenerologicznym. Ojciec objął stanowisko dyrektora. Wykorzystując, przywiezione z Baku umeblowanie i wyposażenie, wkrótce urządzili na terenie szpitala piękne, przytulne mieszkanie we wschodnim stylu.

Bardzo przypadli mi do gustu ci ludzie z Kaukazu. Oboje rodzice Szury (on nie) byli bardzo przystojni, o typowo kaukaskich rysach, zwłaszcza sympatyczna matka, która bardzo mi się podobała jako kobieta (mimo moich 15 lat podkochiwałem się w niej).

Miałem wrażenie, że rodzice Szury zaakceptowali mnie, może dlatego, że spotkał nas podobny los – oni również mieli status specpiesieleńców, chociaż formalnie myśmy się już po amnestii w 1941 roku od tego wyzwolili. Ponadto, odniosłem wrażenie, że uważali siebie za lepszych wśród tamtejszego społeczeństwa i do tej kategorii zaliczyli również mnie – Polaka. Zauważyłem również, że wykazywali pewien szowinizm kaukaski, ponieważ obserwując ludzi, którzy ich odwiedzali, stwierdziłem, że wszyscy byli kaukaskiego pochodzenia (Gruzini, Ormianie, Ingusze i inni, głównie rzemieślnicy). Wydawało mi się również, co Szura potwierdził, że doktor Chiderbejli jest niejako głową, nieformalnym przywódcą tamtejszej kolonii ludzi z Kaukazu i że zajmuje się nieoficjalnie działalnością charytatywną wśród nich. Mimo szykan ze strony NKWD, zajmował wysokie stanowisko, miał dobre warunki materialne i autorytet. Miał też ciekawą osobowość i bezsprzecznie cechy przywódcze.

Dodam, że ludzie z Kaukazu mówią specyficzną kaukaską melodią, podobną do języka Stalina, znanego z jego licznych wystąpień. Doktor Chiderbejli i odwiedzający go goście tak właśnie mówili. Natomiast matka Szury i on sam posługiwali się poprawnym językiem rosyjskim, bez regionalnych naleciałości.

Z Szurą zaprzyjaźniliśmy się i byłem w ich domu częstym gościem, chociażby ze względu na małą odległość naszego mieszkania przy ulicy Komisarskiej od szpitala, gdzie mieszkał Szura. Mimo że nie uprawiał on lekkoatletyki, ani nie grał w siatkówkę i piłkę nożną, co było moją domeną, był świetnym szachistą. Nauczył mnie grać w szachy i od tej pory przesiadywałem często w ich pięknym mieszkaniu, gdzie zawsze w zimie było ciepło i mogłem się ogrzać, w przeciwieństwie do naszego, a piękna mama Szury przynosiła nam zazwyczaj coś smacznego do przegryzienia. Nie muszę wyjaśniać, jakie to miało dla mnie, wiecznie głodnego, znaczenie – zwłaszcza z jej rąk!

Pewnego razu zostałem zaproszony na pokoje państwa doktora, na małe przyjęcie. Znalazłem się w ciekawym, dla mnie

egzotycznym pomieszczeniu w kaukaskim stylu. Wszystko dookoła było wyłożone dywanami perskimi i kilimami, a my siedzieliśmy również na dywanach z poduszkami, na środku pokoju przy okrągłym stoliku wysokim na około 30 cm. Było bardzo przyjemne, przyćmione oświetlenie i podano jakieś kaukaskie przysmaki, a ich rodzaju zupełnie nie pamiętam. Był, oczywiście, gruziński czaj, wówczas w Kazachstanie dosłownie na wagę złota. Rozmowa toczyła się wartko, byli to bowiem ludzie o wysokiej kulturze i klasie. Ten wieczór zapamiętałem jako jeden z jaśniejszych promyków w ponurej wojennej, zesańczej rzeczywistości.

Po naszym powrocie do Polski próbowałem nawiązać korespondencję z Szurą, pisząc na semipałatyński adres. Dostałem nawet karteczkę z Ałma-Aty, gdzie Szura, idąc śladami rodziców, studiował medycynę. Był to jednak okres stalinowski i każdy był podejrzewany tam o szpiegostwo. Mówiono o tym „szpionomania” (mania szpiegowska). Korespondencja więc gwałtownie się urwała, a ja nie chciałem więcej tego chłopca ewentualnie narażać na niebezpieczeństwo represji ze strony NKWD i więcej nie próbowałem pisać.

Kończąc ten rozdział, wspomnę o kaukaskiej republice Czechenii³⁶, z którą władze sowieckie zawsze miały kłopot. Gdy wojska niemieckie zbliżyły się w lecie 1942 roku do Kaukazu i dotarły do Czecheńskiej Republiki Autonomicznej, jej władze, chcąc wyrazić swoją radość z tego powodu, przesłały wodzowi III Rzeszy symbolicznego kaukaskiego konia z rzędem. Bardzo źle się to dla nich skończyło, ponieważ już za pół roku zajęte przez Niemców tereny zostały odbite. Stało się oczywiste, że Niemcy przegrają tę wojnę. Stalin w ramach zbiorowej odpowiedzialności przesiedlił prawie całą ludność republiki w kazachstańskie mroźne stepy.

Czecheńcy w swoich futrzanych papachach pojawili się tłumnie w Kazachstanie. Nie mieli jednak gdzie mieszkać, a nie byli przyzwyczajeni do surowego klimatu, wobec czego śmiertelność wśród nich była bardzo wysoka. Fakt ten jest mało znany w historii II wojny światowej. Była to zemsta Stalina za kokietowanie Hitlera.

³⁶ Czechenia znalazła się pod panowaniem rosyjskim w 1858 roku w wyniku trwającego kilkadziesiąt lat podboju Kaukazu.

Sport w Semipałatyńsku i wyjazdy

Zawsze miałem zamiłowanie do sportu. Nie mogę powiedzieć, że miałem wybitny talent sportowy, ale też nigdy nie mogłem się w pełni o tym przekonać. Pisałem już o próbach sportowych w powszechnej szkole, które wypadały całkiem nieźle. W swojej klasie, wśród rówieśników byłem zawsze jednym z lepszych lub najlepszym.

Wojna i wywózka do Kazachstanu zahamowały jakiegokolwiek poczynania sportowe na prawie dwa lata, co w wieku 12-14 lat, czyli w okresie najlepszego kształtowania się formy i kondycji fizycznej na pewno odegrało istotną rolę w ogólnym rozwoju organizmu. Drugi, istotny wpływ miał sposób odżywiania się, a raczej niedożywiania, które było bolączką, trwającą przez cały czas tego naszego, wojennego pobytu za Uralem. Gdy zapisałem się do rosyjskiej szkoły, zarysowały się możliwości uczestnictwa w życiu sportowym. Mówiło się, że wyniki sowieckich sportowców to wynik nacisków ze strony totalitarnego działania propagandy komunistycznej. Drastycznym przykładem tego, już po zakończeniu wojny, była polityka sportowa NRD, przez którą to marionetkowe państwo chciało zaistnieć w mediach, wykazując bardzo dobre, aż niewiarygodne wyniki w wielu dziedzinach sportu. Jak się potem okazało, uzyskiwane nie zawsze uczciwą, bezdopingową drogą.

Uczestnicząc w zmaganiach sportowych w Semipałatyńsku, zdołałem się jednak, ponad wszelką wątpliwość przekonać, że sowiecka młodzież, zwłaszcza rosyjska i ukraińska, osiąga bardzo dobre wyniki w sporcie przede wszystkim dzięki swojej pracowitości, determinacji, systematyczności i talentowi. Dominowała moda na sport i wszyscy jej ulegali. Zwłaszcza po zakończeniu wojny, osiąganie wybitnych wyników sportowych było jedynym sposobem wydostania się z tego totalitarnego państwa. Naprzeciw naszej szkoły była spora sala gimnastyczna, zorganizowana w dawnej synagodze. Było więc blisko i kilka razy w tygodniu mieliśmy zajęcia z gimnastyki przyrządowej i parterowej.

Były wszystkie podstawowe przyrządy gimnastyczne: poręcze, kółka, drążek (rek), koń, koń z łękami, drabinki, równoważnia, odskocznia. Był też instruktor-specjalista, zwykle oficer, inwalida, lekko ranny na froncie, który mógł takie zajęcia prowadzić.

Umiejętności gimnastyczne były podzielone na klasy od IV do mistrzowskiej. Aby zdobyć jakąś klasę, trzeba było wykonać zestaw ćwiczeń na przyrządach podczas zawodów lub przed komisją. Mnie udało się zdobyć IV, a potem wyższą – III klasę. Zajęcia były bardzo intensywne, trwały – razem z grą w siatkówkę – kilka godzin. Ciało po wypocieniu traciło na wadze do 2-3 kg. Gimnastyka przyrządowa to sport bardzo piękny widowiskowo i rozwijający sportową sylwetkę ćwiczącego.

Latem 1943 roku uczestniczyłem w szkolnych zawodach lekkoatletycznych. Po zwycięstwie pod Stalingradem, władze Republiki Kazachskiej zorganizowały Lekkoatletyczne Mistrzostwa Szkolne Kazachstanu.

Ponieważ nasza szkoła zajęła pierwsze miejsce w obłasti (obwodzie), zostaliśmy wydelegowani do uczestnictwa w republikańskich mistrzostwach w stolicy republiki Ałma-Acie.

Miasto założono w 1867 roku pod nazwą Wiernyj. W 1921 roku przemianowano je na Ałma-Atę, a w 1993 na Ałmatę. Od roku 1998 – z powodu niecentralnego peryferyjnego położenia w republice – Ałma Ata nie jest już stolicą. Nowa została wybudowana w środku już niepodległego Kazachstanu i nazwana Astaną. Podobne przeniesienie stolicy na zupełnie nowe miejsce odbyło się w 1960 roku w Brazylii. Tam stolica z Rio de Janeiro została przeniesiona o około 1000 km na północ i nazwana Brasilią.

Była to dla mnie wielka radość i przygoda ze względu na możliwość odbycia wycieczki do stolicy republiki. Podróżowanie w celach niewojennych podczas wojny skazane było na ogromne trudności, ponieważ priorytet na kolei miały transporty wojskowe. Przekonali się o tym Polacy, szukający po amnestii 1941 roku lepszego miejsca do życia niż wyznaczone im podczas wywózki.

Do Ałma-Aty z Semipałatyńska jest około 1000 km. Podróż w koszmarnych warunkach, w każdą stronę w wagonach towarowych trwała dwa-trzy dni i było to przemieszczenie się do innej strefy klimatycznej. Jeśli u nas – w Semipałatyńsku nie było zupełnie żadnych owoców i nie mieliśmy ich w ustach przez lata pobytu (również ich nie przywożono), to w Ałma-Acie tysiące jabłoni rosło na ulicach miasta, w parkach i ogrodzie zoologicznym. Można było je zrywać i jeść. Nic dziwnego, kazachska nazwa **Ałma-Ata** oznacza – *ojciec jabłek*.

Po monotonych – lekko pofalowanych, pustynnych i bezwodnych stepach północnego Kazachstanu, byłem oczarowany zapierającym dech w piersiach krajobrazem miasta, leżącego na wysokości około 700 m n.p.m., z wyrastającymi nad jego horyzontem białymi kopułami szczytów lodowców o wysokości 5-6 tys. m n.p.m. (te widoczne z miasta), graniczących z Chinami gór Tien-szan, czyli Gór Niebiańskich. Nagle znalazłem się w środowisku z bajkowym krajobrazem, za którym tak tęskniliśmy na równinnych stepach nad Irtyszem.

Zawsze marzyłem, aby zobaczyć i usłyszeć prawdziwą operę. We Lwowie był wspaniały, jeden z piękniejszych w Europie gmach Teatru Wielkiego, ale nie stać było miasta na stały zespół operowy. Ałma-Ata miała piękny nowoczesny gmach operowy. Znalazł w nim gościnę ewakuowany zespół artystów Opery Kijowskiej, mający w swoim zespole najwybitniejszych śpiewaków i tancerzy.

Gdy zobaczyłem, że właśnie wystawia się *Cyrulika Sewilskiego*, natychmiast kupiłem bilet na ten wieczór. Bilety były bardzo tanie, ponieważ państwo łożyło wielkie środki na kulturę, nie przestrzegając żadnych zasad ekonomiki.

Jakież było moje zdziwienie, gdy na sali, mogącej pomieścić ponad tysiąc osób, oprócz mnie było tylko parę osób! Spektakl grano bez żadnych skrótów, pełnym składem artystów, orkiestry i baletu, mimo prawie pustej sali! Kto miał przyjść na operę, gdy miliony walczyły na frontach, a reszta pracowała po 12 godzin dziennie? System pracy w czasie wojny był dwuzmianowy.

Wyjaśniono mi potem, że taka jest wychowawcza polityka władz. Tam na froncie walczą i giną ludzie, dlatego na tyłach wszyscy muszą też pracować, bez względu na ekonomiczną logikę i opłacalność poczynań.

Na zawodach uzyskaliśmy jakieś tam nienajlepsze wyniki, a ja znalazłem na strychu szkoły, w której byliśmy zakwaterowani, stary worek i wiozłem w nim do Semipałatyńska jabłka zerwane w zoo, aby mama i siostra raz na 6 lat spróbowały trochę owoców.

W Semipałatyńsku zapisałem się również do Klubu Piłkarskiego *Spartak* i grałem na prawej obronie. Byłem już wyrośnięty, ale z dużą niedowagą. Pamiętam, jak graliśmy z drużyną *Dynamo*, w której występowali dobrze odżywieni zawodnicy, głównie enkawudziści. W starciach z nimi nie miałem żadnych szans.

Mieliśmy również jeden występ zamiejscowy w stolicy Ałtajskiego Kraju w Leninogorsku, odległym około 300 km od Semipałatyńska. Wyniku nie pamiętam, ale wiem, że kibole chcieli nam wlać. Musieliśmy salwować się pospieszną ucieczką na dworzec kolejowy. Instytucja kiboli już wtedy funkcjonowała!

Muzyka nie zna granic

Muzyka odgrywała w moim życiu zawsze bardzo ważną rolę. Już od dziecka wpływała istotnie na moje samopoczucie, nastrój, humor. Jaką rolę miała muzyka w naszym domu, pisałem już wyżej. Niestety, wskutek wywózki ze Lwowa, przerwałem naukę gry na pianinie. Z nut zapamiętałem tylko klucz wiolinowy, czytania nut w kluczu basowym już nigdy nie nadrobiłem. Ale miałem okazję w Semipałatyńsku pożyczyć akordeon, w którym akordy lewej ręki gra się przy pomocy przycisków. Ponieważ po mamie odziedziczyłem niezły słuch muzyczny, nauczyłem się grać ze słuchu, co do dziś, mając pianino, dla własnej przyjemności czynię.

Po amnestii i zamieszkaniu w Semipałatyńsku, przy okazji jakichś sowieckich uroczystości państwowych znalazłem się w pobliżu orkiestry wojskowej miejscowego garnizonu i w pewnym momencie usłyszałem komendę dyrygenta: „Ну ребята, теперь сыграем *Прощание Словянку* (*Pożegnanie Słowianki*)”. Melodia podobła mi się i jeszcze kilka razy w Semipałatyńsku ją słyszałem.

Jakież było moje zdziwienie, gdy w 1946 roku, po powrocie do kraju, melodię tę usłyszałem z polskim tekstem. Dowiedziałem się, że śpiewano ją podczas II wojny światowej jako najbardziej popularną polską pieśń partyzancką *Rozszumiały się wierzby płaczące*, przy czym oryginalne *Proszczanie Słowianki* ma jeszcze trzecią, bardzo melodyjną część, nieznaną w Polsce. Nikt nie potrafił mi wytłumaczyć, jak to się stało, że ten piękny rosyjski marsz z carskich czasów, przedostał się przez granice i fronty, i stał się polską pieśnią partyzancką. Nawet ogłosiłem w „Przekroju” to pytanie, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Dopiero w 2008 roku dowiedziałem się, że polskie słowa do rosyjskiej melodii napisał nauczyciel śpiewu Roman Ślęzak (1942), po wojnie dyrektor liceum w Nisku. Pierwotnie było: *Rozszumiały się brzozy płaczące...*

Na początku lat 90. XX wieku, gdy rozpadł się Związek Sowiecki i powstała Federacja Rosyjska, poszukiwano nowego hymnu tego państwa. Pojawiła się w mediach sugestia, aby wybrać na hymn państwowy właśnie melodię tego starego rosyjskiego marsza *Proszczanije Słowianki*, co forsowała partia *Jabłoko*. Propozycja została jednak odrzucona. W 2000 roku przyjęto jako hymn Federacji Rosyjskiej melodię sowieckiego hymnu z 1943 roku z muzyką A.W. Aleksandrowa (1883-1946), twórcy słynnego *Chóru Aleksandrowa*, z nowym tekstem Sergieja Michałkowa, zastępującym również jego tekst z 1943 roku.

Ten rosyjski, patriotyczny marsz był skomponowany w 1912 roku przez kapelmistrza wojskowej carskiej orkiestry Wasilija Agapkina, a słowa napisał Władimir Łazariew. Powstał on pod wpływem wydarzeń I wojny bałkańskiej, w której uczestniczyła Rosja. Uzyskał szeroką sławę w czasie I wojny światowej i później, podczas rewolucji bolszewickiej był uważany jako nieformalny hymn rosyjskiej Białej Armii.

Innym przykładem nierespektowania granic przez muzykę jest melodia, *Rosamunde*, która w latach 20-40. XX wieku była chyba najbardziej popularną na świecie. Skomponowana w 1927 roku przez Jaromira Vejvodę czeskiego kompozytora i kapelmistrza z miasteczka Zbrasław (obecnie dzielnica Pragi) jako *Modrzanska polka*. Po jej prawykonaniu w Sokolovni, siedzibie zbrasławskiej organizacji sokolskiej, stała się popularna. W niedługim czasie grały ją już wszystkie orkiestry w okolicach Pragi.

W 1934 roku prawa wydawnicze tej polki kupiła praska firma Jana Hoffmanna. W tym samym roku Vaclav Zeman napisał do niej tekst *Skoda lasky*, a następnie utworzono do niej teksty w wielu językowych wersjach. Utwór zrobił zawrotną karierę na świecie, a szczególnie podobał się hitlerowcom i był stałym przebojem oddziałów SS (elitarna formacja nazistowska) i gestapowców.

Podczas wojny występowały w Semipałatyńsku (mówiono: na tyłach frontu) orkiestry jazzowe, ewakuowane z Odessy, Kijowa, Moskwy i innych miast, objętych wojną. Najczęściej graną przez nie melodią była mało znana wówczas w Związku Sowieckim *Rosamunde*, z odrazą przyjmowana przez Polaków, którzy wiedzieli, że jest szlagierem niemieckiego okupanta. Miejscowa ludność nie zdawała sobie z tego sprawy.

Jak na ironię, była lansowana i grywana przez orkiestry żydowskie. **Ta sama melodia stała się nieświadomie szlagerem po obu stronach frontu tej najbardziej okrutnej i krwawej wojny w historii świata.**

Na zakończenie tego rozdziału wspomnę, że w 2000 roku byłem w Charkowie pociągiem rządowym z *Rodziną Katyńską* na otwarciu i poświęceniu cmentarza wojennego polskich oficerów – ofiar Zbrodni Katyńskiej. Burmistrz tego miasta obdarował na odjeździe każdego uczestnika bochenkiem ciemnego ukraińskiego chleba, co było dla nas miłym wzruszającym gestem, a ukraińska orkiestra wojskowa zagrała nam marsza *Praszczanije Słowianki* – marsza, którego rodowód w byłym ZSRR nie był znany, ale był on od dawna w repertuarze jego orkiestr wojskowych. W tym momencie usłyszałem komentarz współpasażerów naszego pociągu: *Jak to miło, że żegnają nas melodią naszej polskiej partyzanckiej pieśni. Tylko skąd oni ją znają?*

Nikołaj Maksymov – Kola³⁷

W azjatyckiej części ZSRR, wśród wielu narodowości była spora grupa Chińczyków i Koreańczyków (trudno ich od siebie z wyglądu rozróżnić, dlatego będę ich nazywał Chińczykami³⁸, którzy – jak wiadomo – są w każdej części świata. Po rewolucji październikowej dostali oni pozwolenie osiedlania się w Związku Sowieckim, ponieważ był tam deficyt siły roboczej, przy wielkim bezrobociu w Chinach i Korei. Przyjeżdżali przeważnie mężczyźni, najczęściej rzemieślnicy lub drobni producenci, ponieważ produkcja na małą skalę była dozwolona, a oni byli bardzo zaradni.

W Semipałatyńsku był nawet konsulat chiński, obok którego często przechodziłem. Zajmował parterowy domek przy głównej ulicy obok naszej szkoły. Z zaciekawieniem spoglądałem na jego okna, zasłonięte firankami, za którymi widać było miłe, przytulne wnętrza. Moja koleżanka ze szkoły Irenka Benitówna, o której już wspominałem, była pielęgniarką.

³⁷ Wymowa w jęz. ros. – Kolia.

³⁸ Ros. kitajcy.

Jej szefowa zleciła wykonanie serii zastrzyków żonie chińskiego konsula. Miała więc okazję poznania jego mieszkańców. Dowiedziawszy się, że jest Polką, byli dla niej bardzo mili i nawet obdarowali kilkoma tabliczkami czekolady, które Irenka natychmiast zaniósła matce. Mama zjadła jedną, a pozostałe sprzedała na bazarze i za te pieniądze kupiła niezbędne spożywcze produkty. Głód chleba był silniejszy niż łakomstwo! Nawiązując do tego, przypominam sobie opowieść ojca, o tym że wskutek perturbacji w dostawach Armii Austriackiej podczas I wojny światowej w Karpatach (1915) dostawali worki czekolady przy wielkich ograniczeniach w dostawach chleba. Ojciec do końca życia miał do niej wstręt.

Przypominam sobie po osiedleniu się w Semipałatyńsku stojących, prawie na każdym rogu w centrum miasta Chińczyków i sprzedających lizaki – to była ich specjalizacja. Nie znali języka rosyjskiego, reklamowali więc swój towar wyuczonymi zdaniami (podaję w postaci wymowy stosowanej przez sprzedających): *Pietuszki, pietuszki, trizat piat łopieje: tri sztuki za rubiel – można tak!* (*Koguciki, koguciki trzydzieści pięć kopiejek: trzy sztuki za rubla, tak można*). To była w języku dzisiejszym promocja. Przy zakupie trzech sztuk, premia wynosiła 5 kopiejek! Zawsze zastanawiałem się, jak można z tego wyżyć. Widocznie Chińczycy mogli! Przyjeżdżali przeważnie samotni mężczyźni i po wstępnej adaptacji zawierali związki małżeńskie, często z Rosjankami lub Ukrainkami.

Nie pamiętam, przy jakiej okazji poznałem Kołę. Mieszkał w naszej dzielnicy, gdy my mieszkaliśmy u Anastasiji Prokofiewny. Jego ojciec był Koreańczykiem – emigrantem z lat 20. XX wieku, a matka Rosjanką. Ojciec był szewcem, miał warsztat w swoim parterowym domu – jak większość domków w Semipałatyńsku.

Literatura nie podaje jednoznacznie, jaka jest nazwa mieszańca rasy żółtej z białą. Mówi się, że są to metysi, ale tą samą nazwą określa się mieszańca rasy białej z Indianinem. Nie mogłem znaleźć odpowiedniej nazwy. Jeśli się przyjmie za słuszne to pierwsze, to Kola był metysem.

Wszystkie dzieci koreańskich i chińskich emigrantów, urodzone przecież w Związku Sowieckim, wychowywane przez rosyjskie matki, były całkowicie zrusyfikowane, zintegrowane z tamtejszym społeczeństwem. Ojcowie przyjmowali rosyjskie nazwiska swoich żon, a dzieci nazywano również rosyjskimi imionami.

Kola nazywał się Nikołaj Maksymov. Był o dwa lata starszy ode mnie, mojego wzrostu (Koreańczycy są wyżsi od Chińczyków). Był bardzo przystojny z tą swoją wschodnią urodą, bardzo inteligentny i kulturalny, aż dziwne, skąd te cechy nabył.

Ukończył Technikum Żeglugi Rzecznej (mieszkaliśmy nad dużą rzeką), a absolwenci tej szkoły pozowali na marynarzy morskich. Chodzili więc w rozkloszowanych, u dołu poszerzanych spodniach, i koszulkach w poziome granatowo-białe paski (*ros. majka*), noszone przez całą rosyjską flotę, a może i inne.

Kola był sympatyczny. Chętnie przychodził do nas w odwiedzin, jak tylko wracał z rzecznoego rejsu. Bardzo interesował się Polską i Polakami. Obdarzał nas wielką sympatią. Byłem przeważnie zajęty przygotowaniem obiadu, bo mama dziennie pracowała 12 godzin w fabryce mundurów jako szwaczka, a siostra Zosia cały czas robiła na drutach swetry, które później sprzedawała i z tego głównie się utrzymywaliśmy. Dodam, że z robienia na drutach, zupełnie w Rosji nieznanego zajęcia, utrzymywało się wielu Polaków. Kola rozmawiał przeważnie właśnie z nią. Interesował się filmem i często do obejrzanych filmów nawiązywał.

Pewnego dnia, latem 1945 roku, niedługo po zakończeniu wojny Kola przyszedł i pożegnał się z nami. Powiedział, że podjęli decyzję powrotu do swojego kraju i cała rodzina wraca do Korei. Nie powiedział, jakie są powody tego wyjazdu, ani w którym mieście będą mieszkać.

Po paru tygodniach nadszedł list, jeszcze z terenu Związku Sowieckiego, przed przekroczeniem przez nich granicy. List był adresowany do Zosi. W liście tym, żegnając się z nią, wyznawał jej miłość. Niestety, nie zachowaliśmy go i gdzieś się zagubił w tej długiej drodze do kraju, w bydłym wagonie. Zapamiętałem tylko dokładnie, że był w nim m.in. passus o treści: *...do nikogo jeszcze w życiu moje młode serce nie odczuwało takiej miłości jak do Ciebie Zosja*. Nigdy się z tym wcześniej nie zdradził. Tak, niewiele brakowało, bym miał w rodzinie Koreańczyka!

Z innych jeszcze kontaktów z miejscowymi ludźmi zapamiętałem zaproszenie mnie na Sylwestra przez kolegę z klasy Tołę Ufimceva do jego domu. Nie byliśmy z nim bardzo zaprzyjaźnieni i nie bardzo wiem, dlaczego oprócz trzech dziewczyn i jednego kolegi zaprosił właśnie mnie – Polaka.

Tym dziwniejsze dla mnie było to zaproszenie, gdyż wiedziałem, że ojciec Toli jest jednym z ważniejszych ludzi w mieście, był bowiem szefem *Wojen Komatu*, czyli analogicznego do naszego RKU (Rejonowa Komenda Uzuppełnień) – instytucji zajmującej się poborem do wojska – bardzo ważnej, zwłaszcza podczas wojny.

Nie będę szczegółowo opisywać tego wieczoru, był adapter, potańcówka, a dla mnie najważniejsze, że było jedzenie z rządowych przydziałów, które niewątpliwie ojciec Toli otrzymywał.

Gdy zbliżała się północ, pan domu wbiegł do pokoju z entuzjastycznym okrzykiem: *Towariszczi, towariszczzi, szej czas budiet goworit' towariszcz Kalinin* (sprawował funkcję prezydenta, przew. Rady Państwa). Prawie przymusowo zaprosił nas do głośnika ich radiofonii przewodowej, bo radia były tylko w kontrolowanych instytucjach, a nie w domach prywatnych, nawet u dygnitarzy.

Bardzo mnie to rozbawiło, bo my – Polacy traktowaliśmy wystąpienia sowieckich dygnitarzy jako bełkot, ale tego temu ortodoksyjnemu partyjniakowi nie mogłem powiedzieć.

Byłem szczęśliwy, że po raz pierwszy od czasu zesłania nie jestem głodny w Sylwestra!

Armia Andersa opuszcza ZSRR

Tworzenie II Korpusu przez generała Andersa od samego początku napotykało na znaczne trudności, głównie za sprawą władz sowieckich. To prawda, że Armia Sowiecka prowadziła najbardziej krwawą wojnę w historii. Rząd sowiecki nie mógł więc zapewnić realizacji wszystkich wymagań stawianych przez stronę polską w celu szybkiego wyszkolenia i zaopatrzenia wojska polskiego. Ponadto, wojsko zdecydowanie wymagało rehabilitacji po spędzeniu prawie dwóch lat w potwornych warunkach katorżniczej pracy w obozach koncentracyjnych Archipelagu Gułag.

Ważną przyczyną braku porozumienia był brak odpowiedzi na pytanie: **Co się stało z wyżej wspomnianymi 21 tysiącami polskich jeńców wojennych z 1939 roku**, którzy mieli stanowić kadrę oficerską powstającej armii? Ponieważ władze sowieckie, oczywiście, nie chciały ujawnić prawdy o ich tragicznym losie, powstała patowa sytuacja.

W końcu podjęto decyzję wyprowadzenia wojska polskiego ze Związku Sowieckiego i zakończenie szkolenia na Bliskim Wschodzie. Do końca sierpnia 1942 roku ewakuowano przez Morze Kaspijskie do Iranu, a potem dalej do Iraku i Palestyny 78 470 żołnierzy, 37 272 cywilów, a wśród nich 13 948 sierot.

Stosunki między władzami sowieckimi a rządem londyńskim, któremu Polacy w ZSRR podlegali, bardzo się ochłodziły. Tymczasem, losy wojny decydowały się na jej frontach. 2 lutego 1943 roku poddaje się, otoczona pod Stalingradem, 91-tysięczna armia feldmarszałka von Paulusa z 22 generałami. W sumie, w 8-miesięcznych zmaganiach o Stalingrad, Niemcy stracili ponad 1,5 mln żołnierzy: zabitych, rannych i wziętych do niewoli.

Była to wielka klęska armii hitlerowskiej, po której szala zwycięstwa przechyliła się zdecydowanie na korzyść aliantów!

Stalin triumfował!

Lasek Katyński

Niedługo po tym, 13 kwietnia 1943 roku hitlerowcy podali do wiadomości znalezienie w Lasku Katyńskim szczątków około 4,2 tys. polskich oficerów z obozu w Kozielsku, o których m.in. dopytywał się generał Anders i na których czekały rodziny jeńców.

Nadszedł więc czas wyjaśnienia tej sprawy przez Sowietów, ale Stalin, po zwycięstwie stalingradzkim, mając niezwykle mocną pozycję w koalicji antyhitlerowskiej, zdecydował się kłamać dalej.

Zrzucił winę za śmierć polskich jeńców na hitlerowców. Tak powstało *Kłamstwo Katyńskie*. Gdy rząd polski w Londynie zwrócił się o arbitraż do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, Stalin wykorzystał ten brak zaufania Polaków do niego i zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie. Koalicjanci lojalnie nie zabierali głosu w tej sprawie, aby nie urazić **Uncle Jo**, jak pieśzcotliwie Anglosasi nazywali Stalina.

Rodziny jeńców z obozów w Ostaszkowie i Starobielsku pozostały nadal w nieświadomości, jaki los spotkał ich ojców. Rozumując jednak wówczas logicznie, należało domniemywać, do granic pewności, że spotkał ich ten sam los, tylko w innym miejscu Nieludzkiej Ziemi.

Oceniając ujawnienie mogli polskich jeńców wojennych w Lasku Katyńskim, z perspektywy minionego czasu, dochodzimy do wniosku, że właśnie od tego momentu polski sojusznik w koalicji antyhitlerowskiej znalazł się, wbrew swojej woli, w pozycji, mówiąc łagodnie, bardzo niekorzystnej i traktowany był jako „brzydkie kaczątko”.

W tej sytuacji pozostali na terenie ZSRR Polacy ponownie byli bez opieki. Wykorzystali to polscy komuniści, zakładając w Moskwie organizację Związek Patriotów Polskich, który miał wypełnić powstałą lukę, a jednocześnie kreować Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), załączek polskiego rządu komunistycznego, który będzie mógł wkrótce urzędować w kraju.

Nasze życie niewiele się zmieniło. Dalej borykaliśmy się z problemami żywnościowymi. **Byłem zawsze głodny.** Mając 15 lat, szybko rosłem (do 185 cm).

Wolność po sześciu latach

Wojna zmierzała ku końcowi. Alianci otworzyli drugi front, lądując 6 czerwca 1944 roku na plażach Normandii. W tym samym czasie, po zwycięstwie polskiego II Korpusu generała Andersa pod Monte Cassino, Polacy z powodzeniem wyzwolali dalszą część Półwyspu Apenińskiego, kończąc kampanię w Bolonii.

Reszta wywiezionych Polaków pozostała w ZSRR aż do zakończenia wojny. Okres 1942-1946 był dla nas bardzo trudny. Panował wielki głód, powszechna była awitaminoza, szkorbut i – niesety, plaga wszy, a w lecie pluskiew. Od czasu kolejnego zerwania stosunków między rządem polskim i sowieckim, w kwietniu 1943 roku przestała napływać pomoc z Ameryki i Anglii.

Ponownie zmuszono nas do przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Wiele osób (m.in. wspomniana moja koleżanka Irenka Benit z mamą) w obawie przed pozostaniem w ZSRR i w proteście przeciwko temu bezprawnemu traktowaniu Polaków odmówiło zmiany obywatelstwa, za co byli aresztowani, na szczęście, na krótko.

Uczęszczając do rosyjskiej szkoły, musieliśmy brać udział w okresie letnim w pracach społecznych. W lecie 1943 roku wysłano naszą klasę statkiem w górę Irtysza do załadunku drewna na rzeczne barki. Znaleźliśmy się w środowisku semipalatyńskich Cór Ko-

ryntu, które karnie te prace wykonywały. Co prawda, nie oferowały nam 15-latkom swoich usług, ale wspólnie nocowaliśmy pokodem na słomie w jakiejś świetlicy, gdzie musieliśmy słuchać ich języka. Nigdy przedtem ani potem w życiu nie słyszałem takich wulgaryzmów. Tam też próbowałem łowić ryby (okonie), zarzucając z brzegu do wody żyłkę z przyczepionymi do niej haczykami z przynętą. Nawet udało mi się złapać kilka rybek, ale w następnych dniach przepływający statek zabrał mi mój wędkarski sprzęt.

W jesieni 1945 roku przestałem uczęszczać do rosyjskiej szkoły i zapisałem się do nowo otwartej w Semipałatyńsku polskiej, na wzór sowiecki, 10-klasowej szkoły. Nauczycielami naszymi byli wywiezieni Polacy o różnym przygotowaniu pedagogicznym.



Moja 9 klasa polskiej szkoły w Semipałatyńsku, 1946

Przeważająca większość wysiedlonych Polaków, którzy nie wyjechali z Armią Andersa, a przeżyli, powróciła do kraju w 1946 roku w ramach zorganizowanej repatriacji, również w bydłych, ale już w niezamkniętych wagonach.

Po wzruszającym momencie przekroczenia granicy na Bugu, przy dźwiękach hymnu narodowego, granego na trąbce z jednego wagonu przez jadącego w transporcie członka orkiestry, powróciliśmy po 6 latach do kraju.



*Radość wolności – Adam Zaleski w pociągu jadącym z Wrocławia do Jeleniej Góry,
1948*

IV. Lata powojenne

Historia Zbrodni Katyńskiej

Powiedziano nam, że transport zakończy swój bieg w Szczecinie. W tamtych okolicach, na Ziemiach Odzyskanych mieli nas rozlokować w domach opuszczonych miejscowości przez wysiedlanych do Niemiec tubylców. Wsiadano również dużo wcześniej, gdy ktoś miał korespondencyjnie z rodziną lub znajomymi uzgodnione miejsce pobytu lub zaproszenie. Nie było żadnego nakazu.

Byliśmy wolni! Tak nam się przynajmniej wydawało w porównaniu do ZSRR. Zakończyliśmy podróż w Kaliszu, dokąd zaprosili nas jeszcze w Semipałatyńsku listownie, mieszkający tam siostra mamy z mężem.

To był koniec naszego zesłania!

Jak wspomniałem, jest to tylko fragment 6-letniej historii naszego zesłania, którego celem było usunięcie z terenów zaanektowanych przez ZSRR w 1939 roku pewnej części ludności polskiej: rodzin inteligenckich, funkcjonariuszy wojskowych i policyjnych, które zostały uznane przez władze sowieckie za wrogie i kontrrewolucyjne. Aby przeżyć, musieliśmy się więc zaadaptować w nowych warunkach, przygotowanych nam przez okupantów.

Ta adaptacja była możliwa tylko przez pokonywanie ogromnych trudności, które tam napotykał się, a jednocześnie uczenia się wszystkiego, co było do przeżycia potrzebne. I tak, już jako 13-letni chłopiec nauczyłem się zduństwa, bo musiałem zbudować piec kuchenny z ogrzewaczem.

Musiałem nauczyć się stolarki, byłem szewcem, krawcem, kucharzem, ślusarzem, robiłem zastrzyki i wszystkie czynności gospodarskie, takie jak: pranie, prasowanie, malowanie, piłowanie czy rąbanie wielkiej ilości drewna, przenoszenie na duże odległości sporych ciężarów, takich jak przynoszenie drewna opałowego z lasu, ręczna praca w lecie przy załadowywaniu statków na Irtyżu drewnem i wiele innych. Była to więc bardzo ostra i efektyw-

na szkoła przetrwania. Może dlatego w późniejszym codziennym życiu zawsze starałem się pokonywać wszelkie trudności. W pracy naukowej nie zajmowałem się wyłącznie zagadnieniami teoretycznymi, ale też technologią i eksperymentem. Tak więc, nie w pełni udało się plan naszych prześladowców zlikwidowania nas jako klasy politycznej.

My i tysiące zesłańców, przyzwyczajonych do zupełnie innych, lepszych warunków życia, miało się więc albo zaadaptować do katorżniczych warunków, w jakich się znaleźli, albo zginąć.

Redaktor I programu TVP pan Krzysztof Tadej przeprowadził ze mną na wiosnę 2008 roku kilkugodzinny wywiad na temat moich przeżyć na zesłaniu. Przedstawił go na antenie TVP w lipcu i we wrześniu 2008 roku w ramach cyklu audycji *Notacje*, w sześciu 11-minutowych odcinkach, zatytułowanych: *Ostatnie spotkanie z ojcem. Woda kolońska w cukrze. Szklanka na cegle. Kłamstwo Katyńskie*³⁹. *Wygraliśmy los na loterii. Goli i boski*.

Dopiero w 1989 roku dowiedzieliśmy się o tragicznym losie naszego ojca – bestialskim zamordowaniu, na rozkaz Stalina i jego współpracowników, bez sądu i ogłoszenia wyroku wszystkich pozostałych polskich jeńców wojennych, więzionych do wiosny 1940 roku w sowieckich obozach. O tym piszę w dalszej części książki.

Pierwsze lata po powrocie do kraju

Zaproszenie przez wujostwo do Kalisza i pobyt u nich uważaliśmy za etap przejściowy. Nie mogliśmy bowiem traktować Kalisza jako miejsca naszego stałego – nowego osiedlenia.

Siostra Zosia nawiązała kontakt ze swoją przyjaciółką ze Lwowa – Hanią Nieciówną, mieszkającą po wojnie w Krakowie. Hania, mając duże mieszkanie w centrum miasta, natychmiast zaprosiła ją do siebie. Tak więc przyjazd Zosi do Krakowa okazał się przyjazdem na całe życie!

W kilka dni po naszym przyjeździe do Kalisza przyjechał ze Zbierska kierowca fabrycznym samochodem osobowym, aby zab-

³⁹ <http://vod.tvp.pl/audycje/historia/notacje-historyczne/wideo/adam-zaleski-klamstwo-katynskie/1198548>, również pozostałe odcinki.

rać mnie do Cukrowni Zbiersk, gdzie mieszkała ciocia Julia Lubińska, żona wujka Janka, brata mamy. Właśnie on prowadził z nami korespondencję natychmiast po wyzwoleniu Zbierska przez sowieckie wojska i z niecierpliwością oczekiwał na nasz powrót. Nie doczekał się jednak. Zmarł w 1945 roku na zawał serca. Był to dla nas, a szczególnie dla mamy następny, bolesny cios.



Stanisława Zaleska z Zosią i Adamem po powrocie z zesłania, 1946

Ciocia Julia, mieszkająca w odległej 22 km od Kalisza Cukrowni Zbiersk, dowiedziawszy się o naszym powrocie, zwróciła się do dyrektora inż. Władysława Janikowskiego z prośbą, aby samochód cukrowni, wracając z podróży służbowej, zabrał mnie po drodze.

Zapraszając mnie do Zbierska, ciocia Julia chciała się w ten sposób zrewanżować za opiekę nad jej synem Wojtkiem we Lwowie i Semipałatyńsku, o czym pisałem wyżej.

Dzięki życzliwości dyrektora, dostałem w cukrowni sezonową pracę kontrolera plantacji buraków cukrowych. Cukrownia na wiosnę kontraktuje z plantatorami dostawę buraków na jesienną kampanię cukrowniczą i przy wypłacie letniej zaliczki pieniężnej chce wiedzieć, czy plantator obsiał deklarowany areał i czy buraki rosną. Dostałem więc rower i jeździłem od wsi do wsi w obszarze plantacji należących do cukrowni, kontrolując stan upraw buraka cukrowego. W ten sposób mogłem zbierać pieniądze na naukę w liceum, którą zamierzałem rozpocząć jesienią.

Miałem jednak pecha i skutki pobytu na zesłaniu uwidoczniły się latem w postaci ostrej choroby: ropnych czyraków na nogach,

grożąc zakażeniem krwi, które – przy ówczesnym braku antybiotyków, mogło doprowadzić do amputacji nogi. Miejscowy lekarz zdecydował o natychmiastowej operacji w kaliskim szpitalu. Znalazłem się tam odwieziony prawdziwą 19-wieczną karetą, ponieważ cukrownia nie dysponowała innym środkiem lokomocji. Po operacji nie wróciłem już do pracy i jeszcze podpierając się laską, rozpocząłem naukę w II klasie kaliskiego liceum matematyczno-fizycznego.

Bacznie obserwowałem sytuację polityczną w Polsce. Był to okres wielkiego powojennego tryumfu Stalina, którego cały zachodni świat bał się, a jednocześnie czcił jako głównego zwycięzcę wojny, zwłaszcza gdy – nie bez kradzionych informacji z Zachodu – powstała w końcu lat 40. sowiecka bomba nuklearna. Szczególnym bałwochwalstwem darzyły go władze Polski Ludowej.

Z obawą stwierdzałem, jak krok po kroku wprowadza się sowiecki system rządzenia, z narastającym terrorem polskiego NKWD – Urzędu Bezpieczeństwa (UB) i analogicznej do GRU organizacji: Polskiej Informacji Wojskowej. W 1946 roku grasowały w lasach jeszcze nierozbrojone oddziały byłych partyzantów, nazywanych w tym czasie *chłopcami z lasu*. Wśród nich było zapewne wielu prawdziwych patriotów, którzy beznadziejnie wierzyli w wybuch trzeciej wojny światowej.

Otarłem się o ich działalność. Gdy powróciłem pewnego dnia z terenu, po kilkudniowej nieobecności, zastałem w cukrowni wielu milicjantów, prowadzących śledztwo po napadzie chłopców z lasu. Informacje miałem z pierwszej ręki, ponieważ ciocia Jula, po śmierci wujka dostała uwolnioną przez niego posadę kasjerki.

Był dzień wypłaty i przywieziono z banku pieniądze, które ciocia wypłacała. Kilku uzbrojonych młodych ludzi, sterroryzowany strażników w bramie głównej, wtargnęło do biura, a tam do kasy. Kazano cioci pod groźbą użycia pistoletu wydać pieniądze i otworzyć kasę pancerną. Jednak przed kilkunastu minutami przywieziona gotówka stała jeszcze pod biurkiem, w skrzynce na podłodze, i aby ją uchronić – były to przecież pieniądze do wypłaty załodze – ciocia lekko pchnęła ją nogą głębiej pod biurko. Ten ruch zauważył jeden z napastników. Dосkoczył do niej, krzycząc: *Gdyby nie pani siwe włosy, rozwalilibym panią na miejscu!* Po ucieczce napastników zjawiono się, oczywiście, UB. Przez dłuższy czas

trwało śledztwo. Pieniądzy nie odzyskano, ale rozważając ten incydent, nigdy nie byliśmy pewni, czy UB samo nie urządza takich napadów. W początkowych latach po wojnie w UB służyło wielu byłych przestępców, pochodzących ze społecznych szumowin i wykorzystujących panujący chaos do bezkarnego rabunku. To taki jeden z wielu przykładów niepewnej sytuacji w Polsce niedługo po zakończeniu wojny, z którym zetknąłem się bardzo blisko.

Mimo pewnych trudności z polskim językiem, nauka szła mi dobrze i w maju 1947 roku zdałem maturę. Jesienią przyjechałem do Wrocławia, aby rozpocząć studia na Wydziale Matematyczno-Fizyczno-Chemicznym na Oddziale Chemii Technicznej.

Losy polskich jeńców wojennych

Co stało się z naszymi ojcami, więźniami obozów jenieckich? Na to pytanie nikt nie chciał udzielić odpowiedzi, a nasze polskie władze i zachodni sojusznicy unikały go jak ognia.

Przez cały okres naszego zesłania, prawie każdego dnia, zastanawialiśmy się, co NKWD zrobiło i gdzie ukryło Polaków z trzech obozów jenieckich. Niestety, z biegiem czasu nasuwały się najgorsze podejrzenia, zwłaszcza po ogłoszeniu przez Niemców potwornego odkrycia w Lasku Katyńskim na wiosnę 1943 roku.

Powstała przedziwna sytuacja. Wspomniane wyżej stalinowskie **Kłamstwo Katyńskie** – obarczenie Niemców winą za mord polskich jeńców – mogło się rozpowszechniać nadal.

Związek Sowiecki był militarnie bardzo silny, zwłaszcza po tym, jak niezupełnie uczciwą drogą stał się pod koniec lat 40. XX wieku mocarstwem atomowym, posiadając broń nuklearną. Cały świat zachodni liczył się z nim i wszelkie podnoszenie tematu Katinia na forum międzynarodowym było niepożądane przez sojuszników zachodnich i skazane na niepowodzenie. W USA powstała nawet w 1952 roku Komisja Maddena, która ogłosiła raport, sugerujący winę Sowieców, ale go szybko zmarginalizowano.

Po powrocie do Polski, w 1946 roku mama zwróciła się do Sądu Grodzkiego w Kaliszu, gdzie zamieszkaliśmy, o określenie naszego statusu cywilnego, czyli informację: **czy mama jest wdową, a dzieci sierotami.**

Kuriozalne postanowienie sądu przedstawiam *in extenso*.

Postanowienie

Dn. 6 lipca 1948 roku

*Sąd Grodzki w Kaliszu w osobach sędziego Adama Sternberga w obecności protokolanta J. Zaremby, po rozpatrzeniu w dniu 6 lipca sprawy z wniosku Stanisławy Zaleskiej o uznanie za zmarłego na mocy art. 1, 2 §1, 3, 5, 7 i 27 Dekr. z dnia 29.8.1945 r. (Dz.U.R.P. Nr 40, poz. 226), art. 14, 18, 19 Prawa Osobowego (Dz.U.R.P. Nr 54, poz. 304), art. 1, 31 K.P.K, postanawia: **Ryszarda Wiktora Zaleskiego, ur. 23.3.1889 r. w Hucisku, pow. Rohatyn, syna Stanisława i Józefy ze Śliwińskich małż. Zaleskich, uznać za zmarłego, ustalając datę jego zgonu na dzień 10 maja 1946 w Starobielsku.***

Sędzia Grodzki /-/ A. Sternberg

Przedstawiony wyżej dokument pokazuje, jak funkcjonowały „niezawisłe” sądy w PRL, a przede wszystkim na tle lawiny liczb i cytowanych paragrafów **podaje bezpodstawnie fikcyjną, wymyśloną, o sześć lat przesuniętą datę śmierci ojca. Zatem, już wówczas organy PRL kontynuowały i respektowały Katyńskie Kłamstwo.**

Spośród **21 857** osób, skazanych wyrokiem 5 marca, około **440** postanowiono z różnych przyczyn zachować, głównie jako załączek przyszłej nowej armii polskiej pod auspicjami komunistów. Jakie były rzeczywiste przyczyny nieobjęcia tych osób wyrokiem i uchronienia ich przed zagładą – jest to nadal nieujawnioną tajemnicą. Przypuszczalnie byli wśród nich ludzie reklamowani przez ambasady obcych państw, lewicujący, komuniści, skłócenie z przedwojennymi władzami RP, może ludzie, którzy zgodzili się na współpracę z NKWD, w każdym razie: skłonni do indoktrynacji.

Wśród nich była pewna liczba jeńców – Ślązaków, reklamowanych w jesieni 1939 roku przez ambasadę hitlerowskich Niemiec w Moskwie, których rodziny, deklarowały niemiecką przynależność, podpisawszy prawdopodobnie Volksliste.

Grupa ta miała ogromnego pecha, ponieważ uniknąwszy zagłady w kwietniu i maju 1940 roku, została – po ataku Niemiec na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 roku – automatycznie uznana za znajdującą się po stronie agresora. Jeńcy ci zostali zgładzeni

w nieznanym miejscu i czasie. Być może, jakieś dane ma Naczelną Prokuraturę Wojskową Federacji Rosyjskiej. W materiałach dotyczących *Zbrodni Katyńskiej*, ujawnionych po 1992 roku nie podano o nich żadnych informacji.

Bardzo duży wpływ na decyzję komunistów ujawnienia prawdy o zagładzie polskich jeńców wojennych miał dynamiczny rozwój informatyki, a zatem komputeryzacji w krajach zachodnich oraz inne zjawiska, zwłaszcza polityczne, jak *pieriestrojka* i gorbaczowowska *głasność*. Dlatego, po pół wieku milczenia i ukrywania zbrodni, postanowiono ujawnić światu prawdę o przebiegu jej wydarzeń.

W 1990 roku Polska otrzymała od rządu sowieckiego oficjalne informacje o lokalizacji masowych grobów byłych jeńców Starobielska i Ostaszkowa. Jeńców Starobielska (wg listy NKWD – **3820** osób) przewożono w kwietniu i na początku maja 1940 roku około 200 km na zachód, do Charkowa. Tam w kazamatach NKWD zabijano strzałem w tył głowy i grzebano w podcharkowskim lesie, w dzielnicy Piatichatki.

W tym samym czasie, jeńców Ostaszkowa (wg listy NKWD – **6311** osób) przewożono około 200 km na wschód do miasta Kalinin (obecnie Twer). W piwnicach siedziby NKWD mordowano ich, a zwłoki przewożono do lasu w pobliskiej miejscowości Miednoje, gdzie spoczywają w zbiorowych mogiłach.

Kończącym aktem tej zbrodni, bezprecedensowej we współczesnej historii wojen, było ujawnienie jesienią 1992 roku pisma Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRR L. Berii z 5 marca 1940 roku, skierowanego do Biura Politycznego Partii, z wnioskiem o rozstrzelanie bez sądu i ogłoszenia wyroku wszystkich jeńców z wymienionych trzech obozów (ogółem według listy NKWD – **14 552** osoby), jako zagorzałych wrogów Związku Sowieckiego.

Wniosek ten został przez Biuro Polityczne zatwierdzony podpisami J. Stalina, K. Woroszyłowa, W. Mołotowa, A. Mikojana, ze zgodą L. Kaganowicza i M. Kalinina, co było wyrokiem śmierci na Polaków więzionych w tych obozach.

Wyrok ten objął, ponadto, **7305** jeńców wojennych w różnych obozach na Ukrainie i Białorusi, których miejsca straceń i spoczynku nie są znane i prawdopodobnie nigdy nie zostaną ujawnione, lub tylko niektóre.

Mijały lata. Odczekano do czasu naturalnej śmierci sygnatariuszy sowieckiego morderczego rozkazu z 5 marca 1940 roku, skazującego polskich jeńców na śmierć. Poniżej lata ich życia, w kolejności roku śmierci.

Imię i nazwisko	Okres życia	Żył lat
Michaił Kalinin	1875-1946	71
Józef Stalin	1879-1953	74
Kliment Woroszyłow	1881-1969	78
Anastasij Mikojan	1895-1978	83
Wiaczesław Mołotow	1890-1986	96
Łazar Kaganowicz	1893-1991	98

Jak wynika z zestawienia, wszyscy sygnatariusze żyli długo i spokojnie, nie ponosząc odpowiedzialności za swoje zbrodnicze działania. Kaganowicz – nieomal rówieśnik mojego ojca, dożył sędziwego wieku, mogąc doświadczyć *pierestrojki*, a nade wszystko wolności.

Naszym ojcom odmówiono prawa do życia!

Tysiącom polskich rodzin odmówiono prawa do poznania okoliczności, czasu, miejsca zagłady i pochówku ich bliskich. Niektórym rodzinom prawa do powrotu, do Ojczyzny.

Dopiero po śmierci wyżej wymienionych sygnatariuszy – **po 52 latach milczenia**, zakłamywania rzeczywistości, starannego ukrywania faktów, zostali ujawnieni sprawcy bezprecedensowej zbrodni ludobójstwa – zagłady **21 857 polskich jeńców wojennych**: Józef Stalin, jego współpracownicy i cały aparat wykonawczy NKWD.

Tragedia ta przeszła do historii jako **Zbrodnia Katyńska**.

Konsekwencje Zbrodni Katyńskiej dla Polski

Upłynęły już 73 lata od popełnienia Zbrodni Katyńskiej, która pozostaje w pamięci Polaków, przypominana kolejnymi rocznicami i licznymi pomnikami. Śledząc bacznie całą tę historię, dochodzi się do wniosku, że w ostatecznych skutkach była ona dla Polaków nie tylko wielką tragedią, ale największym **paradoksem historycznym II wojny światowej, a może całego XX wieku.**

Paradoksem, ponieważ Zbrodnia Katyńska – stalinowska zagłada sporej części polskiej elity wojskowej i intelektualnej, spowodowała, w efekcie, absurdalne zmarginalizowanie Polski w zwycięskiej koalicji antyhitlerowskiej, a przecież Polskie Siły Zbrojne stanowiły w niej czwartą liczebnie potęgę militarną.

Pierwotną tego przyczyną była koniunkturalna zdrada przez mocarstwa zachodnie polskiego sojusznika, wbrew licznym deklaracjom o lojalności, spełnienie wszystkich żądań Stalina, dotyczących kształtu powojennej Europy, i formalne uznawanie *Kłamstwa Katyńskiego za wiarygodne*, aby nie urazić strony sowieckiej.

Sowieccy mordercy z Katynia nigdy nie zostali osądzeni ani skazani, natomiast Polaków skrzywdzono eliminacją z grona zwycięzców II wojny światowej i jawnym bojkotem na arenie międzynarodowej.

Zostało to dostrzeżone na Zachodzie, wyeksponowane i opisane w książce *Sprawa honoru* Lynne Olson i Stanley Cloud, z podtytułem: *Dywizjon 303 Kościuszkowski. Zapomniani bohaterowie II wojny światowej*⁴⁰. Autorzy zadedykowali swoją książkę *Narodowi polskiemu*. Opisali znaczący udział i zasługi wybranych z 17 tys. wspaniałych, bohaterskich polskich pilotów w zwycięskiej wojnie powietrznej w 1940 roku, która przeszła do historii pod nazwą *Bitwa o Anglię*.

24 czerwca 1945 roku w Moskwie odbyła się uroczysta Parada Zwycięstwa, ze spektakularnym rzucaniem zdobytych sztandarów jednostek SS i Wehrmachtu pod trybunę, gdzie stał – wynoszony pod niebiosa, ogłoszony wielkim zwycięzcą – satrapa Józef Stalin.

⁴⁰ *Sprawa honoru. Dywizjon 303 Kościuszkowski. Zapomniani bohaterowie II wojny światowej*, z przedmową do polskiego wydania Normana Daviesa. Wydawnictwo AMF+, Warszawa 2004; www.sprawahonoru.com.

8 czerwca 1946 roku, w rok po zakończeniu wojny, postanowiono urządzić w Londynie podobną do moskiewskiej, uroczystą defiladę. Mieli w niej uczestniczyć przedstawiciele wszystkich narodów, które brały udział w zwycięskiej wojnie. Okazało się jednak, że z **wymienionych wyżej politycznych powodów nie zaproszono Polaków do uczestnictwa w tej defiladzie.**

Autorzy cytowanej książki opisują jedną z sytuacji podczas tej uroczystości:

Młody polski pilot, który patrzył w milczeniu na przesuającą się defiladę, odwrócił się, chcąc odejść. Stojąca obok staruszka spojrzała na niego zdziwiona.

– Dlaczego pan płacze, młody człowieku? – spytała⁴¹.

Studia byłego zesłańca (1947-1952)

Jak wspomniałem na początku książki, już we wrześniu 1939 roku konieczność zachowania ostrożności w rozmowach i kontaktach z nieznanymi ludźmi musiała być zachowywana z chwilą zetknięcia się z systemem sowieckim już od października 1939 roku; tym bardziej po zakończeniu wojny, gdy zostaliśmy skazani na pobyt w obozie komunistycznym.

Lata powojenne były szczególnie trudne pod tym względem, ponieważ działalność agentów UB była bardzo zintensyfikowana. Trzeba było nauczyć się żyć podwójnym życiem – inaczej mówić i inaczej myśleć. Popularny był wówczas, zresztą aktualny przez cały okres PRL-u, dowcip trawestujący znany komunistyczny aforyzm: *Mówimy Partia, myślimy Lenin; mówimy Lenin, myślimy Partia*. Konkluzja: i tak od kilkudziesięciu lat – co innego mówimy, a co innego myślimy.

Przed wyjazdem na studia, jeszcze w Kaliszu, mówiło się, że bez przynależności do organizacji młodzieżowej trudno będzie dostać się na uczelnię. Nasza grupa kolegów, wybierających się na studia, postanowiła zapisać się do Związku Młodzieży Wiejskiej RP *Wici*,

⁴¹ Tamże. Po latach, w 1996 roku królowa Elżbieta II powiedziała: *Gdyby Polska nie stała po naszej stronie w tamtych dniach [...] płomień wolności mógłby zgasnąć jak świeca na wietrze.*

związanego wówczas z Mikołajczykiem, aby móc wykazać się jakąś przynależnością, ponieważ panowała opinia, że człowiek bez-ideowy się nie liczy. Gdy zapisywałem się, będąc już na I roku studiów, do Bratniej Pomocy, w której kupowało się obiady w stołówce, przyjął mnie jakiś okropny typ o wyglądzie kryminalisty i zadał mi pytanie o ojca. Powiedziałem, że poszedł na wojnę i zaginał. *To może był szpiegiem?* – pytał dalej ten typ. Trzeba było być bardzo opanowanym, aby nie zareagować w tej sytuacji brutalnie! Okazało się, że mój rozmówca miał nazwisko: M. Po tzw. odwilży, czyli w 1956 roku dowiedziałem się z radia *Wolna Europa*, że był to jeden z bardziej niebezpiecznych agentów UB. Po naszym spotkaniu bardzo szybko zniknął z uczelni. Tacy ludzie działali wówczas na uczelni! Ilu ich było?

Była też pewna część młodzieży zaangażowana ideowo, zwłaszcza pochodząca z rodzin o poglądach lewicowych. Wydawało mi się jednak, że większość studentów jest negatywnie nastawiona do ówczesnej ideologii. Trudno było rozpoznać, ilu zaangażowanych funkcjonariuszy organizacyjnych działa z przekonania, a ilu z wyrachowania.

Trzeba jednak podkreślić, że niektórzy rzeczywiście chyba wierzyli w piękne hasła, serwowane przez media ekipy rządzącej. Nie wszyscy jednak usiłowali zadać sobie trudu, a może nie chcieli, by skonfrontować teorię z praktyką i rzeczywistością. Nie było to takie łatwe, gdyż dominowała propaganda sukcesu gospodarki socjalistycznej, a z drugiej strony – w sądach toczyły się liczne procesy byłych akowców i innych działaczy polskiego demokratycznego *Podziemia*, które kończyły się nieujawnianymi wyrokami śmierci.

Jestem przekonany, bez megalomanii, że my, byli zesłańcy, mieliśmy po naszych przejściach wojennych spojrzenie bardziej realistyczne od pozostałych. Dlatego, gdy odbywał się tzw. Zjazd Zjednoczeniowy organizacji młodzieżowych w 1948 roku i zaproponowano utworzenie jednej organizacji: Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), poczułem się, jakbym ponownie był w Związku Sowieckim. To był przecież KOMSOMOŁ! Postanowiłem rzucić (oddać) legitymację Związku Młodzieży Polskiej, w którym automatycznie jako członek ZMW *Wici* się znalazłem. Nie była to rozsądna decyzja, ponieważ mogła mnie (jak cynicznie grożono) pozbawić prawa dalszego studiowania.

Miałem chyba więcej szczęścia niż rozumu, ponieważ, jak się okazało, był to jedyny przypadek w mieście. Przewodniczący ZMP na naszym wydziale zwrócił się do mnie z usilną prośbą, abym decyzję swoją zmienił. Zostało to potraktowane jako skutek złej pracy propagandowej komórki ZMP u nas, a jej przewodniczący dostał za to z Komitetu Miejskiego ZMP upomnienie.

Swojej decyzji jednak nie zmieniłem i nigdy nie zapisywałem się już do żadnej organizacji ani partii politycznej. Należałem, co prawda, jakiś czas do *Solidarności* (1981-1984), ale wypisałem się, gdyż chciałem być politycznie neutralny.

Po III roku studiów ogłoszono we wrześniu, a więc przed rozpoczęciem roku akademickiego, kurs chemików kampanijnych do pracy w cukrowni. Zapisałem się na ten kurs, licząc, że będę mógł znowu trochę zarobić. Byłem teoretycznie na utrzymaniu mamy, pracującej jako kasjerka Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu. Jako były zesłaniec, niepopierany przez żadną organizację polityczną, do tego członek *Wici*, a więc student politycznie niepewny, nie dostałem miejsca w domu akademickim, ani stypendium. Materialnie byłem nędzarzem, bez mieszkania i bez domu rodzinnego, gdyż mama mieszkała jako sublokator u swojej siostry.

Od pierwszego roku zarabiałem korepetycjami z matematyki, fizyki i chemii, co poza znaczeniem materialnym miało dla mnie również inne skutki, o czym w dalszej części książki. Zarabiałem również dorywczo przy ekspedycji podręczników szkolnych (pakowanie i transport do księgarń), ale tylko we wrześniu i październiku. Po ukończeniu I i II roku, w czasie ferii letnich, zgłaszałem się do Cukrowni Zbiersk jako kontroler plantacji buraków cukrowych, gdzie miałem u cici Lubińskiej stałą bazę i zdobyłem doświadczenie w uprawie tychże buraków.

Dodam, że na ten kurs cukrowniczy zapisał się również repent, kolega Z.B. Poznaliśmy go już na II roku, ale mieliśmy bardzo słabe ze sobą kontakty, ponieważ starał się on być zawsze w odosobnieniu i unikał rozmów. Dopiero na tym kursie, poza uczelnią, w wieczornych rozmowach ujawnił swoją przeszłość. Otóż, w latach 1945-1946, po wojnie, spontanicznie powstawały stowarzyszenia o różnym charakterze i zainteresowaniach. Ludzie spotykali się, dyskutowali, śpiewali, modlili się itp. Tego typu zgromadzenia były natychmiast podejrzewane o działalność wywrotową i kontr-

rewolucyjną. Czujne UB je likwidowało. Kolega Z.B. uczestniczył w takiej działalności i razem z innymi członkami tego towarzystwa został aresztowany i zasądzono mu rok więzienia. Dużo nam opowiadał o ludziach, których spotkał w więzieniu, a jego długie milczenie spowodowane było bezwzględny nakazem nieujawniania przeszłości więziennej oraz groźbami.

Z drugiej strony, wielu kolegów i w ogóle polskie społeczeństwo, zmęczone wojną i różnymi przejściami, usilnie dążyło do stabilizacji i budowy własnej przyszłości zarówno rodzinnej, jak i zawodowej. Analiza sytuacji politycznej w Europie nie dawała żadnych perspektyw na jej odmianę w realnym czasie.

Wielu ludzi, zwłaszcza młodych (studenci) dochodziło do wniosku, że opór w stosunku do władzy jest bezcelowy i tylko szkodzi uzyskaniu tej stabilizacji. Co więcej, konformizm dawał pewne przywileje (stypendia zagraniczne, lepiej płatne posady, stanowiska, przydziały samochodów, mieszkań itp.) i niektórzy temu ulegali. Była to bardzo skomplikowana do moralnej oceny sytuacja.

W moim przypadku, wobec zamordowania przez władze komunistyczne mojego ojca, jakakolwiek postawa konformistyczna lub czynne uczestnictwo w ówczesnym życiu partyjno-politycznym nie wchodziło w rachubę, jeśli nie chciałem mieć dla siebie pogardy.

W takich warunkach studiowało się w pierwszych latach po wojnie! Ale nie dramatyzowaliśmy. Mieliśmy przecież po 20 lat. Cieszyliśmy się życiem i możliwością studiowania, starając się zapomnieć o ponurych wojennych latach.

Korepetycje, przyjaźnie, miłość

Jak wcześniej wspomniałem, nie odczuwałem jakiejś dyskryminacji ze strony władz uczelni jako były zesłaniec. Takich repatriantów była na uczelni zapewne spora liczba. Między kolegami nie rozmawiało się o sprawach politycznych, ze względu na konieczność zachowania ostrożności. Nie wiadomo było, który z kolegów jest z UB. Wiem, że była lista takich, którzy dostali się bez egzaminu wstępnego, reszta musiała go zdawać, a łatwo nie było, ponieważ na jedno miejsce kandydowało ponad dwadzieścia osób. Miałem bardzo dobre przygotowanie matematyczne z kaliskiego lice-

um, gdzie świetny matematyk profesor Żarnecki włożył w nie wiele wysiłku. Byłem wyraźnie lepszy od przeciętnej. Niezłe byłem przygotowany z fizyki i chemii. Zdawszy pozytywnie egzaminy wstępne, znalazłem się na liście przyjętych. Udało mi się zacząć studia w stosunkowo młodym wieku: dziewiętnastu lat, jak na prawie 5-letnią wojenną przerwę w edukacji.

Utrzymywałem się, jak wspominałem, udzielając korepetycji uczniom liceów. Pierwsze korepetycje przyszły do mnie same. Z moim przyjacielem i dalekim krewnym Rysiem poszukiwaliśmy pokoiku sublokatorskiego. We wrocławskiej dzielnicy Biskupin Niemcy wybudowali w latach 30. szeregowo domy, w których były pokoiki na poddaszu. Udało się nam wynająć taki pokój, pod warunkiem, że trzeba będzie pomóc w przedmiotach ścisłych mieszkającej w sąsiednim pokoiku bratanicy gospodarza, uczennicy gimnazjum. Gdy nabrałem wprawy w korepetycjach, moi krewni, repatrianci ze Lwowa, mieszkający we Wrocławiu, załatwiali mi tylu uczniów, że studiując i śpiewając w Akademickim Chórze Technickim, z trudnością mieściłem te korepetycje w swoim rozkładzie dziennych zajęć.

Przygotowałem więc do matury dość zdolną Elę, potem starszego ode mnie o kilka lat Mietka, który wcześniej już pracował i niezłe zarabiał. Jego ojciec chciał, aby zdał maturę, a synek lubił się zabić i popić. Nauka z Miciem nie szła łatwo. Był on bowiem już przyzwyczajony do innego życia i własnych pieniędzy, zmuszał się więc z wielkim trudem do ślęczenia nad książką. Ciekawe było, że gdy ojciec dawał mu pieniądze na moje honorarium, on zamykał drzwi, pytając ściszym głosem: *Czy mógłby się pan kilka dni wstrzymać?* A więc pożyczałem mu własne pieniądze, z których przecież żyłem!

Miałem również ucznia Romka, syna profesora uczelni, który był bokserem. W czasie lekcji wieształ marynarkę na kłamce drzwi, aby mama nie podglądała. Wyjmował rękawice bokserskie, proponując mi mały sparring.

Przedostatnim moim uczniem był Zbyszek, chłopak zdolny, wesołego usposobienia, ale potrzebował ukierunkowania i dopilnowania, więc zajęcia z nim nie sprawiały mi kłopotu. Widziałem pozytywne skutki mojej pracy. Ojciec Zbyszka, były oficer zawodowy wyższej rangi, który – jak się potem dowiedziałem – czuł się

niepewnie i był w stałym niebezpieczeństwie. Zajmował bowiem w przeszłości wysokie stanowisko w strukturach byłej AK. Bardzo dbał o to, aby jego syn zdał maturę i mógł studiować.

Pewnego dnia Zbyszek zapytał mnie, czy zgodziłbym się pomóc w przygotowaniu się do matury jego koleżance Basi, mieszkającej w naszej dzielnicy na Biskupinie. Zgodziłem się i zaczęliśmy zajęcia. Był początek roku 1950. Miałem 22 lata, a ona 17. Lekcje przebiegały sprawnie. Miałem już spore doświadczenie dydaktyczne, dlatego jej rodzice zdecydowali, aby nasze lekcje rozciągnęły się na ostatni – maturalny rok szkolny 1950/1951.

Ojciec Basi był doświadczonym przedwojennym pedagogiem, byłym dyrektorem gimnazjum w Gorlicach. Podczas wojny, na emigracji wykładał w polskim gimnazjum w Bukareszcie. Po wojnie tworzył od podstaw szkolnictwo polskie na odzyskanym Dolnym Śląsku, za co był nagradzany. Został dyrektorem wieczorowego liceum dla dorosłych – placówki bardzo potrzebnej w tym czasie, wobec wielu tysięcy ludzi bez matury wskutek wojny, a piastujących niekiedy wysokie stanowiska, ze zobowiązaniem uzyskania matury w określonym czasie.

Basia była bardzo uzdolniona w kierunkach humanistycznych, była świetną polonistką, natomiast w naukach ścisłych potrzebowała pomocy i jako osoba inteligentna efektywnie ją wykorzystywała. Bardzo dużo czytała: beletrystykę, poza lekturami szkolnymi. Miała rozwinięte poczucie humoru i spore zdolności plastyczne. Nieźle rysowała, zwłaszcza karykatury, a najlepiej karykutowała samą siebie – miała sporo samokrytycyzmu.

Była ładna, a mimo to skromna. Pewności siebie nabierała, gdy była o czymś absolutnie przekonana. Miała dwie przyjaciółki Krysię i Bogusię oraz kolegów Zbyszka ze Lwowa i Jacka, który w Basi się podkochiwał. Tworzyli paczkę, która realizowała różne wariackie, często jej pomysły: przebieranki, wygłupy, improwizacje.

Basia nie znosiła kłamstwa i sztuczności. Była niezwykle uczciwa, prawa i prostolinijna w postępowaniu. Także bezkompromisowa w dochodzeniu do prawdy, co w późniejszej pracy sprawiło jej sporo kłopotów: otaczający ją świat był bowiem inny.

Z biegiem czasu, Basia stawała się coraz bliższa mojemu sercu, zaczęła mi się podobać, polubiłem lekcje z nią i z niepokojem myślałem już o naszym rozstaniu po zbliżającej się maturze. Niekiedy

zostawałem po lekcji trochę dłużej, aby porozmawiać nie tylko o matematyce, a od czasu do czasu jej rodzice zapraszali mnie na kolację. Nadeszło lato 1951 roku. Z Basią i jej rodzicami pożegnaliśmy się po jej zdanej maturze i wyjechaliśmy na wakacje.

W drugiej połowie lipca dostałem list z Międzyzdrojów od Basi, w którym mnie pozdrawiała i pisała, że nie może się wyzwolić od koszmaru tej matematyki. Nawet na piasku plażowym dostrzeżga układające się sinusoidy, a do tego blisko nich plażują znani matematycy wrocławscy, z których jeden jest we Wrocławiu ich sąsiadem. Pisała ze swoistym humorem, że obawia się, iż zaczną ją na plaży przepytywać z matematyki.

Po powrocie do Wrocławia zaczęliśmy się spotykać. Basia rozpoczęła studia na Wyższej Szkole Rolniczej na Wydziale Ochrony Roślin, a ja kończyłem pracę magisterską, którą obroniłem w lipcu 1952 roku. Rok wcześniej zostałem asystentem Politechniki Wrocławskiej. Nasze kontakty się zacieśniały. Wyjeżdżaliśmy na wycieczki pożyczonym od mojego gospodarza motocyklem. Wybraliśmy się nawet na wycieczkę pociągiem do Warszawy, gdzie byliśmy na operze. Miałem już 25 lat i mieszkalem wciąż na sublokatorce, pozbawiony od 15 lat swojego domu rodzinnego.

W takiej sytuacji po wojnie znajdowało się wiele tysięcy młodych ludzi, dlatego zakładano rodziny po uzyskaniu jakiegokolwiek stabilizacji, np. po ukończeniu studiów.

Ślub z Basią Gwiżdż (1933-1983) – rodzina, podróże

Nasz ślub odbył się 15 sierpnia 1953 roku we Wrocławiu. W poślubną podróż wybraliśmy się z Basią w góry i zamieszkaliśmy w góralskiej chacie, 3 km od Nowego Targu, na stokach Gorców w Kokoszkowie, z przepięknym widokiem na masyw Tatr.

Stamtąd robiliśmy wypadki w Gorce i Wysokie Tatry, rozkoszując się pięknem tych gór. Mieszkając w prawdziwej chłopskiej chacie, nie mogłem oderwać się od czytania *Chłopów* Reymonta, ponieważ otaczająca sceneria była niezwykle odpowiednia do tej lektury. Uzupełniałem wojenne zaległości w beletryście.



Nowożeńcy Basia i Adam Zalescy. Za nimi idą siostra i mama, Wrocław 1953

Rodzice Basi udostępnili nam górną część swojej willi z dwoma pokojami. Tutaj przyszli na świat nasi synowie: **Piotr** (1955) oraz **Andrzej** (1961).

Basia miała niesamowicie rozwinięty instynkt macierzyński. Dom i dzieci, ich życie, wychowanie, zdrowie i dalszy rozwój były dla niej sprawą najwyższej rangi i zawsze stały na pierwszym miejscu ważności. Wkładała wiele wysiłku i czasu w śledzenie ich

postępów. Zawsze gotowa była do pomocy w nauce przedmiotów humanistycznych i przyrodniczych. Myśląc o ich przyszłości, założyła im książeczki mieszkaniowe. **Była wspaniałą, ofiarną i troskliwą matką!**



Piotr Zaleski, 1958



Andrzej Zaleski, 1969



Adam z Basią na własnej wufemce w czeskich Tatrach, 1959

Dziwiły mnie Basi poglądy polityczne. Przecież w chwili wybuchu wojny miała dopiero 6 lat, była więc małym dzieckiem. A jednak przejścia wojenne znacznie poszerzyły jej świadomość polityczną. Poglądy na świat miała trzeźwe, dojrzałe i bardzo krytyczne.

W czasie wojny poznała już towarzyszące jej niebezpieczeństwa. Pewnego razu przewożono furmanką do miasta rannego pod Gorlicami partyzanta, przykrytego tylko słomą i workami. Basie, wówczas 9-letnią, wzięto jako maskotkę przy woźnicy.

Na punkcie kontrolnym żandarmi zainteresowali się śliczną blondyneczką. Nie sprawdzali, co jest pod słomą. Takie przeżycia na pewno przyczyniły się do szybszego rozwoju społecznej świadomości dziecka. W całym okresie Polski Ludowej była zawsze wrogiem dyktatorskich decyzji partyjnych. Nigdy nie należała do żadnych organizacji politycznych.



Wycieczka nowym wartburgiem 911 z ojcem Basi, 1962

Dalszych lat naszego wspólnego życia nie będę szczegółowo opisywał, bo byłyby to następna książka.

Ogólnie ujmując, Basia po ukończeniu studiów I stopnia z ochrony roślin, już jako matka Piotra studiowała na kursie magisterskim w Katedrze Szczegółowej Uprawy Roślin u profesora An-

toniego Wojtysiaka, wówczas jedyne go bezpartyjnego posła na Sejm. Odwaga jego oficjalnych wypowiedzi zawsze jej imponowała i m.in. dlatego zachowywała dla niego wielki szacunek. Sama wyróżniała się imponującą odwagą cywilną.

Po ukończeniu studiów i podchowaniu dzieci, podjęła pracę w Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, a po kilku latach w Miejskiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, prowadząc Dział Kontroli Produktów Nabiałowych, Wód Pitnych i okresowo Dział Mykologii – badania grzybów. Ten ostatni dział był bardzo ważny, ponieważ w niektórych sytuacjach wyniki jej badań decydowały o ludzkim życiu. Pracowała zatem w warunkach wielkiej odpowiedzialności, niezwykle podatnych na korupcję. I tutaj wszyscy, którzy zamierzali cokolwiek załatwić z nią nielegalnie, zderzali się z jej absolutną uczciwością i konsekwencją w postępowaniu.

Wiele podróżowaliśmy po Europie – Czechosłowacja, Hiszpania, Chorwacja, Francja, Węgry, Szwajcaria, Jugosławia, Grecja, Rumunia, Bułgaria, Związek Sowiecki. Oczywiście, dużo również po Polsce z naszym ukochanym psem – bokserem Kubą.

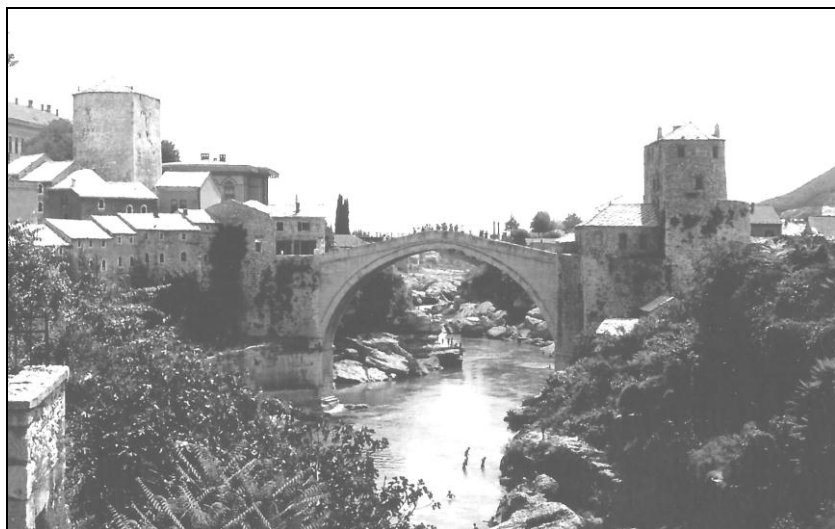


Rodzina Zaleskich pod Turbaczem, Gorce, lato 1968



Hiszpania. Napis na skale – Zaleski Moda, 100 km od Madrytu, fot. Adam Zaleski

Most w Mostarze z drugiej połowy XVI wieku był przez wieki symbolem pojednania Wschodu z Zachodem: chrześcijaństwa z islamem, katolickich Chorwatów z prawosławnymi Serbami.



Kamienny most w Mostarze, przewieszony nad rzeką Neretwą. Zniszczony podczas wojny bośniackiej w 1993, odbudowany w 2004, Bośnia i Hercegowina 1966, fot. Adam Zaleski



Basia Zaleska z synami – Piotrem i Andrzejem, 1967, fot. Adam Zaleski

Basia była bardzo dobrą gospodynią. Domowe przyjęcia przez nią przygotowywane z dużym wkładem pracy były na najwyższym poziomie. Miała na to zawsze mało czasu, więc nie były częste. Stosunek Basi do jej pracy był niesłychanie odpowiedzialny. Nie pozostawało to bez skutków na jej zdrowiu, które zaczęło się psuć. Zwłaszcza w okresie urodzaju grzybów w lasach występowała spora liczba zatruć grzybami. Basia prowadziła badania analityczne przyczyn tych zatruć na próbkach dostarczanych jej do laboratorium i od wyników jej badań zależało niekiedy ludzkie życie, ponieważ określały one kierunek terapii pacjenta. To był wielki stres, który mógł wywierać negatywny wpływ na jej zdrowie.



Zalescy na grzybach, Mazury 1972

W 1971 roku, po sprzedaży 8-letniego wysłużonego wartburga 911, którym zwiedziliśmy, m.in. Włochy i Jugosławię, dostaliśmy przydział na mocniejsze auto – polski fiat 125p. Dzięki temu udało nam się odbyć wycieczki do Francji, Hiszpanii, Rumunii, Bułgarii nad Morze Czarne, zwiedzając również europejską część Turcji – piękny Stambuł.



Basia z synami przed Bazyliką Sacré-Cœur, Paryż 1973, fot. Adam Zaleski



Srebrne wesele: Basia z Adamem oraz synowie: Piotr z Zosią i Andrzej, Kokoszków koło Nowego Targu, 1978



Rodzina Zaleskich na spacerze koło Wrocławia, zima 1978/1979

W najtrudniejszym momencie, podczas wypadków politycznych w sierpniu 1981, stwierdzono u Basi nowotwór trzustki. Była pracownikiem służby zdrowia, więc miała wszelką dostępną pomoc. W styczniu 1982 roku lekarze podjęli decyzję o operacji.

Przez następne miesiące przeprowadzono chemioterapię, która przed 30 laty była na znacznie niższym poziomie niż obecnie, chociaż i teraz nie zawsze jest skuteczna. W lecie byliśmy nad morzem z dwoma wnukami, którymi mogła się jeszcze nacieszyć.

W styczniu 1983 roku nastąpił kryzys. Basia umierała całkowicie przytomna, przebywając w domu. Powiedziała na koniec, że dobrze przeżyła życie i prosiła mnie, abym wyprowadził nasze dzieci na ludzi.



Basia Zaleska, 1980

To przez Nią, dzięki Jej troskliwości i wychowaniu byli oni już ukształtowani na pełnowartościowych i odpowiedzialnych ludzi i głównie **dzięki Niej są właśnie takimi.**

Piotr Zaleski, syn i jego rodzina

Starszy syn – **Piotr**, zamierzając studiować muzykę, uczy się jednocześnie w dwóch liceach: ogólnokształcącym i muzycznym, które kończy w 1976 roku. Po otrzymaniu stypendium zagranicznego, kontynuuje naukę w Wyższej Szkole Muzycznej w Weimarze (Niemcy), w klasie gitary klasycznej, którą kończy w 1980 roku.

Wraca do kraju i rozpoczyna pracę we Wrocławskiej Akademii Muzycznej. Broni doktoratu, habilituje się, zostaje profesorem nadzwyczajnym, a w roku 2011 profesorem zwyczajnym w klasie gitary klasycznej, prowadząc równolegle klasę gitary w Poznańskiej Akademii Muzycznej.

W roku 1979 żeni się z **Zofią Chądryńską**, która po ukończeniu Akademii Medycznej zostaje lekarzem pediatrą ze specjalizacją położnictwo i noworodki.



Ślub Piotra z Zosią, 1979, fot. Adam Zaleski

Przychodzą na świat ich synowie: **Maciej** (1979), **Bartosz** (1982) i **Tomasz** (1989).



Maciuś, Bartuś i Tomcio – synowie Zosi i Piotra Zaleskich, 1991, fot. Adam Zaleski



Piotr i Zosia z synami, od lewej: Maciej, Bartosz i Tomasz, 1993, fot. Adam Zaleski

Maciej kończy informatykę (2013) i otwiera firmę projektowania stron internetowych. Bartosz wyjeżdża do Irlandii. Na University College Dublin otrzymuje dyplom Master of Science na Wydziale Informatyki (2012). Zostaje w Irlandii, pracując przy programowaniu komputerowym. Tomasz studiuje we Wrocławiu na Uniwersytecie Przyrodniczym.



Bartosz Zaleski z rodziną po otrzymaniu dyplomu Univesity College, Dublin 2012

Andrzej Zaleski, syn i jego rodzina

Młodszy nasz syn – Andrzej, po ukończeniu Akademii Wychowania Fizycznego i zrobieniu doktoratu, podejmuje pracę w Wyższej Szkole Fizjoterapii we Wrocławiu, zostając jej prorektorem. W roku 1984 wstępuje w związek małżeński z **Izabelą Koroną**.



Ślub Andrzeja i Izy (z domu Korona), Korczyzna 1984



Andrzej i Iza Zalescy w dniu ślubu, fot. Adam Zaleski

Izabela – po zrobieniu doktoratu na wrocławskiej Akademii Medycznej i specjalizacji w zakresie pediatrii – pracuje w Klinice Pediatrii i Chorób Infekcyjnych tej uczelni na stanowisku adiunkta. Mają córkę **Aleksandrę** (1994) i syna **Szymona** (1999).



Iza i Andrzej Zalescy z dziećmi: Olą i Szymonem, Szczytna 2012, fot. Adam Zaleski



Od lewej: Iza, Szymon, Andrzej, Piotr, Maciej, Zosia, Ola, Tomek; z przodu: Adam

Anna Janikowska (1928-2005), moja druga żona

Poznaliśmy się w Kaliszu, kilka dni po moim powrocie z zesłania, gdzie Haneczka mieszkała jako sublokator w willi wujostwa Jankowskich. Hania była bowiem córką dyrektora podkaliskiej Cukrowni Zbiersk inżyniera Władysława Janikowskiego, o którym wspominałem w rozdziale *Pierwsze lata po powrocie do kraju*.

Państwo Janikowscy pochodzą ze znanej patriotycznej rodziny lwowskiej. Dziadek Haneczki Władysław Janikowski był na przełomie wieków XIX/XX szefem Towarzystwa *Sokół Macierz*⁴² w Galicji – mówiło się: szefem sokolstwa. Organizacja powstała pod zaborem austriackim we Lwowie (1867), jako pierwsza pod zaborami. Jej celem było podtrzymywanie i rozwijanie świadomości narodowej, propagowanie sportu, gimnastyki, zdrowego stylu życia. Dbała podnoszenie sprawności fizycznej polskiej młodzieży.

Głównym celem organizacji było wzmacnianie tężyzny fizycznej i sił moralnych. Idee towarzystwa wyrażały słowa: *W zdrowym ciele zdrowy duch*, zaczerpnięte od rzymskiego poety Juwenalisa: *Mens sana in corpore sano*. *Sokół* przygotowywał kadry sprawnych i umotywowanych patriotycznie Polaków do działań wojskowych w aspekcie nadchodzącej walki o odrodzenie niepodległej Polski.

Z Haneczką uczęszczaliśmy do liceum im. T. Kościuszki w Kaliszu (1946/1947). Byliśmy w jednej klasie, ale w różnych oddziałach. Już wówczas nawiązała się między nami nić wzajemnej sympatii, a nawet uczucia. Po maturze nasze drogi się rozeszły. Wyjechałem na studia do Wrocławia, ona również znalazła się we Wrocławiu, gdzie państwo Janikowscy dostali mieszkanie. Haneczka zaczęła studiować historię sztuki. Wkrótce wyszła za mąż. Urodziła im się córka Joanna (1950) i syn Tomasz (1951). Ukończyła studia na uniwersytecie jako historyk sztuki (1953).

Mijały lata i pod koniec lat 80. spotkaliśmy się ponownie. Oboje byliśmy samotni. Okazało się, że dawne uczucia nie wygasły. Postanowiliśmy połączyć się, aby dalej razem iść przez życie.

Ślub odbył się 9 lipca 1993 roku we Wrocławiu. Nasze dzieci były już samodzielne i nasze rodziny – co nie zawsze jest z różnych

⁴² Towarzystwo Gimnastyczne *Sokół* we Lwowie, zwane później *Sokołem Macierzą*.

względów łatwe – połączyły się harmonijnie ze sobą.



Ślub Adama Zaleskiego z Hanią Janikowską, 1993



Od lewej: Adam, Hania, Rysio, Winia (mama Małgosi), Andrzej, Małgosi, Iza, Marysia, Ola, Jola (stoi), Jadzia (siedzi), Ewa i Hania Leszczyńska, Boże Narodzenie 1998

Mieliśmy z Haneczką wiele wspólnych zainteresowań. Najważniejsze to podróżowanie i turystyka, muzyka i miłość do zwierząt, przede wszystkim do psów. Początkowo mieliśmy jamnika – Kre-

cika, a potem przez wiele lat jamniczkę szorstkowłosą Emi.

Po jej odejściu, wzięliśmy ze schroniska niedużego wieloraso-wca Emila. Po Polsce i nawet za granicę piesek jeździł zawsze z nami autem, mając swój paszport i chip.



Emilek jako wierny towarzysz eskapad, również kajakowych, 2012, fot. A. Zaleski

Haneczka była encyklopedią wiedzy o sztuce. Gdy wyjeżdżaliśmy gdzieś w Europę lub w świat, przed podróżą długo i dokładnie studiowała trasę i spodziewane do zwiedzania zabytki. Podczas drogi informowała mnie o nich jak profesjonalna przewodniczka. Była namiętną kolekcjonerką widokówek, które nie tylko zbierała, ale systematycznie, prawie codziennie wybrane działy oglądając, studiowała. W swoich zbiorach miała około 15 tys. egzemplarzy, ułożonych i posortowanych. Podczas naszych podróży, ku mojemu zdumieniu, przewidywała miejsce znajdowania się zabytku, rozpoznawała i komentowała jego wiek, historię i pochodzenie, znała go bowiem ze swojej kolekcji.

Tak się szczęśliwie złożyło, że w ciągu kilkunastu lat wspólnego życia, nie mając już stałych obowiązków, mieliśmy okazję oraz

duże możliwości podróżowania i zwiedzania świata.

Włochy zwiedzaliśmy dwukrotnie, z czego pierwszą podróż jako naszą poślubną sfinansowali jej córka Joasia z mężem Jarkiem. Przejechaliśmy swoim autem wszystkie kraje skandynawskie, łącznie z pobytym za Kołem Polarnym, przy białych nocach.



Adam z Hanią na Kole Podbiegunowym koło Rovaniemi, 1986

Wykorzystałem zaproszenie na wykłady, które otrzymałem ze Szwedzkich Zakładów Fotochemicznych w Strängnäs pod Sztokholmem i po wykładach, mając za nie środki, mogliśmy z Haneczką podróżować dalej. Niestety, tam w Finlandii, nienajmocniejszego zdrowia Haneczka, dostała zawału serca w bezkresnych lasach krainy tysiąca jezior. Na szczęście, znalazłem chatkę na tym bezludziu, w której mieszkańcy mieli telefon komórkowy (u nas w tym czasie jeszcze rzadkość).

Wezwałem pogotowie z oddalonego o 60 km Rovaniemi, które zabrało Hanię do szpitala. Przez tydzień dochodziła do siebie; ja mieszkając w samochodzie, w lasach. Nie znajdujemy słów podziwu i wdzięczności dla personelu, sióstr i lekarzy fińskiej służby zdrowia za troskę, serdeczność i profesjonalną opiekę w tej sytuacji, zwłaszcza że opłaty – które ponieśliśmy – były symboliczne, gdyż w Finlandii koszty leczenia turystów zagranicznych są

niezwykle niskie.

Zwiedziliśmy z Haneczką w Europie: Litwę, Holandię, Belgię, Szwajcarię, Słowację. Na zaproszenie córki Hani – Joasi i jej męża Jarka byliśmy czterokrotnie w Stanach Zjednoczonych i raz w Kanadzie. Dzięki ich pomocy, również finansowej, mogliśmy posługiwać się ich samochodem lub wynajmowanym (*rent car*) i odwiedzić ważniejsze parki narodowe USA, a przede wszystkim stolicę światowego hazardu: Las Vegas.



Nocny klub, Las Vegas 2003

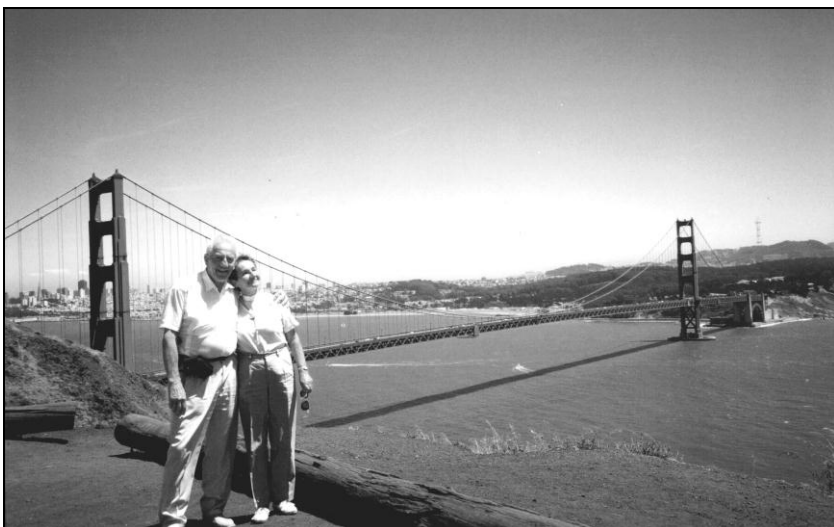


Model średniowiecznej fregaty w sztucznym porcie, Las Vegas 2003

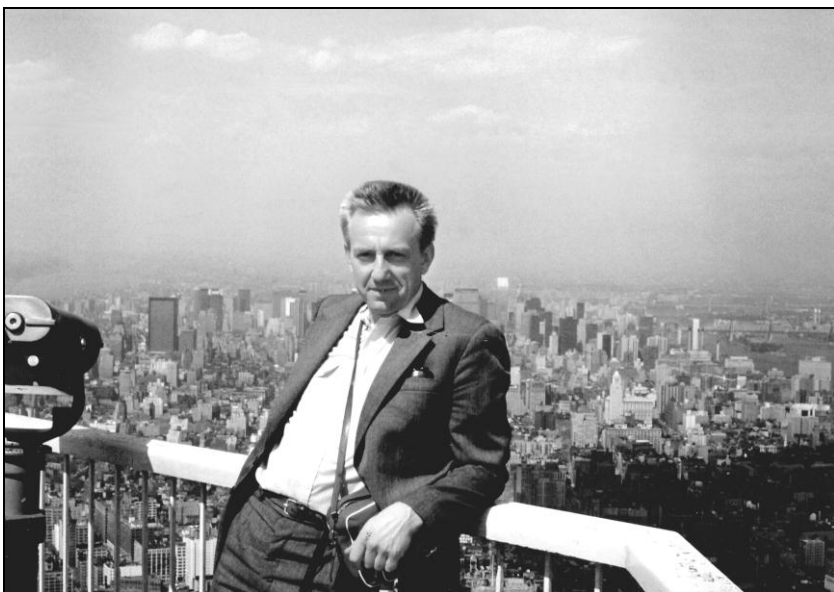


Model weneckiego Canale Grande, fragm. Pawilon włoski, Las Vegas 2003

Hania miała bardzo złożoną osobowość i bogate życie wewnętrzne. Miała ciekawy sposób wyrażania się i formułowania myśli, ale głównie na piśmie, gdyż jak o sobie pisała: *Jestem w wyrazach pisanych okropną gadułą, w przeciwieństwie do mówionych.*



Z Hanią przy moście Golden Gate Bridge, San Francisco, Hrabstwo Marin 2000



Na szczycie World Trade Center (Centrum Handlu Światowego), zniszczonego 11 września 2001 roku; Nowy Jork, 3 maja 1980



Hania nad wodospadem Niagara, na granicy USA - Kanada. Wodospad składa się właściwie z trzech wodospadów: Amerykańskiego, Bridal Veil - Welon Królowej i Horseshoe - Podkowiastego, 2000, fot. Adam Zaleski

Haneczka żyła w dwóch światach: tym realnym i tym nierzezywistym – jej wewnętrznym bogatym świecie. Oto fragment zapisanych przez Hanię piękną polszczyzną jej interesujących przemyśleń.

Raz widzę słoneczne wzgórza słodkich porywów i serdecznych drgań, a potem osunięcie się w gęste opary apatii i zniechęcenia, nagły zjazd w mroki smutku i znów doznania jakichś ostrych aż do bólu olśnień na szczytach białych olbrzymów, porywy woli wołającej o wytrwałość jej dążeń i klęski z niemocy i rozprężenie w pełni wstydu i bezsilnej złości. Albo to powracające wciąż dziwne i niepokojące uczucie łaknienia i nienazwanej tęsknoty, innych jeszcze jakichś treści...

I ta udręka umysłu niemogącego poradzić sobie z kłębiącym się w nim chaosem świata i znalezienia rozwiązania choćby pod postacią schematycznych płaskich poglądów. Nic, nic zupełnie, na czym można by się oprzeć; wszystko płynne, pełne przeciwieństw, wielorakich stron, niespodzianek, złudnych pozorów i nieuchwytnych tajemnic; tam zaś, gdzie można się mocniej chwycić – słabość wiary. Samą mnie to upokarza, co tu napisałam: ułamek tego, co czuję i myślę, i co często mnie przepętnia, a tak durnie w naiwnej i powierzchownej treści ujęte. Widocznie przy tym moim dzisiejszym pisaniu bogi zupełnie dla mnie nie-taskawe...

Przeżyliśmy z Haneczką szczęśliwe lata, nieobarczeni rodzinnymi obowiązkami, mając dla siebie bardzo dużo czasu, zwłaszcza po 1998 roku, gdy przeszedłem – po prawie pół wieku pracy – na zasłużoną emeryturę. Niestety, nie trwało to długo. Będąc wątłego zdrowia, Haneczka odeszła, bez cierpień, w styczniu 2005 roku.

Nasze wrażenia i uwagi o Stanach Zjednoczonych szerzej opisyję w dalszej części, poświęconej USA.

Zosia Zaleska-Tereszkiewicz, moja siostra⁴³

(6 kwietnia 1926 – 2 sierpnia 2006)

Wszystko zaczęło się 6 kwietnia 1926 roku we Lwowie. Zosia przyszła w tym dniu na świat jako upragnione dziecko rodziców, którzy utracili przed rokiem swoją pierwszą córeczkę Basię, naszą starszą siostrę, zmarłą w wieku 3 lat na nierozpoznane przez lekarzy, pozornie banalne ropne zapalenie wyrostka robaczkowego.

Urodziłem się w dwa lata później i przez całe życie Zosia traktowała mnie opiekuńczo, prawie po macierzyńsku. Tak rozpoczął się pierwszy szczęśliwy okres jej życia – dzieciństwo w naszym rodzinnym, lwowskim domu, w którym panowała stworzona przez rodziców wspaniała atmosfera, humor, miłość, wzajemna życzliwość, harmonijne współżycie i wpajany nam przez rodziców szacunek dla drugiego człowieka.

Mieliśmy wówczas słaby kontakt ze sobą, ona – swoje koleżanki i przyjaciółki, ja ołowiane żołnierzyki, a potem sport, kopanie piłki i inne chłopięce zajęcia. Spędzaliśmy wspólnie co roku latem wspaniałe wakacje, głównie w górach, a we Lwowie najmiłsze były uroczystości świąt Bożego Narodzenia i niedzielne rodzinne spacerunki do parku lub wizyty u krewnych, licznie zamieszkujących w tym mieście, o czym już wspominałem.

Ten pierwszy, szczęśliwy i beztrudny okres życia został przerwany brutalnie przez wybuch II wojny światowej. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 i *Umowie Sikorski-Majski*, emigracyjny rząd polski w Londynie niespodziewanie stał się sojusznikiem ZSRR. Uzyskaliśmy formalną wolność. W miastach wojewódzkich utworzono przedstawicielstwa rządu polskiego w Londynie, tzw. delegatury. Delegatem w naszym mieście, w Semipałatyńsku został inżynier, znany architekt ze Lwowa – Józef Dromirecki (który projektował we Lwowie gmach Miejskich Zakładów Elektrycznych, po 1939 roku siedziba NKWD). Przyjął on Zosię do pracy w delegaturze i dostrzegając jej uczciwość i pracowitość, powierzał odpowiedzialne zadania. Wkrótce stała się jego prawą ręką. Niestety, po ujawnieniu przez Niemców w 1943 roku *Zbrodni Katyńskiej*, Związek Sowiecki zerwał stosunki dypl-

⁴³ Rozdział jest poza chronologią opisów w tej książce.

matyczne z rządem polskim w Londynie, delegatury zostały zamknięte, delegaci aresztowani przez NKWD, rzekomo za działalność szpiegowską, a Polacy zmuszeni ponownie do przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Zosi nie aresztowano, ale ciężko przeżyła aresztowanie szefa i opiekuna, którego darzyła wielką sympatią.

Jej zdrowie zostało nadszarpnięte wskutek zarażenia się *brucelozą* – chorobą przenoszoną od bydła przez mleko. Dla ludzi jest to choroba długotrwała, trudno uleczalna, powodująca bóle stawów, osłabienia, stany podgorączkowe. W tej sytuacji Zosia, nie mogąc podejmować stałej pracy, zajmuje się domową produkcją swetrów (na drutach), jak wielu innych Polaków i razem ze mną gospodarstwem, ponieważ mama pracowała po 12 godzin dziennie jako szwaczka w fabryce mundurów wojskowych.

W 1944 roku powstaje komunistyczny Związek Patriotów Polskich, który organizuje na terenie ZSRR szkolnictwo polskie i działalność artystyczną. Zosia ma okazję zaprezentować swoje talenty artystyczne. Występuje jako tancerka solo i w zespole oraz śpiewa w chórze.

Na zesłaniu w Kazachstanie Zosia zdecydowała, że ja mam się uczyć, gdyż – jak uważała – mężczyźni wykształcenie jest bardziej potrzebne niż kobiecie, a ona będzie pracować na nasze utrzymanie. Sprawy jej najbliższych były dla niej w życiu najważniejsze. Potrafiła zaciekle ingerować w ich obronie, gdy zachodziła tego potrzeba. Podczas powrotu z zesłania, w 1946 roku, na jednym z naszych licznych długich postojów pracowała grupa jeńców niemieckich. Przypadkowo znalazłem się w ich pobliżu i pilnujący strażnik wziął mnie za Niemca, a gdy się oddalałem sądził, że próbuję uciekać. Zatrzymał mnie gwałtownie, grożąc karabinem i wykrzykując, zaczął brutalnie popychać w stronę grupy jeńców.

Zobaczywszy to, moja siostra rzuciła się dosłownie na tego enkawudzistę, szarpiąc go za karabin i głośno krzycząc. Ten, widząc reakcję młodej dziewczyny stanął jak wryty, puszczając mnie wolno. Za chwilę sprawa się wyjaśniła, pozostała jednak głęboko w pamięci odważna, żywa i spontaniczna reakcja Zosi w mojej obronie.

W maju 1946 roku, po zakończeniu wojny wracamy do kraju. Osiedlamy się na pewien czas w Kaliszu, na zaproszenie wujostwa Jankowskich. Zosia, poszukując znajomych i przyjaciół ze Lwowa, odnajduje w Krakowie koleżankę z ławy szkolnej: Hanię Nieciówną

(później po mężu Jovanovič), która natychmiast pisze do niej: *Zońcia, przyjeżdżaj do Krakowa, serdecznie Cię zapraszam!*

I tak zakończył się drugi, wojenny etap życia Zosi, a dzięki Hani rozpoczął trzeci, najdłuższy – krakowski okres, trwający do końca jej życia.

Niezwłocznie uzupełnia edukację, zapisuje się do gimnazjum im. Tadeusza Joteyki, zdaje tam małą maturę, następnie zapisuje się do Ekonomicznego Liceum Spółdzielczego dla dorosłych, gdzie zdaje w 1949 roku pełną maturę, zaczynając jednocześnie pracę zawodową jako młodsza księgowa w Zakładach Radiowych, nazwanych później Krakowskimi Zakładami Podzespołów Telekomunikacyjnych (TELPOD). Tam, dzięki swojej pracowitości i sumienności, sukcesywnie pnie się szybko po szczeblach kariery urzędniczej, dochodząc do odpowiedzialnego stanowiska zastępcy głównego księgowego tych dużych zakładów. Stamtąd przechodzi na emeryturę w 1981 roku.

Jeszcze ucząc się w szkole, poznaje swojego przyszłego męża **Adama Tereszkiwicza**, z którym wstępuje w związek małżeński (kwiecień 1950). Zamieszkują wraz z jego rodzicami w mieszkaniu przy ulicy Grodzkiej 13 w Krakowie. Wkrótce przychodzą na świat ich dzieci: **Ryszard** (1953) i **Magdalena** (1956).



Dzieci Zosi Zaleskiej-Tereszkiewicz: Rysio i Magdusia, fot. Adam Zaleski



Zosia z córką Magdusią, fot. Adam Zaleski

Zosia i Adam – przy pomocy kochających swoje wnuki teściów Zosi – troskliwie je wychowują i kształcą.

Rysio kończy Akademię Rolniczą w Szczecinie, uzyskując dyplom magisterski (1978). Pracuje w Akademii Rolniczej we Wrocławiu na etacie naukowo-technicznym (1979-1992). W 1992 roku przenosi się do Ostrzeszowa, gdzie prowadzi własne przedsiębiorstwo przetwórstwa produktów paszowych.

Po dojściu do pełnoletności i ukończeniu studiów wyższych, dzieci Zosi zakładają swoje rodziny. Rysio w roku 1981 wstępuje w związek małżeński z **Jolantą Taborską** Mają dwoje dzieci: **Konrada** (1983) i **Maję** (1987).

Magdusia wychodzi za mąż w 1982 roku za **Wojciecha Błaszczyka**. W 1983 roku przychodzi na świat ich syn **Andrzej**.

Wskutek perturbacji życiowych, Zosia w 1967 roku usamodzielnia się i zakłada swoje siedlisko w nowym mieszkaniu przy Alei Pokoju 8. Zapewne wskutek przeżyć i chorób podczas wojny, Zosia podupada na zdrowiu. Przechodzi ciężkie operacje usunięcia kamicy nerkowej, co skłania ją do przejścia po 32 latach pracy na wcześniejszą, ale pełną emeryturę.



Pod Lanckoroną koło Krakowa. Od lewej: Haneczka z pieskiem Emi, Wojtuś, Magdusia i Jędrus Błaszczycowie oraz Zosia, 1992, fot. Adam Zaleski



Ryszard i Jola Tereszkiwiczowie z dziećmi: Mają i Konradem

W 1986 roku Zosia zabiera do siebie z Kalisza naszą mamę po ciężkiej operacji, którą opiekuje się i pielęgnuje z wielką ofiarnością i poświęceniem przez 8 lat, aż do jej śmierci.



Zosia, Stefan Zaleski z Paryża – syn Eugeniusza, Laetitia i Isabelle Philippe – córki Stefana, Magdalena Błaszczyk – córka Zosi, z tyłu: Andrzej Błaszczyk i Adam Zaleski, Kraków 2005

Zosia, mając sporo wolnego czasu, pracuje na pół etatu jako księgowa w Polskim Towarzystwie Miłośników Astronomii, gdzie pomyślnie przeprowadza księgowość i stan finansowy tej placówki przez trudny czas transformacji ustrojowej w Polsce (1984-1999). Pracuje społecznie w Związku Sybiraków i w *Rodzinie Katyńskiej*.



Zosia, 2006, fot. Adam Zaleski

Niezwykle sumienna, dokładna, w każdym działaniu służyła zawsze pomocą w miarę swoich możliwości temu, kto się do niej zwrócił, zwłaszcza swoim bliskim i przyjaciółom. Wielu ludzi dostrzegało u niej te cechy i starało się jej rewanżować. Przed 20 laty podarowałem Szwajcarce – Susan mojej znajomej, album z krakowskimi szopkami, które ją zafascynowały. Wyraziła chęć odwiedzenia Krakowa, aby na własne oczy zobaczyć te wspaniałe dzieła.



Tenia i Zosia, Melchnau, Szwajcaria 1989, fot. Adam Zaleski

Zosia, zapytana przeze mnie, wyraziła zgodę na przyjęcie Susan. Zaprosiła ją do siebie i serdecznie gościła. Wizyta wypadła bardzo pomyślnie, a zachwycona Krakowem i zauroczona Zosią Susan zaprosiła ją razem ze mną do Szwajcarii. Dodatkową motywacją do tego była chęć pomocy samotnym kobietom w Polsce, borykającym się z trudnymi warunkami życia u nas, oraz świadomość różnicy poziomów materialnych między naszymi krajami, Susan dobrze o tym wiedziała od Teni, naszej wspólnej przyjaciółki, dzięki której poznała dobrze Polaków i ich polubiła.

Sytuacja bowiem była taka, że Susan zarabiała w tym czasie miesięcznie, na stanowisku kierownika biura w małej fabryce, w przeliczeniu na ówczesną walutę wolnorynkową, wielokrotnie więcej od dobrych zarobków w Polsce.

Przez kolejne dwa lata odbyliśmy w towarzystwie i na pełny koszt Susan dwie wspaniałe wycieczki przez Alpy szwajcarskie, odwiedzając najlepsze kurorty w tym kraju, pokonując cudowne alpejskie przełęcze, wjeżdżając kolejkami na wysokie szczyty gór z imponującymi widokami, mieszkając w luksusowych hotelach górskich uroczej Szwajcarii. Szwajcarska przyjaciółka Polaków – Susan zmarła w 1991 roku.



Susan Candrian

Jakie to piękne, że Zosia – dzięki Susan Candrian – mogła doświadczyć tak wspaniałych wrażeń i zobaczyć najpiękniejszy zakątek Europy. Zasłużyła w pełni na taką nagrodę!



Ryszard i Jola Tereszkiewiczowie, Magdalena Błaszczyk, Irena Pirowska, Wojciech Błaszczyk, Adam Zaleski, Wysoki Zamek, Lwów 2007



Ryszard i Jola Tereszkiewiczowie oraz Magdalena, Andrzej i Wojciech Błaszczkowie – Jubileusz 80-lecia urodzin Ireny Pirowskiej, Kraków 2009, fot. A. Zaleski

Przez ostatnie lata życia Zosia walczy z uporczywym, powracającym migotaniem zastawek sercowych, co cierpliwie znosi, starając się normalnie żyć, nie zakłócać codziennego życia otoczeniu, pod troskliwą i ofiarną opieką swoich dzieci i przyjaciół, zwłaszcza najwierniejszej przyjaciółki – Irenki Pirowskiej.

Zosia mogła być dumna ze swojego życia, w którym przez swoją dobroć i serce zaskarbiła sobie powszechną miłość, szacunek i życzliwość. Taką pozostaje na zawsze w moim sercu i wdzięcznej pamięci. Jestem szczęśliwy, że tyle lat mogłem z Nią obcować i cieszyć się jej obecnością.

Losy cmentarza Obrońców Lwowa

Jesienią 1971 roku, który to okres w Polsce nazywany jest okresem *wczesnego Gierka*, pojawiła się długo oczekiwana przeze mnie możliwość odwiedzenia, po 30-letniej nieobecności mojego ukochanego miasta Lwowa! Wielokrotnie śnił mi się po nocach, również tam, w kazachstańskich bezkresnych stepach.

Wędrowałem we śnie znanymi ulicami i odwiedzałem nasze lwowskie mieszkanie. **Poznałem, co to jest nostalgia.** Niestety, doznać jej musiało (w tej wojnie i po) wiele milionów Polaków.

W 1971 roku zezwolono na wycieczki własnym samochodem na parę dni, na vouchery/talony, czyli dowody wpłaty w polskim biurze turystycznym za pokój w określonym hotelu we Lwowie i na określone dni. Trwała jeszcze tzw. zimna wojna i wiadomo było, że Związek Sowiecki pod przywództwem Breżniewa i marszałka Ustinowa ma opracowane plany inwazji na Europę. Na przykład, nasi studenci (w ramach Paktu Warszawskiego) na zajęciach Studium Wojskowego **ćwiczyli symulację ataku na Danię!**

Wydaniu vouchera towarzyszyła ścisła kontrola trasy wyjeżdżającego, o czym mogłem się przekonać, widząc we wstecznym lusterku mojego auta, jak od rogatek Lwowa do hotelu towarzyszy nam biała łąda.

Pierwsze kroki lwowiaków, po rozlokowaniu się w hotelu, są kierowane zazwyczaj na dawny polski cmentarz Łyczakowski, założony w 1786 roku, na groby rodzinne, będące głównym celem naszych wycieczek.

Nasz grób rodzinny, gdzie spoczywa babcia i dziadek Zalescy oraz siostra Basia, położony jest w górnej części cmentarza, w pobliżu cmentarza Obrońców Lwowa. Zbliżając się do rodzinnego grobowca, usłyszeliśmy warkot motorów, a gdy podeszliśmy bliżej, zamarliśmy w bezruchu z przerażenia.

Po cmentarzu Obrońców Lwowa, po mogiłach spoczywających tam poległych żołnierzy przejeżdżały ciężkie sowieckie czołgi T-72, miażdżąc swoimi gąsienicami krzyże i wszystkie nagrobki, wgniatając je w ziemię!

Widok był przerażający! Przeżyliśmy już wiele podczas wojny, ale teraz wydawało się nam, że znowu stoimy przed bramą dantejskiego piekła, jak wtedy – w pierwszym roku naszego zesłania.



Cmentarz Obrońców Lwowa/Orląt Lwowskich. Uroczyste otwarcie odbudowanego cmentarza odbyło się 24 czerwca 2005 roku, fot. Adam Zaleski

Minęło następnych 40 lat i trudno jest mi – świadkowi tamtego wandalizmu, uwierzyć w to, że znów nadeszła sprawiedliwość losu i dzięki wysiłkowi wielu ludzi: szczególnie z *Energopolu*, staraniom

i patronatowi wspianiałego, bez reszty zaangażowanego w te sprawy człowieka, ministra Andrzeja Przewoźnika⁴⁴, cmentarz został wskrzeszony z gruzów i zajmuje godne miejsce wśród polskich wojskowych nekropolii.

Pomnik Ofiar Zbrodni Katyńskiej

Staraniem *Dolnośląskiej Rodziny Katyńskiej*, pod przewodnictwem ówczesnej prezes: Aliny Głowackiej i przy wsparciu finansowym wielu Polaków z kraju i zza granicy oraz dotacji Rady Pamięci Walk i Męczeństwa powstał pomnik *Ofiar Zbrodni Katyńskiej* według projektu zwycięzcy konkursu – Tadeusza Tchórzewskiego z Warszawy.



Pomnik Ofiar Zbrodni Katyńskiej we Wrocławiu, fot. Alina Głowacka-Szlapowa

Podstawą kompozycji pomnika jest krzyż z 22 tys. granitowych kostek, odpowiadających liczbie ofiar. Na przecięciu ramion krzyża

⁴⁴Andrzej Przewoźnik (1963-2010) historyk, sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, zginął 10 kwietnia 2010 roku pod Smoleńskiem w katastrofie lotniczej samolotu Tu-154M, wraz z 96 osobami.

stoją cztery granitowe bryły w układzie prostokątnym, tworzące symboliczny grobowiec. Na południowej ścianie grobowca wyryto nazwy miejsc niewoli: Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk, na północnej – miejsca zbrodni: Katyń, Miednoje, Charków.

Piąta – wewnętrzna bryła pomnika wyobraża mogiłę, na której umieszczona jest rzeźba – *Pieta Katyńska*, symbolizująca cierpienie po utracie bliskich.



Pomnik Ofiar Zbrodni Katyńskiej, widok z boku, 2000, fot. Alina Głowacka-Szlapowa



Uroczystość odstonięcia pomnika z udziałem ministra Andrzeja Przewoźnika, rodzin oficerów pomordowanych w Katyniu oraz władz Dolnego Śląska, gości i mieszkańców Wrocławia, 2000

Na wyższej z brył, od strony wschodniej, autor umieścił postać *Czarnego Anioła Śmierci*, opartą na mieczu, z gwiazdą NKWD na rękojeści. Na tylnej ścianie pomnika, na płytach z brązu zamieszczone są inskrypcje w czterech językach.

Minister Andrzej Przewoźnik, który patronował wznoszeniu pomnika, zaszczycił swoją obecnością uroczystość jego poświęcenia i osobiście dokonał odsłonięcia 22 września 2000 roku.

Gruzja i Dagny Juell-Przybyszewska

Podczas całego życia zawodowego na uczelni zajmowałem się dydaktyką i pracą badawczą w zakresie technologii chemicznej związków światłoczułych. Jest to wąska specjalizacja i aby móc prowadzić wymianę naukową, konieczne było – poza studiowaniem literatury specjalistycznej – nawiązywanie i utrzymywanie kontaktów z uczonymi innych krajów, zajmującymi się podobną problematyką. Bacznie śledziliśmy organizowane na całym świecie sympozja, zjazdy, kongresy w zakresie naszej specjalności.

Przez ponad 40 lat uczestniczyłem w tematycznych zjazdach zagranicznych kilkadziesiąt razy w Polsce i w 14 krajach. Oczywiście, organizacja i realizacja tych wyjazdów za czasów PRL była nader skomplikowanym problemem ze względów politycznych i materialnych. Niektóre wyjazdy były finansowane przez zapraszających, niektóre (bardzo rzadko) finansowało się ze środków własnych. Prawie zawsze koszty podróży pokrywała nasza uczelnia, popierając w ten sposób pracowników naukowych, nawiązujących współpracę z zagranicą. Szczegółów nie będę opisywał, gdyż relacja o każdym wyjeździe byłaby powieścią. Opiszę wyjazd na konferencję do Gruzji, zorganizowaną przez Akademię Nauk ZSRR jesienią 1984 roku, ponieważ był on bogaty w skutki pozanaukowe.

Od dawna fascynowała mnie postać Norweżki Dagny Przybyszewskiej, żony kontrowersyjnie ocenianego pisarza Stanisława Przybyszewskiego. Będąc w Norwegii, zwiedzałem w Oslo galerię malarza Edvarda Muncha – człowieka, który do końca życia był w niej zakochany, chyba bez wzajemności. O obojgu pisze obszernie Maria Kuncewiczowa w książce *Fantasia Polacca*. Cytuje m.in. list syna Dagny i Stanisława Przybyszewskich – Zenona do reżyse-

ra filmu o Munchu – Petera Watkina, ostro krytykujący niekorzystne przedstawienie w nim postaci Dagny. Stwierdza on: *Munch nigdy nie był kochankiem mojej matki*. Kuncewiczowa zastanawiała się nad tym, skąd Zenon Przybyszewski czerpał przekonanie o platonicznym charakterze związku Dagny z Edvardem. Jest faktem, że była jego modelką, o czym świadczy jego obraz *Akt z rudymi włosami*, do którego pozowała.

Wykorzystując pobyt w Norwegii, zwiedziłem, oddalone o 70 km na wschód od Oslo miasteczko Kongsvinger, niedaleko granicy szwedzkiej, gdzie urodziła się piękna Dagny Juel-Przybyszewska.

Podczas konferencji naukowej w Tbilisi, zwróciłem się do jednego z gruzińskich profesorów z komitetu organizacyjnego konferencji z prośbą o pomoc w odnalezieniu grobu Dagny. Wiedziałem, że została zastrzelona, jak wiadomo, w tym mieście 21 maja 1901 roku przez jej kochanka Władysława Emeryka, który popełnił zaraz potem samobójstwo. Mały synek Dagny i Stanisława, wspomniany Zenon Przybyszewski, który był wówczas przy matce, został uratowany; przeżył.

Taka prośba, leżąca poza obszarem tematu konferencji w ówczesnym Związku Sowieckim była nietaktowna, więcej – niebezpieczna. Mogła być zaliczana do kategorii szpiegowskich, zwłaszcza że była skierowana przez Polaka. Był to posolidarnościowy, końcowy okres stanu wojennego w Polsce. Mój rozmówca coś niewyraźnie odrzekł. Nie wiązałem więc wielkich nadziei na powodzenie poszukiwań i w ogóle na jakąkolwiek reakcję na moją prośbę. Bardzo się jednak myliłem.

Potwierdziło się to, że Gruzini są niezwykle uczynni i gościnni, jak wszystkie narody kaukaskie. Jakież było moje zdziwienie, gdy po trzech dniach profesor oznajmił mi, że grób znaleziono.

Zwrócił się on bowiem do Katedry Sławistyki Uniwersytetu Tbiliskiego, a kierownik tej placówki odszukał w księgach cmentarnych grób Dagny – postaci znanej mu z literatury. Zostałem zaproszony do podstawionego przed lokalem obrad konferencji służbowego samochodu: wołgi – i w towarzystwie miłych pań z komitetu organizacyjnego wyruszyliśmy na cmentarz. Po drodze panie kazały kierowcy zatrzymać samochód przy kiosku z kwiatami, jedna z nich kupiła wiązanek biało-czerwonych goździków. Wręczając je mi, kategorycznie odmówiła zwrotu pieniędzy!

Dziękując, byłem wzruszony tym gestem i życzliwością. Po wiadomieniu wcześniej dozorca cmentarza zaprowadził nas do grobu Dagny. Znajdował się na wzgórzu, skąd roztacza się piękny widok na miasto. Sam grób był zarośnięty krzakami, nieogrodzony metalowym płotem, jak większość innych grobów na tym gruzińskim cmentarzu. Miał kształt prostopadłościanu wykonanego z piaskowca, na którego górnej ścianie wyryto imię i nazwisko Dagny dwukrotnie łańskimi literami z datą urodzenia i śmierci. Napisy były niewyraźne, wskutek działania czynników atmosferycznych. Zakupiony bukiet białych i czerwonych goździków położyłem na płycie grobowca.

W książce *Reflektorem w mrok*⁴⁵ Tadeusz Boy-Żeleński cytuje listy zabójcy Dagny, Władysława Emeryka, napisane przed jego śmiercią. W jednym z nich, adresowanym do swojego przyjaciela Antoniego Kellera, pisze m.in.: *Pani P. ma być pochowana jak najlepiej, słowem; dobra trumna, porządny katafalk, dobre miejsce na cmentarzu. Z czasem na Jej mogile stanie pomnik – bacz więc, by pozycja się temu nadawała.*

Uznałem, że warto wiadomość o moim odkryciu rozpowszechnić. Po powrocie z Gruzji napisałem o tym do redakcji poczytnego tygodnika „Przekrój”, który zamieścił moją notatkę w *Listach do redakcji*⁴⁶. Informację zauważył Przemysław Zagierski polski profesor uniwersytetu w Oslo. Skomunikował się ze mną i napisał artykuł o tym w „Kronice”⁴⁷ – polskim czasopiśmie w Norwegii. Wiadomość tę podała także prasa norweska.

A więc – moja wizyta w Gruzji i przypadkowe zainteresowanie się w 1984 roku grobem Dagny, notatka w „Przekroju” i odzew na nią w Norwegii spowodowały, że – w efekcie – latem 1999 roku grupa ludzi, dbająca o zachowanie kulturalnych zabytków miasta Tbilisi, przeniosła mogiłę Dagny z tego, ich zdaniem, skromnego miejsca na bardziej widoczne – przy wejściu na cmentarz. Wykonano nową płytę, na której napisano jej imię, nazwisko, daty urodzenia i śmierci w językach: polskim i gruzińskim.

⁴⁵ PIW, 1985.

⁴⁶ „Przekrój” nr 2793, 3 stycznia 1999.

⁴⁷ Nr 7-8/01 (168-169).



*Nowy nagrobek Dagny Juell-Przybyszewskiej (1867-1901) w Tbilisi, Norwegia
fot. prof. Przemysław Zagierski*

We wrześniu 1999 roku w Tbilisi był, z oficjalną wizytą, minister spraw zagranicznych Norwegii – Knut Vollebaek. Przy tej okazji złożył na nowym pomniku Dagny wieniec i w krótkim przemówieniu wspomniął jej postać.

O niewiarygodnej gościnności i życzliwości Gruzinów mogłem się jeszcze przekonać, gdy zapytałem o drogę przechodnią na tbiliskiej ulicy. Ów – po rozpoznaniu, że jestem Polakiem – zatrzymał taksówkę, zawiózł mnie na miejsce, zapłacił za kurs i nie chciał za nic w świecie zwrotu pieniędzy. Trudno w to uwierzyć!

Po raz kolejny miałem okazję skorzystać z życzliwości Gruzinów, gdy wybrałem się na koncert estradowy do dużej hali widowiskowej i zabrakło tam już biletów. Przy wejściu, gdy kontrolerka dowiedziała się, że jestem Polakiem, wpuściła mnie bez wahania. Miejsca, na szczęście, nie były numerowane.

Takie były niektóre moje gruzińskie impresje.

Natalia Uvarova (Natasza) – Rosja

Wobec wzrastającej liczby prezentacji referatów zgłaszanych na konferencje naukowe, wprowadzono w II połowie XX wieku zwyczaj prezentacji części referatów w formie plakatu na planszach umieszczanych na stelażach w dużym pomieszczeniu. Jest to skrócona forma pokazania swoich wyników, umożliwiająca zaprezentowanie sygnalne tematu, a osoby zainteresowane nim mogą podyskutować z autorem, obecnym w określonym czasie w pobliżu prezentowanej planszy.

Mój referat w Tbilisi nie był plenarnym, dlatego przewidziano go do sesji plakatu. Gdy zająłem miejsce przy swojej planszy, okazało się, że obok prezentuje swoją pracę dr hab. Natalia Uvarova z Moskwy. Nazwisko było mi znane, ponieważ jej matka była znaną uczoną. Od lat publikowała swoje prace, które miałem okazję czytać oraz z nich korzystać. Nawiązaliśmy więc rozmowę i jeszcze kilkakrotnie mieliśmy okazję spotkać się podczas kilkunastu konferencji, m.in. na bankiecie.

Konferencja dobiegła końca i do Polski wracało się, oczywiście, przez Moskwę, gdzie trzeba było czekać dzień na połączenie z Polską. Akademia Nauk załatwiła mi miejsce w ich skromnym moskiewskim hotelu. Gdy wsiedliśmy do samolotu w Tbilisi, usłyszałem głos kapitana, wywołującego przez głośnik moje nazwisko, informujący, że mam zmieniony numer miejsca.

Gdy się tam udałem, okazało się, że jestem sąsiadem Nataszy, która z kapitanem to załatwiła i ten dwuipółgodzinny nocny lot odbyliśmy, rozmawiając. Muszę tutaj wyjaśnić, że w 1984 roku społeczeństwo sowieckie miało już dość izolacji ze światem i dążyło do nawiązywania kontaktów. Polska, oczywiście, wciąż należała do bloku sowieckiego, ale – jak się mówiło – była *najweselejszym barakiem* w tym obozie i miała bardziej od Związku Sowieckiego rozwinięte koneksje zagraniczne. Stąd ta chęć pani Uvarowej nawiązania kontaktu ze mną w Tbilisi.

W Moskwie przyjechał po nas mąż Nataszy – Walery, pułkownik lotnictwa. Odwiózł mnie do mojego hotelu, a na drugi dzień, bo samolot miałem wieczorem, zawiózł nas swoim autem na cmentarz Wagańkowski, na grób zmarłego w 1980 roku barda rosyjskiego – Władimira Wysockiego, którego wyraziście i krytycznie pie-

śni były w tym czasie bardzo popularne. Przez władze uważane za buntownicze. Zauważyłem, że Walery zaparkował swoje auto daleko od cmentarza i nie poszedł z nami na grób Wysockiego. Uznałem to za ostrożność, gdyż jako wysoki stopniem wojskowy obawiał się kłopotów. Odwiedzanie tego miejsca było uznawane za cichy protest przeciwko totalitarnej władzy. Potem pokazali mi podmoskiewski pałac Archangielskoje z XVIII wieku. Następnie zaproszono mnie na obiad do ich domu, a wieczorem Walery odwiózł mnie na lotnisko.



Natasza ma daczę koło miasta Klin, około 100 km na północ od Moskwy, którą przy jednej z wizyt odwiedziłem. Jej ogród, który tam uprawia, jest imponujący. Jest w nim około tysiąca różnych kwiatów, drzew, roślin i krzewów. Jej wiedza, zainteresowanie nimi i zaangażowanie, jak każde hobby, jest bardzo duże, mimo że jest chemikiem z wykształcenia.

Natalia Uvarova, fot. Adam Zaleski

Swoją wiedzę w zakresie botaniki oraz przyrody stale pogłębia, studiując te przedmioty i zwiedzając w Anglii tamtejsze ogrodnictwo, uprawę kwiatów i krzewów. Inną pasją Nataszy jest filmowanie. Otrzymuję więc co jakiś czas jej reportaże filmowe o tym, co zmieniło się w jej gospodarstwie ogrodniczym.

Był to początek moich ponownych kontaktów z Rosją. Potem nasza uczelnia zaprosiła z referatem Nataszę, której już prywatnie, jadąc swoim autem, pokazałem nasz piękny Kraków. Następnie zostałem zaproszony z moim współpracownikiem doktorem Czesławem Morą do Moskwy. W Instytucie Fotochemicznym przedstawialiśmy nasze najnowsze prace. Później, z całym naszym zespołem badawczym byliśmy zaproszeni na konferencję naukową w Sankt Petersburgu. Wracając już sam przez Moskwę, zwiedziłem przepiękne podmoskiewskie monastypy i poznałem ich historię.

Innym razem zaproszeni byliśmy z doktorem Stanisławem Jabłonką do uniwersytetu w Kemerowie (do 1932 Szczygłowski), na Syberii, gdzie również prezentowaliśmy nasze nowe prace.

Przy tej okazji zapytano mnie, co chciałbym zwiedzić atrakcyjnego na Syberii. Oczywiście, zaproponowałem wycieczkę do mojego, odległego o około 400 km Semipałatyńska. Następnego dnia dostałem odpowiedź, bez uzasadnienia, że nie jest to możliwe.

Dowiedziałem się jednak, że przyczyną było bardzo groźne skażenie okolic Semipałatyńska wskutek wieloletnich doświadczeń na tamtejszym poligonie nuklearnym z ładunkami jądrowymi, przy testach nowych bomb atomowych, o czym już pisałem w II rozdziale. Stąd zakaz zwiedzania tych terenów na czas nieokreślony.

Natasza jest melomanką i stale uczęszcza na koncerty, które są w Rosji na bardzo wysokim poziomie. W Petersburgu Natasza zdobyła bilety do słynnego Teatru Marijskiego na balet Piotra Czajkowskiego *Śpiąca królowna*.

Teatr Marijski ma światową sławę i na jego spektakle przyjeżdża wielu gości zza granicy. W tym czasie (1987) obywatele rosyjscy płacili za bilety w rublach, natomiast cudzoziemcy – w dolarach. Różnica w cenie była około dziesięciokrotna, licząc w rynkowym kursie dolara. Natasza kupiła bilet, płacąc cenę rublową.

Bileterki teatru czujnie wypatrywały cudzoziemców, chcących taniej dostać się na spektakl. Mimo że byłem cudzoziemcem, ale przecież niedolarowym, cena w dolarach była dla mnie wówczas absolutnie niedostępna. Bileterka natychmiast jakoś mnie wypatrzyła. Zapytała: *A wy otkuda?*⁴⁸ Odpowiedziałem jej najczystszy rosyjskim: *Ja, iz Moskwy*. Widocznie mój rosyjski nie budził wątpliwości, kontrolerka zrezygnowała z dalszych pytań, wpuszczając mnie do teatru. Przy następnej wizycie w Moskwie byliśmy na koncercie – finale konkursu śpiewaczego w słynnej sali im. Czajkowskiego oraz w Teatrze Wielkim na *Borysie Godunowie*.

Chcę podkreślić, że wśród moich znajomych Rosjan, poznanych przez Nataszę, mam wielkich i oddanych przyjaciół – ponad podziałami narodowymi i koncepcjami politycznymi. Z ich strony odczuwam wielką sympatię, nie tylko dla mnie, ale dla Polaków w ogóle. Właśnie przez Nataszę poznałem jej współpracownika: przemiłego, życzliwego, światowego człowieka – profesora Jevgienija Babliuka, przyjaciółkę – Ewę Poźniak, rosyjską Polkę, Oksanę – Gruzinkę i wielu innych. Są narciarzami i każdej zimy wyjeżdża-

⁴⁸ Skąd pan jest?

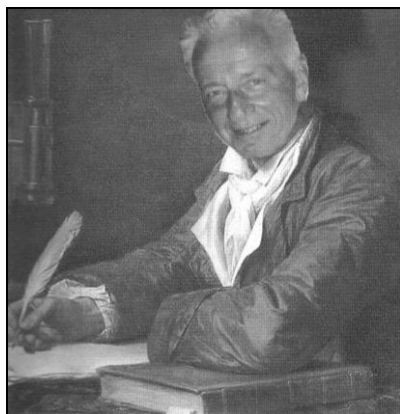
ją we włoskie Alpy. Przesyłają mi corocznie filmowe reportaże ze swoich narciarskich wypraw, profesjonalnie wykonane przez Jevgienija (Żenię), z filmowaniem w ruchu podczas zjazdów. Zawsze pamiętają o moich urodzinach. Świadomość posiadania tak życzliwych i przyjaznych ludzi za granicą, na których mogę zawsze liczyć, jest dla mnie bardzo miła.



Adam z Natalią Uvarovą, Ewą Poźniak i Jevgienijem Babliukiem, Moskwa 2006

Jevgienij jest wspaniałym informatykiem. Udowodnił graficzne umiejętności – przeprowadzając w tym samym pokoju, gdzie jedliśmy kolację, komputerowy fotomontaż. Po wykonaniu mojego cyfrowego zdjęcia „ubrał” mnie w postać Newtona, prezentując nam gotowy portret, gdy opuszczaliśmy jego gościnny dom.

Adam Zaleski jako Newton





Jevgienij Babliuk, Alpy 2012

Chiny – podróże naukowe

Profesora Peng-Bi Xiana z Pekinu poznałem w 1976 roku we Fribourgu (Szwajcaria) na konferencji IAG międzynarodowej grupy roboczej, zajmującej się badaniami żelatyn, stosowanych w przemyśle fotochemicznym, do której należałem.

Chiny były w tym czasie w ostatniej fazie rewolucji kulturalnej, która zrujnowała pod względem cywilizacyjnym ten wielki kraj. Dochodziły jednak wieści, że rozpoczęto w Chinach zmianę gospodarki z nakazowej na wolnorynkową, o czym mogłem przekonać się podczas mojego pobytu. W następnych latach spotykałem się z profesorem Pengiem na innych zjazdach, a w 1986 roku zaproponował mi przyjazd do Chin i przysłał oficjalne zaproszenie. Rozważając ten fakt, doszedłem do wniosku, że ich rządząca partia komunistyczna otwiera ponownie kraj na zewnętrzne kontakty, po wieloletniej izolacji, przez zapraszanie do Chin naukowców z referatami z różnych dziedzin nauki. Znalazłem się w Chinach na miesięcznym pobycie jako gość Chińskiej Akademii Nauk (wrzesień 1987). Pobyt finansowała strona chińska, koszty podróży nasza uczelnia.

Postanowiłem zrezygnować z komunikacji lotniczej i poprosiłem o załatwienie transportu koleją transsyberyjską (taniej), decydując się na męczącą, dwutygodniową podróż w wagonie-kuszetce. Główną przyczyną tej decyzji był zamiar przypomnienia sobie trasy, której część znana mi była z 1940 roku, i przejechać koleją przez całą Azję. Podróż odbywała się w przedziale 6-osobowym z rozkładanymi na noc sześcioma półkami do spania.



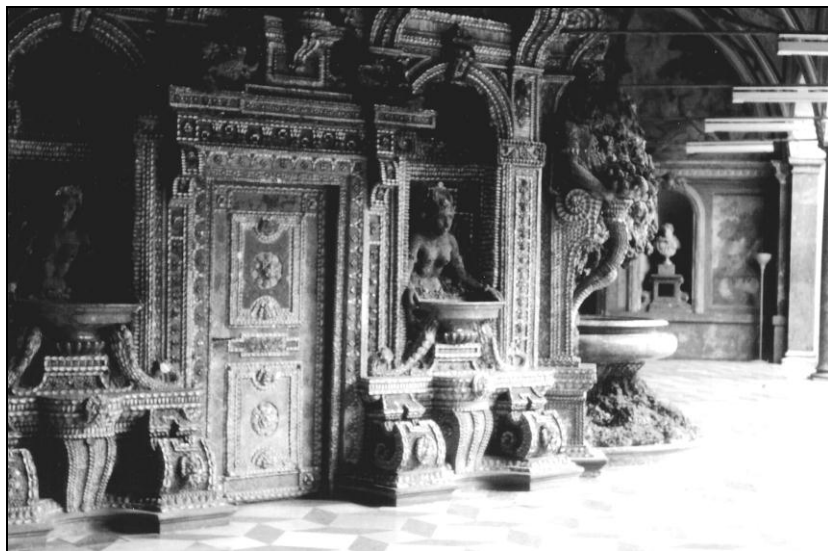
Na dworcu w Harbinie podczas podróży Moskwa – Pekin (Beijing). Od lewej stoi student z Danii – Mogens Hansen, anglistka – pani prof. Zhou Kai-wan, obejmując studentkę z Harbinu – Liu Lan-chun, Mandżuria 1987

W przedziale, oprócz mnie, był student z Kopenhagi, udający się turystycznie do Tybetu, Chinka – studentka z Harbinu⁴⁹, Chinka – anglistka z Uniwersytetu Chengdu, Rosjanka z Estonii i Chinka z Wuhan – miasta nad rzeką Jangcy. Towarzystwo zatem międzynarodowe. Podróż spędziliśmy bardzo miło. Wiele dowiedziałem się o koszmarze rewolucji kulturalnej, o dyskryminacji inteligencji, która zmuszana była do najgorszych prac fizycznych i upokarzana.

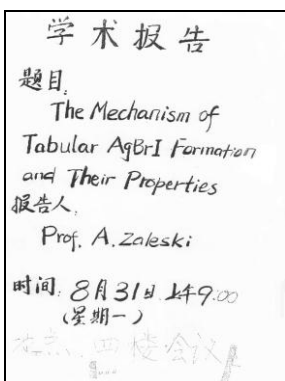
⁴⁹ Harbin (dawniej Charbin) – miasto w północno-wschodnich Chinach, nad rzeką Sungari, założone w 1898 roku w czasie budowy Kolei Wschodniochińskiej przez Polaka, inż. Adama Szydłowskiego; pl.wikipedia.org/wiki/Harbin.

Pani Zhou Kai-wan – 55-letnia anglistka, organizowała na postojach naszego pociągu ćwiczenia gimnastyczne i jogging dla utrzymania kondycji fizycznej. Najciekawsza była jej propozycja, którą otrzymałem listownie po powrocie do Polski. Chciała mianowicie, abym ją zaprosił do siebie, do Polski i za utrzymanie i mieszkanie proponowała mi, ponieważ byłem wówczas wdowcem, prowadzenie gospodarstwa domowego z kuchnią chińską, którą świetnie znała. Jednak do takiego polsko-chińskiego zbliżenia nie doszło!

W Chinach przyjmowano mnie niezwykle życzliwie, umieszczono w luksusowym hotelu Chińskiej Akademii Nauk w Pekinie, a piękna Chinka w tradycyjnym stroju doprowadzała mnie każdorazowo w sali jadalnej, do wyznaczonego mi miejsca posiłku i oddalała się z uśmiechem w ukłonach, bezszmerowo. W pokoju hotelowym zawsze był dzban z wrzątkiem i herbatami, co pewien czas wymieniany. Gdy chciałem wybrać się do miasta, mogłem wcześniej zawiadomić recepcję, która zamawiała mi miejską taksówkę na koszt hotelu. Mało z niej korzystałem, gdyż chciałem po Pekinie spacerować, poznając lepiej ludzi i miasto. W tym czasie głównym środkiem transportu był rower, a prywatnych samochodów nie było prawie w ogóle, ale kursowały autobusy.



Pałac Cesarski, Pekin, fot. Adam Zaleski



Ogłoszenie referatu, Pekin

Miałem wykłady po angielsku z zakresu swoich prac badawczych, które były tłumaczone *in extenso* na język chiński. Język angielski nie był powszechnie znany w ChRL. Było to dla mnie wygodne, ponieważ nie mówię biegle po angielsku, więc pauza w czasie tłumaczenia na chiński umożliwiała mi sformułowanie w myśli następnego zdania po angielsku. Z prof. Pengiem mogłem mówić po rosyjsku, robił on bowiem doktorat w Moskwie, ale nie chciał używać tego języka.

Następnie, w towarzystwie dwóch pracowniczek naukowych, pojechałem z wykładami do Baoding, do chińskiego przemysłu fotochemicznego. Odległość z Pekinu wynosiła kilkaset kilometrów. Przy tej okazji poznałem koszmar pociągów chińskich, przepelnionych i bardzo brudnych, w których tłoczyli się pasażerowie.

Na każdej stacji węzłowej było specjalne wejście wyłącznie dla VIP-ów, którym prowadziły mnie moje przewodniczki. Byłem przecież ich VIP-em! Doskonale się mną zajmowały.



Prof. Adam Zaleski z prof. Peng-Bi Xianem i pracownikami laboratorium badawczego przed fabryką fotochemiczną, Baoding

Następną podróżą był lot, też w towarzystwie dwóch osób, do Środkowych Chin, do uniwersytetu w Hefei, w prowincji Anhua. Była tu placówka naukowa, zajmująca się problematyką zbliżoną do moich zainteresowań, gdzie miałem kilka wykładów. Ciekawe było dla mnie to, że uniwersytet dysponował najnowocześniejszą aparaturą badawczą, skupioną w Centralnym Laboratorium uczelni, gdzie jednostki uniwersytetu (instytuty, katedry) zlecały badania, realizowane w kolejności zgłoszeń.

U nas, w tym czasie, takie właściwe wykorzystanie aparatury było dopiero w planie, a nasze instytuty kupowały instrumenty badawcze pod kątem wyłącznie własnych, a nie ogólnych potrzeb, wskutek czego nie stać było naszej uczelni na zakup bardzo dobrej aparatury i nie była ona właściwie i efektywnie wykorzystywana.

Trzeba dodać, że wskutek rewolucji kulturalnej społeczeństwo chińskie było bardzo biedne. Średnia płaca wynosiła kilkanaście dolarów; tyle że zlikwidowano zjawisko głodu i każdy obywatel dostawał miesięcznie kilkukilogramowy przydział ryżu. Uczelnia nie szczędziła jednak środków na aparaturę naukowo-badawczą.



Hefei – prowincja Anhua, Chiny 1987

Miałem okazję pożyczyć sobie rower, którym wybrałem się na wycieczkę za miasto i mogłem zobaczyć chińską wieś, bardzo biedną wieś. Ze zdziwieniem widziałem przy wielu domach stojącą, opartą o drzewo lub płot trumnę. Zapytałem, co to oznacza.

Okazuje się, że zgodnie z zasadami konfucjonizmu starsi ludzie – ojcowie, dziadkowie cieszą się w chińskich rodzinach wielkim szacunkiem. Przyjęty jest zwyczaj kupowania im za życia trumny (sic!), aby widzieli, w czym będą spoczywać. Wyrazem szacunku dla przewidywanego jej właściciela jest to, że trumna jest solidna i kosztowna! W miastach panuje obowiązek kremacji zmarłych.

Ostatnią wycieczką, wynajętą taksówką, była wyprawa do Muru Chińskiego, oddalonego od Pekinu o kilkadziesiąt kilometrów. Tylko niektóre odcinki są dostępne dla turystów, w sumie kilkanaście kilometrów. Podobno widziany jest z księżycą, ale nie wiadomo, czy jest to prawdą. Robi duże wrażenie. Zbudowany na szczytach gór, przecina swą nieskończonością linię krajobrazu, pnie się i opada gwałtownymi skrętami. Jego całkowitą długość trudno jest określić, ponieważ jest poprzerwany wskutek zniszczenia. Niektórzy twierdzą, że może dochodzić do 4-5 tys. km.

Monumentalny w swej prostocie i surowości Mur Chiński jest wyrazem geniuszu człowieka – jego dominacji nad przestrzenią.

Budzi nie mniejsze zdumienie i podziw niż piramidy egipskie, jednak jest od nich o kilka tysięcy lat młodszy. W czasie podróży panie ciekawie opowiadały mi o swoim kraju oraz o popularnym w Chinach konfucjonizmie, systemie filozoficzno-religijnym, stworzonym przez Konfucjusza w V wieku p.n.e.

Zdaniem Konfucjusza, podstawowymi cnotami są humanizm, praworządność, poprawność, mądrość i lojalność. Cnoty te realizują się w pięciu powinnościach, czyli relacjach społecznych między panującym a urzędnikiem, ojcem i synem, starszym bratem i młodszym bratem, mężem i żoną oraz między przyjaciółmi. Konfucjonizm jest więc filozofią popierającą życie rodzinne i głoszącą kult przodków. Można go nazwać filozofią chińskiego systemu rodzinnego. Konfucjusz dostrzegał podobieństwo między strukturą państwa i rodziny. Twierdził, że państwo jest jak gdyby jedną wielką rodziną, w której – w pomyślnych jak i niepomyślnych czasach wszyscy nawzajem wspierają się i pomagają sobie, lub też wszyscy jednakowo cierpią biedę i niedostatek. Bardzo piękne zasady, ale nie zawsze realizowane, aczkolwiek – zainteresowawszy się głębiej historią tego kraju, uznałem, że jest w nich wiele cech występujących w Chinach na przestrzeni wieków.



Największy miejski plac na świecie: Tiananmen, Pekin, Beijing 1987, fot. A. Zaleski

Moja wizyta w Chinach odbyła się w czasie dla tego kraju przełomowym, gdy rozpoczęło się jego odrodzenie po spustoszeniach rewolucji kulturalnej. Trudno ten kraj zrozumieć po tym, co się stało, po masakrze demonstracji studenckich z tysiącami ofiar na Placu Tian'anmen (Niebiańskiego Spokoju) w dwa lata po moim pobycie. Jeszcze trudniej zrozumieć jego zawrotny postęp i modernizację w ostatnim ćwierćwieczu.

Jako gościowi uniwersytet urządził przyjęcie, na którym obecnych było około 10 osób. Zabawne było to, że oprócz typowo chińskich potraw, zwłaszcza *frutti di mare* była podawana mocna wódka ryżowa i tylko jeden dość rostry człowiek był wytypowany do picia ze mną toastów, inni byli tylko świadkami. Widocznie sądzili, że każdy Polak lubi alkohol i dużo pije, a szczupli i mali Chińczycy, nieprzyzwyczajeni do trunku, nie sprostają mu w picciu! Potrawy przy kolacji były głównie rybne, nieznanymi mi ryb i sporo pikantnych sałatek. Był też drób.

Przyjęcie odbywało się w wykwintnej pekińskiej restauracji przy ciekawym – podwójnym – okrągłym stole, z których ten mniejszy, górny był obrotowy z daniami przechodzącymi od jednego biesiadnika do następnego.



Przy serdecznym pożegnaniu otrzymałem od gospodarzy drobne upominki

Chiny nazywane są **Państwem Środka**. Czungkuo oraz Zhongguo to dwie nazwy Chin używane współcześnie. Powstały przed okresem odkryć geograficznych, kiedy uważano, że Chiny położone są centralnie w stosunku do czterech mórz. Nazwa Chiny, pisana w chińskim alfabecie, przedstawia prostokąt, położony na dłuższym boku i przekreślony pionowo przez środek. Sądzę, że jest to nawiązanie do starej nazwy państwa.

Wracając z Chin pociągiem w przedziale z Chinką studiującą w Niemczech, wiele dowiedziałem się od niej o jej kraju, mogliśmy bowiem rozmawiać po niemiecku. Jechaliśmy inną trasą niż do Chin przez drugą po Saharze, co do wielkości na świecie, równą jak stół, bezkresną pustynię Gobi, o pow. 2 mln km², położoną na wysokości około 1000 m n.p.m. Następnie przez pofałdowaną łagodnymi wzgórzami Mongolię, gdzie w całkowicie bezdrzewnym pustynnym stepie porozrzucane są pasterskie białe jurty. Oba krajobrazy wywierają na turyście potężne wrażenie, zwłaszcza pustynia Gobi przy zachodzie słońca.

Qevqep Kambo (1924-2001) – Albania

Gdy zaczęliśmy studia na Wydziale Matematyczno-Fizyczno-Chemicznym, Oddział Chemii Technicznej, w 1947 roku na Politechnice Wrocławskiej, pojawili się na różnych wydziałach studenci z różnych rozwijających się krajów. Przysłani zapewne na podstawie jakichś międzynarodowych uzgodnień. Na naszym roku mieliśmy kolegów z Jugosławii i Albanii. Trzymali się oni przeważnie oddzielnie od Polaków, zwłaszcza Albańczycy, dla których bariera językowa była trudna do przebrnięcia, wobec dużej odrębności naszych języków, mimo odbycia półrocznego kursu języka polskiego.

Jeden z Albańczyków wyróżniał się jednak zdecydowanie od innych. Nazywał się **Qevqep Kambo** (czyt. imię: Czewczep). Był podobny do Cygana lub Hindusa: przystojny, inteligentny, zdolny, dowcipny z rozwiniętym poczuciem humoru. Bardzo sympatyczny, świetnie, krytycznie wczuwający się w ówczesną sytuację społeczno-polityczną naszego społeczeństwa, z jej wszelkimi subtelnościami.

Może dlatego, że był bardzo uzdolniony również w kierunku humanistycznym, co się później potwierdziło, lepiej od innych rodaków nauczył się języka polskiego, dzięki czemu mógł i chciał nawiązywać lepszy kontakt z polskimi kolegami. Nasi albańscy koledzy – po dyplomie (1953) – szybko wyjechali do swojego kraju, gdzie potrzebna była jak najprędzej wykształcona kadra.

Z Jugosłowianami była większa komplikacja z powodu konfliktu w tym czasie na linii Stalin – Tito, wobec którego musieli się oni zadeklarować, po której stanąć stronie. Ale to już inna historia.

Na tym właściwie zakończył się nasz kontakt i mogliśmy tylko śledzić obraz tego, co się dzieje w Albanii, w środkach masowego przekazu, przefiltrowany przez ówczesną naszą i tamtejszą komunistyczną cenzurę. Raz, w połowie lat 60. trafiłem na wzmiankę w tygodniku „Świat” o wizycie jakiejś polskiej delegacji w Tiranie, witanej przez ministra Q. Kambo. Czyżby to był nasz kolega, który być może uczestniczył w powitaniu polskiej delegacji?

Trzeba stwierdzić, że nie było zbyt wielu stamtąd wiadomości. Kraj w latach 1944-1985 rządzony był przez komunistycznego dyktatora **Envera Hodżę** (1908-1985), który na początku był go-

racym zwolennikiem Stalina. W dużej mierze się na nim wzorował, uprawiając tak zwany kult jednostki, bezwzględnie eliminując wszelkie symptomy niezależności.

W Albanii za rządów Hodży było 48 karnych obozów pracy i wykonano na przeciwnikach reżimu około 6,5 tys. wyroków śmierci. Po zerwaniu stosunków ze Związkiem Sowieckim, w 1961 roku, po referacie Chruszczowa podczas XX Zjazdu KPZR, nawiązano przyjaźń z Chinami. Zakończyła się w 1978 roku po procesie tzw. *Bandy Czworga*. Od tej pory Albania była całkowicie izolowana od świata i bardzo mało wiedzieliśmy o sytuacji w tym kraju. Wiadomo było, że dyktator obsesyjnie obawia się agresji ze strony ZSRR, a po 1978 roku również Chin.

Podjęto gigantyczne prace przy budowie systemu bunkrów na wielką skalę. Okazało się, że na terenie kraju o powierzchni 2875 tys. km², czyli ponad 10-krotnie mniejszym od Polski z ludnością 2,9 mln. mieszkańców, zbudowano **700-800 tys. bunkrów!**

Osamotniony dyktator wspierał również przestępczy reżim Pol Pota (1925-1998) w Kambodży (właśc. Saloth Sar, znany także pod pseudonimami Brat Numer Jeden oraz Wujek Sekretarz).

Dopiero po śmierci Envera Hodży (1985) i upadku komunizmu w Albanii (1992), kraj ten dołączył do grupy krajów demokratycznych i został otwarty dla cudzoziemców. Pozytywnym skutkiem rządów Hodży była likwidacja analfabetyzmu, spore nakłady na kulturę i sztukę – oczywiście o określonej orientacji. Po upadku reżimu, ludność stara się adaptować bezużyteczne, liczne bunkry do celów mieszkalnych, mniejsze likwidować.

Od początku XXI wieku biura turystyczne zaczęły interesować się Albanią jako jednym z krajów bałkańskich, mających piękne tereny turystyczne i około 370 km wybrzeża nad ciepłym Adriatykiem.

W kwietniu 2006 roku przeczytałem w „Gazecie Wyborczej” reportaż redaktor Elżbiety Wisławskiej z jej podróży do Albanii. Poza informacjami turystycznymi Wisławska opisuje przypadkowe spotkanie w mieście Berat z dwiema Albankami – miejscową nauczycielką i poetką – Dritą Braho oraz jej przyjaciółką – Sheko Dauti. Braho zaskoczyła ją znajomością poezji Wisławy Szymborskiej, chwając się, że ma tomik poezji polskiej noblistki w tłumaczeniu na albański **Qevqepa Kambo!**

Tą informacją byłem bardzo zaskoczony. Natychmiast postanowiłem spróbować nawiązać kontakt z Albanią, dowiedzieć się czegoś więcej o moim byłym albańskim koledze, a nawet się tam wybrać. Nogi miałem wówczas jeszcze w pełni sprawne. Po otrzymaniu od redaktor Wisławskiej adresu Drity Braho, która mieszka w przerobionym na mieszkanie jednym z licznych tamtejszych bunkrów, napisałem do niej list po angielsku i bardzo szybko dostałem odpowiedź, w której wyraża wielką radość z kontaktu ze mną – kolegą tłumacza polskiej poezji na albański, a chcąc spełnić moją prośbę, stara się z nim skomunikować.

Okazało się jednak, że Qevqep Kambo, urodzony w 1924 roku, zmarł w 2001 roku. Miał syna w Ameryce oraz córkę w Tiranie. Aby dowiedzieć się czegoś więcej, znalazłem wzmiankę o naszym koledze Kambo w internecie.

Był jednym z pierwszych Albańczyków, którzy w latach 50. ubiegłego stulecia przyjechali na studia do Polski. Ukończył studia z zakresu chemii przemysłowej na Uniwersytecie Wrocławskim. Po powrocie do Albanii, rozpoczął pracę naukową w Wyższej Szkole Rolniczej w Tiranie (obecnie Uniwersytet Rolniczy). Obronił pracę doktorską i uzyskał tytuł profesorski. Oprócz pracy naukowej na uniwersytecie, zajmował się translatorstwem. W jego dorobku znajdują się dzieła literatury pięknej, tłumaczone z języka włoskiego (m.in. Italo Svevo), a także z języka polskiego. Był pierwszym tłumaczem, który przyswoił Albańczykom poezję Wisławy Szymborskiej, a także pierwszym, który z oryginału tłumaczył Mickiewicza na język albański.

Tłumaczenia literatury z języka polskiego na język albański, zrealizowane przez Kambo:

1956 – *Ucieczka Feliksa Okonia*, opowiadania polskie

1960 – *Pan Tadeusz*, A. Mickiewicz, księgi I, XI, XII

1997 – *Poezje zebrane*, Wisława Szymborska

1998 – *Ósmy dzień tygodnia*, Marek Hłasko

Za działalność jako tłumacza polskiej literatury na język albański, profesor Qevqep Kambo został odznaczony Krzyżem Komandorskim Odrodzenia Polski w Ambasadzie Polskiej; Tirana 2001.

I tak znów skrzyżowały się moje drogi życiowe z drogami moich dawnych przyjaciół.

Pozostaje jednak żal, że tak późno.

Teresa Romanowska-Zmorska – Szwajcaria

Z Teresą (Tenią) poznaliśmy się we Wrocławiu na zabawie studenckiej jesienią 1948 roku. Od tego czasu nasz kontakt trwa z przerwami do dziś: już 65 lat, co wśród przyjaciół nieczęsto się zdarza. Tenia jest kresowianką, pochodzi z ziemiańskiej rodziny. Mieszkała również przez pewien czas przed wojną we Lwowie. Po wojnie znalazła się razem z matką i czterema siostrami na Dolnym Śląsku. Uczyła się we wrocławskiej z szkole asystentek medycznych, kończąc w niej oddział analityczny.

Nasze kontakty były we Wrocławiu sporadyczne, zajęci byliśmy bowiem swoimi studiami, ale od czasu do czasu robiliśmy wspólne wycieczki lub spotykaliśmy się w Wojśławicach w pobliżu Niemczy, gdzie mama Teni kierowała tamtejszym ogrodnictwem. Odbywały się u niej – na wzór przedwojennych spotkań rodów ziemiańskich – rodzinne zjazdy z udziałem kresowiaków. Uczestniczył w nich między innymi krewny Teni, późniejszy znany polityk – Aleksander Małachowski (1924-2004).



Teresa Romanowska-Zmorska, fot. Adam Zaleski

Na początku lat 50. XX wieku, po ukończeniu edukacji, Tenia wyszła za mąż za lekarza psychiatrę i wyjechała w Białostockie, gdzie jej mąż znalazł zatrudnienie. W następnych latach została matką syna Iwa i córki Joanny. Kontakt między nami urwał się, ale co pewien czas odwiedzałem jej mamę i starszą siostrę, mieszkających we Wrocławiu. Z ich opowieści mogłem śledzić dalsze losy Teni. W 1962 roku jej mąż dostał stypendium naukowe w Szwajcarii, dokąd wyjechali.

Po pewnym czasie poprosił o azyl, dostrzegając w Szwajcarii lepsze perspektywy dla swojego dalszego rozwoju naukowego. Adaptacja w tym kraju nie była łatwa. Mąż Teni po wyczerpaniu się stypendium – musiał bowiem nostryfikować swój polski dyplom lekarski, ale zanim to osiągnął – wykonywał proste prace medyczne, nie mając jeszcze prawa do wykonywania zawodu lekarza.

Wszystko jednak zakończyło się pomyślnie. Po zdaniu wyznaczonych egzaminów i nostryfikacji dyplomu, jego rodzina mogła po upływie 12 lat pobytu dostać szwajcarskie obywatelstwo.

Uzyskawszy odpowiedni poziom materialny, mogli kupić sobie dom, zamieszkać w górach, dojeżdżając do pracy w pobliskim miasteczku. Gdy dzieci stały się samodzielne, Tenia również podjęła pracę w instytucie medycznym. W przystosowywaniu się do życia w tak różnym w stosunku do Polski kraju, jakim jest Szwajcaria, bardzo dużą pomoc okazała Teni jej szwajcarska przyjaciółka – Susan, o której piszę w rozdziale *Zosia*.

Po wypadkach sierpniowych 1980 roku, Tenia wybrała się do Polski po raz pierwszy od wyjazdu z kraju. Mogliśmy się spotkać po prawie dwudziestu latach. Czas był niebezpieczny. Służby specjalne zainteresowały się Tenią jako osobą, która przecież nielegalnie opuściła kraj. Ostrzegli ją o tym strażnicy przy odlocie z Polski, gdy przechodziła przez punkt kontrolny na lotnisku w Warszawie. Było jednak już za późno na jej zatrzymanie. Była po drugiej stronie symbolicznej granicy. Strażnicy należeli prawdopodobnie do powstającej *Solidarności*, która już zaczęła działać!

Gdy w 1983 roku wyjeżdżałem na konferencję naukową do Fribourga, przed wyjazdem porozumiałem się z rodziną Teni we Wrocławiu, która podała mi jej telefon. Będąc w Szwajcarii, skontaktowałem się z nią i poznałem jej szwajcarską rodzinę.

Mieszkając na prowincji, sąsiadowali przez płot z rodziną wieśniaków, zajmującą się produkcją rolniczą, głównie hodowlą mlecznych krów i mleka. Ich syn Bruno sympatyzował z córką Teni Joanną i wkrótce odbył się nietypowy ślub szwajcarskiego wieśniaka z polską inteligentką-intelektualistką. Na pytanie, jak do tego doszło, była odpowiedź: *No cóż, płot był niski, a Bruno wysoki!* Młoda para ma czwórkę wspaniałych dzieci: Jagę, Jana, Jonasa i Nadinę – wszystkie mówią po polsku, ze szwajcarską melodią. Jest to zasługą matki i babci, co na obcym terenie wymaga sporo wysiłku, nie jest więc często spotykane nawet w rodzinach czysto polskich, mieszkających za granicą.

Wykorzystując moją przynależność do IAG, miałem możliwość wyjazdów za żelazną kurtynę na konferencje organizowane co pewien czas przez tę organizację. Mogłem przedłużać służbowe pobytu w Szwajcarii i organizować wycieczki w Alpy.

Chciałbym podkreślić, że ówczesne kierownictwo Politechniki starało się pomagać swoim pracownikom naukowym, którzy podejmowali i prowadzili współpracę z zagranicą. Uczelni nie było stać na finansowanie tych wyjazdów, lecz jeśli ktoś załatwił sobie pokrycie kosztów pobytu przez zapraszającego, uczelnia opłacała mu koszty podróży. Po zawieszeniu stanu wojennego w Polsce był już możliwy wyjazd swoim autem, co upraszczało podróżę.

Postanowiłem zatem dojechać pociągiem z Friburga do centrum szwajcarskich Alp – Interlaken, miasta leżącego między dwoma dużymi jeziorami – Thunersee i Brienersee. Stamtąd koleją do Zweilütschlenen a dalej kolejką wysokogórską do przełęczy kleine Scheidegg (około 2000 m n.p.m.). Znajduje się tam wielki europejski ośrodek hodowli pięknych zaprzęgowych psów rasy husky, wytrzymałych w warunkach arktycznych, a więc też trudnych alpejskich, tam wykorzystywanych do transportu.

Po przesiadce w Kleine Scheidegg kolejka szynowo-zębata wjeżdża w 10-kilometrowy tunel, wydrążony we wnętrzu masywu góry Eiger (3970 m n.p.m.), wznosząc się spiralnie jak korkociąg. Północna ściana Eigeru jest najwyższą w Europie ścianą górską. Ma wysokość 1800 m n.p.m. i uważana jest za jedną z najtrudniejszych do zdobycia przez wspinaczy. Kolejka w Eigerze ma już 100 lat. Otwarcie jej, po 16-letniej budowie, nastąpiło w 1912 roku. Patrząc na panujące tam skrajnie ciężkie warunki wysokogórskie, trudno jest uwierzyć, że przy ówczesnym stanie techniki było to możliwe.

Podczas tej półtorakilometrowej (w pionie) oraz 10-kilometrowej wspinaczki kolejki w tunelu, tory są dwukrotnie wyprowadzane w pobliże ściany. W czasie postoju, który jest jednocześnie adaptacją organizmu do wysokości, przez wielkie okno podziwia się imponujące widoki Alp. Kolejka kończy bieg na Jungfrauoch (wysokość 3471 m n.p.m.), na przełęczy pod szczytem Jungfrau (niem. Dziewicy) 4158 m n.p.m.

Znajduje się tam – wydrążony w lodowcu – *Pałac Lodowy*, po którym można lodowymi korytarzami, w wyjątkowej scenerii przechadzać się; i ośrodek turystyczny. Stąd można wyjechać windą wyżej, do Obserwatorium na Sfinx (3571 m n.p.m.), w którym jest platforma widokowa. Stąd roztacza się fantastyczny, zapierający dech w piersiach, rzadko spotykany widok.



Lodowiec Aletsch Gletscher pod Jungfrau w Alpach, Szwajcaria, fot. Adam Zaleski

Można również udać się piechotą jeszcze wyżej, po lodowcu, uważając na liczne lodowe szczeliny – niebezpieczne pułapki dla niedoświadczonych turystów. Postanowiłem jednak zobaczyć, co tam wyżej jest i z jeszcze większej wysokości spojrzeć na spływający w dół, najdłuższy lodowiec w Europie Aletsch Gletscher o długości około 25 km. Prawie pół godziny drogi, wyżej od Sfinksa, zobaczyłem małą chatkę, doczepioną do pionowej skalnej ściany. Z powodu niemożliwości wykonania fundamentów w tym miejscu na lodowcu, zawieszona była na konsoli, podobnie do zlewu w łazience. Była to samoobsługowa baza turystyczna Alpin Verein szwajcarskiego Towarzystwa Alpinistycznego, na wysokości około 3700 m n.p.m., jedna z wielu w Alpach. Chatka nie była zamykana, dostępna zatem w każdym momencie dla zbłąkanego w górach turysty. Wyposażona w prycze z materacami i kocami na około 10 osób, jadalnię z płytą kuchenną, kompletem naczyń, drewnem opałowym i dodatkami kuchennymi, jak sól, cukier.

Wodę uzyskiwało się przez stopienie lodu z zewnątrz. W skarbonce zostawiało się kilka franków za drewno opałowe. Takie rozwiązanie w wielkich górach widziałem pierwszy raz, a ponieważ była już pora dość późna, postanowiłem zanoć w tych niecodziennych surowych warunkach. Moimi współlokatorami tej nocy byli Skandynawowie – Norweg i Szwed, którzy rano na drugi dzień

poszli dalej w góry, ja zaś wróciłem pod Obserwatorium na Sfinx, aby jeszcze raz – rano nacieszyć się fantastycznym niepowtarzalnym krajobrazem z platformy widokowej. Na tej platformie można przeczytać po francusku napis, wyjątek z jakiegoś psalmu, i zadumać się nad jego treścią w wyjątkowo przepięknej scenerii:

Venez et voyez le grand oeuvre de Dieu.

Przyjdź i zobacz wielkie dzieło Boga.

Z Tenią mieliśmy wspólne zainteresowania muzyczne i turystyczne. Nadal utrzymywaliśmy kontakty. Starła się, by w czasie gdy dla Polaków wyjazd za granicę, zwłaszcza na Zachód, były ze względów finansowych trudne, wynajmować w Alpach dom i zapraszać rodzinę i przyjaciół z Polski do wspólnego spędzenia wakacji. W roku 1986 wynajęła dom na alpejskiej hali, na wysokości około 1600 m n.p.m., w kantonie Graubünden, we wschodniej części Szwajcarii, koło miasteczka Mustair, przy włoskiej granicy.

Grupa zaproszonych przez Tenię Polaków z Polski i miejscowych liczyła około 10 osób, więc spędzało się czas na wycieczkach, grze w brydża i wspólnych śpiewach przy winie. Ponieważ wino po włoskiej stronie granicy było znacznie tańsze, postanowiono go właśnie tam kupować. Jednak ani ja, ani siostrzenica Teni, też Teresa, która przyjechała ze mną z Polski, nie mogliśmy w tych wyjazdach uczestniczyć. Nie mieliśmy włoskich wiz.

Powstał ryzykowny pomysł przejścia do Italii przez zieloną granicę, jak podczas wojny. Wyjechaliśmy dwoma samochodami, a przed granicą wysiedliśmy we dwójkę. Wystarczyło przejść kilkaset metrów od przejścia granicznego wzdłuż granicy, przekroczyć ją w miejscu niewidocznym dla straży i spotkać się w umówionym miejscu po włoskiej stronie z naszymi towarzyszami, którzy legalnie przejechali granicę. Mogliśmy spokojnie, aczkolwiek nielegalnie zwiedzić tę północną, bardzo ładną część Włoch, zwaną Górna Adyga, od nazwy rzeki, i spore – malowniczo położone miasto Merane. Powrót odbywał się według tego samego scenariusza. Wracaliśmy do domu na hali z dużym zapasem wina.

Podczas innej wycieczki z Zosią i Susan (1989) pojechaliśmy na południe Szwajcarii do kantonu Valaise, aby ujrzeć na własne oczy najpiękniejszą górę Europy, niektórzy uważają, że świata, Królową Gór – Matternhorn (4478 m n.p.m.) w Alpach Walijskich, symbol Szwajcarii i całych Alp, zwaną też Monte Cervino (Góra Jeleni).



Mister szczytów górskich świata: Matterhorn, fot. Andrew Bossi

Dojeżdża się autem i parę kilometrów przed miasteczkiem Zermatt parkuje na wielkim parkingu. Wjazd do miasta jest zabroniony z powodów ekologicznych. Funkcjonuje tam jedynie transport konny i pojazdy akumulatorowe. Można podejść piechotą kilka kilometrów pod masyw Metterhornu, do ostatniego przed górą schroniska Hörnli Hütte (3260 m n.p.m.), i wspiąć się jeszcze 100-200 m w pionie, osiągając miejsce, skąd – ze względu na stromość – dalsza wędrówka bez wspinaczkowego sprzętu jest technicznie niemożliwa. Najpiękniejszy jest, widziany z pewnej odległości, stożkowy masyw Matterhornu.

Pierwsze wejście na szczyt odbyło się w 1865 roku. Pierwszym Polakiem, który stanął na szczycie tej góry: miss Alp (1894), był polski uczone, fizyk-alpinista – Marian Smoluchowski (1872-1917).

W 2009 roku byłem zaproszony do Szwajcarii na jubileusz 80-lecia urodzin Teni. Uroczystość odbyła się w zameczku Reiden, w kantonie Lucern. Zjechało kilkadziesiąt osób z kilku krajów, aby uczcić jubileusz osoby, która sercem, dobrocią i życzliwością zasłużyła sobie na sympatię i wdzięczność bliskich oraz przyjaciół.

Były radca ds. kultury Ambasady RP w Bernie, prof. Jan Zieliński, który po spełnieniu swojej misji dyplomatycznej zamieszkał na stałe w Szwajcarii, uhonorował Jubilatkę wierszem:

*Do jaśniejszych z naszych Teres
Czysty dzisiaj mam interes.
Tak, do Ciebie mówię Teńko,
Posłuchaj chwilę maleńką.*

*Skoroś odmianą Terezji
Powstrzymam się od herezji.*

*Gdybyś była Teresita
Nuciłbym – la Cumparsita!
Ale Ty wszak jesteś Teńka,
Nasza kresowa panienska.*

*Teres świętych ciągnę się myli;
Ta z Lisieux, a ta z Avili,
Jednej lubym był Pan Jezus,
Jedna Mała, druga Wielka,
A po której nasza Tełka?*

*Pora kończyć te litanie,
Bo mi czasu nie zostanie.*

*Teresito, Tełko, Tenko,
Terezyjo tudzież Teńko,
Święta czy nie całkiem święta
Prośbę moją zapamiętaj,
A dzisiejsze me wołanie –
Przychodźcie Panowie, Panie
Niech się niesie wielkim echem
Darz nas dalej swym uśmiechem!*

Janek, Dom komturii, Reiden, 12 września 2009

Teresa Pfabé-Kamal (1933-2007) – Egipt

Swoje wspomnienia z podróży po świecie zakończę, przedstawioną w największym skrócie wzmianką o podróży do Afryki, na czwarty z odwiedzanych przeze mnie kontynentów, który mogłem poznać dzięki ciekawym i nietypowym koneksjom rodzinnym, poznać wielu interesujących ludzi i odwiedzić kolebkę naszej cywilizacji. Mianowicie, kuzynka żony Tomiego Janikowskiego (mojego szwagra, brata Hani) – Teresa Pfabé, absolwentka anglistyki na KUL-u, a potem arabistyki na Uniwersytecie Warszawskim, wyszła za mąż w 1967 roku za Egipcjanina, etnografa Safwata Kamala.

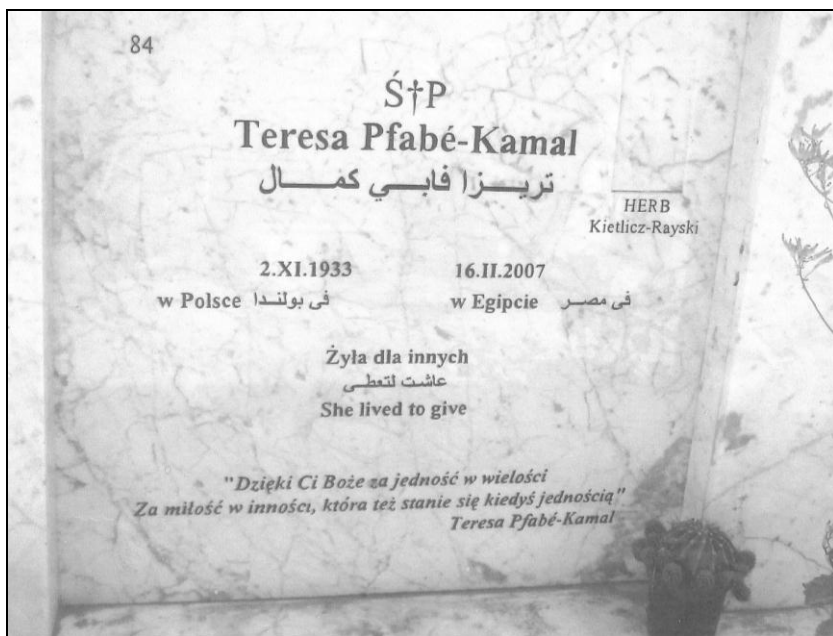
Poznany przez nią na Międzynarodowym Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie, w 1955 roku, egipski malarz Samirati prosił ją kilka lat później, aby pomogła jego przyjacielowi Safwatowi Kamalowi w zaadoptowaniu się w Polsce, gdzie jako etnograf miał odbyć staż. Tak doszło do poznania jej przyszłego męża, z którym wówczas powstała nić wzajemnej sympatii. Gdy po kilku latach sama znalazła się na stypendium w Paryżu, a potem zamierzała udać się do Efezu w Turcji, utrzymujący z nią stały kontakt Safwat Kamal przyjechał po nią, towarzyszył w podróży do Efezu, skąd zabrał ją do Kairu. Tam przedstawił swojej matce, której kandydatka na synową bardzo przypadła do gustu. Po krótkim czasie, w 1967 roku Teresa i Safwat wzięli ślub. Tak w największym skrócie przedstawia się historia powstania tego egzotycznego polsko-egipskiego mariażu.

A zatem, nastąpiło połączenie się w związek małżeński przedstawicieli dwóch bardzo odległych kultur, co jest zawsze ryzykowne i trzeba mieć wiele odwagi i determinacji, aby się zdecydować na taki krok. Tym bardziej że Teresa była praktykującą katoliczką, a Safwat przestrzegającym zasad islamu muzułmaninem. Więcej, był on w prostej linii potomkiem Mahometa, co jest w krajach arabskich, w księgach, do dzisiaj rejestrowane, a ludzie ci mają specjalne przywileje i szacunek w społeczeństwie. Załatwiono również zezwolenie papieża kościoła katolickiego na to małżeństwo. Harmonijne współżycie takich ludzi mogło, moim zdaniem, upływać jedynie przy zachowaniu z obu stron wielkiej wyrozumiałości, tolerancji i wysokiej kultury, co w tym przypadku miało miejsce.

Po ślubie młodzi wyjeżdżają na 10 lat do pracy, do Kuweitu, potem wracają do Kairu, gdzie Safwat zostaje aż do emerytury profesorem etnografii na Uniwersytecie Kairskim. Przychodzą na świat córki: **Hala** (1968), **Magda** (1969) i **Ola** (1982).

Może dziwić polskość tych imion w egipsko-polskim małżeństwie. Otóż, imiona egipskie mają odniesienie do otaczającej rzeczywistości i każde z nich coś oznacza. Hala, występująca wśród imion arabskich – oznacza *aureolę, jasność*. Magdy nie ma w zestawie imion arabskich, ale jest imię *Madżida*: tak się je wymawia, a oznacza – *chwała, sława, urok*, natomiast Ola tłumaczy się jako *wysokość*, co – jak sądzę – należy rozumieć jako *wywyższona w hierarchii społecznej*. Teresa zajmowała się wychowaniem córek oraz w pewnym zakresie działalnością publicystyczną, np. pisała do czasopisma „Polonez”.

Teresa Pfabé-Kamal, którą miałem przyjemność poznać na ślubie Urszuli – córki Władka Janikowskiego, umiera w 2007 roku, jej mąż w 2009. Oboje pochowani są w Kairze. On na cmentarzu mużłmańskim, ona na pobliskim katolickim.



Epitafium na grobie Teresy Pfabé-Kamal w Kairze, fot. Adam Zaleski

Na epitafium nagrobnym Teresy można przeczytać piękne słowa jej autorstwa.

*Dzięki Ci Boże za jedność w wielości,
za miłość w inności,
która też stanie się kiedyś jednością.*

Kwintesencja jej bogatej osobowości, treści jej życia i uczuć została także podkreślona przez Jej najbliższych: **Żyła dla innych.**

Dla lepszego przedstawienia tego ciekawego kraju, podam kilka ważniejszych informacji. Historia egipskiej cywilizacji rozpoczęła się przed 5 tysiącami lat. Egipcjanie wierzą w to, że zostali obdarzeni przez Opatrzność specjalnymi przywilejami. Cechuje ich bezgraniczny spokój, poczucie humoru i przyjazne usposobienie.

Nie bez powodu mówi się u nas o zachowaniu *egipskiego spokoju*, ponieważ Egipcjanina trudno wyprowadzić z równowagi. Do tego przyczynia się również przyjazny klimat.

Życie w Egipcie przebiega wg zasady IBM

Insza Allah: Bóg tak chce – poddanie się woli Bożej
Bukra: jutro, co mam zrobić dzisiaj, zrobię jutro
Malesz: przykro mi, ale nic się nie stało, nie jest źle

Egipcjanie starają się zachowywać beduińską zasadę gościnności. Gdy gość przekroczy próg twojego domu, należy go co najmniej przez 3 dni traktować jak członka rodziny, czyli żywić go, bronić i w razie potrzeby ubrać. W Egipcie jest 90 procent wyznawców islamu i 8 procent chrześcijan, głównie Koptów.

Koran zawiera objawienie przekazane ponad 1300 lat temu Mahometowi przez Allaha i stanowi ostateczne uzupełnienie Biblii. Każdy pobożny wyznawca islamu wypełnia 5 podstawowych przykazań.

- *Szahada* – otwarcie wyznaje wiarę w Boga (Allaha) i proroka Mahometa
- *Salat* – modli się pięć razy w ciągu dnia, z twarzą zwróconą w stronę Mekki
- *Saum* – pości podczas Ramadanu
- *Zakat* – daje ubogim jałmużnę
- *Hadżicz* – przynajmniej raz w życiu pielgrzymuje do Mekki

Wszystkie kuzynki Polki-Egipcjanki utrzymują stałą więź z krajem swojej matki, która wyjeżdżając na stałe z Polski i nie wyzbywając się swojego mieszkania w Warszawie, zapewniła im możliwość zatrzymywania się w Polsce we własnym locum, z czego stale korzystają, mając jednocześnie kontakt z warszawską rodziną. Wizyty są zresztą obustronne – warszawiacy odwiedzają Kair.

Miałem wielkie szczęście, że przy wyjeździe Tomiego z synem Władkiem do Egiptu (2009) zostałem zaproszony do uczestnictwa w tej wyprawie. Mogłem więc osobiście poznać egipskie dalekie kuzynki, ich krewnych i znajomych, których odwiedzając, byliśmy po królewsku przyjmowani i goszczeni.

Wylecieliśmy z Warszawy 9 maja 2009 roku z pięciogodzinną przerwą na przesiadkę w Rzymie, co wykorzystaliśmy na dojechanie pociągiem do Rzymu i zwiedzenie Placu i Bazyliki Świętego Piotra oraz Placu Wenecji z pomnikiem Emanuela II.

Na lotnisko w Kairze, już nad ranem, przyjechała po nas Ola. Przywitała nas nienaganną polszczyzną, co zrobiło na mnie duże wrażenie. Teresa dokonała, moim zdaniem, w swojej rodzinie polsko-egipskiej rzeczy, w które trudno uwierzyć, że są możliwe.

Potrafiła w arabskim środowisku, w kraju o całkowicie odmiennej kulturze, utworzyć polsko-egipski (arabski) dom, mając męża wyznawcę islamu, wychować swoje trzy córki w polskim duchu, nauczyć je biegle języka, zwyczajów i tradycji dalekiego, odrębnego słowiańskiego narodu znad Wisły.

Jest to godne najwyższego szacunku. Na ogromne uznanie zasługuje również jej mąż Safwat, który wbrew ogólnie przyjętym zasadom, panującym w arabskim świecie, w domu swoim szanował i tolerował polskie zwyczaje żony, i je respektował.

Panie starały się nasz dziesięciodniowy pobyt jak najbardziej urozmaicić. A więc, pokazały nam Kair, jego ciekawsze miejsca, Muzeum Narodowe, położone około 400 m obok słynnego teraz Placu Tahrir, gdzie znajdują się mumie wielu faraonów, cmentarz katolicki i muzeum mański, kairską wieżę widokową, kairskie restauracje i piramidy w Gizie oraz orientalny bazar Chan al-Chalili.

Urządzono nam wycieczkę samolotem do Luksoru, a tam zwiedzanie Doliny Królów, gdzie spośród 22 ukrytych w wąwozach piaskowych skał grobowców faraonów mogliśmy zwiedzić w ciągu jednego dnia tylko kilka, nie omijając grobu Tutanchamona.



Kairski stary bazar Chan al-Chalili, fot. Adam Zaleski



Kair – miasto tysięcy meczetów, fot. Adam Zaleski

Zwiedziliśmy świątynię Hatszepsut, wykuta w piaskowej skale na zboczach góry. Cały drugi dzień w Luksorze zajęło nam zwiedzanie świątyni Amona z jej kolumnadą, pylonem Ramzesa II oraz dziedzińcem Nektanebo w Karnaku.

Trudno jest opisać szczegółowo wrażenia, które się przeżywa, oglądając setki gigantycznych 20-30-metrowych rzeźb, kolumn, posągów, filarów, mających około 40 wieków, które są ciekawie rzeźbione i pełne finezyjnych ornamentów. Na każdym kroku jest się oczarowanym i zachwyconym gigantyczną pracą wielu pokoleń przy tworzeniu tych cudownych znaków pamięci, zwłaszcza że wszystko było wykonywane nieznanymi do dziś narzędziami i urządzeniami.

Największe jednak wrażenie z egipskich bezcennych zabytków zrobiły na mnie piramidy w Gizie, które obecnie z powodu ekspansji zabudowy znalazły się na obrzeżach miasta Kairu, graniczącego z Saharą. Największa piramida **Cheopsa** jest jedynym zachowanym obiektem z *7 cudów świata* i jest jednocześnie **najcięższą budowlą na naszej planecie**. Zbudowana bowiem jest z około 2,3 mln sześciennych kamiennych bloków, każdy o wadze około 2,5 tony, czyli w sumie waży około 6 mln ton! Ma 137 m wysokości i 230 m długości boku.

Obok niej jest piramida **Chefrena** (wys. 136 m) i **Mykerinosa** (wys. 67 m). Gdy stoi się pod piramidami, nieodparcie przypominają się słowa Napoleona, które powiedział przed bitwą z Mamelukami w 1798 roku, widząc z oddali szczyty piramid:

*Żołnierze – z wierzchołka tych piramid
spogląda na was czterdzieści wieków historii!*

Na nas patrzyło o ponad dwa wieki więcej, ale mnie – technologia nurtowało wyobrażenie sobie: **jak je budowano, jaka była technologia cięcia, szlifowania, transportu, ustawiania, podnoszenia tych potężnych bloków w tamtym czasie, w epoce pracy ręcznej, ewentualnie przy pomocy prymitywnych narzędzi lub zwierząt?**

Czytałem nawet artykuły udowadniające, że bez sił nadprzyrodzonych nie było to możliwe. W literaturze są wzmianki o tym, że szczegółowa technologia i organizacja budowy piramid była zapisana przez starożytnych, ale została zniszczona przez pożary dawnych bibliotek, o czym piszę w dalszej części tego rozdziału!



Sfinks na tle piramidy Cheopsa

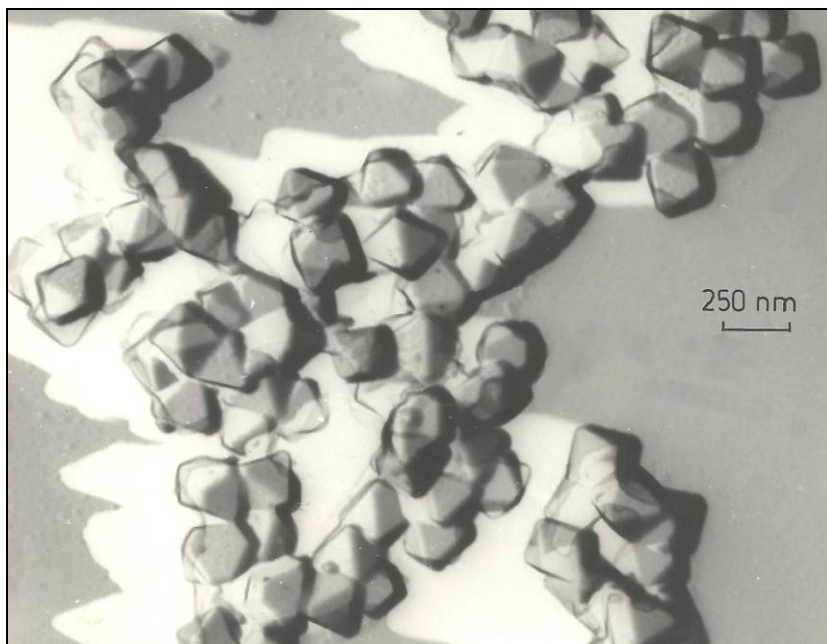
Przez spory okres swojej pracy zawodowej zajmowałem się kontrolowanym wzrostem mikrokryształów halogenków srebra. Wiele lat spędziłem przy mikroskopie, obserwując uzyskane przeze mnie zsyntezowane kryształy. Były one najczęściej w kształcie ośmiościanów, czyli dwóch piramid, zetkniętych ze sobą podstawami, o wielkości około 1/3000 milimetra.

A zatem, widocznie przed 42 wiekami Egipcjanie – przy projektowaniu grobowców faraonów – oparli się na wzorcach, występujących w przyrodzie. Przyjęli bryłę o strukturze połówki ośmiościanu, należącego do najczęściej występującego w przyrodzie układu regularnego kryształów, składającego się z elementarnych sześciennych komórek sieciowych. Taką strukturę mają piramidy egipskie.

Stojąc pod piramidami, przypomniałem sobie mikroskopowe obserwacje. Moje kryształki były **miliard razy mniejsze!**



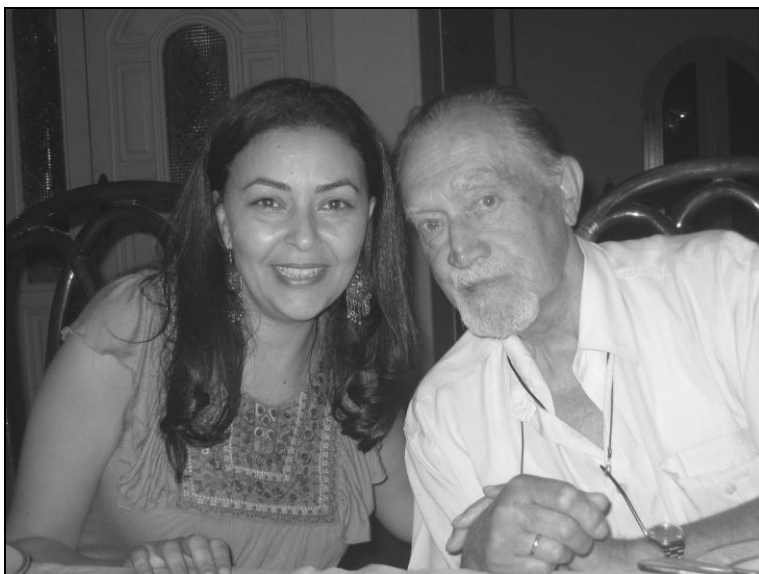
Struktura piramidy Cheopsa, fot. Adam Zaleski



Fotomikrografia mikrokryształów bromku srebra o budowie ośmiościanów: podwójnych piramid o wielkości 1/3000 mm, wykonanych w naszym laboratorium, fot. Adam Zaleski

Podczas tego pobytu mieliśmy okazję poznać egipską rodzinę naszych gospodarzy. Teściowa Hali – Maissa, dziennikarka i anglistka urządziła w swoim mieszkaniu na wyspie Zamalek, na Nilu przyjęcie dla całej rodziny. Przyjęcie było niezwykle wytworne, mnóstwo egipskich potraw, serwowanych przez lokaja – Nubijczyka w białym uniformie. Poznałem również męża Hali, matematyka o imieniu Tarek, i ich uroczego kilkuletniego synka Czarka, nad którym nieustannie pracuje jego mama, mówiąc do niego, podobnie jak kiedyś jej matka do swoich córek, wyłącznie po polsku, aby zachować na przyszłość dwujęzyczność tej międzynarodowej rodziny. Na przyjęciu była też sympatyczna i wesoła siostra Tarka – Nayra, brat Amr i kuzynka Dalia. Hala i Tarek są profesorami tytularnymi Uniwersytetu Kairskiego.

Byliśmy również zaproszeni przez przyjaciółkę Magdy, Hanię Howaidy, bardzo zaprzyjaźnioną z Polakami. Mąż jej Amr Selim – człowiek niewidomy od urodzenia, bardzo wesoły i pogodny, ma mimo tego kalectwa świetną orientację przestrzenną i doskonały słuch muzyczny. Komponuje ciekawą muzykę o egipskim rodowdzie, prowadzi zespół muzyczny i bardzo aktywne życie. Spędziliśmy u nich miły wieczór.



Hania Howaidy z Tomim, Kair 2009, fot. Adam Zaleski

Magda ma uroczonego, syna Józia. Oficjalnie to Mohamed Yousif. Magda kontynuuje linię swojej matki, zachowując w świadomości dziecka polskość, której teoretycznie ma w swoich genach 25 procent. Rozmawia z nim po polsku, wysyła do Polski w okresie wakacyjnym do szkoły języka polskiego, planując w perspektywie, po egipskiej maturze jego studia w Polsce. Józio jest zawsze uśmiechniętym, uroczym młodzieńcem, a jego polszczyzna ma tyle wdzięku, że z przyjemnością rozmawiałem z nim długo na różne tematy.



Mohamed Yousif Kamal, wówczas 14-letni syn Magdy, fot. Adam Zaleski

Okazało się, że nasze gospodynie, zgodnie z zasadą arabskiej gościnności, starając się umilić nasz pobyt, zorganizowały wycieczkę nad Morze Czerwone. Przejechaliśmy 120 km na wschód przez pustynię i dotarliśmy dwoma samochodami do morza w miejscu, gdzie wybudowano nowy kurort Aln Sohna.

Tam zatrzymaliśmy się w nadmorskim hotelu, by popłażować i wykąpać się w ciepłym, afrykańskim morzu, dokąd udają się często nasi nurkowie ze względu na piękno podwodnej flory, fauny oraz tworów skalnych. W miejscu, gdzie zatrzymaliśmy się, nie było tak ładnych widoków podwodnych.

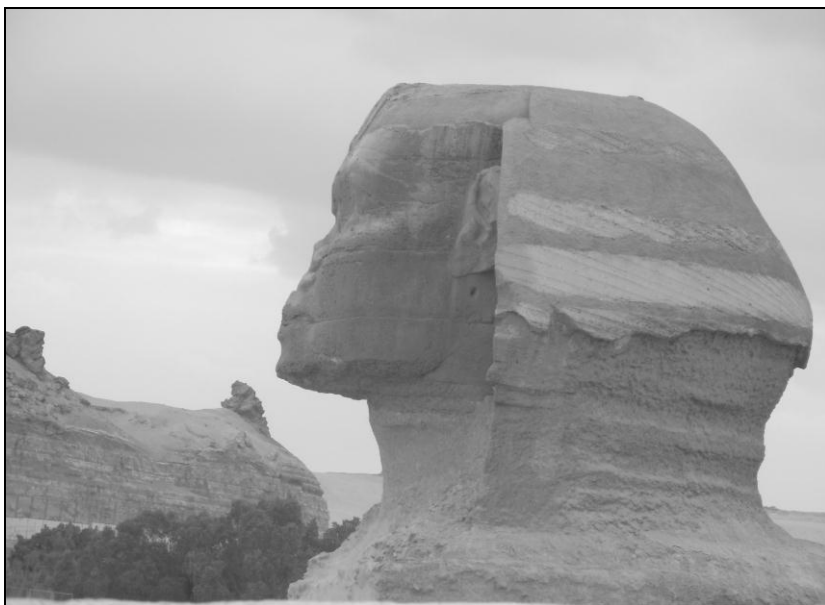


Muzułmański Egipt, fot. Adam Zaleski

Obserwowałem miejscowe kobiety na plaży. Są tam trzy stopnie ekspozycji swojego ciała. Nasze panie i niektóre inne Egipcjanki były w dwuczęściowych, stosowanych u nas strojach kąpielowych. Druga grupa plażowiczek to te, które ze względów religijnych na co dzień chodzą ubrane pod szyję z chustkami na głowach, nie odsłaniając włosów. Kąpią się w sukniach lub długich spódnicach, na mokro nieprzylegających do ciała. Wreszcie jest trzecia grupa ortodoksyjnych muzułmanek, pokazująca się na plaży tak, jak na ulicy, w ubraniu kompletnym, z zasłoniętą, zakwiefioną twarzą, bez względu na upał, i zawsze w towarzystwie męża. One plażują tylko pod parasolem, nie korzystając z kąpieli.

Można zarzucić mi jednostronne spojrzenie na Egipcjan. Są zapewne wśród nich i ekstremiści, i fundamentaliści islamscy, z którymi nie miałem żadnego kontaktu. Jest to bowiem marginalny problem i w moich wspomnieniach nie chcę się nim zajmować.

Nadszedł czas naszego powrotu do kraju. Wracalem do Polski, poznawszy bardzo ciekawych, niezwykle gościnnych, serdecznych i ciepłych ludzi. Mimo tego że znam wiele krajów, wizyta w Egipcie była bogata we wrażenia, miła i bardzo pouczająca.



Profil Sfinksa Abu al-Hol (Ojciec strachu), Giza, fot. Adam Zaleski

Jakież było moje zdziwienie i radość, gdy w następnym roku dostaliśmy z Tomim nowe zaproszenie, tym razem na koniec grudnia 2010 roku i początek stycznia 2011. Poleciliśmy we dwóch po świętach Bożego Narodzenia. Byłem po operacji kolana i paradowałem z laseczką.

Na lotnisku czekała na nas Ola. zabrała do hotelu, ponieważ zmieniały one mieszkanie, przeprowadzając się z peryferii do centrum miasta i nowe było jeszcze w remoncie. Po krótkiej przerwie pojechaliśmy na dworzec kolejowy, skąd wyruszyliśmy pociągiem do Aleksandrii, oddalonej od Kairu o 225 km. Za oknem oglądaliśmy równinny, monotony krajobraz i ubogie miejscowości, dość liche uprawy. Po 4 godzinach byliśmy na miejscu.

Aleksandria

Aleksandria (Al-Iskandarija) liczy około 4,5 mln mieszkańców. Założona przez Aleksandra Macedońskiego w 332 roku p.n.e. na miejscu miasta Rhakolis, istniejącego już ponad 25 wieków.



Aleksandria – stolica Egiptu przez blisko tysiąc lat, fot. Adam Zaleski

Położona jest wzdłuż idącego lekkim łukiem brzegu Morza Śródziemnego. Wzdłuż tego brzegu biegnie nadmorska ulica El Gaish o bardzo intensywnym ruchu, z promenadą dla pieszych bezpośrednio nad brzegiem morza. Na końcu tej ulicy od strony zachodniej jest zatoczka z fortem, dalej wyspa Faros, gdzie stała kiedyś latarnia morska, zaliczana do jednego z 7 cudów świata, która została zniszczona wskutek trzęsienia ziemi w 1303 roku.

Aleksandria była do 641 roku stolicą Egiptu, którą przeniesiono do Kairu po najeździe muzułmanów. W odróżnieniu od Kairu, Aleksandria jest ośrodkiem egipskich chrześcijan – Koptów i dlatego jest tam 30 kościołów, a tylko 22 meczety, podczas gdy Kair zwany jest miastem tysiąca minaretów (smukła wieża przy meczecie).

Po opuszczeniu dworca, odwiedziliśmy oddalony o kilkaset metrów rzymski amfiteatr z IV wieku p.n.e., odzyskany przez polskich archeologów przy udziale egipskich uczonych w drugiej połowie XX wieku, otwarty do zwiedzania w 2008 roku.

Zamieszkaliśmy w hotelu Paradise, na łuku nadbrzeżnej magistrali El Gaish, nad brzegiem morza z pięknym widokiem na morze i obie strony niezwykle ruchliwej ulicy.

Wieczorem wybraliśmy się najpierw do fortu, gdzie wędkarze łowią rybki i karmią nimi tłumy kotów, schodzących się z miasta do tego ich punktu wyżywienia. Następnie udaliśmy się piechotą do miasta, co oznacza w Aleksandrii odejście od wybrzeża w sieć uliczek. Prowadzeni przez naszą przewodniczkę Olę, doszliśmy do restauracji rybnej, gdzie ze stosu zmrożonych ryb wybiera się samemu określony okaz i zleca jego odpowiednie spreparowanie. Kolacja – zakropiona piwem – była wyśmienita. Mogliśmy udać się na spoczynek do hotelu.

Następnego dnia wybraliśmy się, na moją prośbę, wykąpać w Morzu Śródziemnym 29 grudnia, pierwszy raz w życiu o tej porze roku, na otwartych wodach. Wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy na wschodni koniec Aleksandrii, gdzie były plaże. Ludzie się nie kąpali, bo zbliżał się Sylwester, wynająłem kabinę na kąpielisku i się wykąpałem. Woda miała temperaturę około 22°C, a więc całkiem ciepła, a mnie chodziło o satysfakcję, że pierwszy raz kąpię się w morzu na otwartym powietrzu w końcu grudnia.

Wracając do hotelu, zwiedziliśmy Bibliotekę Aleksandryjską. Ma ona bogatą historię, lecz była wielokrotnie niszczona na przestrzeni wieków. Zwiedziliśmy też znajdujące się tam Sadat Museum muzeum prezydenta Amara as Sadata, zamordowanego podczas defilady wojskowej przez islamskiego ekstremistę (1981), za przyjęcie przez niego pokojowego kursu polityki w stosunku do Izraela.

Biblioteka Aleksandryjska to największa i najbardziej znana biblioteka starożytna, założona przez króla Egiptu Ptolemeusza I Sotera w IV-III w p.n.e. Zgromadzono w niej prawie całe piśmiennictwo greckie, a także etiopskie, hebrajskie, indyjskie i perskie. Całość zbiorów liczyła od 400 tys. do 700 tys. zwojów rękopiśmiennych. Pierwszy raz biblioteka została prawie całkowicie zniszczona w 47/48 p.n.e., kiedy spłonęła jej część, zwana Bruchejonem, podczas zdobywania Aleksandrii przez Cezara.

W 391 n.e. zniszczono – podczas rozruchów – część biblioteki zwanej Serapejonem, a w 641 spłonęły prawdopodobnie wcześniej ocalałe resztki, gdy Aleksandrię zdobył kalif Omar I.

Sprawa powtarzającego się na przestrzeni wieków niszczenia księgozbiorów jest tłumaczona despotyzmem ludzi propagujących sprzeczne lub odmienne z istniejącymi teorie naukowe i religijne. Nie umiając na drodze dyskusji i argumentów przeforsować swo-

ich idei, schodzili na drogę przemocy, niszcząc sami lub zlecając innym likwidację dorobku swoich ideowych przeciwników.

Gromadzone mozolnie przez wieki zbiory były w ten sposób niszczone bezpowrotnie i ginęła z nimi cała zawarta w nich wiedza. W ubiegłych stuleciach była to niepowetowana strata, ponieważ były to głównie unikatowe egzemplarze. Wspominałem o tym przy opisie piramid.

W 2002 roku otwarto nowy gmach Biblioteki Aleksandryjskiej, zbudowany na miejscu biblioteki starożytnej, który mogliśmy zwiedzić. Gmach biblioteki, wykonany ze szkła i betonu, wznosi się na wysokość 35 metrów. Zbudowany jest na planie koła o średnicy 160 metrów. Wewnątrz mieści się czytelnia, zajmująca siedem poziomów ułożonych tarasowo. Obok położony jest budynek Planetarium. Biblioteka może docelowo pomieścić 80 mln woluminów. Budynek jej uznawany jest powszechnie za jedną z najważniejszych realizacji architektonicznych ostatnich dziesięcioleci. Wróciliśmy do hotelu i po zabraniu swoich rzeczy udaliśmy się taksówką na dworzec kolejowy, skąd powrót do Kairu.

W Aleksandrii i czasami w Kairze korzystaliśmy z taksówek. Nie są one dla Polaka drogą, jak wszystkie ceny w Egipcie. Ale tylko niektóre mają taksometry, w pozostałych ustala się cenę przejazdu na drodze negocjacji. Byliśmy jako cudzoziemcy w komfortowej sytuacji w towarzystwie naszych Egipcjanek: Magdy lub Oli, które załatwiały wszystko po arabsku i nie było żadnych problemów. Z dworca przyjechaliśmy do świeżo wynajętego mieszkania, znajdującego się w centrum miasta, jednak położonego w zacisznej enklawie, oddalonej w prostej linii około 2 km od Placu Tahrir, ale na akustycznie przyzwrotną odległość od przelotowych arterii. Mieszkanie jest na parterze i ma 3 spore pokoje, położone w amfiladzie, kuchnię, łazienkę i wc. Bardzo cenną częścią mieszkania jest duży taras w oficynie. Jedliśmy zawsze śniadanie przy stolicku na tarasie. Na taras o szerokości około trzech metrów jest wyjście z pokoi, wzdłuż których jest usytuowany.

W kairskim, przeważnie bezdeszczowym i ciepłym klimacie taki element mieszkania ma duże znaczenie i wielkie możliwości wykorzystania. Podobno po naszym wyjeździe zrobiono na części tarasu mieszkalną altankę. Właśnie na tym tarasie, podczas naszego pobytu, miejscowa kotka powiła potomstwo.

W Egipcie przy bardzo dużej liczbie kotów, mało jest psów, uznawanych przez muzułmanów za zwierzęta nieczyste.



Z Tomim Janikowskim na wielbłądach pod piramidami, 1 stycznia 2011

Sylwestra i Nowy Rok 2011 obchodziliśmy we własnym gronie, ponieważ w kraju muzułmańskim Nowy Rok przypada 5 listopada. Zaprosiliśmy naszych egipskich przyjaciół na lampkę wina do pobliskiej restauracji z okazji naszego święta zakończenia roku.

Od 5 listopada 2013 roku muzułmanie obchodzili 1435 rok, według kalendarza księżycowego, używanego przez społeczność muzułmańską przy ustalaniu dat uroczystości religijnych. Jest to rocznica związana z narodzinami Mahometa, których data nie jest dokładnie znana, ale przyjmuje się rok 579 n.e. Tak hucznie jak u nas Sylwester i Nowy Rok w Egipcie nie są obchodzone.

W pierwszych dniach stycznia byliśmy zaproszeni przez Halę na śniadanie w ogrodach hotelu Marriot. Hala przyszła ze swoim synkiem Czarkiem. Mówi do niego wyłącznie po polsku, co – podobnie do jej ojca – jest przez Tarka akceptowane.



Hala Kamal z 3-letnim synkiem Czarkiem, fot. Adam Zaleski



Córki Teresy Pfabé-Kamal: Ola, Hala z Czarkiem, Magda, Kair 2011, fot. A. Zaleski

Rośnie więc nowy wielojęzyczny obywatel, ponieważ wszyscy wykształceni Egipcjanie znają również język angielski, jako dawniej obowiązujący, obok arabskiego, w tym kraju. Tej wielojęzyczności szczerze im zazdroszczę i żałuję, że w roku 1940 wywieziono mnie do Kazachstanu, a nie do anglojęzycznego kraju!

3 stycznia 2011 roku nasze przewodniczki pokazały nam występ zespołu mewlewitów, czyli tańczących derwiszów, występujących w starym meczecie, obok bazaru kairskiego. Derwisze to jedno z bractw zakonnych – w języku perskim dosłownie: ubodzy albo żebracy. Wirujący derwisze – zakon muzułmański, założony w XIII wieku (około 1273) w Turcji przez Dżalal-ad-Dina Rumiego.

Charakterystyczną cechą członków tego zakonu jest medytacja w ruchu, w postaci szeregu figur tanecznych, w których najbardziej widowiskowym jest umiejętność szybkiego wirowania. Wierzyli oni bowiem, że naśladowanie w tańcu ruchów ciał niebieskich pobudza duszę człowieka do wzmożenia swej miłości do Boga i wprowadza ją w stan żywszych poruszeń.



Występ derwiszów w meczecie, Kair 2011, fot. Adam Zaleski

To, co zobaczyliśmy, było imponujące. Kilkanaście osób stojących przy ścianach na kilku poziomach wystukiwało rytm przy pomocy charakterystycznych różnej wielkości bębnow, piszczałek, kołatek w rodzaju kastanietów, trąbek i innych. Pod ten akompaniament wirowała na środku sceny grupa kilku tancerzy ubranych w kolorowe spódnice, które po rozwinięciu podczas wirowania do płaszczyzny poziomej miały średnicę do 2 m. Wirowanie przebiegało z wielką prędkością przez kilka minut i trudno było uwierzyć, że tancerze są w stanie to wytrzymać. Mieli oni jeszcze dodatkowe kręgi z tkaniny, które wprawiali w ruch obrotowy ręcznie przez cały czas kręcąc się wokół własnej osi, ubrani w spódnice. Pokaz był godny podziwu, chociaż nieco monotony.

6 stycznia Magda zapowiedziała nam, że czeka nas wieczorem niespodzianka. Byliśmy bardzo ciekawi, co też przygotowała dla nas. Był piątkowy weekend, ulice po południu były bardzo zatłoczone i jadąc do celu na godzinę 18. z trudem przedzieraliśmy się autem przez miasto, stojąc w korkach.

Ruch uliczny w miastach egipskich to dla Europejczyka horror. Bardzo nieliczne są skrzyżowania regulowane światłami. Ale poruszanie się pojazdami odbywa się najczęściej żywiołowo. Mimo obowiązującego pierwszeństwa przejazdu z prawej strony, pierwszeństwo uzyskuje ten kierowca, który na wycucie przejedzie pierwszy. Dla nas było to niezwykle denerwujące, ale nie zauważyliśmy jakichkolwiek objawów zdenerwowania ze strony miejscowych uczestników ruchu. Dla mnie było to eksperymentalne potwierdzenie wymienionej wyżej podstawowej cechy Egipcjan – **zachowanie spokoju w każdej sytuacji**. Może wpływa to z tego, że słowo *islam* wywodzi się od słowa *salam* – *pokój*.

Niestety, czas upływał nieubłaganie i wiedzieliśmy, że na godz. 18. nie zdążmy i niespodzianka nas ominie. Magda zatrzymała samochód o 18.10. Okazało się, że jesteśmy na parkingu przystani nad Nilem. Nadszedł już zmrok, jak zwykle o tej porze na początku stycznia. Następne zdarzenia biegły, jak w sensacyjnym filmie. Zjawili się ludzie, którzy ułatwili Magdzie parkowanie, następnie inni zaprowadzili nas nad brzeg rzeki i podpłynęła wezwana przez Magdę motorówka. Władowano nas (mnie z kulą) do niej i popędziliśmy rzeką w ciemność, doganiając duży oświetlony statek, który – jak się okazało – był naszym celem i obiecaną niespodzianką.

Kapitan statku (może dostał telefoniczną wiadomość), zauważywszy nas, natychmiast przyhamował, umożliwiając, gdy prędkości statku i motorówki się zrównały, wciągnięcie nas na pokład statku na środku szerokiej w tym miejscu na pół kilometra, drugiej pod względem długości rzeki świata!



Statek na Nilu, który doganialiśmy motorówką, 2011

Na głównym pokładzie tego wycieczkowego statku grała orkiestra, a kelnerzy serwowali egipskie potrawy. Imprezę urozmaicała wykonawczyni pięknych włoskich i innych piosenek. Kulminacyjnym punktem występu był jednak taniec brzucha w wykonaniu półnagiej Syryjki, która wchodziła między stoliki i demonstrowała swoje umiejętności przy każdym uczestniku widowni, oczywiście przy nas również. Pokładowy fotograf wykonywał zdjęcia, które za opłatą dostawało się przy opuszczaniu statku po 2-godzinny rejsie, podczas którego, poza muzyką oglądaliśmy z pokładu *Kair by night*. Trzeba przyznać, że pomysł Magdy był wspaniały. Byliśmy pod wrażeniem otaczającej nas scenerii i bardzo jej wdzięczni za to, zwłaszcza że przeżyliśmy dodatkowo takie sytuacje jak w filmie przygodowym.



Z tancerką wcześniej prezentującą taniec brzucha, na statku, Nil

Na zakończenie naszego pobytu w Egipcie, nasi egipscy gospodarze urządzili spotkanie poza Kairem w swojej pozamiejskiej rezydencji w oazie Al-Fayyūm na Saharze (depresja – 45 m), 100 km na południowy zachód od Kairu. Dojechaliśmy tam, mijając za miastem gigantyczny cmentarz muzułmański – miasto zmarłych.

W oazach wokół Kairu, gdzie jest woda, zamożniejsi mieszkańcy tej metropolii nabywają działki, na których budują komfortowe domy z klimatyzacją i urządzą je zabytkowymi, odrestaurowanymi meblami, kupowanymi najczęściej w Aleksandrii.

Obiad przywieziono w naczyniach z Kairu, po podgrzaniu mieliśmy wspaniałą ucztę w jakże egzotycznym otoczeniu, pod palmami. Oczywiście, latem nie byłoby zapewne tak miło ze względu na upał, ale w styczniu temperatura na Saharze w oazie była całkiem przyjazna, a urocza właścicielka tej daczki – Nayra serdecznie nas podejmowała.

W Egipcie od kilku lat zachodzą istotne przemiany społeczne, zmierzające głównie do demokratyzacji tego islamskiego kraju i za-

gwarantowania jego trwałego bezpieczeństwa. Hala i Tarek są z tym ruchem, jako nauczyciele akademicki, o ile wiem, dość blisko związani. Życzę Egiptowi rychłego osiągnięcia tego celu. Zależy to jednak w znacznej mierze od wielkiej polityki światowej.



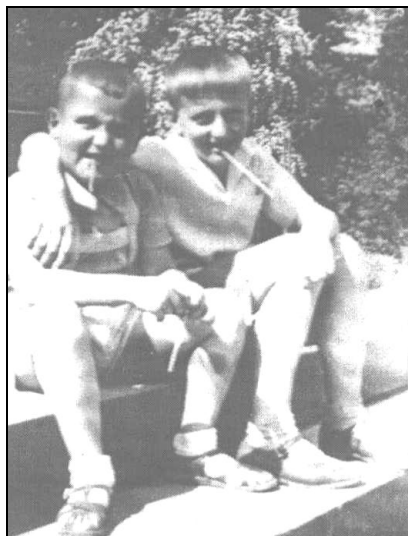
Siedzą wokół stołu: Nayra, Dalia – kuzynka Nayry, Tomi, Ola, Tarek, Adam, Małgosia Phabé – żona Jurka, Maissa – matka Tarka i Nayry, Hala, Jurek Phabé, brat śp. Teresy Kamal, Oaza Al-Fayyūm na Saharze 2011

Nasz pobyt w Egipcie dobiegał końca. Przeżyliśmy z Tomim wiele pięknych wrażeń i poznaliśmy wielu ciekawych ludzi, obiektów sakralnych, zwyczajów i egipski folklor.

Doznawaliśmy, szczególnie ze strony Magdy i Oli, codziennie egipskiej gościnności i serdeczności, która cechuje większość mieszkańców tego kraju. Mogliśmy się przekonać, jak w życiu pięknie realizowane są słowa Teresy, zamieszczone również na tablicy-epitafium w miejscu jej wiecznego spoczynku.

Wojciech Kilar (1932-2013)

Wśród ciekawych osób, które spotkałem przed wojną we Lwowie, ważne miejsce zajmuje Wojciech Kilar. Spotkałem – to dużo powiedziane, biorąc pod uwagę, że widzieliśmy się w życiu tylko przez kilka godzin. Nasze matki przyjaźniły się przed wojną, utrzymując dość luźne kontakty. Neonilla Kilarowa (1906-1993), aktorka, nazywana Nelą, i moja mama należały do najwytworniejszych i najbardziej urodziwych kobiet – bywalczyń Kasyna Literackiego przy ulicy Akademickiej we Lwowie. Pani Nela odwiedzała mamę, a latem spotykaliśmy się czasami na spacerach w parku Stryjskim we Lwowie.



W parku Stryjskim, z lewej: Wojtek Kilar i Adam Zaleski, fot. Stanisława Zaleska, 1938

W tych spacerach uczestniczyły również dzieci: Zosia, ja i Wojtek Kilar, młodszy ode mnie o pięć lat, czyli w tym czasie dwukrotnie (1938). Jako rozpieszczony, trochę rozkapryszony, nieco korpulentny jednak nie był dla mnie, interesującego się i uprawiającego już niektóre dziedziny sportu, właściwym partnerem. Nie nawiązaliśmy bliższej przyjaźni. Jak to w młodym wieku, nie widać jeszcze różnych zdolności czy talentów drzemiących w dziecku!

Po powrocie z zesłania, mama intensywnie poszukiwała swoich lwowskich, przedwojennych przyjaciół, którzy rozproszyli się po świecie. Udało się jej odnaleźć i odwiedzić panią Nelę Kilarową, która po opuszczeniu Lwowa i Krosna, przez pewien czas mieszkała i pracowała w Rzeszowie, a w końcu zamieszkała w Katowicach. Tutaj Wojtek podjął studia pianistyczne i kompozytorskie u profesora Bolesława Woytowicza. Zaowocowały one ujawnieniem wielkiego talentu Wojciecha Kilara i jego późniejszą niezwykle bogatą działalnością kompozytorską.

Z biegiem lat, gdy Wojciech Kilar stawał się coraz bardziej znany i sławny, bacznie śledziliśmy z siostrą Zosią dalszy rozwój twórczy znajomego ze Lwowa. Jako melomani, często słuchaliśmy jego muzyki i podziwialiśmy błyskotliwy rozwój. Chciałem mu jako znajomemu z dzieciństwa – wyrazić swój podziw i pogratulować sukcesów. W końcu napisałem do niego list, nie licząc zupełnie na jego odpowiedź. Oto fragmenty tego listu.

Wrocław, dnia 10 lipca 2000

Drogi Wojtku, zdziwi Cię zapewne ten list, ale z załączonego zdjęcia sprzed 62 lat przypomnisz sobie chłopca, siedzącego obok Ciebie pod pomnikiem Jana Kilińskiego w parku Stryjskim we Lwowie. Odnalazszy te zdjęcia w albumie mojej zmarłej w 1994 roku Mamy, postanowiłem Ci je przesać. Korzystając z pobytu w maju br. we Lwowie, prosiłem o zrobienie mi zdjęcia w tym samym miejscu, co umożliwi Ci stwierdzenie, jak teraz wyglądam „potrącony skrzydlatym rydwanem czasu”.

Mogę stwierdzić, że mamy ze sobą jednostronny kontakt od lat, gdy zagościłeś swoją piękną i urzekającą muzyką w polskich i niepolskich domach, i stałeś się sławny.

Z moją siostrą Zosią, mieszkającą w Krakowie, telefonujemy zawsze do siebie w odpowiednim czasie, informując się wzajemnie o zapowiedzianych audycjach radiowych lub telewizyjnych z Twoim udziałem. Jednym słowem: śledzimy rozwój twórczy i jesteście pełni podziwu a nie rzadko zachwytu, słuchając Twojej wspaniałej muzyki – tej lżejszej, filmowej i tej poważnej, symfonicznej oraz sakralnej. Zwłaszcza ostatnio spadł na Ciebie „grad” zasłużonych wyróżnień i tytułów, czego serdecznie Ci gratuluję i bardzo z tego się cieszę, mając jeszcze w uszach Twoje przejmujące dzieło „Angelus” z Placu św. Piotra.

Pozwalam sobie przesać Ci książeczkę „Zbrodnia Katyńska”, którą napisałem, aby poszerzyć wiedzę młodzieży o tej smutnej karcie polskiej historii XX wieku, z którą związał mnie los. Jednocześnie dołączam drugie zdjęcie z parku Stryjskiego, na którym obok nas jest Twoja piękna Mama, Bronisław Tomczyk oraz ja z moją siostrą Zosią. Pan Bronisław, więzień NKWD z 1940 roku, po amnestii w 1941 roku odnalazł nas i odwiedził w Kazachstanie w 1942 roku, zaraz potem zaciągnął się do Armii Generała Andersa... i ślad po nim zaginął.

Drogi Wojtku! Proszę Cię o nietraktowanie tego listu jako zobowiązania do odpowiedzi. Wiem, że jesteś człowiekiem bardzo zajęтым i nie zdziwię się wcale (i nie obrażę), jeśli mi nie odpowiesz. Będę nadal śledził

losy Twojej kariery i słuchał tworzonej przez Ciebie wspaniałej muzyki, życząc Ci długich lat życia i wielu nowych dzieł – owoców Twego nieprzeciętnego talentu.

Łączę serdeczne pozdrowienia – Twój znajomy z dawnych czasów
rodak ze Lwowa, Adam

Ku mojemu zaskoczeniu i wzruszeniu 5 września 2000 nadszedł list od Wojtka. List ten przedstawiam *in extenso*.

Drogi Adasiu

Zbyt wiele wzruszeń, zbyt wiele przejmujących myśli, zbyt wiele radości, a także i smutnych wspomnień z dawnych lat wywołał u mnie list Twój, tak bardzo serdeczny: zbyt wiele, by na niego odpowiedzieć tak, jak chciałbym to zrobić.

Dziękuję Ci więc raz jeszcze, za list, za zdjęcia – niezwykle dla mnie cenne, zwłaszcza jedno z nich, którego nie miałem i nie pamiętałem – no i oczywiście za Twoją znakomitą pracę o Katyńcu.

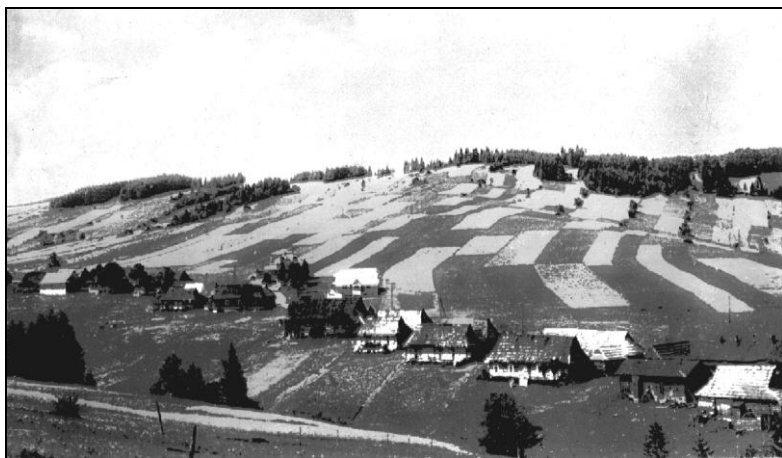
I mam nadzieję na spotkanie we Wrocławiu, może z okazji jakiegoś mojego koncertu na „Wratislavia Cantans”: prawdopodobnie w przyszłym roku, po warszawskiej premierze mojej Mszy („Missa pro pace”) które ona wykonana ma być Festiwalu.

A więc do zobaczenia, Drogi Adasiu,
Sciskam Cię i życzę Ci najserdeczniej pozdrowień
Wojtek

Czekałem na Wojtka po wykonaniu jego Mszy w kościele Marii Magdaleny we Wrocławiu jesienią 2001 roku. Gdy wychodził po

koncercie z kościoła, zamieniliśmy kilka słów, ale organizatorzy natychmiast przerwali nam rozmowę: mieli określony plan czasowy. Nie mogłem Maestra zaprosić do siebie na dłuższą rozmowę, której nie udało się również w następnych latach przeprowadzić. Pozostaje tylko satysfakcja, że udało mi się nawiązać z nim kontakt listowny i chwileczkę porozmawiać z tym wybitnym kompozytorem i wspaniałym człowiekiem.

W ostatnich dniach 2013 roku zostaliśmy porażeni wiadomością o odejściu Wojciecha Kilara. Moim z nim pożegnaniem było ponowne przesłuchanie płyty z jego muzyką, nagranej w 2000 roku *Kilar the best*. Na tej płycie są zapisane jego główne utwory symfoniczne: *Orawa*, *Krzesany*, *Exodus*, *Victoria* oraz 18 melodii do filmów z lat 1965-2000.



Orawa, izohelia, fot. Adam Zaleski, 1974

Moim zdaniem, melomana, ale nie muzykologa – nie ma drugiego kompozytora, który skomponowałby tak różną w swoim rodzaju muzykę, trafiającą do najbardziej wymagających koneserów, ale również lekką, łatwą, przyjemną i piękną, zrozumiałą przez każdego odbiorcę. Wynikało to z nadzwyczajnej wrażliwości, subtelności i wyczucia tego wspaniałego człowieka. Mnie osobiście, jako uprawiającego przez całe życie górską turystykę, przypadły do gustu jego dzieła symfoniczne, inspirowane miłością do gór i folklorem góralskim – *Orawa*, *Krzesany* i inne.

Nowe już, niestety, nie powstaną...

Rodzinne i towarzyskie życie sportowe

Byłem dzieckiem chorowitym i rozpieszczonym, a zwłaszcza przez naszego przyjaciela domu – służącą Józję Jaworską. Późniejsze doświadczenia syberyjskie sprawiły, że trochę okrzepłem.

Gdy byłem zaawansowanym czterdziestolatkiem, zauważyłem pewne symptomy tycia i dla kontroli swojej tuszy kupiłem wagę osobową. Okazało się, że przekraczam dziewięćdziesiątkę. To był dla mnie sygnał alarmowy.

W tym czasie w Ameryce zaczął się rozpowszechniać *jogging* (1975) – bieganie relaksowe bez nadmiernego wysiłku – trucht. Gdy byłem w Minneapolis – w stanie Minnesota – nad Mississippi (1980), widziałem w centrum miasta biegające w południe, w majteczkach starsze panie. U nas wciąż uważano to za dziwactwo.

Biegi/jogging

Biwakując latem 1975 roku z rodziną nad jeziorem Wdzydze, postanowiłem zacząć systematyczne bieganie/jogging. Na początku 200-300 m było dużym wysiłkiem. Potem zwiększałem systematycznie dystans biegu i po pewnym czasie ustaliłem, że optymalne jest jednorazowe przebiegnięcie truchtem 3-5 km, co zresztą zalecane jest w literaturze specjalistycznej. Oczywiście, nie codziennie, bo pracowałem, ale mogłem sobie pozwolić na bieganie raz w tygodniu, w sobotę lub w niedzielę, po nadodrzańskich ścieżkach. Biegałem przez cały rok, bez względu na pogodę.

Po paru latach okazało się, że okresowe dolegliwości, jak ból gardła, katar, zadyszki, nawet grypy przestały mnie gnębić, co ponad wszelką wątpliwość przypisuję tej formie uprawiania sportu.

Uprawiałem jogging przez 30 lat, przebiegłszy w sumie ponad 5 tys. km, w tym: jeden bieg maratoński Ślęza – Wrocław, w 1988 roku, co prawda w średnim czasie: 4 godziny i 50 minut, ale na II miejscu wśród 60-latków.

Poza joggingiem interesowałem się innymi rodzajami sportu od dzieciństwa i to nie tylko teoretycznie, ale również starałem się je czynnie uprawiać. Miałem niezłe warunki fizyczne – 184 cm wzrostu i dobrą sprawność. Nawet nie wiem, na jakie osiągnięcia

sportowe byłoby mnie stać, gdyby nie wojna i zesłanie, a więc życie w warunkach niesprzyjających samodoskonaleniu. Po pierwsze, nastąpiła izolacja na pewien czas od jakichkolwiek obiektów sportowych i możliwości uprawiania sportu. Po drugie, moja choroba – poważny zanik słuchu w lewym uchu w pierwszym roku zesłania (miałem 12 lat), wskutek nieleczonego zapalenia ucha środkowego, spowodował pewne utrudnienie zachowania pełnej równowagi, co wykluczało uprawianie niektórych dyscyplin sportowych. Nigdy nie zwracałem uwagi na tę moją wadę i zawsze zgłaszałem się do wszystkich zawodów dla amatorów, ogłaszanych przez uczelnię lub poza nią.



Adam Zaleski w Biegu Maratońskim Śleza – Wrocław, w 60-lecie swoich urodzin, maj 1988

Podczas studiów i wiele lat po ich ukończeniu startowałem w różnych amatorskich zawodach sportowych: lekkoatletycznych – skok wzwyż (1,75 m stylem nożycowym – flop nie był wówczas znany), pchnięcie kulą (14,5 m), gra w siatkówkę i futbol, a głównie jogging i tenis, o których niżej piszę więcej. Mam więc dyplomy z maratonu, zawodów pływackich lekkoatletycznych i z narciarskich biegów długodystansowych (20 i 25 km).

Biegi Gwarków organizowane są w okolicy schroniska Andrzejówka koło Wałbrzycha. Startowałem w nich siedmiokrotnie, w latach 1986-1993.

Bieg Piastów cieszy się wielką popularnością. Odbywa się na dystansie 25 km na Polanie Jakuszyckiej. Równoległe, z niewielkim wyprzedzeniem, startują wyczynowcy na dystansie 50 km, około 200 zawodników. Jego trasa jest zawsze dobrze przygotowana i wytyczona w pięknej scenerii gór Izerskich. Startowałem jedenaście razy w latach 1987-1998. W tamtym okresie startowało 800-1300 biegaczy z kilku krajów. Taki bieg to wspaniałe przeżycie, próba swoich sił i wytrzymałości. Mimo zaawansowanego wieku (60-70 lat) udawało mi się przybiegać na miejscach od 300 do 550, a więc nieco lepiej niż w środku stawki, uzyskując czasy na 25 km 3-3,5 godziny, uwzględniając, że większość biegaczy to byli ludzie młodszy ode mnie.

W roku 1987 biegałem w Szwajcarii, ale nie w zawodach, lecz rozrywkowo. W tym kraju bardzo modny jest tzw. *Langlauf*, czyli bieganie spacerowe na nartach biegowych, na świetnie przygotowanych – w miarę płaskich, wytyczonych przez doliny – kilkudziesięciokilometrowych trasach. Wczesnie rano wyjeżdżają specjalne ratraki, wyznaczając równoległe ślady dla 5-10 par spacerowiczów.

Narciarstwo i turystyka

W latach 50-60. XX wieku – z moimi przyjaciółmi: nieżyjącym już Tadeuszem Żurem i Przemkiem Pawłowskim – wyruszyliśmy w góry (około stycznia-lutego), wędrując od schroniska do schroniska w Beskidach, Gorcach lub Tatrach na określonej 7-10-dniowej trasie. Narciarstwo zjazdowe wówczas w Polsce było w powijakach z powodu braku dobrego sprzętu, przygotowanych

tras, a przede wszystkim – braku wyciągów. Podczas wędrówki zwykle przez pół dnia podchodziło się w górę, stosując podpięte pod nartą tzw. *foki*, czyli pasma tkaniny ze sztucznym futrem, z włosiem skierowanym do tyłu narty, który hamował ją przed zjazdem w dół, gdy podchodziło się na długim odcinku.

Oczywiście, można było podchodzić bez fok *jodełką* lub bokiem do stoku – *schodkami*, co jest bardziej męczące i powolniejsze. Po wejściu na górę, foki ściągało się z narty, wkładało do plecaka i można było zjeżdżać.

Opisałem szczegółowo nasz sposób turystycznego poruszania się na nartach w czasach mojej młodości jako ciekawostkę wobec dzisiejszych możliwości sprzętu i technik zjazdowych, gdy np. w Alpach wytyczane są cykliczne trasy i narciarz pokonuje dużą odległość, przechodząc jedynie od wyciągu do wyciągu, w cyklu zamkniętym. Od otwarcia granic w 1990 roku mogliśmy dowolnie korzystać z możliwości narciarstwa zjazdowego w Europie, a nawet w Ameryce.



Adam Zaleski z synową Zosią, synem Piotrem i wnukiem Tomkiem na lodowcu Dachstein, Alpy 2000

Z rodziną jeździliśmy na narty regularnie w latach 90. i pierwszych latach XXI wieku do Austrii i Słowacji. Zwykle zabierali mnie autem moi synowie i synowe z wnukami, którzy już od szóstego roku życia śmigali na nartach po górach.

Wynajmowaliśmy mieszkanie u austriackich gospodarzy i stamtąd autem dojeżdżaliśmy do najbliższych wyciągów. Kraje alpejskie mają fantastyczne możliwości i doświadczenie w budowie wyciągów, kolejek linowych, także w organizacji narciarstwa zjazdowego.



Adam Zaleski na lodowcu Stubai, około 2950 m n.p.m., Austria 2004

W 2004 roku, podczas pobytu w Kalifornii, Jarek zabrał mnie autem do Reno w Górach Skalistych, gdzie jeździłem jeden dzień na łatwiejszych olimpijskich trasach w oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów od Reno Squaw Valey.

Od 2006 roku już nie uprawiam narciarstwa. Natomiast odbywam codzienne spacerzy z kijkami narciarskimi (*nordic walking*), co jest praktyczne i ostatnio bardzo modne.

Turystyka kajakowa

Główną inicjatorką wypraw kajakowych jest moja synowa Zosia, której rodzice od dziecka zaszczepili ten sposób obcowania z przyrodą w czasie letnich wakacji. Zosia przeszła surową i trudną szkołę kajakarstwa.

W latach 60. trzeba było wykazać wielką odwagę i determinację, aby wybrać się, zwłaszcza z małymi dziećmi, na spływ kajakowy. Przede wszystkim nie istniała żadna baza turystyczna w terenie. Własne kajaki były wożone do miejsca wodowania, a więc niekiedy kilkaset kilometrów, z przenoszeniem kajaków i bagażu przy przesiadkach.

Bagaż musiał być niemały, ponieważ wobec braku, w tamtym czasie na trasie spływu, sklepów spożywczych, należało wiele produktów wozić ze sobą. Nie było również odpowiednich kuchenek, dzisiaj tak powszechnie używanych butli gazowych itp. Oczywiście, nie było również własnych samochodów. Zatem dzieci przeszły surowe turystyczne przeszkolenie.

Kontynuując tę tradycję od 1998 roku, zorganizowaliśmy 15 rodzinnych spływów kajakowych po wybranych, najładniejszych polskich rzekach.

Rzeki, po których płynęliśmy w poszczególnych latach		
1998 – Brda	2003 – Wda	2009 – Czarna Hańcza
1999 – Piława	2004 – Rega	2010 – Brda
2000 – Drawa	2005 – Obra	2011 – Drwęca
2001 – Drawa	2007 – Obra	2012 – Pilica
2002 – Gwda	2008 – Krutynia	2013 – Biebrza

Pragmatyczni Zosia i Piotr studiują trasę na długo przed terminem spływu. Kompletują niezbędny sprzęt: namioty, samonapełniające się powietrzem materace, butle gazowe, garnki, patelnie, talerze, kubki, sztućce itp. Zosia przygotowuje w domu mięsne dania i je wekuje. Zabieramy ze sobą również krzeselka, a za stolik służą zabrane duże tace. To wszystko na wszelki wypadek, ponieważ obecnie większość tras kajakowych ma własną infrastrukturę: miejsca przeznaczone na biwaki, najczęściej z toaletą, czasami z bieżącą wodą. Często są zadaszone stoły z ławkami i przygotowane miejsca na rozpalenie ogniska.



Przed startem na Czarnej Hańczy, 2009, fot. Adam Zaleski



Napotkane na trasie kormorany, fot. Adam Zaleski



Na spływie Drwęcą, siedzą od lewej: Piotr z Lolą, Adam z Emilkiem, Handzia, Stasio, Zosia z Bolkiem, Maciek i Ania z Damą, 2011



XIII Rodzinny spływ kajakowy Drwęcą, 2011



Zosia przygotowuje śniadanie na dzikim biwaku, 2012, fot. Adam Zaleski

Dziennie płynie się od 10 do 20 km. Ta dzienna odległość zależy od naturalnej szybkości prądu w danej rzece. Pływamy po rzekach nizinnych, w których prąd najczęściej nie jest szybki i wynosi około 2-3 km/godz. Ciekawe jest, że niektóre rzeki nizinne, jak np. Piława, są dość bystre (3-4 km/godz.) – przy wiosłowaniu można płynąć z prędkością do 5-7 km/godz.

Dość często trasy spływów kajakowych przechodzą przez jeziora, w których nie ma pomocy prądu rzecznej i cały napęd spoczywa na ludzkich mięśniach. Do tego dochodzą trudności płynięcia czasami pod wiatr, który potrafi, mimo sporego wysiłku, spowolnić płynięcie do prędkości nawet 2-3 km/godz. Przy bardzo silnym wietrze podejmuje się najczęściej decyzję przeczekania na biwaku do czasu zmniejszenia się prędkości wiatru.

Innym problemem wszystkich turystów jest oświetlenie biwaku i namiotu, gdy nastanie zmrok, co w końcu lata następuje dość wcześnie. Od kilku lat zniknęły kłopotliwe i zanieczyszczające parafinowe świece i inne oświetlacze, a pojawiły się latarki diodowe – małe, wygodne w użyciu, bardzo ekonomiczne i o silnym stru-

mieniu światła. Są zamocowane na szerokiej gumce, którą ubiera się na czoło, a snop światła kierowany jest ruchem głowy. Wszyscy uczestnicy spływu mają taką latarkę na czole i żadne inne źródło oświetlenia nie jest potrzebne. Przy wieczornej grze w brydża i czytaniu jest to idealne rozwiązanie.

Turystyka kajakowa jest wspaniałym naturalnym sposobem spędzania letnich wakacji. Obcuje się bezpośrednio z przyrodą i ją obserwuje z bliska. Jest się niezależnym i wolnym jak ptaki, których śpiewu słuchamy. Oglądamy wspaniałe widoki, w tym piękne zachody słońca, rzadziej świty, bo po dziennym wiosłowaniu i nocnych biesiadach przy ognisku, śpimy zdrowym kamiennym snem. Następnego dnia zwijamy obozowisko i płyniemy dalej. Jeśli biwakowe miejsce jest bardzo piękne, zostajemy na dłużej.

Rowerowe wycieczki

Do mojego życia sportowego muszę zaliczyć również turystykę rowerową, którą uprawiałem od czasu studiów, gdy dojeżdżałem na zajęcia głównie rowerem, a nie tramwajem. W dalszych latach organizowałem sobie rowerowe wycieczki, nawet 2-dniowe rajdy na trasie Wrocław – Kraków lub na Ślęzę czy w inne ciekawsze miejsca Dolnego Śląska.

Tenisowe przyjaźnie

Najdłużej i systematycznie grałem w tenisa, latem na korcie i zimą w hali, już od lat 60. XX wieku do 1 stycznia 2013 roku, kiedy ostatecznie zakończyłem swoją karierę tenisową. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

Okres moich gier na korcie tenisowym wspominam nadzwyczaj miło jako sportową przygodę. Był to również wspaniały fizyczny trening w doskonałym gronie tenisowych graczy: znakomitych długoletnich partnerów. Tworzyliśmy grupę przyjaciół-tenisistów z Luckiem Achremowiczem, Józkiem Baryckim, Krysią Soroką, Mirkiem Soroką i Piotrusiem Nowakiem. Od czasu do czasu, gościnnie, grywali z nami inni znajomi tenisiści.



Drużyna tenisowa moich przyjaciół, od lewej: Józio, Adam, Kryisia, Mirek, Lucek, Piotruś. Ponad 40 lat wspólnej gry – wspólnych radości i sportowych emocji, 2012



Drużyna tenisowa od tyłu ...z metryką

Takie jest sportowe życie naszej rodziny.



Spotkania towarzyskie naszej drużyny tenisowej, zwanej Grupą Baryckiego, poza kortem, z naszymi kibicami: Irenką i Asią, 2011



Reprezentacja pracowników Wydziału Chemicznego PWr na tradycyjny coroczny mecz piłki nożnej: pracownicy-studenci, Wrocław 1994

Jubileusze i dyplomy

70-lecie urodzin



Spotkanie na uczelni z okazji odejścia prof. Adama Zaleskiego na emeryturę, na stole widać prezent jubileuszowy – model cząsteczki fulereny C_{60} z piłek tenisowych symbolizujących atomy węgla, wykonany przez partnerów tenisowych, 1998

Goście spotkania

Rektor Politechniki Wrocławskiej – prof. dr hab. inż. Andrzej Mulak (drugi od lewej); dziekan Wydziału Chemicznego – prof. dr hab. inż. Henryk Górecki (pierwszy od lewej); dyrektor Instytutu Chemii Fizycznej i Teoretycznej – prof. dr hab. Ludwik Komorowski (stoi obok mnie), dr hab. Piotr M. Nowak (stoi przy oknie) oraz kadra naukowo-dydaktyczna, studenci i zaproszeni goście.

Uroczystość była dla mnie miłym spotkaniem ze współpracownikami, a jednocześnie pożegnaniem z nimi i z uczelnią – miejscem mojej pracy przez ponad pół wieku.

Wniosek nr 70 Komitetu Badań nad Szczęściem, Zdrowiem
i Pomyślnością, 24 września 1998

Serdeczne JUBILEUSZOWE gratulacje i wyrazy najgłębszej
sympatii wraz z życzeniami zawartymi w załączonym wniosku
przesyłają Panu przyjaciele z Politechniki Łódzkiej.

z. up. *AK Korczyński*

WNIOSEK JAK NAJBARDZIEJ JUBILEUSZOWY

RODZAJ WNIOSKU : Niezwykły
ADRESAT WNIOSKU : Profesor ADAM ZALESKI
SPECJALNOŚĆ : JUBILAT

SŁOWA KLUCZOWE : Wysoki, przystojny, zawsze
młody; szczęśliwy, utalentowany, wybitny, wszystkim ludziom życzliwy
pierwszy w fotochemii, w zadufaniu ostatni, przez każdego kochany.

WNIOSKU STRESZCZENIE : wielu dalszych sukcesów w nauce
i w życiu osobistym, wspaniałych podróży, zdrowia na to wszystko
krzepkiego, mamony obfitość znaczną, a nade wszystko tysiąca serc
gorących wokół życzny wnioskodawca.

STOPIEŃ SZCZEROŚCI WNIOSKU: 14 w skali Boforta

PROPOZYCJA TOASTU : Vivat academia, vivant
professores, vivat membrum quodlibet, vivant membra quaelibet, semper
sint in flore I Vivant omnes virgines, faciles, formosae, vivant et muliers
tenerae amabiles, bonae, laboriosae.

MATERIAŁY TOASTOWE : Dom Perignon Hennessy Johnny
Walker - wszystko z kasy jubileuszowej KBN ds. szczęścia i
pomyślności.

APARATURA SPECJALNA : wg życzenia JUBILATA
najlepiej złota, platynowa i diamentowa.

OSOBA WNIOSKODAWCY : 



*Gratulacje jubileuszowe od kadry naukowej Politechniki Łódzkiej,
dr hab. Andrzej Korczyński (1935-2004)*



STOWARZYSZENIE TWÓRCÓW
FOTOKLUB RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

DYPLOM

Kapituła Fotoklubu RP

nadaje

Prof. dr. Adamowi Zaleskiemu

tytuł członka honorowego

ZASŁUŻONY DLA FOTOGRAFII POLSKIEJ

Prezes Fotoklubu RP
Mieczysław Cybulski



Prezydent Kapituły
Juliusz Garztecki

Nr 21

Warszawa, dnia 20 września 1998 r.

Zasłużony i Honorowy członek Fotoklubu RP, Warszawa, 20 września 1998

80-lecie urodzin



Spotkanie rodziny i przyjaciół z okazji 80-lecia urodzin Adama Zaleskiego, 2008

Moi synowie z żonami i dziećmi urządzili mi uroczyste obchody jubileuszu 80-lecia w miejscowości Wielka Lipa koło Obornik Śląskich. Zaproszono rodzinę oraz wszystkich moich najlepszych przyjaciół. Przeżyłem miłe i wzruszające chwile. Koledzy-tenisiści odznaczyli mnie specjalnym Złotym Medalem z dowcipnym, pomysłowym dyplomem.

Otrzymałem również liczne dowody pamięci w postaci gratulacji i dyplomów od środowiska naukowego z kraju i ze świata.

Mój staż pracy, włączając okres studiów, wynosił 51 lat, czyli ponad pół wieku. W ciągu tego czasu nawiązałem wiele kontaktów naukowych, przemysłowych towarzyskich i sportowych.

Nic dziwnego, że na zakończenie pracy zawodowej otrzymałem wiele listów, dyplomów i gratulacji. Spośród nich wybrałem te merytorycznie dla mnie ważne i te najdowcipniejsze i najcenniejsze ze względów koleżeńskich.

MEDAL ZŁOTY
I BUTELKĘ WYBORNEGO SZAMPANA
OTRZYMUJE
ADAŚ ZALESKI

**FILAR DRUŻYNY TENISOWEJ,
UCZESTNIK WIELU TURNIEJÓW,
NIEZRÓWNANY PRZY SIATCE JAK I W GŁĘBI KORTU,
WPRAWIONY DO SZABLI I DO SZKLANKI, ...**

**ZA KILKUDZIESIĘCIOLETNIE POTYCZKI NA KORCIE
I POZA NIM ...**

Drogi Adasiu,

*W okrągłą rocznicę urodzin przyjmij od nas wszystkich i od każdego z osobna
Najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności!*

Dużo zdrowia!

Uśmiechu i radości życia!

Wszystkiego najlepszego, a zwłaszcza:

*Wielu pięknych serwisów, smeczów, lobów, liftów, wolejów i stop-wolejów,
forhendów i bekhendów ... i w dalszym ciągu niezrównanych zagrań przy siatce!*

**GRAND JURY, CZYLI HERMETYCZNA I WYSOKA
KAPITUŁA NAGRÓD I ODZNACZEŃ,**

**CZYLI CZTERECH NAJWYBITNIEJSZYCH
LOKALNYCH TENISISTÓW I ZNAWCÓW TENISA,**


A MIANOWICIE:

**LUCJAN ACHREMOWICZ, JÓZEF BARYCKI, PIOTR NOWAK I MIREK SOROKA,
ORAZ SUPERMISTRZYNI I PRZEWODNICZĄCA KAPITUŁY:**

KRYŚIA SOROKA,

ŻYCZENIA CI SKŁADA I, PO GŁOSOWANIU JAWNYM, ZASZCZYTY NALEŻNE PRZYZNAJE.


Krysia
Soroka


Lucjan
Achremowicz


Józef
Barycki


Piotr
Nowak


Mirek
Soroka

*Dane we Wrocławiu, pierwszego dnia czerwca A.D. 2008,
z okazji okrągłej rocznicy urodzin Adasia.*

Dyplom od Drużyny tenisowej, Wrocław, 1 czerwca 2008



Founded 1853



Incorporated 1895

This is to certify that
Adam Zaleski
is duly enrolled an
Honorary Fellow of
The Royal Photographic Society
of Great Britain

2nd November 2000

 *President*
 *Secretary General*

The Seal of the Society

Certyfikat Członka Honorowego Royal Photographic Society, 2 listopada 2000

Po przejściu na emeryturę utrzymywałem niektóre z wcześniej nawiązanych kontaktów naukowych z zagranicą. Byłem nadal członkiem grupy badawczej IAG (Międzynarodowa Grupa Badania Żelatyn) oraz członkiem ICIS (Międzynarodowy Komitet Nauki o Zapisie Obrazów).

Uczestniczyłem również w Sympozjum Leuven, Belgia (1999), w Kongresie ICIS w Tokio (2002), w Sympozjum w Sankt Petersburgu (2006).



Prof. Adam Zaleski podczas Kongresu ICIS z przewodniczką, córką prof. Tani, kierownika laboratorium badawczego firmy Fuji, na podtokijskiej stacji Kawasaki, 2002

Ponadto, przez kilka lat byłem jednym z pełnomocników Rektora ds. oceny prac badawczych na Wydziale Chemicznym, finansowanych przez MEN. W 2006 roku wycofałem się z działalności zawodowej.

Przez ostatnie lata utrzymuję jeszcze kontakty z kolegami z Anglii, Rosji i Niemiec, ale już tylko kurtuazyjną wymianę korespondencji z okazji świąt i Nowego Roku. Jego Magnificencja Rektor Politechniki Wrocławskiej zaprasza mnie corocznie na uroczystości naszej uczelni i z tej okazji na lampkę wina. Kierownictwo ICIS, które obecnie objęli Chińczycy, również pamięta o życzeniach noworocznych i o przysyłaniu aktualnych informacji.



Stany Zjednoczone Ameryki Północnej

Joasi i Jarkowi Markowiakom⁵⁰
*dziękuję za zaproszenie do ich domu w Kalifornii
i pomoc podczas pobytu w Ameryce, zorganizowanie
i sfinansowanie interesującej podróży Amtrakiem.*

Jarkowi
*wybitnemu znawcy stosunków amerykańskich,
również za konsultacje i istotne uwagi do tego rozdziału.*

⁵⁰ Joasia – córka mojej drugiej żony Hani Janikowskiej, Jarek – mąż Joasi.

V. Impresje amerykańskie

Kalifornia – podróże (1980-2006)

Najważniejsze spostrzeżenia

Europejczycy – przybywający do Stanów Zjednoczonych drogą wodną, a taka była jedynie możliwa na początku XX wieku i wcześniej – wpływają do portu Nowy Jork przez cieśninę Verrazzano. Znajduje się tutaj most o tej nazwie, pochodzącej od imienia korsarza florenckiego Giovanni Verrazzano, który odkrył w roku 1524 ujście rzeki Hudson, a więc miejsce obecnego Nowego Jorku. Na wyspie Ellis było biuro celne i tam załatwiano formalności nowo przybywającym do Nowego Świata. W latach 1892-1954 przez tę bramę Ameryki przeszło ponad 12 milionów ludzi (po około 2 tys. dziennie w szczycie, w latach 1903-1914), a początek fali emigracyjnej datuje się na około 1845 rok. Przez 80 lat przybywali tu emigranci. Zjawisko to nazywamy Wielką Emigracją.

Najważniejsze daty w historii Stanów Zjednoczonych

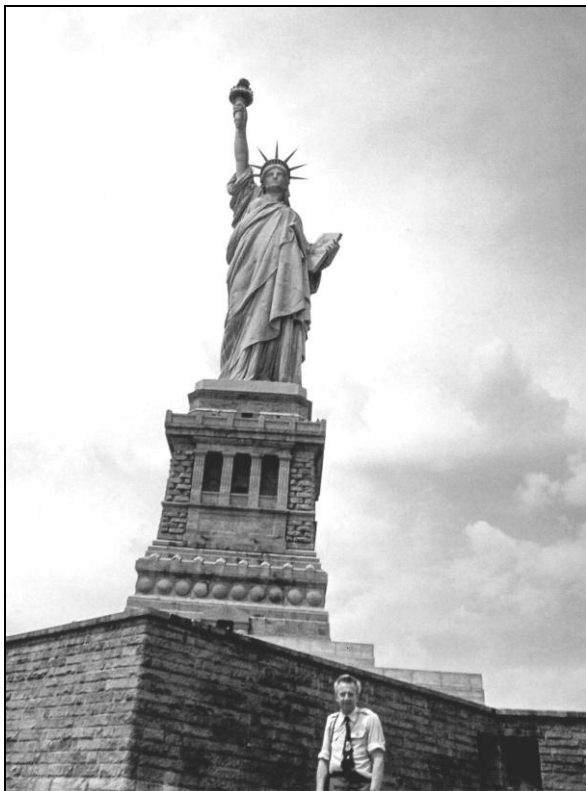
- 12 października 1492 – Odkrycie Ameryki przez Krzysztofa Kolumba
- 4 lipca 1776 – Deklaracja Niepodległości Stanów Zjednoczonych
- 17 września 1787 – Konstytucja Stanów Zjednoczonych, autor: J. Madison
- 1861-1865 – Wojna secesyjna

Statua Wolności – symbol Stanów Zjednoczonych Ameryki

Autorem statui był August Bartholdi, twórcą konstrukcji Gustaw Aleksander Eiffel, a projektantem postumentu amerykański architekt – Richard Morris Hunt. Stoi ona na wyspie Liberty, na postumencie w kształcie jedenastoramiennej niesymetrycznej gwiazdy. Był to dar narodu francuskiego narodowi amerykańskiemu w 1884 roku.

Statua, ważąca 225 ton, wykonana z blachy miedzianej o grubości 2,3 mm, ma około 46,5 m wysokości (z podstawą 93 m). Ma 168 stopni schodów w podstawie i 171 w figurze.

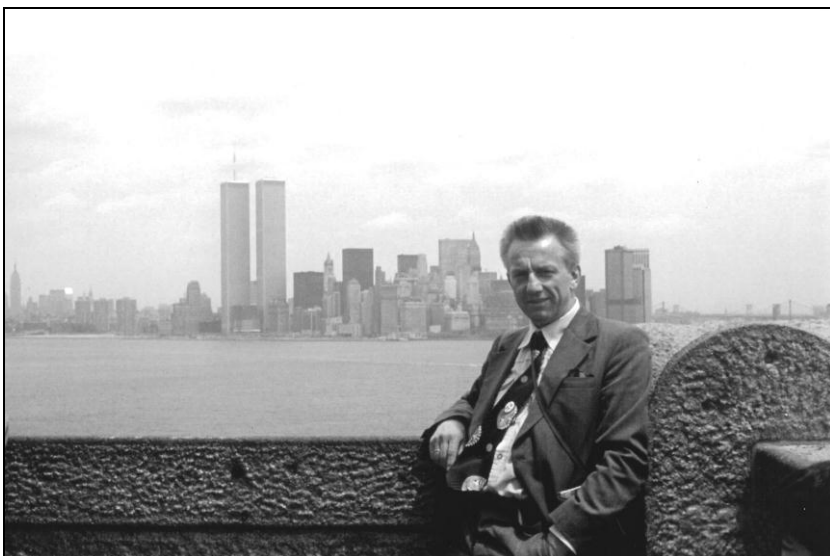
Schodami można wejść do wieńca jej głowy, skąd z jej okienek roztacza się widok w stronę wejścia do zatoki, czyli w stronę mostu Verrazzano. Uroczyste odsłonięcie pomnika nastąpiło dopiero 28 października 1886. Statuę nazywa się Wrotami Ameryki.



Adam Zaleski przed Statuą Wolności, Nowy Jork, 1980

Napis przy Statui Wolności

*Oddaj mi Twoje zmęczenie, Twoją biedę, Twoje stłoczone tłumy
tęskniące za wolnością. Prześlij mi wszystkie troski beznadziejnie
wątpiących, rzucone do mnie, a ja podniosę moją pochodnię
obok Złotych Wrót – Emma Lazarus, 1883*



Widok na WTC spod Statui Wolności, Nowy Jork 1980

Zwiedzając ciekawe Immigration Museum, znajdujące się w podstawie Statui Wolności, nie można uwolnić się od wyobrażenia sobie losu tych ludzi, którzy – pokonując niekiedy wielkie trudności – zjawili się, przybywając do nieznanego świata z nadzieją na lepszy los. Po przybyciu do Stanów z zamiarem dotarcia do Kalifornii, staraliśmy się dostać na drugi koniec kontynentu. Można to uczynić środkami transportu, dostępnymi w naszych czasach, czyli podróżować koleją, autobusem, samolotem lub autem. Z żoną Hanecką wypróbowaliśmy trzy pierwsze i częściowo czwarty.

Kolej

Dalekobieżna sieć kolejowa w Stanach Zjednoczonych – która w połowie XIX wieku (otwarta w 1869 roku) stała się podstawowym sposobem zdobywania nowych terenów na Zachodzie Ameryki – istnieje obecnie właściwie w celu transportu samochodów oraz jako atrakcja turystyczna. Oczywiście, bardzo rozbudowane koleje dojazdowe przy wielkich aglomeracjach są ważnym i cieszącym się dużą frekwencją środkiem lokomocji, ale nie tanim.

Natomiast dalekobieżna kolej – będąca w wielu krajach świata podstawowym środkiem przemieszczania się na dużych odległościach, w USA – z powodu burzliwego rozwoju motoryzacji i lotnictwa, przy tamtejszych odległościach i tempie życia – straciła już w drugiej połowie XX wieku znaczenie jako powszechny dalekobieżny rutynowy środek lokomocji. Jesteśmy obecnie świadkami zbliżającego się analogicznego procesu w Polsce.

Poruszaliśmy się dalekobieżną koleją zwaną Amtrak, będącą ciekawostką turystyczną i wspomnieniem dawnego sposobu podróżowania. Są tam wagony sypialne, restauracja i wagony widokowe z panoramiczną widocznością 360°, umożliwiające obserwację mijanego krajobrazu.



Haneczka na widokowym pokładzie Amtraka, 1999, fot. Adam Zaleski

Trasa Amtraku przebiega nierozzebranymi dotychczas torami, z postojami w dużych miastach, np. Chicago, na pozostawionych jeszcze mniejszych dworcach kolejowych. Na przykład, ogromny dworzec główny w centrum Chicago, który zwiedzałem w 1980 roku, został w latach 80. rozebrany i zlikwidowany, a odzyskany teren miasto zagospodarowało głównie na wielopasmowe szlaki komunikacyjne, o czym przekonałem się 20 lat później.

Autobus

W USA istnieje sieć amerykańskich autobusów zwanych Greyhound – charty, które przemierzają Stany we wszystkich kierunkach, a bilety są ważne 3 miesiące. Można więc przejechać Stany, wysiadając wielokrotnie w czasie ważności biletu.

Podczas podróży nawiązuje się znajomości i niekiedy trafia na miłego kierowcę, który nie skąpi informacji o mijanych miejscowościach. Niestety, mówi on zwykle amerykańskim slangiem, mało zrozumiałym dla Europejczyka o średniej znajomości angielszczyzny. Podczas mojej podróży poznałem kilku kierowców i każdy inaczej się zachowywał. Jeden nie rozmawiał z nikim i nosił się z dumą, dając do zrozumienia, że jest pierwszym po Bogu w autobusie. Inny – wesoły Murzyn przez cały czas gadał, komentował i opowiadał kawały, z których ryczeli ze śmiechu wszyscy pasażerowie, poza mną, gdyż należał on właśnie do mówiących niezrozumiałym dla mnie slangiem. Ponieważ w czasie podróży często wstawałem ze swojego fotela i robiłem zdjęcia, kierowca to zauważył. W pewnym momencie zatrzymał swój kursowy autobus w szczerym polu, zawołał mnie, abym wysiadł i zrobił zdjęcie pasących się jeleni.

Gdy w 1994 roku jechałem Greyhoundem z Buffalo nad jeziorem Erie do San Francisco, pierwszy raz wysiadłem w stolicy Nebraska Lincolnie, gdzie spędziłem u przyjaciół – państwa Jolanty i Tadeusza Lutyh, za co jestem im wdzięczny, dwa dni na ich zaproszenie, zwiedzając Uniwersytet i miasto. Po raz drugi przerwałem podróż w Salt Lake City – stolicy stanu Utah i siedzibie Mormonów, z którymi nawiązałem kontakty, w wyniku czego ich przedstawiciel odwiedził mnie we Wrocławiu z zamiarem namówienia do przystąpienia do ich sekty. Osiedlili się oni w Salt Lake City w połowie XIX wieku po dramatycznej wędrówce z Pennsylvanii, wygnani stamtąd z powodu wiary. Zadaniem przedstawicieli Mormonów, delegowanych do innych krajów, jest nauczenie się miejscowego języka i założenie komórki mormońskiej. Nie wiem, jakie mają wyniki swojej działalności, stwierdziłem jednak, że są to ludzie, podobnie do Świadków Jehowy i Zielonoświątkowców, głęboko wierzący i oddani sprawie. Autobus jest zatem sposobem na najtańszą turystykę, poza autostopem, który nie jest obecnie rozpowszechniony.

Samolot

Podróż samolotem do Kalifornii nie była możliwa w roku 2004 w jednym locie z Polski. Najczęściej leci się z Wrocławia, z przesiadką w Warszawie, a stamtąd albo do Nowego Jorku, albo do Chicago, skąd ma się bezpośrednie rejsy do San Francisco. Można również lecieć do Londynu, skąd British Airways ma bezpośrednie połączenie z San Francisco. Są zapewne i inne warianty połączeń.

Amerykańskie drogi



Z Hanią na szosie w Stanie Nevada, 1999

Podróży samochodem, a zwłaszcza amerykańskimi drogami poświęcę kilka słów, chociaż nie przejechałem autem od oceanu do oceanu, ale w wielu innych kierunkach, np. z Yosemite (Kalifornia) do Vancouver (Kanada), wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, prowadząc auto po amerykańskich drogach – w sumie, w kilku podróżach około 10 tys. km.

Pierwotni Amerykanie znaleźli się w szczególnej sytuacji, zastawszy dziewiczą ziemię bez dróg, które sami wytyczali. Wyszli z założenia, że najbardziej racjonalnym układem jest prostokątna siatka. Dlatego amerykańskie miasta i miasteczka, prawie wszystkie, mają taki układ ulic, czasami tylko zakłócony jakąś skośną ulicą jak płaszczyzną dyslokacji w idealnej siatce kryształu (np. ulica Broadway w NY).

Na podobnej zasadzie były wytyczane drogi komunikacyjne między miastami. Postanowiono numerować je liczbami: parzystymi – drogi równoleżnikowe, a nieparzystymi – południkowe. Jest to bardzo wygodne, bo znając numer drogi, wiemy, jaki jest jej kierunek.

Główne drogi międzystanowe (interstate roads) mają zwykle liczby podzielne przez 5 – z wyjątkiem 101, łączącej Los Angeles z Seattle, biegnącej wzdłuż Zachodniego Wybrzeża nad Pacyfikiem – np. droga nr 5 (San Diego – Vancouver); nr 10 (Jacksonville, Floryda – Los Angeles); nr 15 (Shelby, granica kanadyjska – Los Angeles); nr 40 (Wilmington, nad Atlantykiem – Los Angeles); nr 80 (Nowy Jork – San Francisco); nr 90 (Boston – Seattle).

Po bardzo licznych wypadkach drogowych, wprowadzono w latach 70. bardzo ostro egzekwowane limity prędkości na drogach; interstate: 75 mil/h (126 km/h), na stanowych: 65 mil/h (104 km/h), a na lokalnych: 55 mil/h (88 km/h) lub mniej, np. w większości miasteczek: 25 mil/h (40 km/h). Na drogach jest bardzo mało znaków drogowych, z których najczęstszym jest STOP (zamiast trójkąta) lub jakieś ograniczenie prędkości. Na skrzyżowaniach (zwykle pod kątem prostym w amerykańskiej kratownicy ulic w większości miast) pierwszeństwo ma ten pojazd, który pierwszy przyjechał na to skrzyżowanie. Na drogach, według moich obserwacji, panuje wielka kultura jazdy (takie odniosłem wrażenie) i stała się dążność do udzielania komuś pierwszeństwa, zwłaszcza pieszym, a nie przeciwnie!

Kary za przewinienia drogowe rozstrzygane są nie na drogach, lecz w sądach, a skutkiem jest często podwojenie lub potrojenie obowiązkowych opłat ubezpieczeniowych w okresie 2 lub 3 lat. To bardzo kosztowne i ludzie się pilnują. W przypadku posiadania kilku samochodów, opłaty obowiązkowego podatku rocznego za następne auta są niższe.

W tym miejscu opiszę zdarzenie, które przeżyliśmy z Hanią podczas 3-dniowej wycieczki z Las Vegas do narodowych parków: Grand Canyon, Zion N. Park, Bryce Canyon i Death Valley, wynajętym w Las Vegas samochodem. Wyruszyliśmy wcześniej rano na wschód, w kierunku słynnej tamy Hoovera, oddalonej o 50 km.

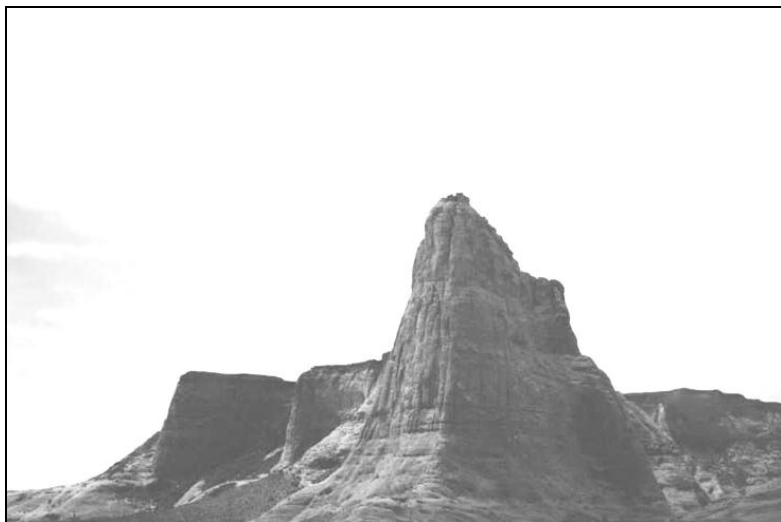


Grand Canion Arizona, fot. Adam Zaleski, 1999

Tama została zbudowana w latach 1930-1935, zamykając rzekę Colorado, tworząc dzięki temu gigantyczny zbiornik wodny, zamknięty w otaczających skalnych dolinach i jarach. Ta imponująca ogromna inwestycja pozwoliła na powstanie wielkiej elektrowni, zasilającej pobliskie Las Vegas w wodę i energię, umożliwiającą istnienie temu miastu.

Od tamy skierowaliśmy się na południowy wschód drogą 93 w kierunku miasta Kingman. Był straszliwy upał (około 40°C). Jechaliśmy przez pustynny płaskowyż, lekko przez cały czas wznoszący się od około 400 m n.p.m. przy tamie do około 1100 m n.p.m. w okolicy Kingman na odcinku prawie 100 km. Po przejechaniu około 40 km zatrzymaliśmy się, zjeżdżając z szosy kilkanaście metrów, aby się posilić zabranymi ze sobą kanapkami, popijając oranżadą, rozpinając na ten czas pasy bezpieczeństwa, aby mieć swobodę ruchu. Na postoju nie wyłączyła się silnika, aby nie zatrzymywała dobrze działającej klimatyzacji, bez której jazda przez kontynent amerykański w lecie lub postój w tym upale są niewyobrażalne; nie ma teraz aut w USA bez klimatyzacji – aircon-

ditioning. Trudno sobie wyobrazić, jak jeżdżono w Ameryce przez kilkadziesiąt lat przed powszechnym zastosowaniem klimatyzacji!



Krajobraz Arizony, fot. Adam Zaleski, 1999

Po kilkunastominutowym postoju, ruszyliśmy w dalszą drogę, patrząc, jak wyprzedzają nas inne samochody, ponieważ bałem się przekraczać dozwolonej prędkości: na tej drodze 65 mil (104 km) na godzinę, a oni pruli na całego. Krajobraz był całkowicie księżycowy, pustynny – gołe, niepokryte żadną roślinnością pagórki tego płaskowyżu Arizony, żadnych śladów ludzkiego bytowania. Postanowiłem więc nieco zwiększyć prędkość. I oto, na tej pustyni zaczął się policjant. Zatrzymał nas.

Policjanci są w takich przypadkach bardzo groźni. Nastawieni są na zapewne zdarzające się często agresywne zachowanie kierowców. Krzycząc, kazał mi wysiąść z samochodu i okazać dokumenty. Długo pisał protokół, jak się zorientowałem, zupełnie nie rozpoznając narodowości, bo mówił wciąż nie Poland a Holland. Zarzucił mi przekroczenie prędkości (tamtych aut nie zauważył), ale jak się okazało, głównym przestępstwem z naszej strony była jazda bez zapiętych pasów bezpieczeństwa, o czym po naszym śniadaniu zapomnieliśmy. Trzeba dodać, że w tym czasie dopiero wprowadzano u nas obowiązkowe zapinanie pasów i tego odruchu

jeszcze wówczas nie mieliśmy. Jazda bez zapiętych pasów jest od dłuższego czasu wysoko karana w Stanach. W rezultacie, otrzymałem od niego na miejscu (mandatów, jak wspomniałem, nie wystawiają) skierowanie na rozprawę sądową z wyznaczeniem miejsca, daty a nawet sędziego, który ma sprawę prowadzić. Wydawało mi się, że ten policjant w ogóle nie orientował się, że ma do czynienia z człowiekiem z innego kontynentu, auto miało bowiem rejestrację Las Vegas (Nevada), a zdarzenie miało miejsce, jak wspomniałem, w Arizonie.

Ten dzień był pechowy, ponieważ po dotarciu i kilkugodzinnym pobycie nad Grand Canyonem ruszyliśmy już koło godziny 21. na poszukiwanie noclegu, na północ drogą 64, a potem 89, aby trochę oddalić się od Grand Canyonu, gdzie w takim centrum turystycznym, ze względu na status Parku Narodowego, moteli nie ma, a hotele są nieliczne i bardzo drogie. Okazało się, że mamy motele dopiero w mieście Page, oddalonym 180 km, w Parku Narodowym Lake Powell, drogą 89, stosunkowo wąską dwupasmówką. Zrobiło się kompletnie ciemno, a ja byłem jeszcze przed operacją zaćmy, dość dotkliwie dolegającej mi, która jest szczególnie niebezpieczna, gdyż poważnie zmniejsza widzialność nocą w warunkach oślepienia przez jadące z przeciwnej strony samochody.

Jechałem bardzo ostrożnie i gdy nadjeżdżał samochód z przeciwnej strony, oślepiony wskutek rozproszenia światła w zmętniałej źrenicy, słabo widząc – zmniejszyłem znacznie prędkość. Gdy jednak nikt nie nadjeżdżał, zbliżała się już północ, więc ruch był coraz mniejszy, dodawałem gazu, aby nadrobić odległość, ale za chwilę znów byłem zmuszony do przyhamowania, bo jechał następny samochód.

W pewnym momencie zobaczyłem za sobą policyjne „koguty” i za chwilę zostałem zatrzymany przez patrol, tym razem 4-osobowy. Oczywiście, kazano mi wysiąść i okazać dokumenty. Po ich i mnie obejrzeniu, tym razem bardzo grzecznie zapytano, czy wiem, dlaczego zostałem zatrzymany. Jechali za mną przez pewien czas i byli zaskoczeni moją jazdą zrywami. Doszli więc do wniosku, że muszę być pijany, bo tak jeżdżą tylko pijani kierowcy. Gdy im wytłumaczyłem, że byłem oślepiany, a jestem ostrożny (nie mówiłem o zaćmie), grzecznie się pożegnali i pojechali dalej. Zapewne również nie zorientowali się, skąd pochodzę.

Poprzednia sprawa miała następujący epilog. Poradzono mi, abym nie zostawiał tego bez reakcji, miałem bowiem w ręku konkretne wezwanie do sądu stanowego w Kingman na 17 sierpnia 1999 roku, z podaniem numeru sali, godziny i nazwiska sędziego: John Taylor – sędzia pokoju (Justice of the Peace). Gdybym nie zareagował, amerykański policyjny system komputerowy to zarejestruje i nie ma mowy o ponownym przyjeździe do USA.

Po powrocie do kraju wystosowałem do sędziego Johna Taylora grzeczny list, w którym poinformowałem (kłamiąc), że byłem na zjeździe kombatantów II wojny światowej, mieszkających w USA. Miałem mało czasu, spieszyłem się, więc przekroczyłem nieznacznie dozwoloną prędkość, a pasów nie zapięliśmy, bo nie mamy tego nawyku i dopiero się u nas ten przepis wprowadza.

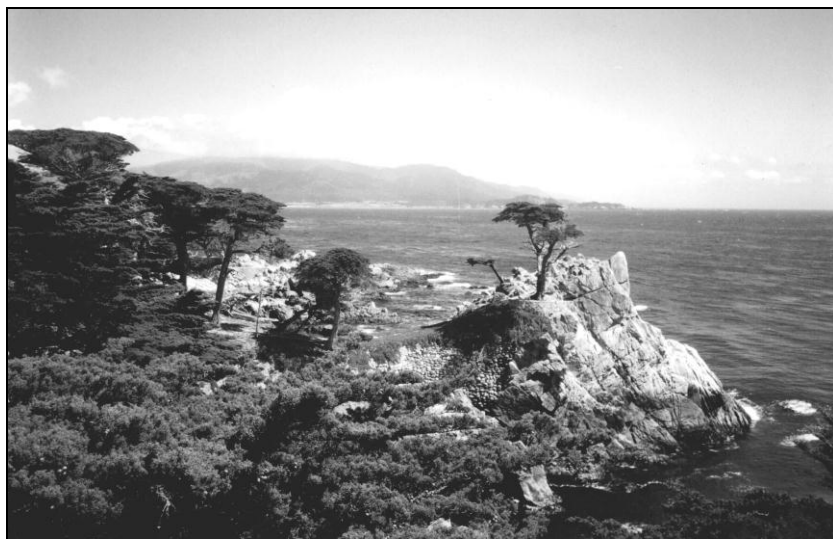
Otrzymałem oficjalną odpowiedź od pana sędziego, że dają wiarę mojemu wyjaśnieniu, a karę mi **zawieszają** (suspends), co oznacza, że jej nie unieważniają. W razie następnego wykroczenia wezmą pod uwagę: zsumują moje przewinienia na terenie Stanów Zjednoczonych!

Na koniec tej opowieści o amerykańskim ruchu i transporcie drogowym trzeba podkreślić doskonałe rozwiązania komunikacyjne w całych stanach. Jest to skutek harmonijnego i sukcesywnego rozwoju motoryzacji i całej jej infrastruktury – dróg, mostów, tuneli, estakad itd. przez cały XX wiek. USA pod względem rozwoju motoryzacji, wyprzedzało zawsze wszystkie inne kraje na całym świecie.

Głównie dzięki Henriemu Fordowi już w latach 20. XX wieku liczba samochodów na 10 tys. mieszkańców znacznie przewyższała inne kraje. Już w 1938 roku na 10 tys. mieszkańców było w USA 2300 aut (prawie jedno auto na 4 osoby), w Anglii: 510 (auto na 20 osób), we Francji: 520 (auto na 20 osób), w Niemczech: 250 (auto na 40 osób), w Czechosłowacji: 70 (auto na 140 osób), w Polsce: 10 (auto na 1000 osób), w Japonii, obecnej potęgze motoryzacyjnej: 25 (auto na 400 osób). Takie są różnice w tempie rozwoju między różnymi krajami, i w tym wyścigu USA zawsze znacznie wyprzedzało cały świat.

Kalifornia – Promised Country

Ziemia Obiecana – rozciąga się wzdłuż Pacyfiku na długości około 1800 km i 600 km szerokości w najszerszym miejscu, między równoleżnikami północnymi 42 i 33, co odpowiada szerokościom w Europie i Afryce: Rzym – północna Sahara. Trzeci pod względem wielkości stan USA – 411 tys. km² (większy od Polski), 34 mln mieszkańców (12,5% ludności USA). Pasma Nadbrzeżne (Coast Ranges, 700-800 m n.p.m.), góry Sierra Nevada (Whitney 4418 m).

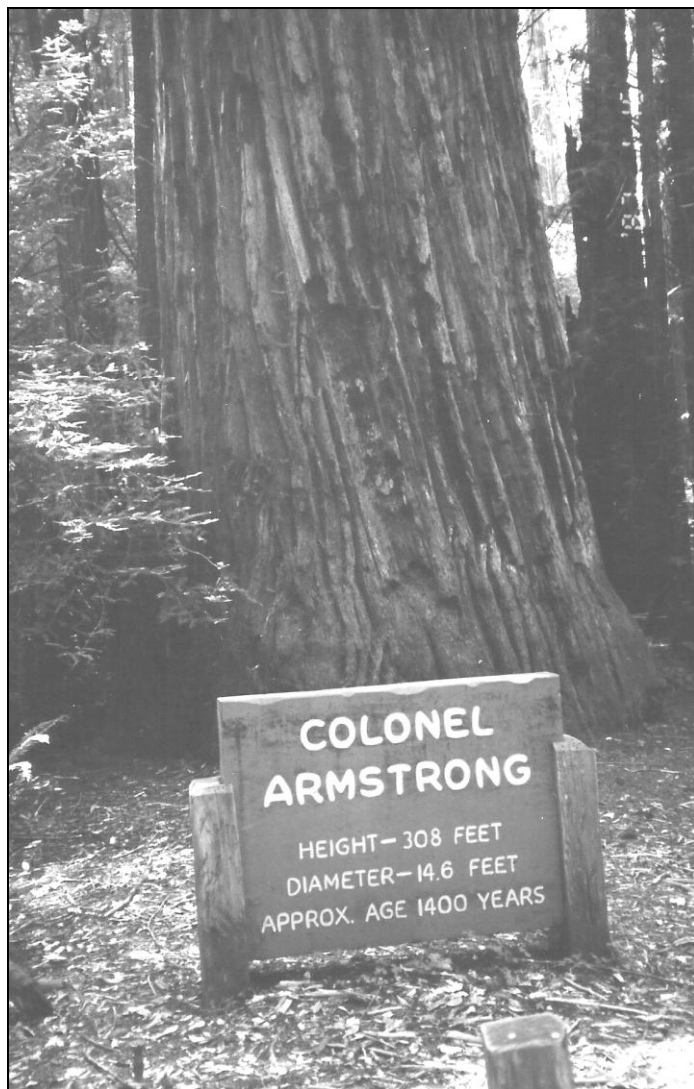


Wybrzeże kalifornijskie Monterey nad Pacyfikiem, 2000, fot. Adam Zaleski

Dolina Kalifornijska ma 700 km długości i do 100 km szerokości. Przedzielona jest deltą rzek Sacramento i San Joaquin. Jej północna część zwana jest Doliną Sacramento, południowa zaś Doliną San Joaquin, od nazw przepływających przez nie rzek.

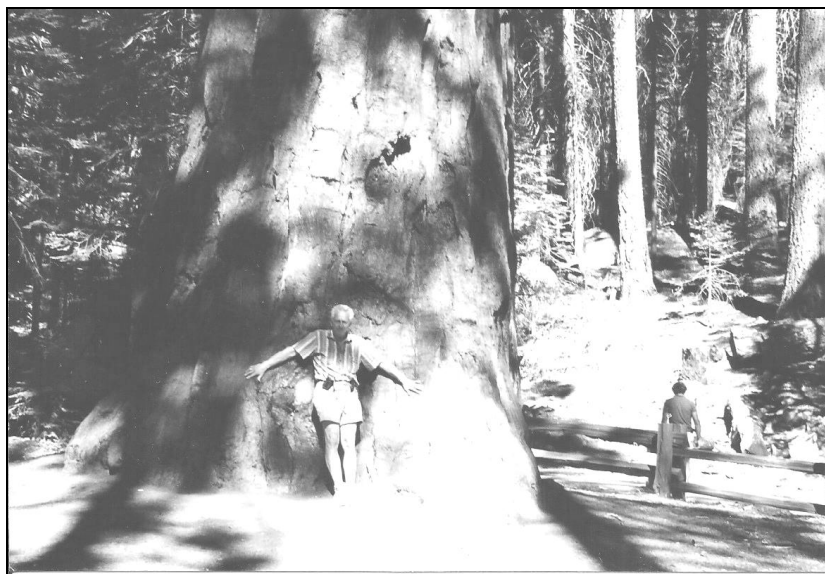
Kalifornia weszła do USA w 1850 roku jako trzydziesty pierwszy Stan. Od 1990 roku ma największą populację wśród stanów w USA. Nazwa (California) była nadana przez Hermana Cortesa na początku XVI wieku. Słowo pochodzi od nazwy imaginowanego kraju, baśniowej wyspy zamieszkałej przez Amazonki w hiszpańskiej powieści z owych czasów. Zwana jest też Żółtym Stanem.

Należała do Hiszpanii (1540-1821), potem była prowincją Meksyku, a od zwycięskiej wojny z Meksykiem (1846-1848) należy do USA. Na rozwój stanu duży wpływ miało doprowadzenie kolei w II połowie XIX wieku.



Sekwoja z czasów Mahometa, Kalifornia 2000, fot. Adam Zaleski

Opanowywanie kraju zaczęło się od założenia misji w 1770 roku w San Diego przez franciszkanina ojca Junipero Serra. Pierwsi, co prawda, byli jezuici, ale wskutek konfliktu między nimi a dworem królewskim, król osiedlił tam franciszkanów. Była to akcja połączenia zbrojnej ekspedycji z religijną misją. Do 1804 roku wzdłuż El Camino Real – drogi królewskiej, powstało 21 misji, od San Diego do San Francisco, a każda oddalona od drugiej o około dzień drogi ówczesnymi środkami lokomocji – końmi. Misjonarze mieli bardzo trudne zadanie opanowania kraju dla korony hiszpańskiej przez chrystianizację ludności indiańskiej.



Pod sekwoją prezentowaną wyżej, 2000, fot. Jarosław Zięba

Dzięki wprowadzaniu nowych upraw, lecznictwu, technik nawadniania itp. zyskiwali sobie sympatię miejscowej ludności. Kiedy jednak przyszła na początku XIX wieku zaraza, ludność indiańska bardzo ucierpiała, a ci, co przeżyli, byli przekonani, że jest to zemsta ich Manitou za przyjęcie obcej wiary.

W 1821 roku, wraz z osiągnięciem niepodległości, Meksyk uzyskał kontrolę nad Kalifornią. W tym czasie na jej tereny zaczęli napływać osadnicy amerykańscy. Mimo dużych trudnień, związanych z podróżą (3 miesiące drogą morską via przylądek Horn,

a 4 miesiące drogą lądową w wozie osadniczym) oraz przy względnie małej liczbie mieszkańców (w 1846 zaledwie 10 tys.), wierzyli oni, że terytorium Stanów Zjednoczonych, ciągnące się od oceanu do oceanu, jest przeznaczeniem (*Main Destiny*) Ameryki.

To przekonanie doprowadziło wkrótce do wojny amerykańsko-meksykańskiej. Walki jednak toczyły się na terenie Teksasu: flota amerykańska zdobyła Monterey bez jednego wystrzału, a od stycznia 1847 roku Amerykanie kontrolowali już całe Zachodnie Wybrzeże. Zwykły przypadek sprawił, że w tym samym czasie, gdy podpisywano akt zakończenia wojny z Meksykiem, w górach Sierra Nevada odkryto niewielkie ilości złota. Zapoczątkowało to najbardziej szaloną migrację ludności w historii ludzkości: „gorączkę złota” (Gold Rush).



Bezkresne drogi Nevady, 2000, fot. Adam Zaleski

Fala ciągnących na Zachód poszukiwaczy złota ustała dopiero około roku 1863, gdy wszystkie działki zostały gruntownie z kruszcu oczyszczone. Punktem zwrotnym stało się zakończenie w roku 1869 budowy transkontynentalnej linii kolejowej przy dużym udziale robotników chińskich. Odtąd podróż z Nowego Jorku do Kalifornii trwała jedynie 4-5 dni, a w wyniku walki o opłaty kolejowe, cena biletu w jedną stronę spadła do dolara.

W latach 50. XX wieku Kalifornia, która była bazą zbuntowanych bitników, a w 60. – hippisów. Tutaj nowe, radykalne poglądy, akcje ekologiczne trafiały zawsze na podatny grunt. Nadal jest najczulszym barometrem zmian kulturowych.

Kalifornia to bardzo bogaty stan USA. Dolina Krzemowa: światowe centrum półprzewodników, elektronika, ropa naftowa, minerały, gaz ziemny, wielkie zasoby energetyczne w postaci energii wodnej i wiatrowej (15% zapotrzebowania dzięki wiatrom od Pacyfiku), wiele rud metali, ogromny przemysł wyrobów rolnictwa, bawełna, owoce, hodowla bydła, przemysł rybny, przemysł filmowy i inne. Dochód stanu z turystyki wynosił w latach 90. około 40 mld dolarów rocznie.

Mendocino County

Przyjechaliśmy z Hanią do Mendocino County, gdzie osiedliła się jej córka – Joasia z mężem Jarkiem. W roku 1981 wyjechali z Polski do Chicago, prawie w przeddzień wprowadzenia u nas stanu wojennego. Stamtąd samochodem terenowym wyjechali zdobywać Dzikie Zachód. Od 20 lat mieszkają w swoim rancho, w górach (700 m n.p.m.), w paśmie Nadbrzeżnym (Coast Ranges), 15 km od miasteczka Ukiah, które leży nad Russian River.



Z Asią i Jarkiem w ich kalifornijskim rancho, 2000

Do miejscowego (w miasteczku Ukiah) amatorskiego klubu tenisowego wprowadził mnie znany i lubiany tam mój zięć Jarek, gdzie przyjęli mnie nadzwyczaj serdecznie i naturalnie. Jedynym kosztem jest wpłata 1\$ za dzień gry na zakup piłek. Amerykanie są bardzo bezpośredni, serdeczni i bez kompleksów. Wszyscy mówią do siebie po imieniu bez względu na wiek. W klubie było zapisanych około 40 osób. Korzystaliśmy z dostępnych codziennie, bezpłatnie 6 kortów o nawierzchni betonowej, należących do miejscowego Mendocino College.



Asia i Jarek Markowiakowie, Wrocław 2005, fot. Adam Zaleski

Posiadłości na tym terenie są rozrzucone w górach, a dojeżdża się do nich prywatnymi drogami, odchodzącymi od głównej drogi powiatowej. Jedynymi użytkownikami bocznych dróg są mieszkańcy domów wzdłuż niej położonych i oni też wspólnie, według ściśle ułożonego planu finansowego ponoszą koszty jej budowy, utrzymania i konserwacji. Wysokość uczestnictwa w kosztach jest dokładnie obliczana przez komitet użytkowników drogi i jest to kwota zależna od odległości gospodarstwa od drogi państwowej, czyli od długości odcinka, z którego korzysta użytkownik.

Ludzie tam są bardzo mili i życzliwi w stosunku do siebie, chętni do pomocy i współpracy, ale nienarzucający się, wzajemnie siebie szanujący. Może są to pozostałości zwyczajów z czasów pionierskich, kiedy egzystencja i przetrwanie zależały w dużym stopniu od solidarności i pomocy sąsiedzkiej.

San Francisco (Frisco)⁵¹

Nazwa *Frisco* jest kontrowersyjna i całkowicie nieakceptowana przez rodowitych mieszkańców – *sanfranciszkańców*. Podobno powstała w okresie XIX-wiecznej gorączki złota, utworzona przez ówczesnych, przybyłych z innych stanów lub krajów poszukiwaczy złota, którzy ją zniekształcili, skracając oryginalną nazwę San Francisco na Frisco, gdyż potrzebne to było (podobno) do rymu słów śpiewanej wówczas popularnej piosenki. Rodowici mieszkańcy obrażają się wręcz, słysząc tę nazwę. Jednocześnie jest ona wskaźnikiem, że ten, który jej użył, nie pochodził z San Francisco.



85 m poniżej poziomu morza, Death Valley (Dolina Śmierci) 2000, fot. Anna Zaleska

Położone na kilku wzgórzach (najwyższy Twin Peaks 285 m) miasto, założone w 1776 roku razem z misją San Francisco de Asis (Dolores), szósta w łańcuchu misji franciszkańskich. Do tego czasu zamieszkiwały te tereny mało nam znane szczepy indiańskie, jak m.in.: Pomos, Wintums, Yokuts, Costanoans, Wapas i Miwoks.

⁵¹ 800 tys. mieszkańców; obszar: 124 km².

Miasto zaczęło się szybko rozwijać, będąc ważnym portem dla statków przyplływających ze wschodniego wybrzeża, przed budową Kanału Panamskiego (1904-1914). Szczególnie szybko rozwinęło się w okresie gorączki złota, będąc bardzo blisko terenów złotonośnych (w ciągu roku przewinęło się wówczas przez miasto około 50 tys. osadników). 18 kwietnia 1906 roku miasto zostało dotknięte niszczącym trzęsieniem ziemi (8,6/9 stopni Richtera), ale szybko się podniosło. Ta część Kalifornii leży na ruchomych płytach tektonicznych, zwanych San Andreas Fault (Uskok Świętego Andrzeja) i są tu stale trzęsienia ziemi, aż 80% trzęsień ziemi występujących w świecie. Codzienny komunikat pogodowy w Kalifornii zawiera zawsze informację o lokalnych trzęsieniach ziemi, które przeciętnie są wielkości 1-4 stopni Richtera.

San Francisco jest ważnym ośrodkiem kultury. Znajdują się w nim np.: San Francisco State University, University of San Francisco, Golden Gate University, University of California San Francisco, The University of California Hastings College of Law, the San Francisco Art. Institute, San Francisco Conservatory of Music, San Francisco Orkiestra Symfoniczna, San Francisco Balet, San Francisco Opera i American Conservatory Theatre. Otoczenie San Francisco to znakomite ośrodki naukowe i przemysłowe, jak: Palo Alto, Berkeley i inne.



Secesyjne wille, San Francisco 2000, fot. Adam Zaleski

Wielką atrakcją i ciekawostką San Francisco są jego dwa ważne mosty **Bay Bridge** (1936) i **Golden Gate Bridge** (1937).

Bay Bridge (BB) – projektant Ralph Modjeski (Rudolf Modrzejewski, syn aktorki Heleny). Łączy San Francisco i Oakland, używając leżącej między nimi wysepki Serba Buena Island (Serba Buena to „dobre ziele”, aromatyczna roślina podobna do cząbra). Na Serba Buena Island musiano wybudować w owym czasie największy na świecie tunel, a z olbrzymiej ilości wydobytego materiału zbudowano sztuczną wyspę Traesure Island (Wyspę Skarbów), używaną jako baza szkoleniowa dla wojska. W latach 90. jako baza filmowa. Koszt budowy Bay Bridge, w przeliczeniu na obecne wartości, wynosił ponad 1 miliard (am. bilion) dolarów.

Duża część fundamentów wschodniej części mostu zbudowana jest na bazie starych skamieniałych drzew. Podobno ilość cementu, użyta do budowy mostu, głównie fundamentów, wystarczyłaby na pokrycie autostrady z San Francisco do Chicago.

BB został mocno uszkodzony podczas trzęsienia ziemi *Loma Prieta* (1989) – 7,1 w skali Rychtera. Tylko jedna osoba zginęła. Po miesiącu most uruchomiono po odbudowie! Wymiary: długość zachodniej części (west span) 2822 m (9260 stóp); długość wschodniej części (east span) 3102 m (10 176 stóp) – całkowita długość to 14 km (8,4 mili). Średnia liczba dobowo przejeżdżających pojazdów (AADT), liczona w skali roku, wynosi 280 tys.

Golden Gate Bridge (GGB) łączący San Francisco z Sausalito, jest jednym z najczęściej fotografowanych obiektów Kalifornii. Był podczas otwarcia największym wiszącym mostem na świecie, drugi obecnie po Verazzano Bridge w Nowym Jorku. Wymiary: szerokość: 27 m (90 stóp); wysokość wież: 227 m (746 stóp), całkowita długość: 2737 m (8981 stóp). Średnio dziennie przejeżdża nim 100 tys. pojazdów (w skali rocznej). W czasie zalegających tu częstych mgieł, widoczne są tylko szczyty 227-metrowych wież.

GGB jest znany również jako miejsce licznych samobójstw. Oficjalne odliczanie zakończyło się, gdy liczba ofiar wyniosła tysiąc (1995), obecnie wynosi blisko 1,5 tys. Jest nawet film dokumentalny Erika Steel'a *Most*, zapisujący z na stałe zamontowanych kamer skoki oraz wywiady z rodzinami i nielicznymi, którzy przeżyli (27 osób). Lot z mostu do lustra wody trwa 4 sekundy (67 m), człowiek uderza w wodę z prędkością 120 km/godz. Przejazd jest płatny.



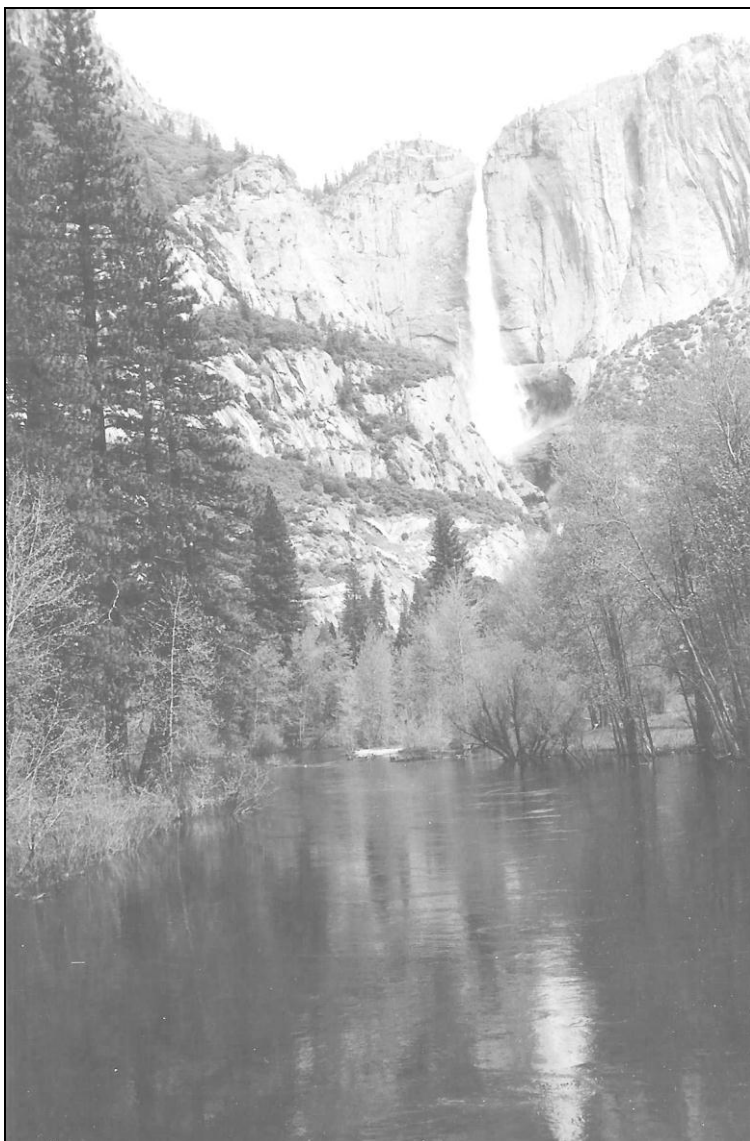
Ulice San Francisco, 2000, fot. Adam Zaleski

Inną atrakcją San Francisco jest słynny kablowy tramwaj. Na początku wieku miasto miało około 170 km tych linii z 600 wagonami. Obecnie pozostało jako pamiątka około 25 km czynnych linii z 37 wagonami. Całkowicie niezautomatyzowane – tak jak jeździły w XIX wieku. Na punkcie zwrotnym wagon wjeżdża na obrotową platformę, ręcznie obracaną przez motorniczego.

Klimat San Francisco jest dość nieprzyjemny: chłodny, a rzadko spotykana na świecie niska średnia różnica temperatur między styczniem a lipcem wynosi kilka stopni (styczeń 10°C, lipiec 15°C). Światowe centrum homoseksualistów (25-30%), drugie miejsce zajmuje Nowy Jork.

Parki narodowe

Półwysep Monterey – 17 Mile Drive przez piękne nadmorskie miejscowości: Pacific Grove, Pebble Beach i Carmel. Marzenie fotografujących: widoki są bowiem piękne i niepowtarzalne. Pięknu przyrody – wybrzeże, skały, drzewostan – towarzyszą urocze nadbrzeżne miejscowości z czarującym budownictwem wiktoriańskim. Zamieszkują tu również znani i lubiani artyści, np. Paul Anka, Bing Crosby. Wszystkie te atrakcje występują przy drodze nr 1.



Yosemite National Park 2000, fot. Adam Zaleski

Gdy przejedzie się Dolinę Kalifornijską na wschód, dociera się do parku Yosemite, w którym jest wielka obfitość wodospadów oraz precudowne kolosalne skały. Są też niedźwiedzie i pumy.

Wracając z Yosemite, na północ, przejeżdża się szlak z czasów gorączki złota – drogą nr 49 (Sutter Creek). Na północy Kalifornii jest park Mount Shasta (4320 m n.p.m.). Szczyt tej góry jest z daleka widoczny ponad otaczającym go płaskowyżem, a jego śnieżna cza-pa w lecie przypomina japońską Fujiyamę.

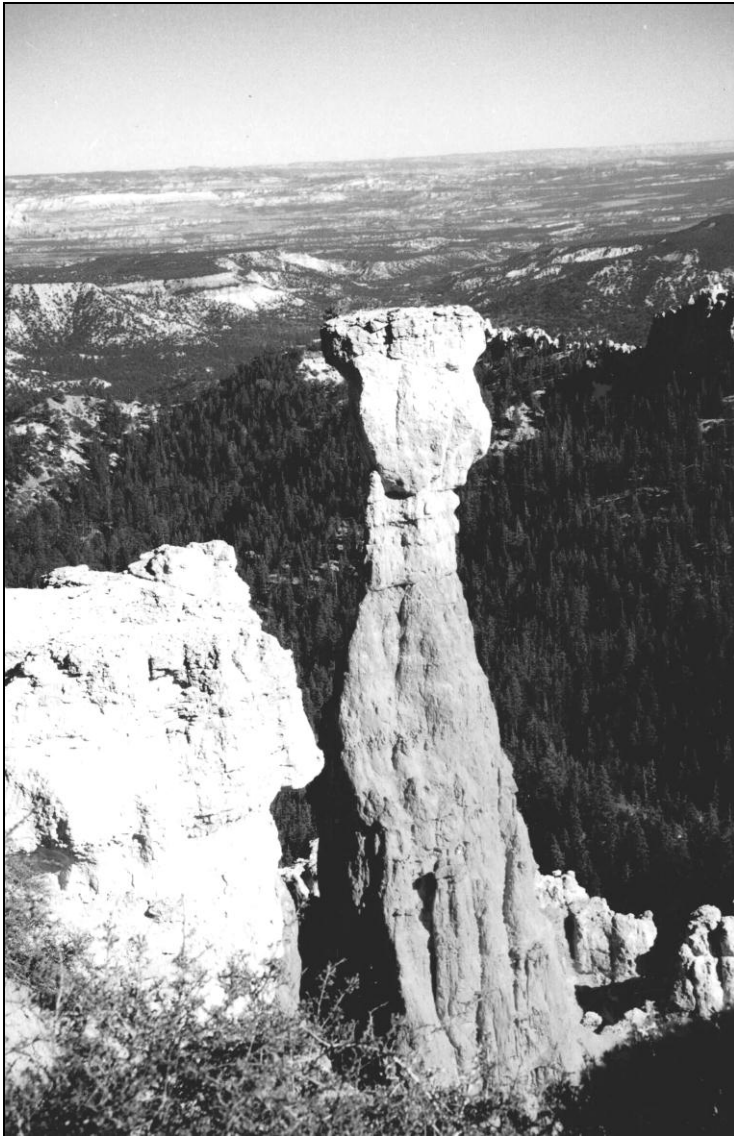
Trochę na południe leży park Lassen (3187 m n.p.m.) z czynnymi gorącymi źródłami – gotującą się gliniastą ziemią (podobnie jak w Solfatare pod Neapolem w Europie).

Najciekawsze jednak parki są względnie blisko, ale poza Kalifornią. Trzeba więc polecieć samolotem do Las Vegas w Stanie Nevada. Stamtąd można dojechać autem do Grand Canyonu w Stanie Arizona. Długość kanionu kilkadziesiąt km, szerokość 6-18 km, głębokość około 1800 m. Wstrząsająco-monumentalna i fotogeniczna szczelina w Ziemi. Czuje się tu majestat natury, jak maleńki robak czuje nasz but.

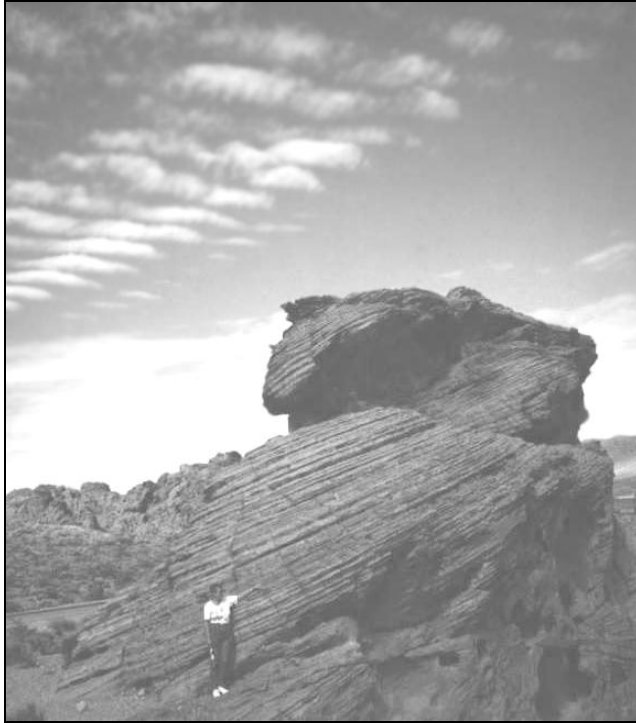
Niedaleko, w Stanie Utah, jest piękny Zion National Park – nazwany tak przez mormonów od Syjonu, ponieważ religia mormonów jest mieszanką religii judaistycznej i chrześcijańskiej – w nim kolorowe wzgórza, pełne niesamowitych rzeźb, którym mormoni nadali imiona nawiązujące do kształtów i podobieństw: Skała Tajemnicy Skała Słońca, Trzej Patriarchowie, Wielki Biały Tron, Ołtarz Ofiarny i inne. Jest też Bryce National Park, a także Dixie Forrest koło Cedar City oraz Powell Lake – sztuczny zbiornik wodny na rzece Colorado, w pobliżu miasta Page, również w Stanie Utah.

W poszczególnych Stanach zwiedziliśmy następujące parki: w Kalifornii – Yosemite, Sequoia i Kings Canyon, Redwood, Lassen Volcanic; w Oregonie – Grand Lake; w stanie Washington – Olympic; w Arizonie – Grand Canyon; w Utah – Bryce Canyon i Zion.

Park Narodowy Bryce Canyon leży w południowo-zachodniej części stanu Utah w Stanach Zjednoczonych. Został utworzony 15 września 1928 roku. Jego powierzchnia wynosi 145,02 km².



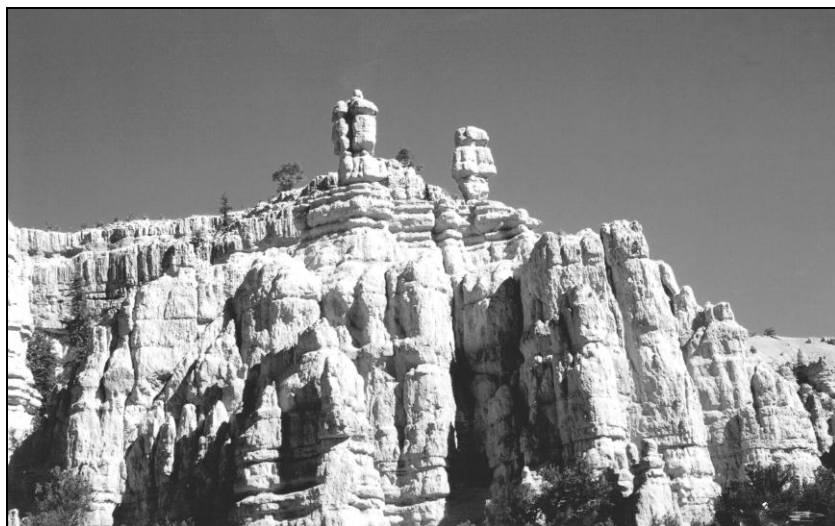
Bryce National Park, 2000, fot. Adam Zaleski



Dixie National Park – Hanezka na tle skał, 2000, fot. Adam Zaleski

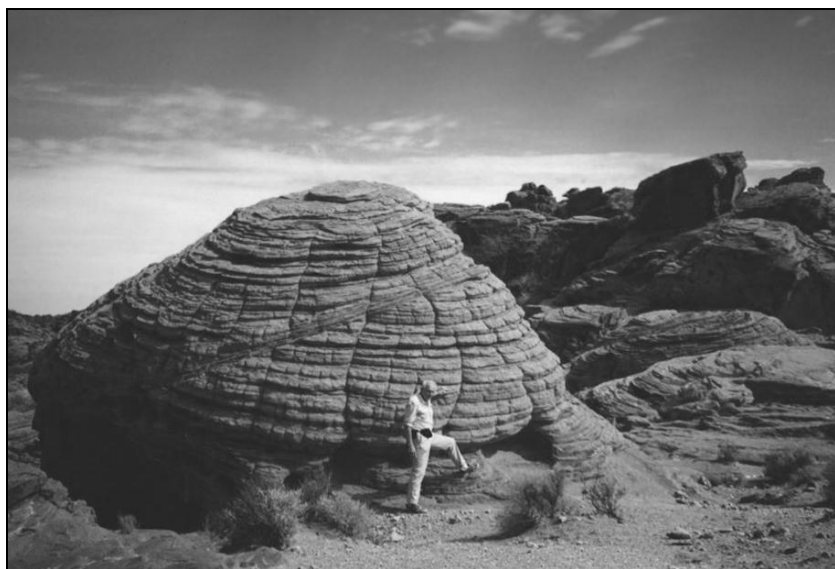


Zion National Park 2000, fot. Adam Zaleski

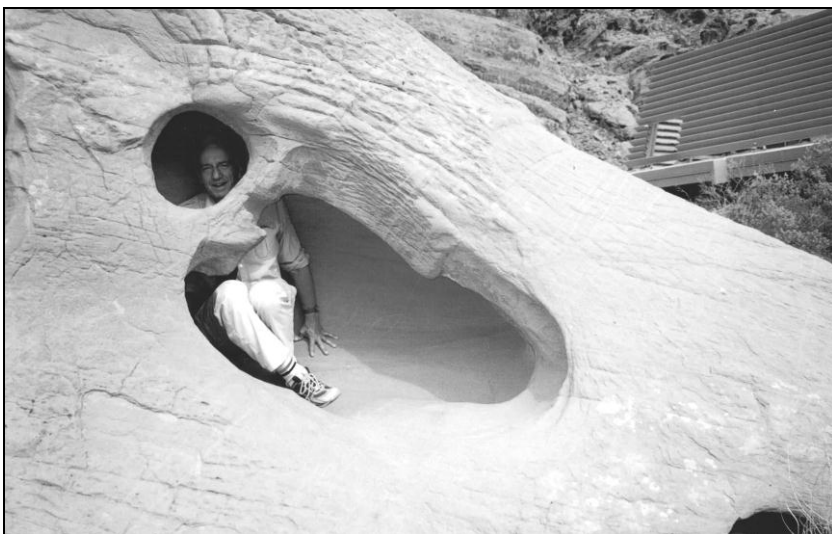


Fire National Park 2000, fot. Adam Zaleski

W Stanie Nevada znajduje się Valley of Fire z niesamowitymi tworami, z piaskowca żelazistego.

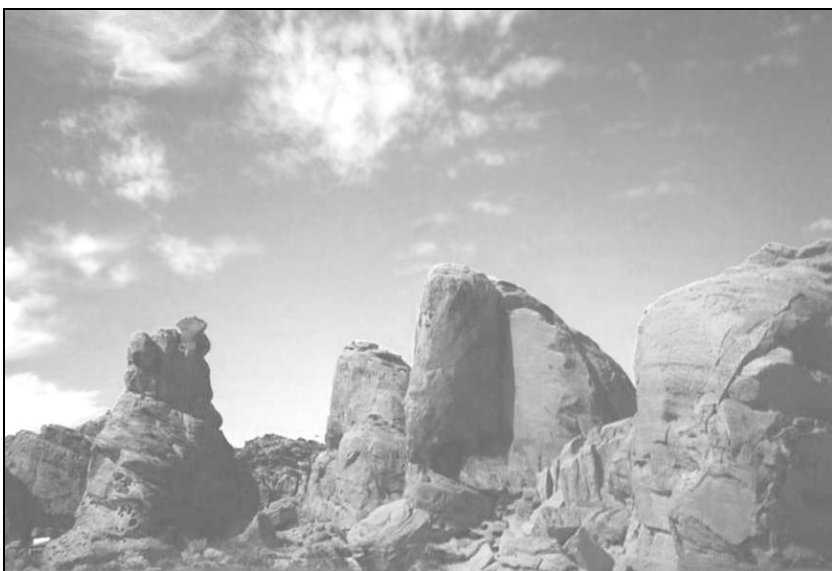


Adam Zaleski na tle skał w Fire National Park, 2000



*Adam Zaleski w korozyjnej komorze skał w Fire National Park, 2000
fot. Anna Zaleska*

Valley of Fire (Dolina Ognia) jest najstarszym parkiem stanowym Nevady, istnieje od 1935 roku.



Skały w Fire National Park, 2000, fot. Adam Zaleski

Kanał Panamski – intratna budowla

Wybudowanie Kanału Panamskiego (1904-1914) skróciło trasę żeglugi morskiej między Kalifornią a Nowym Jorkiem o około 14 500 km! Przedtem trzeba było opływać cały kontynent Ameryki Południowej.

Długość kanału wynosi 81,6 km, a system śluz pozwala na pokonanie 29 m wysokości po drodze. Kanał był pod jurysdykcją amerykańską do 1977 roku. Dopiero traktat w sprawie neutralności funkcjonowania Kanału Panamskiego, podpisany w Panamie 7 września 1977 roku, zapewnił Panamie prawa do terenu, którego przekazanie odbyło się w 1999 roku. Obecnie przepływa przez niego około 14 tys. statków rocznie, a każdy statek płaci 50 tys. \$. Zatem dochód tego małego państwa z kanału wynosi około 0,5 mld dolarów.

Kanał musi być jednak przebudowany i poszerzony. Niektóre współczesne statki mają nie tylko wyższe standardy, ale również większe gabaryty. Są już podpisane plany przebudowy do roku 2025, dzięki której przepustowość kanału wzrośnie dwukrotnie.

Chinatown

Miasto kipiące życiem i handlem z największym poza Azją skupiskiem ludności chińskiej, zajmujące 24 przecznice San Francisco. Takich dzielnic wyłącznie z ludnością chińską jest wiele w różnych metropoliach świata.

Chinatown w San Francisco powstało w 1848 roku. Zaczęło się jednak gwałtownie rozrastać, gdy po zakończeniu budowy linii kolejowej Wschód-Zachód przez kontynent amerykański około 20 tys. zatrudnionych przy jej budowie Chińczyków zostało bez pracy i prawie wszyscy pozostali w Stanach. Właśnie spora ich część osiadła w San Francisco. Chinatown – to gęsto zaludniony rejon miasta, w którym utrzymywany jest porządek pośród chaosu.

Sprzedawcy uliczni tłoczą się na chodnikach. Z wąskich uliczek napływają okrzyki, gdy rzeźnicy wystawiają szeroką ofertę mięs.

Oplecione latarniami i pagodami sklepiki i sklepy, specjalizujące się w konkretnych towarach i wywołujące ślinotok restaura-

cyjki, przypominające dziuple, mogą być perfekcyjnie zarządzane, ale mogą też przedstawiać obraz pozornego nieuporządkowania tej dzielnicy – ikony San Francisco.



Chinatown, San Francisco 2003, fot. Adam Zaleski

Muszę dodać, że po odwiedzeniu Chinatown w *San Francisco* i Nowego Jorku polubiłem atmosferę i klimat tych części miasta z chińskim folklorem, gdzie zachowuje się ich kulturę, obyczaje, tradycje i najczęściej rodzinny sposób prowadzenia lokali i handlu.

System penitencjarny w USA

Od 20 lat został wprowadzony w wielu stanach (w Kalifornii też) system *Three strikes and you are out*, zwany w skrócie *Three – strikes law*. Oznacza to, że po trzecim kolejnym wykroczeniu lub przestępstwie winny jest eliminowany ze społeczeństwa wysokim – 25-letnim lub dożywotnim wyrokiem. Jest to prawo kontrowersyjne, a ocena jego skuteczności nie jest oczywista. Moim zdaniem, jest to dobra metoda, zwłaszcza że w amerykańskim systemie prywatnych więzień nie obciąża podatnika, a podnosi jego bezpieczeństwo i spokój. Trzeba powiedzieć, że drastyczne przestępstwa

kryminalne dotyczą wielkich aglomeracji miejskich, podobnie jak na całym świecie. W większości miasteczek amerykańskich, zwłaszcza farm i osiedli, bezpieczeństwo jest całkowite, a przestępczość niewielka.

W Ameryce liczba więźniów w przeliczeniu, np. na 10 tys. mieszkańców jest względnie duża. Wynika to z dążenia władz stanowych do eliminacji nieuczciwych ludzi ze społeczeństwa i zapewnienia mu maksymalnego spokoju i bezpieczeństwa. Mimo tego, w niektórych dużych aglomeracjach miejskich, np. Nowy Jork, Los Angeles, Chicago występuje przestępczość i bandytyzm.

Alcatraz⁵²



Więzienie Alcatraz na wyspie w zatoce San Francisco 2003, fot. Adam Zaleski

Więzienie ciszy – w którym (oprócz sobót) w godz. 1-4 więźniowie nie mogli w ogóle ze sobą rozmawiać. Cele pojedyncze, nie większe niż 1,5 x 2,7 metra. To już wystarczyło, jak mówił jeden ze strażników, aby postradać zmysły.

Siedział tam słynny gangster Al Capone w latach 1931-1939, który był początkowo skazany na 25 tys. lat (sic!) więzienia. Jed-

⁵² Hiszp. Pelikan.

nak po ujawnieniu ważnych tajemnic i przyznaniu się do licznych przestępstw, zamieniono mu karę na 12 lat więzienia. W 1939 roku zwolniono go wpółobłąkanego. Dożył do 1947 roku w swojej willi w Palm Island (Floryda).

W 1963 roku więzienie Alcatraz zamknięto. W 1969 roku osiedlili się tam Indianie, wykorzystując traktat, na mocy którego każdy opuszczony teren federalny staje się automatycznie własnością autochtonów.

W 1971 roku władzom stanowym udało się usunąć stamtąd Indian, używając argumentu, że funkcjonuje nadal latarnia morska, a więc teren nie jest całkowicie opuszczony!

Indianie

Haniebną kartą Ameryki jest postępowanie białych w stosunku do Indian, np. dawanie im do podpisywania (w ubiegłych stuleciach) dokumentów oddających ich ziemię, czego – nie umiejąc czytać – nie rozumieli. Potem ich zabijano. Przykładem jest mord na Saukach (Siuksach) z grupy wodza Wielkiej Stopy nad potokiem Wounded Knee, 29 grudnia 1890 na terenie rezerwatu indiańskiego Pine Ridge.

We współczesnych czasach zdarzają się również przypadki okrutnego obchodzenia się z Indianami. W 1973 roku Siuksowie – oburzeni ich eksmisją z terenów, gdzie odkryto złoża surowców, traktowani jak zadżumione psy, dyskryminowani tak, że los Murzynów jest w porównaniu z tym ziemskim rajem – chwycili w końcu za broń i jeszcze raz zwrócili oczy świata na Wounded Knee.

28 lutego 1973 roku Siuksowie z miasteczka Pine Ridge pomalowali twarze w barwy wojenne, wzięli zakładników i opanowali w Wounded Knee kościół oraz teren przyległy do cmentarza, na którym spoczywają ofiary masakry Indian sprzed 83 lat.

Policja otoczyła Indian i po 71 dniach wzięto ich głodem. Podobnie, hańbą Ameryki jest sprowadzanie w XVIII i XIX wiekach murzyńskich niewolników z Afryki.

Indianie, wywodzący się z rasy mongoloidalnej, przywędrowali na kontynent amerykański około 16 tys. lat temu przez ist-

niejący wówczas lądowy przesmyk w miejscu dzisiejszej cieśniny Beringa. Etnografowie rozróżniają około 350 szczepów indiańskich, z czego ponad 50 zamieszkujących Kalifornię, np.: Youki, Cahto, Northesa Pomo, Eastern Pomo, Lassik, Yurok, Shasta Toh-u-a, Karok, Hupa, Chiluka, Whilkut, Wiyot, Achumawi, Atsugewi, Maidu, Yana, Konkow, Nisenga, Wappo. Jednak, ze względów polityczno-ekonomicznych i korzyści z prawa posiadania kasyn, rząd amerykański prawnie uwzględnia istnienie 562 szczepów.

W roku 1988 Indianie wywalczyli sobie prawo otwierania kasyn gry na całym terytorium USA, o czym już wspomniałem. Nazywane to jest *Indian revenge* (zemsta Indian). W 2001 roku dochód z indiańskich kasyn wyniósł 13 miliardów dolarów. Część tej kwoty przeznaczono na kształcenie młodych Indian, co już dało wyniki – pojawili się liczni, bardzo zdolni adwokaci, a tacy są właśnie potrzebni do obrony praw Indian w USA.

Trzeba dodać, że po tym, jak się okazało, że hazard jest świetnym biznesem, zaczęto tworzyć kasyna w całych Stanach, wykorzystując lukę w prawie, zwalniającą od przestrzegania przepisów zakazu otwierania kasyn, jak wspomniałem, na obiektach pływających. I tak powstały kasyna na licznych statkach, na Missisipi i innych rzekach USA.

Las Vegas/Zielone Łąki

W połowie XIX wieku Las Vegas było osadą mormońską – jedyną oazą na bezkresnych pustkowiach Nevady. Po zmianie granic stanów w 1869 roku Las Vegas, należące do Arizony, znalazło się w stanie Nevada.

W 1931 roku władze Nevady – widząc, że niczym innym nie przyciągną ludzi na teren stanu, który jest od krańca do krańca nieurodzajną pustynią, jako jedyne w USA – zalegalizowały hazard na swoim terytorium.

Teraz wolno jeszcze legalnie uprawiać hazard tylko w Atlantic City, w New Jersey, w obiektach znajdujących się na wodzie oraz w kasynach prowadzonych przez autochtonów – Indian.

Las Vegas jest miastem uciechy (*Fun City*). Najwspanialsze na globie: hotele, kasyna i lokale rozrywkowe – nie ma żadnych ogra-

niczeń i więzów moralnych – każdy wszystko *może móc*. Można się tu rozwieść w kilka minut, można grać hazardowo, ile się chce, można upić się bezkarnie bez prohibicyjnych ograniczeń, można wziąć lekcje seksu u najlepszych nauczycielek. Są pionowe kanały ze strumieniem powietrza skierowanym ku górze, tak intensywnym, że utrzymuje człowieka w stanie nieważkości (próbowałem). Można przepłynąć w gondoli sztucznym kanałem jak w Wenecji, znajdującym się na piętrze wielkiego hotelu z dekoracjami imitującymi scenerię Grand Canal. Jest wieża Eiffla i Łuk Triumfalny w skali 1:3. System komunikacji między hotelami pozwala na pokonanie sporej odległości bez wychodzenia na zewnątrz, piechotą lub kolejkami elektrycznymi. Są tu pokerowe mistrzostwa świata pań i panów.

Las Vegas ma do tego prawo, gdyż hazard jest przede wszystkim sensem jego istnienia. Poza tym, poker został wynaleziony przez 4 jankesów (Templar, Florence, Keller i Schenck). Znajduje się tam 300 największych kasyn planety Ziemia, 2 tysiące stołów do gry. Ruleta, kości automaty, wszystko, co istnieje na świecie w dziedzinie gier i szulerki.

Wszystko tu jest tanie – jest to metoda na przyciągnięcie turystów-graczy, którzy zostawią i tak spore fortuny w kasynach. Na przykład – grałem w tenisa na pełnowymiarowym betonowym bezpłatnym korcie na dachu jednego 10-piętrowego skrzydła 30-piętrowego hotelu Hilton.

Wine country

Na koniec trzeba powiedzieć, że Hiszpanie przywieźli do Kalifornii umiejętność uprawy winorośli, do czego kalifornijska ziemia i klimat szczególnie się nadawały. Dzisiaj przemysł winiarski zajmuje wysoką pozycję w dochodach Stanu, a kalifornijskie wina należą do najlepszych na świecie.

Zakończenie

Jak stwierdziłem na początku tej książki, moja mama urodziła się w 1900 roku, jak się teraz okazuje był to jeszcze XIX wiek, a zmarła w 1994 roku, przeżywszy prawie cały XX wiek. Była świadkiem niewiarygodnego rozwoju techniki w tym stuleciu.

W 1903 roku bracia Wright odbyli pierwszy udany lot samolotem na niewielkim odcinku, a już w 1969 roku człowiek stanął na księżycu. Samoloty rozwijają prędkość kilku machów (około 4000 km/godz.), a podróż przez Atlantyk trwa parę godzin, podczas gdy statkiem na początku wieku trzeba było płynąć ponad tydzień.

W 1999 roku, w USA odbyło się około 28 milionów startów samolotów. Jeśli się uwzględni, że rok ma około 31 mln sekund – start samolotów w USA odbywał się prawie co 1 sekundę, na świecie zaś zapewne 2-4 starty na sekundę, a obecnie – w 2014 jeszcze więcej. Są to liczby, w które trudno uwierzyć i natychmiast nasuwa się myśl – na jak długo starczy paliwa dla tych maszyn, spalających przecież na jeden lot kilka ton ciekłego paliwa.

Wszelkie prognozy, co do zapasów ropy w złożach naturalnych stale się deaktualizują, bowiem środki techniczne pozwalają sięgać coraz głębiej pod powierzchnię naszej planety w poszukiwaniu jej, a zwłaszcza pod powierzchnię mórz i oceanów.

Oglądałem niedawno w telewizji taki pływający szyb na morzu meksykańskim, 160 km od brzegu. Jego konstrukcja waży 140 tys. ton, jest zanurzony na 28 m w wodzie o głębokości 960 m, zakotwiczony, a jego wiertła wydobywają ropę z głębokości 5000 m!

Koszt jego budowy wyniósł 1 mld \$, a wartość dziennego wydobycia ropy wynosi 1 mln \$, zatem amortyzacja następuje już po niecałych 3 latach! Ponadto wśród zasobów energetycznych pojawił się niedawno gaz łupkowy, którego udział w energetyce stale wzrasta. Jednak kiedyś musi się to wyczerpać.

Jakie zatem źródła energii będą wykorzystywane?

Zawrotny postęp, szaleńczy rozwój techniki, komputeryzacja, okiełznanie i wykorzystanie energii jądrowej – to tylko niektóre z osiągnięć XX wieku. Ogromna nadprodukcja towarów na rynku daje współczesnemu człowiekowi nieograniczone możliwości konsumpcyjne. Stwarza wygodę i komfort życia, a jednocześnie rodzi nowe, trudniejsze problemy społeczne, etniczne, ekologiczne i inne. Pojawia się tęsknota za naturą, z rozrzewnieniem wspomina się minione, z naszego punktu widzenia, spokojne czasy końca XIX wieku.

Zawsze jednak pozostaje bogaty świat literatury, w której zaginiony i przytłoczony troskami dnia człowiek znajduje uspokojenie, a nawet radość. Istnieje wspaniała, tworzona przez wiele wieków muzyka, podróże, niekoniecznie do wielkich metropolii, ale tam gdzie można z przyjemnością i spokojem obserwować przyrodę, jej piękno i zachodzące w niej zjawiska. Właśnie tam można i trzeba szukać szczęścia i spokoju, zamiast w gromadzeniu dóbr materialnych, których nadmiarem cechuje się XX i początek XXI wieku!

Wypadki 11 września 2001 roku wpłynęły, moim zdaniem, bardzo istotnie na dotychczasową filozofię życia. Ludzie zawsze dążyli do przedłużania życia poprzez rozwój medycyny, farmakologii i wieloma innymi sposobami. W całej historii ludzkości starano się zapewnić bezpieczny byt sobie, swoim rodzinom, swoim krajom, przy czym towarzyszyły temu zawsze wojny zarówno zaczepne, jak i obronne, pociągające za sobą również ofiary.

Wydarzenia 11 września wykazały jednak, że na początku XXI wieku pojawiła się – wcale nie mała – grupa fanatyków, których celem jest unicestwienie siebie, aby unicestwić innych tylko za to, że inaczej myślą i wyznają inne ideały. Temu okrutnemu zjawisku cała ludzkość musi się przeciwstawić. Jest to nowe wezwanie tego stulecia.

Niestety, ludzkość nie potrafi uporać się ze zjawiskiem nędzy i głodu, przy jednoczesnym wielkim nadmiarze żywności i środków konsumpcji w wielu częściach globu. Jednym słowem, istnieje bezradność przy podziale środków niezbędnych do egzystencji. Niedawno stwierdziłem, że w moim życiu zgromadziło się trochę faktów, wydarzeń i wrażeń, które warto zapisać – aby przynajmniej najbliżsi dowiedzieli się o nich, i to uczyniłem w niniejszej książce.

Charakterystycznym w życiu mojej generacji był udział w różnych systemach politycznych i społecznych, w tym: totalitarnych; oraz konieczność dostosowania się do wynikających z tego faktu zmiennych warunków życia. Jednocześnie, trzeba było uczyć się, studiować, pracować, tworzyć dom, rodzinę, zadbać o swoją pozycję w społeczeństwie. Nie były to łatwe zadania. Starałem się je w miarę swoich możliwości jak najlepiej rozwiązywać, a czy to mi się udało – ta ocena nie należy do mnie.

Reasumując, mogę powiedzieć, że jestem człowiekiem szczęśliwym, ponieważ w moim życiu spotykałem najczęściej dobrych i życzliwych ludzi. Mam wspaniałą rodzinę – synów, synowe, wnuków, dalszych krewnych – którzy odwzajemniają mi moją miłość do nich, oraz sporo wiernych prawdziwych przyjaciół.

Znany bard rosyjski – Bułat Okudźawa (1924-1997) w jednej ze swoich ballad tak określa drogę i cel starszego człowieka:

***Więc idę pomaleńku, niech starczy sił, by dojść,
i niech nie zaznam lęku, gdy życie da mi w kość.***

Adam Zaleski

Wrocław, marzec 2014

Podziękowania

W tej książce nie pisałem w zasadzie o swojej pracy zawodowej. Jednak przez cały okres swojej działalności pedagogicznej, naukowej, technologicznej i organizacyjnej współpracowałem w szerokim zakresie z ludźmi. Wszystkim swoim byłem współpracownikom – moim nauczycielom, a także tym, którzy mi podlegali oraz współpracownikom z przemysłu składam serdeczne podziękowanie i wyrazy wdzięczności za wzajemną bardzo owocną współpracę, dzięki której były możliwe również moje osobiste postępy naukowe.

Po odejściu profesora Witolda Romera (1900-1967) w 1967 roku, przejąłem jego wykład z podstaw poligrafii na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej. Ta ważna gałąź techniki była wówczas na poziomie dawnej manufaktury. W latach 70. XX wieku przez kilka semestrów Rada Wydziału Architektury PWr zlecała mi wykład z poligrafii, uznając, że architektom potrzebna jest znajomość metod kopiowania i powielania tekstów, rysunków, grafik i innych prac.

Od tego czasu, po upływie prawie pół wieku, zaszły głębokie zmiany w poligrafii. Powstała komputeryzacja, która bardzo istotnie przekształciła techniki poligraficzne, umożliwiając szybko i niewielkim kosztem napisanie i wydrukowanie książki. Dożyłem tego czasu i aczkolwiek nie zdążyłem dogłębnie poznać komputeryzacji, nauczyłem się z niej korzystać przy tworzeniu i zapisie tekstów. Dlatego mogła powstać ta książka.

Składam serdeczne podziękowanie wszystkim, którzy pomagali mi w tym przedsięwzięciu, przez udzielanie pomocy w tworzeniu i zapisie tekstów i obrazów na komputerze.

Dziękuję mojemu byłemu współpracownikowi dr. hab. Piotrowi M. Nowakowi, który wprowadził komputeryzację w naszym zakładzie i nauczył mnie podstaw posługiwania się tą techniką.

Mojemu wnukowi Bartoszowi Zaleskiemu dziękuję na złożenie mi pierwszego komputera. Uznał on jednak, że informatyki nauczy się lepiej na Zachodzie i ukończył Wydział Computer Science w University College Dublin (2012).

Wdzięczny również jestem swojemu najstarszemu wnukowi inż. Maciejowi Zaleskiemu, grafikowi komputerowemu, za stałą konsultację, pomoc i rady w zakresie posługiwania się techniką komputerową.

Najserdeczniejsze podziękowania i wyrazy wdzięczności kieruję do redaktor Kasi Kuzborskiej za nadzwyczaj profesjonalne uwagi, rzeczowe rady, korektę i uzupełnienie tekstu w istotne informacje, za bardzo udane wkomponowanie w tekst licznych ilustracji, a także za zaangażowanie, cierpliwość, wytrwałość i harmonijną współpracę.

Adam Zaleski

Spis fotografii

1. *Dziadek Stanisław Zaleski z rodziną. Od lewej, u góry: Józef Varanka, N, Eugeniusz, Aniela, Mieczysław, Helena, Otto Schutera, Maria, N, siedzą: N, babcia Józefa, dziadek Stanisław, Paulina, u dołu: Zygmunt i Ryszard, Hucisko 1903* 12
2. *Rodzeństwo ojca, stoją od lewej: Zygmunt, Paulina, Ryszard, Mieczysław, Aniela, Eugeniusz, siedzą: Maria, Helena, babcia Józefa oraz Józef, 1915* 15
3. *Rodzina Varanków. Piotr u góry, Danusia z jasnymi włosami, w środku* 16
4. *Rodzina Wojtka i Teresy Varanków, Kansas City* 17
5. *Ryszard Zaleski, zdjęcie maturalne, 1908* 20
6. *Herb Wieniawa* 22
7. *Herb Lis* 23
8. *Siostry Lubińskie, od prawej: Tekla, Irenka, Wiktoria i Stasia, 1911* 24
9. *Babcia Jadwiga Lubińska, z domu hr. Chomętowska, z dziećmi: Teklą, Jankiem i Stasią, 1923* 25
10. *Anna, Janusz i Maja Zabokrzyccy* 26
11. *Stanisława Lubińska, Warszawa 1920* 26
12. *Ryszard Zaleski jako leutenant CK Armii Austriackiej, 1915* 27
13. *Ryszard Zaleski (z czarną opaską na rękawie) ze swoim oddziałem, Ukraina 1916* 28
14. *Rodzeństwo Lubińskich, od lewej: Tekla, Janek i Stasia* 30
15. *Zdjęcie ślubne rodziców, 1920* 31
16. *Rodzice, 1920* 31
17. *Stanisława i Ryszard Zalescy, Wilno 1920* 32
18. *Basia Zaleska z mamą, 1925* 32
19. *Zosia Zaleska, 1946* 33
20. *Rodzeństwo Zaleskich – Zosia i Adam, Lwów 1930* 34
21. *Herb Lwowa z okresu II Rzeczypospolitej* 35
22. *Klub Sportowy Pogoń Lwów, herb* 36

23.	<i>Uniwersalny Dom Towarowy. W latach 20. i na pocz. 30. XX wieku – Małopolski Zakład Odzieży, Lwów, fot. Adam Zaleski</i>	39
24.	<i>Rodzina w górach. Stoją na skraju po lewej stronie: Gienio, po prawej: Tadzio; siedzą w środku: wujcio Loncio, po jego lewej stronie ciocia Aniela, stryj Eugeniusz i ciocia Paulina, 1934</i>	40
25.	<i>Odwiedziny Jurka i Edzia Jankowskich, Lubieżnia 1938</i>	41
26.	<i>Rodzina. Od lewej wujcio Loncio, ciocia Aniela, ciocia Mania, stryj Eugeniusz, jego żona Jadwiga, Gienio, Marysia, Jadzia, w środku stoi Ewa, Lwów 1937</i>	42
27.	<i>Od lewej: Gosia, Wojtek, Zosia, mama z Maćkiem na rękę, wujek Janek, Adam, ciocia Tunia, Edzio, Zbiersk 1935</i>	45
28.	<i>Maciej Lubiński (1933-1992), portret autorstwa Krystyny Szorskiej, 1994</i>	46
29.	<i>Adam Zaleski - sentymalna podróż do krainy dzieciństwa. Wysoki Zamek, w tle wieża Ratusza, podobna do wieży Ratusza we Florencji, Lwów 2012, fot. Ola Zaleska, wnuczka</i>	47
30.	<i>Narodowości. Mapa etnograficzna Polski, 1937. Atlas Polityczny E. Romera, Książnica Atlas, Lwów 1938</i>	48
31.	<i>Anna Sucharda-Sobczyk</i>	62
32.	<i>Ostatnie wspólne zdjęcie rodziny Zaleskich. Lubieżnia w Czarnohorze, sierpień 1939</i>	65
33.	<i>Mapa Kazachstanu, z zaznaczonym Semipałatyńskiem, 2001</i>	87
34.	<i>Mapa ZSRR z trasą wywózki i powrotu z zesłania</i>	87
35.	<i>Kazachstański step</i>	88
36.	<i>Wojtek Lubiński z żoną, Fermo 1945</i>	112
37.	<i>Mario i Julia Lubińscy, Kalisz 1955, fot. Adam Zaleski</i>	113
38.	<i>Adam z Julią Lubińską, Fermo 1964</i>	113
39.	<i>Mario Lubiński z córką Margheritą i z babcią – Małgorzatą Rutską z domu Lubińską, Wrocław 2009, fot. Adam Zaleski</i>	114
40.	<i>Wnuki Wojtka Lubińskiego, dzieci Julii i Franco Piccolotto: Sergio, Silvia, Marina, na ślubie Elisy z Massimiliano Zammarano, Fermo 2009, fot. Adam Zaleski</i>	114
41.	<i>Wnuki Wojtka Lubińskiego, dzieci Maria i Tiziany. Od lewej: Margherita, Anna, Irina, Cristina, Stephano, Elisa. Stoją: Tiziana ze swoją mamą, Pasqua 2009</i>	115
42.	<i>Zosia Grodzieńska z mężem oraz siostra Zosia, Kraków 2001, fot. Adam Zaleski</i>	117
43.	<i>Park Stryjski. Od lewej: Zosia, Wojtek Kilar, jego mama – Neonilla, Bronisław Tomczyk, Adam, Lwów 1938, fot. Stanisława Zaleska</i>	118
44.	<i>Moja 9 klasa polskiej szkoły w Semipałatyńsku, 1946</i>	139

45.	<i>Radość wolności – Adam Zaleski w pociągu jadącym z Wrocławia do Jeleniej Góry, 1948</i>	140
46.	<i>Stanisława Zaleska z Zosią i Adamem po powrocie z zesłania, 1946</i>	143
47.	<i>Nowożeńcy – Basia i Adam Zalescy, Wrocław 1953</i>	157
48.	<i>Piotr Zaleski, 1958, fot. Adam Zaleski</i>	158
49.	<i>Andrzej Zaleski, 1964, fot. Adam Zaleski</i>	158
50.	<i>Adam z Basią na własnej wufemce w czeskich Tatrach, 1959</i>	158
51.	<i>Wycieczka nowym wartburgiem 911 z ojcem Basi, 1971</i>	159
52.	<i>Rodzina Zaleskich pod Turbaczem, Gorce, lato 1968</i>	160
53.	<i>Hiszpania. Napis na skale – Zaleski Moda, 100 km od Madrytu, fot. Adam Zaleski</i>	161
54.	<i>Kamienny most w Mostarze, przewieszony nad rzeką Neretwą. Zniszczony podczas wojny bośniackiej w 1993, odbudowany w 2004, Bośnia i Hercegowina 1966, fot. Adam Zaleski</i>	161
55.	<i>Basia Zaleska z synami – Piotrem i Andrzejem, 1967, fot. Adam Zaleski</i>	162
56.	<i>Zalescy na grzybach, Mazury 1972</i>	163
57.	<i>Basia Zaleska z synami przed Bazyliką Sacré-Cœur, Paryż 1973, fot. Adam Zaleski</i>	163
58.	<i>Srebrne wesele: Basia z Adamem oraz synowie: Piotr z Zosią i Andrzej, Kokoszków koło Nowego Targu, 1978</i>	164
59.	<i>Rodzina Zaleskich na spacerze koło Wrocławia, zima 1978/1979</i>	164
60.	<i>Basia Zaleska, 1980, fot. Adam Zaleski</i>	165
61.	<i>Ślub Piotra z Zosią, 1979, fot. Adam Zaleski</i>	166
62.	<i>Maciuś, Bartuś i Tomcio – synowie Zosi i Piotra Zaleskich, 1991, fot. Adam Zaleski</i>	167
63.	<i>Zosia i Piotr z synami, od lewej: Maciej, Bartosz i Tomasz, 1993, fot. Adam Zaleski</i>	167
64.	<i>Bartosz Zaleski z rodziną po otrzymaniu dyplomu Univesity College, Dublin 2012</i>	168
65.	<i>Ślub Andrzeja i Izy (z d. Korona), Korczyna 1984, fot. A. Zaleski</i>	168
66.	<i>Andrzej i Iza Zalescy w dniu ślubu, fot. Adam Zaleski</i>	169
67.	<i>Iza i Andrzej Zalescy z dziećmi: Olą i Szymonem, Szczytna 2012, fot. Adam Zaleski</i>	170
68.	<i>Holendry koło Grabowna Wlk. Od lewej: Iza, Szymon, Andrzej, Piotr, Maciej, Zosia, Ola, Tomek; z przodu: Adam i Joasia, 2010</i>	170
69.	<i>Ślub Adama Zaleskiego z Hanią Janikowską, 1993</i>	172

70.	<i>Boże Narodzenie, od lewej: Adam, Hania, Rysio, Winia – mama Małgosi, Andrzej, Małgosia, Iza, Marysia, Ola, Jola (stoi), Jadzia (siedzi), Ewa i Hania Leszczyńska, 1998</i>	172
71.	<i>Emilek jako wierny towarzysz eskapad, również kajakowych, 2012, fot. Adam Zaleski</i>	173
72.	<i>Adam z Hanią na Kole Podbiegunowym koło Rovaniemi, 1986</i>	174
73.	<i>Nocny klub, Las Vegas 2003</i>	175
74.	<i>Model średniowiecznej fregaty w sztucznym porcie, Las Vegas 2003</i>	176
75.	<i>Model weneckiego Canale Grande, Pawilon włoski, Las Vegas</i>	176
76.	<i>Z Hanią przy moście Golden Gate Bridge, San Francisco, Hrabstwo Marin 2000</i>	177
77.	<i>Na szczycie World Trade Center (Centrum Handlu Światowego), zniszczonego 11 września 2001 roku; Nowy Jork, 3 maja 1980</i>	177
78.	<i>Hania nad wodospadem Niagara, na granicy USA – Kanada. Wodospad składa się właściwie z trzech wodospadów: Amerykańskiego, Bridal Veil – Welon Królowej i Horseshoe – Podkowiastego, 2000, fot. Adam Zaleski</i>	178
79.	<i>Dzieci Zosi Zaleskiej-Tereszkiewicz: Rysio i Magdusia, fot. Adam Zaleski</i>	182
80.	<i>Zosia z córką Magdusią, fot. Adam Zaleski</i>	183
81.	<i>Pod Lanckoroną koło Krakowa. Od lewej: Haneczka z pieskiem Emi, Wojtuś, Magdusia i Andrzej Błaszczycowie oraz Zosia, 1992, fot. Adam Zaleski</i>	184
82.	<i>Ryszard i Jola Tereszkiwiczowie z dziećmi: Mają i Konradem</i>	184
83.	<i>Zosia, Stefan Zaleski z Paryża – syn Eugeniusza, Laetitia i Isabelle Philippe – córki Stefana, Magdalena Błaszczyc – córka Zosi, z tyłu: Andrzej Błaszczyc i Adam Zaleski, Kraków 2005</i>	185
84.	<i>Zosia, 2006, fot. Adam Zaleski</i>	185
85.	<i>Tenia i Zosia, Melchnau, Szwajcaria 1989, fot. Adam Zaleski</i>	186
86.	<i>Susan Candrian</i>	186
87.	<i>Ryszard i Jola Tereszkiwiczowie, Magdalena Błaszczyc, Irena Pirowska, Wojciech Błaszczyc, Adam Zaleski, Wysoki Zamek, Lwów 2007</i>	187
88.	<i>Ryszard i Jola Tereszkiwiczowie oraz Magdalena, Andrzej i Wojciech Błaszczycowie – Jubileusz 80-lecia urodzin Ireny Pirowskiej, Kraków 2009, fot. Adam Zaleski</i>	187
89.	<i>Cmentarz Obrońców Lwowa/Orląt Lwowskich. Uroczyste otwarcie odbudowanego cmentarza odbyło się 24 czerwca 2005 roku, fot. Adam Zaleski</i>	189
90.	<i>Pomnik Ofiar Zbrodni Katyńskiej, Wrocław, widok od przodu, fot. Alina Głowacka-Szłapowa</i>	190

91.	<i>Pomnik Ofiar Zbrodni Katyńskiej, widok z boku, fot. Alina Głowacka-Szłapowa</i>	190
92.	<i>Uroczystość odsłonięcia pomnika z udziałem ministra Andrzeja Przewoźnika, rodzin oficerów pomordowanych w Katyniu oraz władz Dolnego Śląska, gości i mieszkańców Wrocławia</i>	191
93.	<i>Nowy nagrobek Dagny Juell-Przybyszewskiej (1867-1901) w Tbilisi, Norwegia, fot. Przemysław Zagierski</i>	195
94.	<i>Natalia Uwarova, fot. Adam Zaleski</i>	197
95.	<i>Adam z Natalią Uwarovą, Ewą Poźniak i Jevgienijem Babliukiem, Moskwa 2006</i>	199
96.	<i>Adam Zaleski jako Newton</i>	199
97.	<i>Jevgienij Babliuk, Alpy 2012</i>	200
98.	<i>Na dworcu w Harbinie podczas podróży Moskwa – Pekin (Beijing). Od lewej stoi student z Danii – Mogens Hansen, anglistka – pani prof. Zhou Kai-wan, obejmując studentkę z Harbinu – Liu Lan-chun, Mandżuria 1987</i>	201
99.	<i>Pałac Cesarski, Pekin, fot. Adam Zaleski</i>	202
100.	<i>Ogłoszenie referatu, Pekin</i>	203
101.	<i>Prof. Adam Zaleski z prof. Peng-Bi Xianem i pracownikami laboratorium badawczego przed fabryką fotochemiczną, Baoding</i>	203
102.	<i>Hefei – prowincja Anchua, Chiny 1987</i>	204
103.	<i>Największy miejski plac na świecie: Tiananmen, Pekin, Beijing 1987, fot. Adam Zaleski</i>	206
104.	<i>Przy serdecznym pożegnaniu drobne upominki od gospodarzy</i>	207
105.	<i>Teresa Romanowska-Zmorska, fot. Adam Zaleski</i>	211
106.	<i>Lodowiec Aletsch Gletscher pod Jungfrau w Alpach, Szwajcaria, fot. Adam Zaleski</i>	214
107.	<i>Mister szczytów górskich świata: Matterhorn, fot. Andrew Bossi</i>	216
108.	<i>Epitafium na grobie Teresy Pfabé-Kamal w Kairze, fot. Adam Zaleski</i>	219
109.	<i>Kairski stary bazar Chan al-Chalili, fot. Adam Zaleski</i>	222
110.	<i>Kair – miasto tysiąca meczetów, fot. Adam Zaleski</i>	222
111.	<i>Sfinks na tle piramidy Cheopsa</i>	224
112.	<i>Struktura piramidy Cheopsa, fot. Adam Zaleski</i>	225
113.	<i>Fotomikrografia mikrokryształów bromku srebra o budowie ośmiościanów: podwójnych piramid o wielkości 1/3000 mm, wykonanych w naszym laboratorium, fot. Adam Zaleski</i>	225
114.	<i>Hania Howaidy z Tomim, Kair 2009, fot. Adam Zaleski</i>	226
115.	<i>Mohamed Yousif Kamal, syn Magdy, fot. Adam Zaleski</i>	227

116.	<i>Muzułmański Egipt, fot. Adam Zaleski</i>	228
117.	<i>Profil Sfinksa Abu al-Hol (Ojciec strachu), Giza, fot. Adam Zaleski</i>	229
118.	<i>Aleksandria – stolica Egiptu przez blisko tysiąc lat, fot. A. Zaleski</i>	230
119.	<i>Z Tomim Janikowskim na wielbłądach pod piramidami, 1 stycznia 2011</i>	233
120.	<i>Hala Kamal z 3-letnim synkiem Czarkiem, fot. Adam Zaleski</i>	234
121.	<i>Córki Teresy Pfabé-Kamal: Ola, Hala z Czarkiem, Magda, Kair 2011, fot. Adam Zaleski</i>	234
122.	<i>Występ derwiszów w meczecie, Kair 2011, fot. Adam Zaleski</i>	235
123.	<i>Statek na Nilu, który doganialiśmy motorówką, 2011</i>	237
124.	<i>Z tancerką wcześniej prezentującą taniec brzucha, na statku, Nil</i>	238
125.	<i>Oaza Al-Fayyūm na Saharze. Siedzą wokół stołu: Nayra, Dalia – kuzynka Nayry, Tomi, Ola, Tarek, Adam, Małgosia Pfabé – żona Jurka, Maissa – matka Tarka i Nayry, Hala, Jurek Pfabé – brat śp. Teresy Kamal</i>	239
126.	<i>W parku Stryjskim, z lewej: Wojtek Kilar i Adam Zaleski, fot. Stanisława Zaleska</i>	240
127.	<i>List od Wojciecha Kilara do Adama Zaleskiego</i>	242
128.	<i>Orawa 1974, izohelia, fot. Adam Zaleski</i>	243
129.	<i>Adam Zaleski w Biegu Maratońskim Ślęza – Wrocław, w 60-lecie swoich urodzin, maj 1988</i>	245
130.	<i>Adam Zaleski z synową Zosią, synem Piotrem i wnukiem Tomkiem na lodowcu Dachstein, Alpy 2000</i>	247
131.	<i>Na lodowcu Stubai, około 2950 m n.p.m., Austria 2004</i>	248
132.	<i>Przed startem na Czarnej Hańczy, 2009, fot. Adam Zaleski</i>	250
133.	<i>Napotkane na trasie kormorany, fot. Adam Zaleski</i>	250
134.	<i>Na spływie Drwęca, siedzą od lewej: Piotr z Lolą, Adam z Emilkiem, Handzia, Stasio, Zosia z Bolkiem, Maciek i Ania z Damą, 2011</i>	251
135.	<i>XIII rodzinny spływ kajakowy Drwęca, 2011</i>	251
136.	<i>Zosia przygotowuje śniadanie na dzikim biwaku, 2012, fot. Adam Zaleski</i>	252
137.	<i>Drużyna tenisowa moich przyjaciół, od lewej: Józio, Adam, Krysia, Mirek, Lucek, Piotruś. Ponad 40 lat wspólnej gry – wspólnych radości i sportowych emocji</i>	254
138.	<i>Drużyna tenisowa od tyłu ...z metryką</i>	254
139.	<i>Spotkania towarzyskie naszej drużyny tenisowej, zwanej Grupą Baryckiego, poza kortem, z kibicami: Irenką i Asią</i>	255

140.	<i>Reprezentacja pracowników Wydziału Chemicznego PWr na tradycyjny coroczny mecz piłki nożnej: pracownicy-studenci, Wrocław 1994</i>	255
141.	<i>Spotkanie na uczelni z okazji odejścia prof. Adama Zaleskiego na emeryturę, na stole widać prezent jubileuszowy – model cząsteczki fulerenu C₆₀ z piłek tenisowych symbolizujących atomy węgla, wykonany przez partnerów tenisowych, 1998</i>	256
142.	<i>Gratulacje jubileuszowe od kadry naukowej Politechniki Łódzkiej, dr hab. Andrzej Korczyński (1935-2004)</i>	257
143.	<i>Zasłużony i Honorowy członek Fotoklubu RP, Warszawa, 20 września 1998</i>	258
144.	<i>Spotkanie rodziny i przyjaciół z okazji 80-lecia urodzin Adama Zaleskiego, 2008</i>	259
145.	<i>Dyplom od Drużyny tenisowej, Wrocław, 1 czerwca 2008</i>	260
146.	<i>Certyfikat Członka Honorowego Royal Photographic Society, 2 września 2000</i>	261
147.	<i>Prof. Adam Zaleski podczas Kongresu ICIS z przewodniczką, córką prof. T. Tani, kierownika laboratorium badawczego firmy Fuji, na podtokijskiej stacyjce Kawasaki, 2002</i>	262
148.	<i>Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, mapa</i>	263
149.	<i>Adam Zaleski przed Statuą Wolności, Nowy Jork</i>	266
150.	<i>Widok na WTC spod Statui Wolności, Nowy Jork 1980</i>	267
151.	<i>Haneczka na widokowym pokładzie Amtraka, fot. Adam Zaleski</i>	268
152.	<i>Z Hanią na szosie w Stanie Nevada</i>	270
153.	<i>Grand Canion Arizona, fot. Adam Zaleski</i>	272
154.	<i>Krajobraz Arizony, fot. Adam Zaleski</i>	273
155.	<i>Fragment wybrzeża kalifornijskiego Monterey nad Pacyfikiem, fot. Adam Zaleski</i>	276
156.	<i>Sekwoja z czasów Mahometa, Kalifornia, fot. Adam Zaleski</i>	277
157.	<i>Pod sekwoją prezentowaną wyżej, 2004, fot. Jarosław Zięba</i>	278
158.	<i>Bezkrzesne drogi Nevady, fot. Adam Zaleski</i>	279
159.	<i>Z Asią i Jarkiem w ich kalifornijskim rancho, 2000</i>	280
160.	<i>Asia i Jarek Markowiakowie, Wrocław 2005, fot. Adam Zaleski</i>	281
161.	<i>85 m poniżej poziomu morza, Death Valey 2000, fot. Anna Zaleska</i>	282
162.	<i>Secesyjne wille, San Francisco 2000, fot. Adam Zaleski</i>	283
163.	<i>Ulice San Francisco, 2000, fot. Adam Zaleski</i>	285
164.	<i>Yosemite National Park 2000, fot. Adam Zaleski</i>	286
165.	<i>Bryce National Park, 2000, fot. Adam Zaleski</i>	288
166.	<i>Dixie National Park – Haneczka na tle skał, 2000, fot. A. Zaleski</i>	289

167.	<i>Zion National Park, 2000, fot. Adam Zaleski</i>	289
168.	<i>Fire National Park 2000, fot. Adam Zaleski</i>	290
169.	<i>Adam Zaleski na tle skał w Fire National Park, 2000</i>	290
170.	<i>Adam Zaleski w korozyjnej komorze skał w Fire National Park, 2000, fot. Anna Zaleska</i>	291
171.	<i>Skały w Fire National Park, 2000, fot. Adam Zaleski</i>	291
172.	<i>Chinatown, San Francisco 2003, fot. Adam Zaleski</i>	293
173.	<i>Więzienie Alcatraz na wyspie z zatoce San Francisco, 2003, fot. Adam Zaleski</i>	294

Spis treści

Wstęp	3
I. Historia mojej rodziny	7
1. Rodzina Zaleskich	7
2. Rodzina mojego ojca	12
3. Rodzice ojca – moi dziadkowie	13
4. Stanisław Zaleski, dziadek	13
5. Józefa Zaleska z domu Śliwińska, babcia	13
6. Rodzeństwo ojca – Zalescy	14
7. Józef Zaleski (1875-1942), najstarszy brat ojca	14
8. Paulina Zaleska (1876-1940)	15
9. Helena Zaleska (1879-1964) i jej rodzina	15
10. Aniela Zaleska (1881-1953)	17
11. Mieczysław Zaleski (1883-1954) i jego rodzina	17
12. Eugeniusz Zaleski (1985-1942) i jego rodzina	18
13. Maria Zaleska (1886-1956) i jej rodzina	20
14. Ryszard Zaleski (1889-1940), mój ojciec	20
15. Zygmunt Zaleski (1890-1943), najmłodszy brat ojca	20
16. Rodzina mamy – Lubińscy, Chomętowscy	21
17. Lubińscy – moi dziadkowie	21
18. Alfons Lubiński, herbu Wieniawa (1863-1901), dziadek	21
19. Rodowód domu Chomętowskich	22
20. Jadwiga hr. Chomętowska (1866-1926), babcia	23
21. Stanisława Lubińska (1900-1994), mama	26
22. Poznanie się rodziców	27
23. Rewolucja bolszewicka	28
24. Ślub rodziców (1920)	31
25. Barbara Zaleska (1922-1925), siostra	32
26. Zofia Zaleska (1926-2006), siostra	33
27. Adam Zaleski (1928), autor tej książki	33

II. Moje lwowskie wspomnienia	37
28. Małopolski Zakład Odzieży	37
29. Wczesne dzieciństwo – wakacje letnie	40
30. Wyprawa na Zachód, lato 1935	42
31. Lwów – miasto dzieciństwa	46
32. Dom rodzinny – Józia Jaworska	49
33. Muzyka w naszym domu	50
34. Atrakcje miejskie	52
35. Wizyty u wujostwa Varanków	53
36. Polacy – Ukraińcy	55
37. Szkoła, życie rodzinne	56
38. Leon Poradowski	58
39. Anna Sucharda-Sobczyk – Młodsza o...	60
40. Nadchodzi wojna	64
41. II wojna światowa	65
42. Sowiecka okupacja	68
43. Policja polityczna	72
44. Akcje przedwysiedleńcze	73
45. Deportacje – dane liczbowe	75
46. Wywózka pierwsza	76
47. Wywózka druga	77
48. Wywózka trzecia	77
49. Wywózka czwarta	78
50. Aresztowanie i zesłanie	80
51. Droga w nieznane	85
III. Kazachstan	89
52. Semipałatyńsk – nowa rzeczywistość	89
53. Życie w cegielni – lato 1940	93
54. Sytuacja polityczna w Europie (1940)	97
55. Symptomy zmian	98
56. Przeprowadzka do miasta	100
57. Anastasija Prokofiewna Sur	100
58. Wojna sowiecko-niemiecka (1941)	106

59. Wojtek Lubiński	110
60. Powojenne losy Wojtka	113
61. Zosia i Stasio Grodzieńscy	116
62. Bronisław Tomczyk	117
63. Tola – wirtuoz gitary	122
64. Churszud Chiderbejli – Szurka	124
65. Sport w Semipałatyńsku i wyjazdy	128
66. Muzyka nie zna granic	131
67. Nikołaj Maksymov – Kola	133
68. Armia Andersa opuszcza ZSRR	136
69. Lasek Katyński	137
70. Wolność po sześciu latach	138

IV. Lata powojenne. Historia Zbrodni Katyńskiej 141

71. Pierwsze lata po powrocie do kraju	142
72. Losy polskich jeńców wojennych	145
73. Konsekwencje Zbrodni Katyńskiej dla Polski	149
74. Studia byłego zesłańca (1947-1952)	150
75. Korepetycje, przyjaźnie, miłość	153
76. Ślub z Basią Gwiżdż (1933-1983) – rodzina, podróże	156
77. Piotr Zaleski, syn i jego rodzina	165
78. Andrzej Zaleski, syn i jego rodzina	168
79. Anna Janikowska (1928-2005), moja druga żona	171
80. Zosia Zaleska-Tereszkiewicz, moja siostra	180
81. Losy cmentarza Obrońców Lwowa	188
82. Pomnik Ofiar Zbrodni Katyńskiej	190
83. Gruzja i Dagny Juell-Przybyszewska	192
84. Natalia Uwarova (Natasza) – Rosja	196
85. Chiny – podróże naukowe	200
86. Qevqep Kambo (1924-2001) – Albania	208
87. Teresa Romanowska-Zmorska – Szwajcaria	211
88. Teresa Pfabé-Kamal (1933-2007) – Egipt	218
89. Aleksandria	229
90. Wojciech Kilar (1932-2013)	240
91. Rodzinne i towarzyskie życie sportowe	244

92. Biegi/jogging	244
93. Narciarstwo i turystyka	246
94. Turystyka kajakowa	249
95. Rowerowe wycieczki	253
96. Tenisowe przyjaźnie	253
97. Jubileusze i dyplomy	256
98. 70-lecie urodzin	256
99. 80-lecie urodzin	259
V. Impresje amerykańskie	265
100. Kalifornia – podróże (1980-2006)	265
101. Najważniejsze spostrzeżenia	265
102. Statua Wolności – symbol Stanów	265
103. Kolej	267
104. Autobus	269
105. Samolot	270
106. Amerykańskie drogi	270
107. Kalifornia – Promised Country	276
108. Mendocino County	280
109. San Francisco (Frisco)	282
110. Parki narodowe	285
111. Kanał Panamski – intratna budowla	292
112. Chinatown	292
113. System penitencjarny w USA	293
114. Alcatraz	294
115. Indianie	295
116. Las Vegas/Zielone Łąki	296
117. Wine country	297
Zakończenie	299
Podziękowania	302
Spis fotografii	304
Spis treści	312
Stopka redakcyjna	316

Adam Zaleski

Wspomnienia lwowskie, kazachstańskie i inne

Tekst i zdjęcia objęte prawem autorskim | All right reserved
© Adam Zaleski i Ola Zaleska

Kontakt z autorem

Adam Zaleski – zaleski.adam@artwroc.com
zaleski.adam.artwroc.com

Autorzy zdjęć

Adam Zaleski, Anna Zaleska, Ola Zaleska, Stanisława Zaleska
oraz Andrew Bossi, Alina Głowacka-Szłapowa, Jarosław Zięba,
Przemysław Zagierski

Zdjęcia z zasobów rodzinnych autora

Opracowanie redakcyjne, korekta i skład

Kazimiera Kuzborska – [Redakcja artwroc](#)

Okładka

Maciej Zaleski – www.7mz.pl

Druk i oprawa

Therismos Sp. z o.o. – therismos.pl

Wydanie: pierwsze

Nakład: 300 egzemplarzy

Objętość: 15 ark. wyd.

Liczba zdjęć: 173

Wrocław, marzec 2014

ISBN 978-83-938532-0-5